

**Juliusz Machulski**

# HITMAN

WARSZAWA 2012





1.

### **Kino Bałtyk**

W Sopocie na ulicy Monte Cassino, przed kinem Bałtyk, niespełna czteroletni chłopczyk, marszcząc brwi, spogląda na trzydziestoletniego przystojniaka, który uśmiecha się do niego szeroko:

- No, chodź do mnie! Czego się boczysz?

To syn i ojciec.

Malec niechętnie patrzy w jego stronę i chowa się za spódnicę babci, która tłumaczy zachowanie wnuka:

- Przestraszył się, bo widział, jak się utopiłeś!

Wokoło stoją ludzie, którzy właśnie wyszli z kina. Śmieją się. Nie dlatego chłopczyk się boi. On widział, jak tata całuje inną panią i jak się do niej umizga na plaży. Trochę to dziwne, bo obok stoi mama i wcale się nie złości. Nikt zresztą się nie złości. Widać, że w tym całym towarzystwie tylko mały ma ponurą minę. Zdecydowanie nie chce do ojca. Jeszcze nie teraz. Może za godzinę.

Jest 4 sierpnia 1958 roku.

Mało jest takich dni w początkach dziecięcej pamięci, które można przyszpilić w czasie z taką dokładnością. Ale to jest na pewno tego rodzaju dzień. Ten malec to ja, a przystojniak - mój ojciec Jan Machulski. Właśnie wyszliśmy z sopockiej premiery filmu *Ostatni dzień lata* Tadeusza Konwickiego. Pierwszego filmu dla dorosłych, jaki widziałem w życiu. Trochę mi się mieszają te światy. Co jest naprawdę? Niby przed chwilą widziałem, że tata się utopił, a tu się śmieje ze mnie. I kto to była ta pani?

Są wakacje, mieszkam z babcią i mamą w Gdyni w domku z ogrodem. Tata wpada do nas czasem w marynarskim mundurze, bo jest marynarzem na ORP „Orzeł”.

Życie jest czasem dziwne. Rzeczywiście pamiętam tamte chwile i jeszcze kilka innych: tata rozmawia z panem z motorem. Pan się śmieje i nosi prostokątne ciemne okulary. Zaprasza do teatru.

O! Teatr bardzo lubię! Rodzice biorą mnie często ze sobą do teatru, bo widocznie nie mają co ze mną zrobić. Na scenie jest rozpięta siatka, taka sama jak w ogrodzeniu przedszkola w Lublinie, przez które przekradamy się z chłopakami. Ten pan w ciemnych okularach właśnie jest pchany na tę siatkę przez jakichś innych złych panów.

Jako (zbyt) młody widz uczestniczę w legendarnym przedstawieniu w Teatrze Wybrzeże. To *Kapelusz pełen deszczu* w reżyserii Andrzeja Wajdy. A ten pan w okularach to Zbigniew Cybulski. Nie bez powodu Sopot jest ważnym ogniwem całej mojej historii.

Prawie 40 lat później - w tym samym miejscu, przed tym samym kinem Bałtyk na Monte Cassino - Zbigniew Cybulski patrzy z pamiątkowej płaskorzeźby, jak rozmawiam przez telefon komórkowy. Właśnie mnie informują, że mój najnowszy film miał otwarcie na 160 tysięcy widzów. To rekord! Stojąca obok kobieta skacze z radości. Ta kobieta to moja żona Ewa. Jest wrzesień 1997 roku. A ten film to *Kiler*.

50 lat później, zimą 2008, piszę te słowa nie dalej niż 500 kroków od tego samego, ale nieczynnego dziś, niestety, kina Bałtyk. Siedzę w naszym sopockim mieszkaniu na ulicy Czyżewskiego. Oboje z Ewą zawsze chcieliśmy być bliżej morza.

Od kiedy pamiętam, morze było dla mnie bardzo ważne. Wakacje nie nad morzem, ale

- nie daj Boże - w górach nie były wakacjami. Wiedziałem, że za morzem jest kraj: Afryka. Znałem też jeszcze inny kraj: Niemcy, a w nim ludzi, którzy wywoływali wielkie wojny i zawsze przegrywali. A my zwyciężaliśmy. My, to znaczy tata i dziadek. My, Polacy.

Tata zbudował dla mnie ze skrzynek tratwę. Wydawało mi się, że odpłynąłem na niej już dość daleko od brzegu. Kiedy zbliżyłem się do Afryki, nieco przestraszony tata wszedł po szyję do morza i wyciągnął tratwę na brzeg. I nie zobaczyłem Afryki.

Zawsze wolałem morze od gór, mimo że urodziłem się nad jeziorami, w Olsztynie. Ale stamtąd nic nie pamiętam. Rodzice zmieniali teatry jak kolejkarze stacje. W wieku trzech lat mieszkałem już w Olsztynie, Opolu i Lublinie. Ale zawsze wakacje były nad morzem. Trzy razy z rzędu zatrzymywaliśmy się w leśniczówce Szklana Huta niedaleko Waplewa. Po 45 latach odnalazłem ją przy okazji jakiegoś festiwalu w Gdyni. Poza lasem i leśnymi ścieżkami prowadzącymi do morza i do miasta wszystko jest inne. Zero wspomnień, zero nostalgii, wszystko zwietrzało...

Z Opoła pamiętam jedną rzecz. Babcia wzięła mnie do jakiegoś ogromnego domu, gdzie na ścianie wisiał duży pan poprzybijany gwoździami do drzewa. Krew lała mu się z rąk i nóg. Mały mózg pracował na najwyższych obrotach, ale za nic nie mógł zrozumieć, jakie to okoliczności sprawiły, że ten pan znalazł się w tak pożałowania godnej sytuacji. Pamiętam tylko strach i niechęć, jakie ten widok wzbudzał.

Potem wiele razy widziałem w kościołach ukrzyżowanego Chrystusa, ale ten pierwszy raz to był wstrząs. Musiało to być w Opolu, bo herb tego miasta wrył mi się w pamięć. Pół krzyża i pół ptaka. Zastanawiałem się, gdzie się podzieliło drugie pół. W tym wypadku - pół czarnego orła. W domu nie mówiło się ani o religii, ani o polityce. Rodzice żyli wyłącznie teatrem.

O polityce mówili za to moi starsi koledzy mieszkający dwa piętra wyżej. Bracia Wacek i Wiktor. Wacek, starszy o jakieś osiem lat - co wówczas było pokoleniową przepaścią - rozprawiał o czasach, kiedy ludzie nie będą potrzebowali pieniędzy, żeby coś kupić. W sklepie wszystko będzie leżało na półkach i każdy weźmie sobie tyle, ile będzie potrzebował. To się miało nazywać „komunizm”. I miało wkrótce nadejść. I pewnego dnia komunizm zjawił się w Lublinie!

W nowo otwartym sklepie towary leżały na półkach i ludzie chodzili i brali sobie, co chcieli, i kładli do drucianych koszyków. Spytałem Wacka, czy to już to. Czy to komunizm? - Prawie - odpowiedział. - Można sobie brać, ile się chce, ale potem w kasie trzeba zapłacić. Ten przejściowy etap do komunizmu nazywał się „sklep samoobsługowy”.

O religii mówiła mi trochę babcia, ale dopóki nie znalazłem gdzieś ilustrowanego katechizmu, to religia mnie nie interesowała. Dopiero te anioły, króle, lwy, rycerze, Filistyni zaczęli przemawiać do mojej wyobraźni. Bo bardzo lubiłem rysować. Lekcje religii kojarzyły mi się z rysunkami scen komiksowych z Biblii.

Pod koniec jakichś wakacji, jak zwykle nad morzem, tata powiedział:

- No, to pora jechać do łodzi.

Co dla mnie było oczywiste, no bo kiedy jechać do łodzi, jak nie nad morzem. Zresztą bawiłem się kilka razy w rybackich łodziach na plaży i pamiętałem, że mi to bardzo odpowiadało. Pojechaliśmy ze znajomymi ich samochodem i we troje gnieździł się na tylnym siedzeniu. Ta łódź musiała znajdować się gdzieś bardzo daleko, bo podróż trwała i trwała. Kilka razy zasypiałem i się budziłem. Nad ranem wreszcie dojechaliśmy do łodzi, która, ku mojemu bezgranicznemu rozczarowaniu, okazała się miastem.

Okolicznością osładzającą rozczarowanie było tylko to, że mieszkały tu obie moje babcie. No i dziadkowie. A dziadkowie byli wyjątkowi - jeden, bo chciał się od babci uwolnić, a drugi, bo miał laskę. Chodzi o drewnianą oczywiście. Pamiętam mieszkanie babci Zosi, mamy mamy, na ulicy Obrońców Stalingradu, naprzeciwko Teatru Powszechnego. Stalingrad zawsze kojarzył mi się bardziej z babcią niż z bitwą, ze Stalinem w ogóle nie. To było stare mieszkanie na parterze z wysokimi sufitami, gdzie czułem się bardzo, ale to bardzo mały.

Do snu pakowali mnie zawsze pod pierzynę w pokoju, gdzie w nocy paliła się czerwona lampka przy świętym obrazku. Ta lampka, pamiętam, nieco mnie niepokoiła i napawała lękiem. Ale kiedy zakopany w pościeli zasypiałem, słuchając radia - to byli *Matysiakowie*, jak się później dowiedziałem, poznawszy głos aktora grającego Klemensa -

czułem się bezpiecznie. W mieszkaniu babci Zosi było wiele bardzo ciekawych skrytek na różne różności. Lubilem obudzić się rano i gdy rodzice i dziadkowie jeszcze spali, buszować po szufladach, zakamarkach kredensu. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, co mnie oprócz ciekawości tak tam przyciągało (chyba zamknięty czas przedwojenny, jak to sobie dziś uświadamiam). Te wszystkie fotografie, ordery dziadka, płyty, a szczególnie wymienne igły gramofonowe, części instrumentów, na ogół perkusyjnych. Potem dowiedziałem się, że dziadek ze swoim bratem prowadzili sklepik i punkt naprawy takich instrumentów. Wpadłem też w zachwyt, kiedy odkryłem stare klasery ze znaczkami.

Wtedy zrozumiałem, że na świecie są też inne kraje. Nie tylko Afryka i Niemcy. Chociaż akurat znaczków niemieckich było w tych klaserach najwięcej.

Dziadek Oleś - ten z laską - recytował wierszyk, który bardzo lubilem. Nazywało się to *Idylla maleńka taka*:

*Idylla maleńka taka:*

*Wróbel połyka robaka,*

*Wróbla kot dusi niecnota,*

*Pies chętnie rozdziera kota,*

*Psa wilk z lubością pożera,*

*Wilka zadławia pantera.*

*Panterę lew rwie na ćwierci,*

*Lwa - człowiek, a sam po śmierci*

*Staje się łupem robaka.*

*Oto idylla maleńka taka...*

Odtąd słowo „idylla” kojarzyło mi się przez długi czas z pożeraniem się nawzajem.

Lubiłem Łódź z innego jeszcze powodu. Bo było tam zoo, a w Lublinie go nie było. Uważałem, że to najbardziej interesujące miejsce na ziemi. A mały to po prostu coś genialnego! Jechało się do tego zoo tramwajem (taki pojazd też nie jeździł ulicami Lublina), który pachniał drewnem - tramwaje miały wówczas wiele elementów drewnianych - i obwarzankami. Jakoś tak się składało, że zawsze wtedy dostawałem obwarzanki na papierowym sznurku - przypuszczam, że sprzedawano je przy wejściu do zoo. Zwierzęta, które znałem jedynie z kolorowych obrazków z mieszkania dziadków, nagle objawiały mi się naprawdę. Lew! Słoń! Żyrafa! Zebra! Krokodyl! Nosorożec! Hipopotam! Papugi! No i mały! To było za wiele wrażeń jak na jedno popołudnie! Koniecznie marzyłem o przeprowadzce do Łodzi właśnie z powodu zoo. Gdy się wreszcie przeprowadziliśmy, byłem w tym wymarzonym miejscu może ze dwa razy.

W Lublinie mieszkaliśmy w Alejach Raławickich 23, blok 3, mieszkania 19. Dziś ta ulica nazywa się Szarych Szeregów, ale mieszkanie nadal należy do Teatru Juliusza Osterwy, a w każdym razie zajmuje je rodzina jednego z aktorów. Byłem w nim w 1994 roku w czasie dokumentacji do filmu, który w końcu nie powstał. I znowu, kiedy wszedłem, zero sentymentów, wspomnień. Wszystko jest inne, chociaż w kamiennym parapecie rozpoznałem wydrążoną przeze mnie dziurę, więc niby to samo...

Lublin na przełomie lat 50. i 60. był miastem, w którym czuło się, że wojna niedawno się skończyła. Być może dlatego, że resztki AK-owskiego podziemia ciągle jeszcze działały. Tego oczywiście wtedy nie wiedziałem, ale to, że ojciec któregoś z moich inteligenckich kolegów z klasy czy z bloku siedział w więzieniu, nie było rzadkością. W tym czasie, w październiku 1963 roku, oddziały SB i ZOMO robiły obławę gdzieś w podlubelskiej wsi na ostatniego partyzanta AK Józefa Franczaka pseudonim „Lalek”. Z jednej strony w radiu nowy angielski zespół The Beatles, a z drugiej - władza ludowa ganiająca po jakiejś chłopskiej zagrodzie i strzelająca do biedaka.





2.

### **Lepszy od Romea**

Lubiłem słuchać radia. Szczególnie przemawiał mi do wyobraźni Teatr Polskiego Radia. Pamiętam kilka takich audycji. Na przykład *Studium w szkarłacie* wg Arthura Conan Doyle'a i jakąś inscenizację opowiadań De Amicisa. Nie cierpiałem wiadomości, bo bałem się, że zapowiedzą wybuch wojny. Zawsze wyłączałem odbiornik, gdy szedł dziennik, wierząc, że jak czegoś nie usłyszę, to tego nie ma. Wszystkie konflikty świata brały się dla mnie z radia. Gdyby ludzie zajmowali się czymś ważniejszym niż podawanie wiadomości, na przykład przeżywaniami tragedii rodzin Montecchi i Capuletti, świat wyglądałby dziś inaczej.

Romeo Montecchi i Julia Capuletti to była w moim dzieciństwie bardzo ważna para. Przede wszystkim dlatego, że tata grał Romea i strasznie dużo się pojedynkował na szpady, i zawsze wygrywał. Trochę żałowałem, że Julii nie grała mama, no ale nie można mieć wszystkiego. Tata zresztą przynosił czasem te szpady - które naprawdę były sportowymi floretami - do domu. Bardzo mi imponowało, kiedy się ze mną pojedynkował. Czasem udało mi się nawet wygrać. Zdarzało mi się być lepszym od Romea! Rzadko który pięciolatek może tak o sobie powiedzieć. Szermierka to chyba pierwszy sport, który mnie zafascynował - potem tych dyscyplin było strasznie dużo, ale w żadnej nie byłem dobry. A zafascynował być może dlatego, że od cięcia szpady zginął Karol Świerczewski, pan, który jako dziecko chodził do naszej szkoły podstawowej. Z tego powodu, że stracił życie, wmurowali jego twarz w owalny kółku przy wejściu.

To, że to od szpady zginął pan Świerczewski, wyobraziłem sobie podczas uroczystości

na jego cześć, kiedy zobaczyłem żołnierza na podwórku szkolnym ze srebrzystą klingą szpady wbitą w brzuch. Szpada była giętka i drgała na wietrze, ale żołnierz w żelaznym hełmie twardo tkwił na posterunku i ani drgnął. „Tak musiał też stać bohaterski generał Świerczewski, który się szpadowi nie kłaniał”, pomyślałem wówczas. Oczywiście potem dotarło do mnie, jak zginął naprawdę. A całkiem niedawno dowiedziałem się, że to właśnie koledzy generała miesiąc po tej uroczystości, w październiku 1963 roku, ganiali w podlubelskiej wsi Majdan ostatniego polskiego partyzanta Józefa Franczaka, aż ranny, nie chcąc dać się złapać, strzelił sobie w usta. Po latach też zrozumiałem, że ten żołnierz ze szpadą w brzuchu był po prostu radiotelegrafistą ze srebrną anteną nadajnika radiostacji. Życie jest zawsze bardziej trywialne. Moja wersja wydarzeń podoba mi się bardziej. Szpady, miecze, a w ogóle kult rycerstwa i białej broni wzmógł się znacznie po obejrzeniu premiery *Krzyżaków*. Czegoś takiego jeszcze nie było! Naoczny dowód na to, że koniec końców jesteśmy od wieków lepsi od naszych podstępnych niemieckich sąsiadów. Oglądałem *Krzyżaków* z otwartymi ustami, z przerwą na wyjście do toalety - Zbyszko wtedy akurat walczył z niedźwiedziem - i tej nieobecności nie mogłem sobie darować, aż do następnej projekcji tego filmu, siedem lat później, już w Warszawie.

Mniej więcej w tym samym czasie emitowano w telewizji serial *Wilhelm Tell*. W mojej rodzinie nie było jeszcze telewizora - nie dlatego, że nie było nas stać. Być może tata, aktor teatralny i filmowy, doszedł do wniosku, że skoro naczelnik poczty nie ma w domu skrzynki pocztowej - on nie musi mieć telewizora. Podzielałem ten pogląd bez przekonania. Czułem się okradziony z uczestnictwa w życiu bohaterskiego Zorro, o którym koledzy, nieliczni szczęśliwi odbiorcy ówczesnej TVP, z wypiekami na twarzy opowiadali na przerwach.

Pomyślałem sobie, że życia i twórczości Wilhelma Tella nie przepuszczę! Wprosiłem się do kolegi - jakoś inni, nawet najbiedniejsi, mieli telewizory! - na któryś z kolejnych odcinków. Niewprowadzony w zawilóści fabuły obserwowałem poczynania średnio sympatycznych, moim zdaniem, brodatych obdartusów ganiających po ekranie w jakichś niezbyt świeżych łachmanach. Całym sercem byłem po stronie zakutych w stal, czystych, ogolonych i dobrze wychowanych cywilizowanych rycerzy. Ale jak na złość przez cały odcinek im się nie wiodło. Obdartusy co i rusz wyprowadzały ich w pole. Wreszcie pod koniec odcinka, kiedy przywódca brudasów, po przepięknej akcji kulturalnych panów rycerzy, został postrzelony z kuszy, wydarł się z mojej piersi okrzyk radości, jaki wydaje się

dzisiaj z okazji gola strzelonego w ostatniej minucie doliczonego czasu. Byłem jedynym wśród tuzina ciasno zбитych wyznawców Wilhelma Tella, który się cieszył. Wszyscy patrzyli na mnie jak na czarną owcę. Po chwili zrozumiałem swoje faux pas. Ten trafiony z kuszy obdartus to był właśnie Wilhelm Tell. No cóż, zawsze ciągnęło mnie do lepszego świata.

Dwie najważniejsze pasje mojego życia, czyli kino i miłość do języków obcych, zaczęły się w latach 60. ubiegłego wieku w Lublinie. Miłość do kina podsycił tata. Sam kinoman, uznawał ten element edukacji za absolutnie nieodzowny. Mama natomiast zgodziła, jak się wówczas mówiło, panią od angielskiego, która przychodziła po lekcjach w szkole do naszego domu ku rozpaczy babci Jasi („Dzieciakowi z tą nauką nie dają spokoju, zabierają mu ostatnie lata dzieciństwa na jakieś komplety!”).

Pani od angielskiego przynosiła ze sobą kolorowe disnejowskie amerykańskie książeczki, które wtedy były wystarczającym powodem do fascynacji tym tajemniczym nierozszyfrowanym jeszcze zasobem obcych słów i lepszego świata. Pamiętam pięć słówek, jakich nauczyłem się na pierwszej lekcji: *a bear, a bed, a bee, a bell, a boy*. Jak widać, zadowalała mnie wtedy jedna litera. Irytujące było to „a” przed każdym z nich, ale na tyle nie byłem dociekliwy, aby z tego powodu zrywać lekcje.

Od tamtej pory minęło już ponad 45 lat, mówię dzisiaj po francusku, rosyjsku i hiszpańsku, ale angielski, a szczególnie amerykański angielski, jest dla mnie najważniejszy. Uczę się go do dzisiaj, a im więcej go poznaję, tym bardziej czuję, jak mało wiem.

Jestem szczęśliwy, że nie muszę czekać na tłumaczenia i czytam wszystkie ważne książki po angielsku we właściwym momencie - to znaczy kiedy zostają wydane. Zawdzięczam to mamie, jej uporowi, że z jakiegoś powodu ta nauka zawsze była ważna. Tak więc angielski to był prezent od mamy, francuski - od taty, rosyjskiego, w ramach ruchu oporu jako języka okupanta, nie uczyłem się w szkole, co powodowało różne nieprzyjemne sytuacje. Dopiero kiedy ożeniłem się z Rosjanką, zrozumiałem, że może to być piękny język. Ale hiszpański to już tylko i wyłącznie mój wybór. Zaczęłem się go uczyć po czterdziestce i chyba najbardziej lubię mówić właśnie w tym języku, mimo że go najslabiej znam. Nie sposób kochać język, nie lubiąc i nie interesując się kulturą kraju, z którego pochodzi. Tak zaczęła się moja przygoda z Hiszpanią. Według mnie najpiękniejszym miejscem w Europie.

### 3.

#### Kowboje nie kłamią

Pewnego razu tacie znudziło się być Romeem i marynarzem - został kowbojem. W lubelskim teatrze pojawiła się amerykańska sztuka *Zaklinacz deszczu*, a w niej tata w kapeluszu, w koszuli z frędzlami, z koltami przy pasie, w typowym kowbojskim komplecie ubraniowym zaklinał deszcz. Bardzo pochwalałem ten wybór. Kowboj był przecież najbardziej pożądanym zawodem na świecie. W moim przekonaniu umacniały mnie filmy z kraju na trzy litery, które pokazywały ciężkie, ale jakże ciekawe życie tej grupy zawodowej: *Jeździec znikąd*, *Siedmiu wspaniałych*, *Złamana strzala*, *Rio Bravo*. Czyż mógł istnieć lepszy los niż los kowboja? Chociaż ze *Złamaną strzałą* miałem drobny kłopot, bo tam obok kowbojów pojawiali się jeszcze ciekawszi panowie. Indianie. Bycie Indianinem oznaczało pozycję o szczebel wyżej na drabinie społecznej. Tę powszechnie znaną prawdę ilustrowały wysiłki również rodzimej kinematografii. Właśnie miał wejść na ekrany film *I ty zostaniesz Indianinem*. To wydarzenie było dla mnie oczywistym wynikiem takich oddolnych społecznych oczekiwań. Żałowałem trochę, że tata, chociaż grał w tym filmie bardziej kowboja i biegał z pistoletem jako kapitan MO, nie został Indianinem, ale miałem nadzieję, że z czasem z kowboja na Indianina awansuje. Tak się złożyło, że uroczysta premiera *Indianina* miała się odbyć również w Lublinie. Bardzo na nią czekałem. Miałem naszykowany papierowy pióropusz, w którym zamierzałem na niej wystąpić.



Był początek września 1962 roku, a więc rok szkolny miał się dobrze zacząć. Tak pomyślałem i natychmiast przywołałem pecha. A pech chciał - w takich razach pech zawsze chce - że w dzień premiery dostałem w szkole pierwszą w życiu dwóję - dziś pałę. Z języka

polskiego. Była to druga klasa podstawówki, a więc nie przelewki. Dwójkę dostałem za brak pracy domowej, ale bolała jak prawdziwa. Nie mogłem wrócić z dwóją do domu. Nie tego dnia. Cóż było robić? Zostawiłem zeszyt z feralną oceną w szkole, rozumując logicznie, że jak zniknie zeszyt, zniknie też niedostateczny stopień.

W domu podczas odrabiania lekcji próbowałem odegrać scenę, jak to gdzieś mi się zeszyt zawieruszył. W kilkuminutowej, pełnej gestykulacji improwizacji dochodziłem powoli do wniosku, że pewnie mi ktoś go w szkole ukradł. Ktoś zazdrosny o moje postępy w nauce. Nie wypadło to przekonywająco. Rodzice byli przecież aktorami. Tata zadał mi kilka podchwytliwych pytań. W końcu pękłem. I przyznałem się do wszystkiego.

Tata docenił moje wyznanie, ale całość występu mu się nie spodobała. Nie miał żalu o złą ocenę, tylko o to, że chciałem go okłamać. A tego nie mógł mi wybaczyć. Oczywiście kara była nieunikniona. A tak się niezręcznie składało, że wieczorem była ta premiera. Mieliśmy w domu pakt, że nigdy, przenigdy nie wolno kłamać. Kowboje przecież nie kłamią, a już na pewno nie Indianie. I jak ja chciałem zostać Indianinem? Musiałem ponieść karę.

- Dobrze - zgodziłem się pośpiesznie. - Chętnie poniosę ją jutro, bo dzisiaj idziemy do kina.

- Do kina? - spytał tata. - Do jakiego kina?

- No, na premierę *Indianina*!

- Kłamca ma iść do kina?

Oczywiście o żadnym filmie nie było mowy, tak brzmiał werdykt rodziców. Apelowałem o łagodniejszy wymiar kary.

- To co? - spytał tata sarkastycznie. - Wolałbyś lanie?

Zacząłem się zastanawiać, co bardziej boli. Trzy razy pasem w dupę czy niezobaczenie filmu o Indianach, którzy właśnie pojawili się w naszym kraju? Zabrało mi to z pół sekundy, zanim zdecydowałem, że wolę zobaczyć film. Tacie też było niewesoło, bo

okazało się, że w procesie, w którym był na razie prokuratorem i sędzią, będzie musiał być także katem. Ale skoro się rzekło „Howgh!”, wyrok musiał zostać wykonany. Wówczas po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że kino wymaga czasem cierpienia, ale - a tak było w przypadku filmu *I ty zostaniesz Indianinem* - potrafi to potem wynagrodzić.

Wieczorem, siedząc na widowni kina Kosmos, byłem szczęśliwy. O laniu dawno zapomniałem, fotele w nowo otwartym kinie były na szczęście miękkie. Nie rozumiałem tylko, dlaczego wodza Apaczów grał Jurand ze Spychowa z innego ulubionego mojego filmu *Krzyżacy*, ale doszedłem do wniosku, że Indianie to tacy dzisiejsi rycerze.

Ponieważ najlepsze filmy, jakie wybierałem z repertuaru w gazecie, były z kraju na trzy litery, chciałem się dowiedzieć, co te trzy litery USA oznaczają. Jakież było moje zdumienie, kiedy wytłumaczono mi, że to po prostu Ameryka! To dlaczego USA? Bo krócej niż „Ameryka”, brzmiała odpowiedź. To jeszcze krócej byłoby „A”, oponowałem. Na to koledzy z podwórka: „No tak, ale to mogłoby znaczyć także Austrię albo Australię”. „A jest coś takiego?”. „Tak, to są inne kraje”. Nie dowierzałem. „To, że jest państwo Polska, Afryka, Niemcy i Ameryka, to nie wystarczy?”. Okazało się, że nie. „A komu to jest potrzebne?”. Na to koledzy z podwórka nie mieli odpowiedzi.

Toteż jak tylko zauważyłem w osiedlowym papierniczym nowość wydawniczą pt. *Zwierzęta siedmiu kontynentów - do wycinania*, natychmiast zacząłem nadrabiać luki w geografii. Z zeszytu *Australia i Oceania* wyciąłem i wygiąłem kangura, psa dingo, koalę, dziobaka i kolczatkę. Zwierzęta z siedmiu kontynentów długo walały się potem po różnych kątach. Kudu wyłaziło nagle spod wanny, impala opalała się na okiennym parapecie, okapi wyglądało z babcinych kapci, to samo robiły watusi, kapibara i gnu. Większości tych zwierząt nie widziałem na żywo, ale nazwy pamiętam do dziś. W tym samym czasie moje geograficzno - zwierzęce zainteresowania zespoliły się w jedno. Zostałem filatelistą, i to na tyle nieprzejednanym, że gdy po latach zagraniczni przyjaciele, wiedząc, że przyjechałem z Polski, pytali, czy czuję się komunistą, zawsze odpowiadałem:

- Nie. Filatelistą.

Do dziś pozostał mi z tamtych czasów skromny zbiór zwierząt na znaczkach z hiszpańskich kolonii: Ifni, Fernando Poo, Hiszpańskiej Gwinei i Sahary. Moje dotychczasowo

uporządkowane geograficznie życie - Polska, Niemcy, Afryka, Ameryka - uległo rozdrobnieniu na tysiące małych kawałków, z których każdy był innym państwem. Jakież Burundi, jakiś Katar, Seszele, Fidżi, Sumatra, Tuwa, Magyar Posta?! Straszny bałagan! Zrozumiałem, że muszę znaleźć sobie inne hobby.

Mniej więcej w tym samym czasie odkryłem, że żyją w Polsce ludzie, którzy z powodu swoich zajęć przypominają trochę kowbojów czy Indian. Byli to harcerze. Te namioty w lesie, nocne ogniska, drewniane totemy, laski, krzyże, kowbojskie chusty, pasy, sznury, sprawności! Ale przede wszystkim prawdziwa broń, stawiająca jej posiadacza w jednym rzędzie z wodzami Apaczów. Bo czy można wyobrazić sobie bardziej indiański nóż niż finka, czyli nóż fiński - długie śmiernicoośne ostrze z ebonitową rękojeścią? A wszystko to w specjalnej, przypiętej do pasa pochwie, jaką nosili w filmach Indianie. Najwięksi szczęśliwcy mogli być nawet posiadaczami harcerskich tomahawków, czyli toporków.

I tu przyszło pierwsze rozczarowanie. Jako siedmiolatek nie mogłem zostać harcerzem, tylko zuchem. A „zuch” to już nie brzmiało po indiańsku. Z finki jednak nie zrezygnowałem. O wiele groźniejsza niż scyzoryk, była niezbędna na co dzień na podwórku. Przede wszystkim do gry w noża - tak się w Lublinie mówiło na pikuty. W tamtych czasach finka była tym, czym dziś iPod czy PlayStation. Przyjemnie zabijała czas. Oprócz tego, że grało się nią w noża lub rzucało do celu, można było także za jej pomocą strugać i rzeźbić - od fujarek z tataraku po okręty z kory. Szybko zrozumiałem, że do posiadania finki nie jest potrzebne harcerstwo.

Wówczas pojawił się na gościnnych występach w Lublinie teatr lalkowy z Bukaresztu. Przedstawienie nazywało się *Tajemniczy mister X* i było gangsterskim musicaliem dla dzieci. Byłem oszołomiony! Największe wrażenie robiły na mnie efekty specjalne i sceny zbiorowe. Pamiętam rozpierduchę w jakimś *speak-easy* barze, gdzie z 50 kukiełek (jawajek) naparza się między sobą. Waliły się po głowach czym popadnie, głowy rozlatywały się na wszystkie strony. Pistolety błyskały ogniem. Mr. X rzucał nożem, zabijając przeciwników. Wszystko grało, buczało i dymiło. I pomyśleć, że to wszystko za sprawą skromnego teatru z Rumunii.

Potem już w dorosłym życiu tylko trzy przedstawienia olśniły mnie w podobny sposób. To *Sen nocy letniej* Petera Brooka, *Biesy* Andrzeja Wajdy i *Umarła klasa* Tadeusza Kantora.

Tata zaczął grać w przedstawieniu w lubelskim Teatrze Lalki i Aktora. Był ulicznym grajkiem Jeanem, który śpiewał i rozmawiał z kukiełką o imieniu Guignol. Do dziś pamiętam słowa jednej pieśni: „Jak na wagary, ja idę przez Paryż, Francuzi mówią Pari”... Nie rozumiałem słowa „wagary” i „Paryż”. Tata szybko wyjaśnił mi, że to stolica jeszcze jednego państwa, o którym nigdy nie słyszałem - Francji. No i tak za pomocą teatrów kukiełkowych pojawiły się w moim życiu dwa nowe kraje: Rumunia i Francja.

Zrozumiałem, że chcę zostać aktorem lalkowym, co było wygodniejsze i bezpieczniejsze niż zwykły aktor teatralny, gdyż na scenie pojawiały się tylko lalki - pacynki, marionetki czy najbardziej wypasione - jawajki. W dzielnicowym domu kultury koło mnie działało akurat kółko lalkarskie. Czym prędzej się do niego zapisałem. Od razu dostałem rolę lisa, który uprzykrza życie bohaterce bajki - Małgosi. Po kolejnych psotach Małgosia w końcu łapie lisa szelmę i razem z kolegą Jasiem łoi mu skórę. Ale tu nastąpił inscenizacyjny problem, bo lis w moim wykonaniu za nic nie chciał dać się złapać. Fruwał nieprzepisowo metr nad bezradnymi Jasiem i Małgosią, aż pan instruktor musiał interweniować. Zabrał mi rolę. Nie pozostało mi nic innego, jak oddalić się z godnością.

(Reminiscencję tego lalkarskiego epizodu wykorzystałem po latach w *Matkach, żonach i kochankach*. Wiktoria, grana przez Anię Romantowską, miała podobny problem z jednym z młodocianych bohaterów, którego lalka też nie pozwalała się złapać).

Zrozumiałem, że muszę wrócić do harcerstwa. Ale to nastąpiło dopiero po naszej przeprowadzce do Łodzi. W 1964 roku razem z moim przyjacielem z klasy i klatki schodowej z naszego osiedla Januszem Gauerem - późniejszym operatorem filmowym *Deja vu* i *V.I.P.* - zapisaliśmy się do młodszoharcerskiej drużyny. Pilnie chodziliśmy na zbiórki zapatrzeni w naszego zastępowego druha Andrzeja - dla podkomendnych Jędrka. Druh zastępowy Jędręk wkrótce stał się naszym idolem. Był wyprężony jak struna i cztery lata od nas starszy, co znaczyło, że wie już wszystko. Emanował z niego spokój wynikający z opanowania do perfekcji kowbojsko - indiańskich obyczajów, a także głębokie przekonanie, że jeśli coś od życia będziemy wymagać, życie na pewno tym wymaganiom sprosta. Nie wiedzieliśmy wtedy, że to się nazywa charyzma. Obaj z Januszem chcieliśmy być kiedyś tacy jak on.

Pamiętam, że druh miał dziwne nazwisko. Babcia wytłumaczyła mi, że jego nazwisko



oznacza rodzaj kaszy. Nie chciałem wierzyć. Druh Jędrak nie pochodzi od Siedzącego Byka ani od Szalonego Konia, tylko od kaszy? Kiedy rok później rodzice wyprowadzali się z Łodzi, oprócz rozstania z najbliższymi przyjaciółmi, z Januszem właśnie, żałowałem zerwania więzi z charyzmatycznym druham zastępowym. Nie przypuszczałem, że rozstajemy się na 40 lat.

W tym czasie stałem się harcerzem pełną gębą. Zdobyłem wprawdzie tylko stopień tropiciela, ale miałem ze 30 sprawności. W trzech rajdach świętokrzyskich przeszedłem po górach 300 kilometrów, byłem na różnych obozach, ale nie miałem już nigdy takiego druha zastępowego jak Jędrak.

Po latach go odnalazłem. Pewnego dnia telewizyjne *Wiadomości* podały niusa, w którym rozpoznałem mojego idola z dzieciństwa. Nie było wątpliwości, że to był druh Jędrak! Wprawdzie o 40 lat starszy, ale to ta sama zaczesana do tyłu fryzura, dziś lekko posiwiała, to samo spojrzenie. Doszły okulary i nie był już taki wysoki, jak nam się wtedy wydawało, ale tego nosa tapira i oczu sarny nie sposób było zapomnieć! To był mój druh zastępowy!

Nie wiem, ile sprawności zdobył przez ten czas, ale nadal wiele wymagał od życia i najwyraźniej umiał te wymagania realizować. Obecnie piastował zaszczytny urząd posła RP z ramienia SLD ziemi łódzkiej, a za chwilę miał otrzymać pseudonim, z którym przeszedł do historii. Mój druh Jędrak w dorosłym życiu nazywał się Andrzej „Full Wypas” Pęczak.

## 4.

### Idol

Gdyby tam siedzieli czterej beatlesi razem wzięci, zrobiliby mniejsze wrażenie. Też ich lubiłem, ale nie tak jak Jego. A wtedy, w tę sierpniową niedzielę 1965 roku, na rynku w Kazimierzu nad Wisłą, na krawężniku, otoczony wianuszkami kobiet, siedział mój Idol! Ten powalający uśmiech, ten niewymuszony luz, ta zamszowa kurtka i mokasyny!

Ja miałem dziewięć lat, on - 33.

Był moim ulubionym aktorem filmowym, mimo że nie widziałem żadnego filmu, w którym grał główną rolę. To znaczy nie widziałem żadnego filmu w całości, ale widziałem go we fragmentach wielu komediowych ról, a przede wszystkim w genialnym programie telewizyjnym, gdzie mój Idol rej wodził. Turlałem się ze śmiechu po podłodze, oglądając jego występy.

Bez wątplenia był dla mnie największym komediowym aktorem świata. Nie zastanawiałem się, jak tata musi się czuć z tego powodu. Przecież sam miał komediowe ambicje i dobrze mu to na scenie wychodziło. Ale nawet jeśli był o Niego zazdrosny, to tego nie okazywał.

Wpadłem na mojego Idola akurat w momencie, kiedy szliśmy z babcią na obiad.

- Babcia! Muszę Go poznać! Zagadaj do Niego!

- A co ja mu powiem? - babcia nie była przekonana.

- Powiedz, że jesteś mamą taty, a tatę On zna! - szarpałem babcie za rękę.



- Aj! Daj mi spokój! Nie będę się wygłupiać! - babcia nie chciała się zbłąźnić.

- Ale to jest Kobiela!!! - wysyczałem babci w ucho.

- Jak tata wróci, może on jeszcze tu będzie! - próbowała pertraktować babcia.

- Tata wraca za trzy dni! Do tego czasu będzie tu siedział na krawężniku????! - nie dawałem sobie zamydlić oczu.

Babcia nie miała wyjścia i pociągnęła mnie w stronę jadłodajni z obiadami domowymi, gdzie się stołowaliśmy w Kazimierzu. Jadłem w pośpiechu, przeklinając los, że akurat dziś jesteśmy sami, że tata z mamą musieli wyjechać do Łodzi, że właśnie przechodzi mi przed nosem niepowtarzalna szansa wymienienia z największym światowym aktorem komediowym poglądów na tematy filmowe. Przeczucie mnie nie myliło. Kiedy wracaliśmy z obiadu, Idola na krawężniku już nie było.

Spędzaliśmy wakacje w Kazimierzu dlatego, że tata kręcił tu film *Wyspa złoczyńców*. Kiedy zdjęcia się skończyły, rodzice zostawili mnie na wczasach z babcią i wrócili do domu, do Łodzi. I wtedy pewnej niedzieli pojawił się Bobek Kobiela. Ten program w telewizji, w jakim Go podziwiałem, nazywał się *Poznajmy się* i był dla mnie wówczas najśmieszniejszym programem telewizyjnym, jaki w ogóle istniał. W czasach telewizji „na żywo” mógł trwać nawet trzy godziny, wszystko zależało od inwencji Bogumiła Kobieli, Jacka Fedorowicza i reżysera Jerzego Gruzy.

Po latach zrozumiałem, że przenosili oni na nasz rodzimy szklany ekran - w beztróskich czasach, kiedy prawo autorskie się nie liczyło - pomysły kolegów z

amerykańskiej telewizji. To był taki *Saturday Night Live*, tyle że u nas. Po raz pierwszy w polskiej TV wykorzystywano komiczne efekty „ukrytej kamery”. Pamiętam, jak Stanisław Tym chodził po ulicach Warszawy w kajdankach, prosząc przypadkowych przechodniów, żeby pomogli mu się z nich uwolnić, były też klasyczne już dziś numery z gadającą skrzynką pocztową czy uciekającym banknotem na niewidocznej żyłce. Wtedy to była nowość. I to nie tylko dla takiego gówniarza jak ja. To była nowość dla całego kraju.

Kobiela z Gruzją jeździli do Ameryki z kabaretowymi występami i oglądając tamtejszą telewizję, wyłapywali co smakowitsze kąski. Dzięki *Poznajmy się* czułem się obywatelem lepszego, wolnego świata. A teraz przegapiłem jedyną w swoim rodzaju szansę na spotkanie z ulubieńcem! Wiedziałem, że los nie da mi drugiej. Że to było wszystko, na co mogłem liczyć. Po południu przygnębiony i niepocieszony wałęsałem się po sadzie przy domu, w którym wynajmowaliśmy pokój, strugając jakąś łódeczkę z kory. Aż usłyszałem głos:

- Kolego? Czy nie zerwałbyś dla mnie jemióły?

Poznałbym ten głos wszędzie! Odwróciłem się błyskawicznie. Dziesięć metrów ode mnie na ścieżce prowadzącej wzdłuż owocowych sadów nad Wisłą stał mój Idol i szczyrzył zęby w uśmiechu. Wianuszek pięknych pań zatrzymał się o kilka kroków za nim. Obejrzałem się za siebie, chcąc się upewnić, że chodzi o mnie, ale w sadzie poza mną nie było nikogo. Spojrzałem jeszcze raz. To nie było przywidzenie. Na ścieżce stał genialny aktor Bogumił Kobiela i najwyraźniej mówił do mnie „kolego”!

To była rozmowa tylko między mną a nim. Panie taktownie milczały i tylko się patrzyły. Szybko odrzuciłem kretyńską łódeczkę. Nie wiem, dlaczego nagle zaschło mi w gardle. Nie mogłem wydobyć słowa. To pewnie ten upał sprawił.

- No jak? - jeszcze raz przemówił Idol tylko i wyłącznie do mnie. - To zerwiesz dla mnie tej jemióły? - wskazał ręką na koronę drzewa wysokiego na jakieś 20 metrów. Spojrzałem tam, ale niczego nie dostrzegłem. Nie wiedziałem, co to jest jemióły, ale natychmiast, bez namysłu kilkakrotnie skinąłem głową. Idol kilka sekund czekał na to, że przemówię, ale widocznie doszedł do wniosku, że pewnie trafił mu się wiejski głupek niemowa, których pełno kręciło się w tamtych latach po całej Polsce, i dodał z uśmiechem:

- Ja będę wracał tędy za jakąś godzinę, to wtedy bym ją sobie zabrał. Tę jemiolę.

Jeszcze raz kilkakrotnie potaknąłem głową. Idol namyślał się przez sekundę, jakby oceniał, czy właściwej osobie powierzył zadanie, ale potem kiwnął głową i powiedział:

- No, to na razie, stary! - i odszedł w stronę rzeki.

Wiedziałem, że czymkolwiek ta jemiola jest - muszę ją mieć! Puściłem się pędem w stronę domu, krzycząc, bo właśnie odzyskałem mowę:

- Babcia! Kobiela! Jemiola! - zdyszany wytłumaczyłem babci, co się stało.

Potem babcia wytłumaczyła mi, co to jest jemiola. Że to roślina, chwast, rosnąca na drzewach, pod którą można się bezkarnie całować. Teraz zrozumiałem powagę misji powierzonej mi przez mojego Idola i nadzieję w oczach wianuszka dziewcząt, które mu towarzyszyły. Potem wspólnie odszukaliśmy gospodarza domu i ja jeszcze raz powtórzyłem opowieść o spotkaniu z Kobielą. Gospodarz, pan Janusz, nie bardzo rozumiał, dlaczego misja, jaką mi powierzył Idol, jest aż tak ważna, ale szaleństwo w moich oczach musiało go przekonać. Pierwsza drabina okazała się za krótka.

- Nie macie dłuższej?! - gorączkowałem się. Dłuższa też okazała się za krótka. Trzy kolejne drabiny z okolicznych domów także nie wytrzymały próby wysokości. Nie chciałem się przyznać, że stanąłem twarzą w twarz z tak zwaną *mission impossible*. Wiedziałem też, że raz rozpoczęta „Operacja drabina” musi dojść do skutku. Uratował mnie przebłysk geniuszu.

- Związać drabiny! Trzeba związać drabiny! - zawołałem.

- Jak związać? - pan Janusz był sceptyczny, ale ze smutkiem chyba zrozumiał, że niestety to jest rozwiązanie.

- Sznurem! Liną! Drutem! Co tam macie!

Pan Janusz i sąsiedzi od dawna nie mieli chyba tak konkretnego wytyczonego celu.

Wreszcie po półgodzinie splatania, wiązania i zbijania gwoździami gigantyczna, 20-metrowa drabina była gotowa. Złapałem sekator i rzuciłem się na nią pierwszy jak Achilles na mury Troi! Pan Janusz złapał mnie za ramię.

- O! Na pewno nie! Ty tam na pewno nie pójdziesz!?

Musiałem ustąpić i oddać sekator. Na drzewo po jemiolę wspiał się jeden z sąsiadów, członek Ochotniczej Straży Pożarnej.

Po 40 minutach od chwili zamówienia jemiola była gotowa do odebrania. Stałem z olbrzymim jej naręczem na środku ścieżki łączącej wiślaną plażę z centrum Kazimierza. Właśnie mijała godzina, o której mój Idol miał wracać znad rzeki. Zapadł zmrok, a On nie nadchodził.

- Czy nie ma innej drogi? - pytałem gorączkowo.

- Nie obok naszego sadu - odpowiedzieli gospodarze.

Rozkazałem rozpaść ogniska albo przynajmniej świece! W odpowiedzi babcia ściągnęła mnie ze ścieżki za kołnierz, bo było wpół do jedenastej w nocy. Niepocieszony poszedłem spać, nie wypuszczając jemioly z rąk.

Dalszego ciągu wakacji nie pamiętam. Były nieważne. Kiedy wrócili rodzice, opowiedziałem im oczywiście o fiasku mojej misji specjalnej zadedykowanej Kobieli.

- Nic się nie martw - pocieszał mnie tata. - Co ma wisieć, nie utonie - myślał najwyraźniej o jemiolę. - Jeszcze się spotkacie.

- Jak? Kiedy? - nie wierzyłem. - Wszystko przepadło!

Ale tata miał rację. Jesienią tego samego roku, gdy byłem w trakcie odrabiania arytmetyki, do domu wpadł nagle tata.

- Ubieraj się. Idziemy!

- Ale lekcje?

- Lekcje nieważne! Idziemy.

W rzadkich chwilach, kiedy słyszało się od rodziców, że lekcje nie są ważne, nie należało się zastanawiać. Rzuciłem książki w kąt i byłem gotowy do drogi. Pruliśmy naszym moskwiczem przez wieczorną Łódź. Kiedy wjechaliśmy na ulicę Więckowskiego, zrozumiałem, że zmierzamy do Teatru Nowego, gdzie pracowali rodzice.

- Co się stało? - próbowałem się dowiedzieć.

- Zobaczysz! - tata był wyjątkowo jak na niego tajemniczy.

- Co zobaczę?

- Wagabunda! Szybko, bo przerwa się skończy! - odpowiedział, kiedy wchodziliśmy od tyłu, wejściem dla aktorów. „Wagabunda” mówiło mi jeszcze mniej niż swego czasu „jemiola”, ale zanim otworzyłem usta, żeby zapytać, tata otworzył dobrze mi znane drzwi do jednej z garderób i weszliśmy do środka. Przed charakterystycznym lustrem na krześle wisiała marynarka, która, dziś to wiem, nazywa się smokingowa, a z boku na leżance odpoczywał jakiś człowiek w białej koszuli. Na nasz widok podniósł się z kanapy.

- O, cześć! - powiedział do mnie. - Chciałem cię strasznie przeprosić, że wtedy czekałeś na próżno. Basia chciała popływać łódką i jakoś się zeszło.

To był On! Mój Idol!

- Strasznie mi potem brakowało tej jemioly. Orientujesz się dlaczego? - Bobek Kobiela puścił oko i wyciągnął do mnie rękę, a kiedy mu podałem swoją, potrząsnął po przyjacielsku.

- Słyszałem od Janka, że chciałeś ze mną pogadać. Wal śmiało! - usiadł okrakiem na krześle, tyłem do oświetlonego lustra.

Ja przycupnąłem na brzeżku leżanki i wtedy wróciły stare, znane z Kazimierza nad Wisłą objawy. Kompletnie zaschło mi w gardle. Nie mogłem wydobyć z siebie słowa. A Bogumił Kobiela uśmiechał się zachęcająco, bez wątpienia całkowicie dla mnie i do mnie. Siedzieliśmy tak we trójkę przez chwilę. Potem, a jakże, mój Idol zmierzwił mi włosy, mówiąc: - No, już się tak na mnie nie gniewaj! - i zaczęli z tatą wspominać przez chwilę stare czasy, kiedy spotykali się na letnich, studenckich obozach szkół aktorskich. Później pani inspicjentka ogłosiła koniec przerwy.

Na pożegnanie Bogumił Kobiela ponownie podał mi rękę i powiedział:

- Fajnie się z tobą gadało. Następnym razem, jak ci obiecuję, że będę tamtędy wracał, to będę tamtędy wracał.

Przelknąłem ślinę i skinąłem głową, że to się rozumie samo przez się. Rzeczywiście fajnie się z nim gadało.

Ale to nie był koniec przygody. Czekala nas druga część programu kabaretu Wagabunda. Po raz pierwszy widziałem go na scenie na żywo i z tak bliska. Mój Idol był genialny! Nigdy potem tak się w życiu nie śmiałem. A ponieważ siedziałem w pierwszym rzędzie, chyba zauważył, jak ryczę ze śmiechu, bo mrugnął do mnie! Albo mi się tylko tak zdawało? Tak czy owak, dawno nie byłem tak szczęśliwy.

Kiedy pięć lat później, także w czasie wakacji, nadeszła wiadomość, że Bogumił Kobiela zginął na skutek samochodowego wypadku, długo nie mogłem się z tym pogodzić.

Jedyne, co mogłem dla Niego zrobić, to po latach, już jako producent filmowy, ufundować mu w Łodzi na chodniku ulicy Piotrkowskiej pamiątkową, mosiężną gwiazdę z Jego nazwiskiem.

Na pamiątkę naszego spotkania z jemiolą w Kazimierzu nad Wisłą 35 lat wcześniej...



## 5.

### Jak ważna jest znajomość języków

Tata przykłada ucho do drzwi.

- Chyba jest telewizor - mówi. - Spróbujemy?

Stoimy na klatce jakiegoś domu w centrum Warny. Jest 30 lipca 1966 roku, od tygodnia jestem na pierwszych zagranicznych wakacjach w kraju, gdzie zawsze świeci słońce, morze jest ciepłe, a arbuzy, brzoskwinie i winogrona dosłownie leżą na ulicach.

Bułgarski jest podobny do polskiego, ale inny. Bardziej podobny do rosyjskiego. Ze szkolnej czytanki wiem, że jak Bułgar kiwa głową, to znaczy „nie”, a jak kręci na boki, to „tak”. To ważne, choć i tak mylimy się, zamawiając na kolację jakieś danie, a kelner kręci głową i mówi, że „nima”. Dopiero nasz orbisowski przewodnik, miejscowy Bułgar, wytłumaczył nam, że to, co słyszymy, że „nima”, to „ima”, czyli po bułgarsku „jest”.

Zawsze podejrzewałem, że języki obce to klucz do innych światów, ale dopiero na tych wakacjach przekonałem się, że naprawdę tak jest. Nasz bułgarski przewodnik ma talent do języków. Po polsku mówi prawie bez akcentu. Ale gdy na wycieczce do Nesebaru nagle zatrzymuje autokar i mówi do nas: „A teraz państwo mnie przeproszą, a ja pójde zrobić siku”, wtedy rozumiem, że ważniejsza od akcentu jest składnia, choć jeszcze nie wiem, że to się tak nazywa.



Na razie stoimy na schodach domu w starej części Warny i nadśluchujemy. Za kilka minut zacznie się finał mistrzostw świata w piłce nożnej. Mecz o złoto na stadionie Wembley w Londynie. Bułgaria brała udział w tych mistrzostwach i mimo że odpadła wcześniej, ma bezpośrednią transmisję. W Polsce trzeba będzie poczekać na to jeszcze osiem lat. Finał następných mistrzostw z 1970 roku Brazylia - Włochy obejrzą dzięki taty znajomościom z redaktorem Ryszardem Dyją w gmachu telewizji na Powstańców Warszawy.

Ale jest ciągle 30 lipca 1966 roku i jesteśmy w bratniej Bułgarii. Orbis zakwaterował nas w hotelu Erta w Złotych Piaskach, ale ponad cztery dekady temu w pokojach hotelowych jeszcze nie było telewizorów. Stąd ta wyprawa 20 kilometrów autobusem do Warny. Tata dobrze dedukuje, że wszyscy posiadacze telewizorów w Bułgarii będą oglądać finał.

Pukamy. Otwiera ciemnowłosa kobieta. Tata po niemiecku - a jakże! - tłumaczy, o co chodzi. Że jesteśmy turystami z Polski, że chcielibyśmy zobaczyć finał. Kobieta uśmiecha się, nie wiemy, czy zrozumiała, ale szerokim gestem zaprasza do środka. Zadziało.

Moje podejrzenie, że języki obce stanowią ważny warunek kontaktów, nabiera rumieńców. Zresztą wcześniej już tu, w Bułgarii, na plaży zagadałem po niemiecku - tata mi powiedział jak - do małego niemieckiego chłopca: „Wihajdsu?”, a potem: „Wifiljarehasdu?”, a on mi odpowiedział: „Peter”, a potem: „Fynf”. Wiedziałem więc już, jakie to ważne i że Peter ma pięć lat. Czułem się, jakbym rozgryzł szyfr dzielący nas, młodych Europejczyków, na plaży nad Morzem Czarnym - a do tego dołączyła starsza siostra Petera, dziewięć lat, ładna, która myśląc, że znam ich język, zaczęła zasypywać mnie niemieckimi rzeczownikami, czasownikami i zaimkami. Znosiłem to dzielnie, przesypując piasek z ręki do ręki i śmiejąc się gardłowo, po niemiecku: „Ho, ho, ho!”. Zrozumiałem, że będę musiał się zabrać do nauki niemieckiego. Choć wtedy jeszcze nie wiedziałem, że to nigdy nie nastąpi.

Dziś znam kilkaset niemieckich słów, reszty się domyślam i to wszystko. Nie miałem imperatywu, aby uczyć się niemieckiego.

Ale wówczas dzięki mowie Goethego przestępujemy próg gościnnej bułgarskiej chaty, w której salonie siedziało już około 20 osób. Krewnych i znajomych gospodarzy. Albo w tym budynku nie było więcej telewizorów, albo ten był największy, albo po prostu gospodarze cieszyli się wyjątkową sympatią w sąsiedztwie i wszyscy zeszli się tu, żeby gromadnie

oglądać najważniejsze wydarzenie roku. Byli tam siwi, brodaci starszaki, baby w chustach, kobiety i mężczyźni w sile wieku, z silnym zarostem, a także maleńkie dzieci. Nie jestem też do końca pewien co do obecności zwierząt domowych. Wydawało mi się, że widzę kozę. Wszyscy byli przyjaźnie nastawieni do turystów z dalekiego kraju z Północy.

Z pełnym zrozumieniem zrobiono nam miejsce na dywanie przed tapczanem, podano śliwkowy placek, kompot z brzoskwiń i się zaczęło! Mecz o złoto. Anglia kontra NRF, czyli Niemcy.

Kiedy kilka dni wcześniej Niemcy pokonali Związek Radziecki, a usłyszeliśmy to z jakiegoś tranzystorowego radia w Złoty Piaskach, my z tatą pospuszczaliśmy głowy, jakby szykowała się powtórka II wojny światowej. Cały wolny i demokratyczny świat skierował oczy na Anglię, która jak 26 lat wcześniej, w bitwie o Anglię, samotnie musiała powstrzymać hitlerowską nawałę. Ale gdy po kilkunastu minutach Helmut Haller strzelił pierwszą bramkę dla Niemiec, śliwkowy placek stanął nam w gardle. Nie tylko z powodu straty gola byliśmy zdruzgotani. Nie wierzyliśmy własnym uszom! Zebrani wokół nas bułgarscy kibice, słowiańscy bracia i towarzysze z krajów demokracji ludowej, z którymi od 20 przeszło lat skutecznie budowaliśmy socjalizm, cieszyli się, że Niemiec zdobył bramkę! Bili brawo z radości! Nasi bułgarscy przyjaciele trzymali stronę NRF!

To mi się nie mieściło w głowie. Dotąd myślałem, że cały świat solidarnie jest przeciwko Niemcom. Spojrzeliśmy po sobie z tatą przerażeni. Poczuliśmy się jak dwóch agentów J-23 i J-24 głęboko za liniami wroga. Na szczęście gospodarze nie zauważyli naszego przygnębienia. Odtąd musieliśmy mieć się na baczności. Udana akcja Anglików kwitowaliśmy pomrukami, udając, że tak bardzo nam smakuje śliwkowy placek. Ale gdy kilka minut potem Geoff Hurst wyrównał na 1:1, poderwali się na nogi, sekundę później sięgając po szklanki i pantomimicznie dając znać, że napilibyśmy się jeszcze kompotu z brzoskwiń. W przerwie tata opowiedział, kim jesteśmy, a lody pękły zupełnie, gdy jeden z krewnych gospodarzy rozpoznał w nim aktora z filmu *Wyspa złoczyńców*, krzyząc: „Mister Automobil! Mister Automobil!”. Tata rzeczywiście grał Pana Samochodzika w filmie Stanisława Jędryki, który najwidoczniej dzięki braterskiej wymianie filmów miał premierę także w Bułgarii. Mister Automobil spytał po niemiecku swojego fana, dlaczego kibicują Niemcom. „A dlaczego nie?” - padła odpowiedź. Zanim tata znalazł właściwy niemiecki przymiotnik, zaczęła się druga połowa i rozmowy się skończyły. Kiedy Martin Peters strzelił

drugiego gola dla Anglii kilkanaście minut przed końcem meczu, w ramach maskowania radości poprosiliśmy o dokładkę. Pani domu dołożyła nam placka, szeroko się do nas uśmiechając. Inni bułgarscy przyjaciele też się do nas uśmiechali i poklepywali po plecach. Polubiłem ich za to, że mimo iż kibicowali Niemcom, zbytnio nie przeżywali tego, że Anglicy wygrywają.

Była minuta do końca i już nic nie mogło odebrać drużynie Alfa Ramseya zwycięstwa. Wstaliśmy, podziękowaliśmy po polsku, ja i po niemiecku, pożegnaliśmy się i ruszyliśmy do wyjścia. Kiedy trzymaliśmy rękę na klamce, w pokoju z telewizorem wybuchł entuzjazm. To Wolfgang Weber w ostatniej minucie wyrównał na 2:2. - *Das ist Fussball!* - pokiwał głową nasz zadowolony gospodarz. 30 minut dogrywki. Poproszono nas z powrotem, a na stole pojawiła się śliwowica. Jako małolat dostałem marynowaną w occie gruszkę. Zrozumieliśmy, że wszystko zaczyna się od nowa.

Druga bramka Hursta na 3:2 dla Anglii w dziesiątej minucie dogrywki przeszła już do historii. Ale ją przypomnę. Po pięknym uderzeniu Anglika piłka odbija się od poprzeczki i spada pionowo... no właśnie? Po której stronie linii bramkowej? Spada pionowo, odbija się od ziemi i wychodzi w pole. Sędzia - dziś wiem, że był nim Szwajcar Gottfried Dienst - nie widzi dokładnie całej akcji, podbiega do radzieckiego sędziego liniowego Tofika Bachramowa.

Tofik twierdzi, że gol padł, Dienst gwizdże i pokazuje w stronę środka boiska. Niemcy oczywiście protestują, ale bramka zostaje uznana. Po latach mieszkańcy Baku w Azerbejdżanie, miasta, z którego Tofik Bachramow pochodzi, za tę decyzję wybudują mu pomnik obok bakijskiego stadionu. Ale na razie w setnej minucie meczu na Wembley Anglia prowadzi 3:2 i Niemcy nie mają siły, aby zmienić wynik. Geoff Hurst dobija ich w końcu *hat trickiem* na 4:2 w ostatniej minucie dogrywki. Puchar Rimeta jedzie do Anglii, a my do Złotych Piasków. Szczęśliwi jak jasny gwint!

Już wiem, jak ważne są języki obce. Po wakacjach będę je - czyli angielski (bo obowiązkowy od piątej klasy podstawówki rosyjski nie budził mojego entuzjazmu) - szlifował. Bądź co bądź, uczę się go już cztery lata!

Mniej więcej rok później nadszedł upragniony moment: zmierzenie się z prawdziwym

*English speaker.* Był wrzesień 1967 roku i z jakiegoś powodu do Polski postanowił przyjechać prezydent Francji Charles de Gaulle. Ponieważ mieszkałem na Ochocie w pobliżu alei Żwirki i Wigury, miałem szczęście, bo jedyna trasa dojazdowa z lotniska Okęcie do miasta wiodła właśnie tą aleją. Po szkole zjawiłem się na rogu ulicy Pruszkowskiej, przy której mieszkałem, i właśnie Żwirki i Wigury. Ludzi mnóstwo! Trawniki pośrodku alei pełne warszawiaków, ale nie tylko. Byli też cudzoziemcy. Każdy chciał zobaczyć legendarnego przywódcę wolnych Francuzów.

Akurat tego dnia w spożywczym na Pruszkowskiej rzucili banany i mama dała mi jednego na podwieczorek. Z bananem wyruszyłem na spotkanie z de Gaulle'em. Postanowiłem, że obiorę go w ostatniej chwili, kiedy limuzyna pana prezydenta znajdzie się w zasięgu wzroku. Na razie próbowałem znaleźć sobie w miarę najlepsze miejsce. Jezdnia w stronę Okęcia była zamknięta, więc tłum zaległ na niej i na trawniku na środku alei. Czekając na de Gaulle'a, rozglądałem się za kolegami z klasy, ale ich chyba wielka polityka nie interesowała, bo żadnego z nich nie widziałem. Sam jednak zostałem dostrzeżony. Ze zdumieniem spoglądałem na sunący w moją stronę czarny, amerykański samochód. Jako jedyny z chłopaków z klasy nie interesowałem się samochodami - zostało mi to do dzisiaj - więc nawet nie wiedziałem, jaka to była marka. Pewnie Buick albo Chrysler. Samochód na dyplomatycznej rejestracji - na tym się znałem - zatrzymał się i wyszła zeń para z trójką dzieci. Wyglądali jak Amerykanie, bo to byli Amerykanie z ambasady. Pani w dużym różowym - to pamiętam - kapeluszu nie spuszczała ze mnie wzroku. Nie wiedząc, co zrobić, zacząłem rozpiecztowywać banana. Amerykanka uśmiechnęła się na ten widok. Nie czekając na de Gaulle'a, rozpocząłem konsumpcję. Amerykanka w kapeluszu była o trzy kroki ode mnie, uśmiechnęła się szeroko po amerykańsku. „Zaraz się odezwie” - pomyślałem w panice, ale podświadomie ucieszyłem się, że będę mógł zweryfikować mój z mozołem wykuwany angielski. I rzeczywiście, Amerykanka odezwała się po amerykańsku:

- *Hello! You're eating a banana so you must speak English* - zwróciła się prosto do mnie!

Przełknąłem duży kęs, co zabrzmiało jak *I do*. A na to ona:

- *So tell me, my friend, when is he coming?*

Co za ulga! Zrozumiałem wszystko! Co do słowa! Najpierw powiedziała: „Cześć! Jesz banana, więc musisz mówić po angielsku”, a ja to wszystko co do ostatniego wyrazu zrozumiałem! A potem powiedziała: „No więc powiedz mi, przyjacielu, kiedy on przyjedzie?”. I to też zrozumiałem! Chciało mi się skakać z radości. Wszystkie te lata udręki, wkuwania angielskich słówek, chodzenia w deszcz na zajęcia pozaszkolne z angielskiego nie poszły na marne! Mogę jak równy z równym - mimo że dzielą nas oceany, mile i galony, a także ustroje społeczne - mogę odpowiedzieć Amerykance w jej własnym języku!

I nie przerywając jedzenia banana, siląc się na maksimum nonszalancji, na jaką było mnie stać, odpowiedziałem swobodnie i pewnie:

*- I don't know!*



6.

### Na czeskiej wyspie

Mój tata miał przyjaciela z roku w szkole aktorskiej, który nazywał się Roman Mecnarowski. Roman miał być moim ojcem chrzestnym, ale nie został, bo wyemigrował z Polski zaraz po odebraniu aktorskiego dyplomu. Tata bardzo to przeżył, ja zresztą też, tylko trochę później. No i do dziś nie mam prawdziwego ojca chrzestnego. Oczywiście ktoś do chrztu musiał mnie trzymać, więc znaleziono zastępczego ojca chrzestnego, innego kolegę aktora z roku - Mariana Skorupę. Ale, jak wiadomo, Marian to nie Roman, i ja podświadomie, bo Romana znałem tylko z opowieści rodziców, bardzo za nim tęskniłem. Wiedziałem, że wiele dla mojego ojca znaczył. Wprawdzie nie wyemigrował daleko, ale na zawsze.

Ziemią obiecaną Romana Mecnarowskiego stała się Czechosłowacja. Roman po prostu był Czechem. Jego rodzice po zajęciu Czechosłowacji przez Hitlera uciekli w 1938 roku do Polski, gdzie Roman spolonizował się na tyle, że po wojnie bez trudu zdał na aktorstwo. W 1954 roku jego rodzice nagle zapragnęli wrócić do ojczyzny i Roman nie miał wyjścia. Wrócił z nimi. Ponieważ był dwujęzyczny - został czeskim aktorem w małym miasteczku Opawa, niedaleko Ostrawy.

Dwaj przyjaciele cały czas utrzymywali ze sobą kontakt, aż wreszcie postanowili spędzić wspólne wakacje na wyspie na jednej z morawskich rzek. Pomysł wakacji na wyspie brzmiał wówczas dla mnie jak z powieści Juliusza Verne'a czy Louisa Stevensona i bardzo przemawiał do wyobraźni. Wyspa nie była duża i można było tam dotrzeć na pontonach z całym dobytkiem i namiotami. Zamieszkać na wyspie w namiocie - to było marzenie każdego

Indianina, za jakiego się wtedy uważałem. Rodzice zapakowali po dach niezbędnymi trapersko - obozowymi sprzętami naszego moskwicza 407 i z hasłem „Ahoj, przygodo!” ruszyliśmy przez Czeski Cieszyn do Opawy.

Jak każdy 12-letni mężczyzna nie uznawałem wleczenia się szosą za innymi pojazdami. Wprawdzie wiedziałem, że nie da się wyprzedzić każdego, ale uważałem, że przynajmniej trzeba próbować. Starłem się zarazić swoimi przekonaniem tatę za kierownicą. Ojciec, który już wtedy, czyli w lipcu 1967, był kierowcą z 20-letnim stażem, nie dawał się sprowokować byle czym, ale jadąca przed nami od dłuższego czasu czeska ciężarówka powoli zaczęła wyprowadzać go z równowagi. Jechaliśmy wąskimi, górskimi drogami i wyprzedzanie nie wchodziło w grę. Po 40 kilometrach beznadziejnej, żółwiej mordegi ciężarówka zaczęła wreszcie zwalniać, aż stanęła. Tata wdepnął na gaz i wreszcie, w mgnieniu oka, wyprzedziliśmy ją. Zdziwiło mnie tylko, że ciężarówka wydaje z siebie przeciągły gwizd jak lokomotywy w westernach.

Z tylnego siedzenia spojrzałem w prawo i to, co zobaczyłem, spowodowało uśmiech radości. W życiu też może być jak w kinie! Prosto na mnie pędziła lokomotywa jak w filmie *General* z Busterem Keatonem. Pędziła wprost na mnie, ale oczywiście nasz moskwicz sprytnie uciekł sprzed jej nosa w ostatniej chwili, a za jego tylną szybą zaczęły przemykać z wielką prędkością wagony długiego pociągu. Nie zrobiło to na mnie specjalnego wrażenia, bo widziałem już takie rzeczy na filmach z Haroldem Lloydem czy Flipem i Flapem, a teraz tylko zrozumiałem, że te gagi musiały być wzięte z życia. Reżyser tych filmów przeżył coś takiego jak ja przed chwilą i wykorzystał to później w swojej twórczości.

Z uśmiechem odwróciłem się do rodziców, żeby się z nimi podzielić najświeższymi refleksjami, i ze zdumieniem zobaczyłem, że oboje są bladzi jak opłatek. Tata zjechał na pobocze, przepuścił cały sznur samochodów, który - o zgrozo! - bezkarnie nas wyprzedzał, i poczekał, aż mu się przestaną trząść ręce. Milczeliśmy przez chwilę. Zgłodniałem. A potem tata powiedział: „Wszystko mogło się dzisiaj skończyć”. Zrozumiałem, że miał na myśli nie tylko wakacje.

Tata odzyskał spokój i po kilkunastu minutach, nie oglądając się nawet na niestrzeżony i źle oznakowany przejazd kolejowy za nami, ruszyliśmy w dalszą drogę. Tym razem jechaliśmy bardzo spokojniutko, bo przecież nigdzie nam się nie śpieszyło. Roman i



jego żona Vlasta przywitali nas w Opawie z radością, nie wiedząc nawet, że witają nowo narodzonych.

A wyspa na Morawach okazała się genialna! Przyszło mi na myśl, że Czesi, którzy nie mają morza, są stęsknieni za wodą pod każdą postacią i z tego powodu mają te szalone, wodniackie pomysły. A może je mają z powodu wszechobecności piwa? Robinsonów na wyspie było kilkunastu, bo Roman i Vlasta zaprosili przyjaciół. Byłem najmłodszy, ale się nie nudziłem. Nauczyłem się grać z czeskimi Robinsonami w kości i z wypiekami na twarzy czytałem nowość wydawniczą *Dziela Navarony* Alistaira MacLeana. Nowość napisana została w 1957, ale na polski przetłumaczono ją dopiero 10 lat później.

Mój niedoszły ojciec chrzestny okazał się wspaniałym facetem, który po polsku mówił jak po czesku i sypał anegdotami w obu tych językach. Najgenialniejsza była ta o socjalizmie. Na zjeździe czeskiej partii komunistycznej pierwszy sekretarz przemawia: „Towarzysze! Nasz kraj, który od 1945 roku pewnie kroczy po drodze socjalizmu, za 10 lat wejdzie na nową drogę do komunizmu!”, a potem zwraca się do jednego z towarzyszy z KC: „Prawda, towarzyszu Prohazka?”. A towarzysz Prohazka odpowiada: „Ja się nie boję, ja mam raka!”. Albo na innym zebraniu partyjnym przewodniczący zwraca się do leżącego twarzą na blacie prezydialnego stołu towarzysza. „Ne spijte, soudruhu Mahlicek”. Na co towarzysz Mahlicek: „Ja ne spim, ja žigam!”. Śmiechom nie było końca.

Inna anegdota wzięta wprost z doświadczeń filmowych Romana Mecnarowskiego zaowocowała 22 lata później w jedynej komediowej scenie mojego filmu *V.I.P.*, gdzie Marek Kondrat jako książe Pepi kongenialnie odtworzył przeżycia Romana na planie filmowym.

Wtedy na wyspie w lecie '67 doszło do mnie, że czeskie poczucie humoru przewyższa nasze o kilka długości. Mój czeski ojciec chrzestny zasugerował mi też zestaw lektur czeskich autorów od Haška, Čapka, Vančury, po najmłodszych Parala, Škvoreckiego i niejakiego Kundery. Zapisalem skrzątnie te nazwiska i buszowałem później w polskich księgarniach w poszukiwaniu ich książek. Trochę mi to zajęło czasu, bo o ile z klasykami nie miałem problemu, to *Šmieszne miłości* i *Žart* Kundery wydano dopiero pod koniec lat 60., a *Tchórze* Josefa Škvoreckiego, książkę z 1958, przetłumaczono w 1970. Kiedy w 1984 byłem w USA, w Minneapolis na autorskim spotkaniu ze Škvoreckim, który od wielu lat mieszkał już wtedy na emigracji w Kanadzie, powiedziałem mu, że jego *Tchórze* są ciągle do kupienia w

warszawskich księgarniach. Uśmiechnął się wtedy i odpowiedział: - *Poland is a strange country.*

To był bardzo dobry czas dla czeskiej literatury i kina. Potwierdzały to Oscary dla filmów *Sklep przy głównej ulicy* w 1966 i *Pociągi pod specjalnym nadzorem* w 1968 roku. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem o tej nagrodzie i było mi smutno, że żaden polski film jej nie dostał. Zrozumiałem, że czescy filmowcy wiedzą coś więcej niż nasi. „Może to dzięki wszechobecności dobrego piwa?” - pomyślałem znowu. To „coś więcej” miało zaowocować w kolejnym roku Praską Wiosną, a potem „bratnią pomocą czołgów Układu Warszawskiego dla Czechosłowacji”. Ale to było na wakacjach rok później. Na razie życie nasze na wyspie na rzece Morawie nie miało sobie równych. Namioty, ogniska, pieczenie kielbasek, piwo, brydż. Po zaopatrzenie mężczyźni wyruszyli na stały ląd, a potem samochodami do pobliskiego spożywczaka we wsi.

Przy którejś wyprawie tacie wypadły kluczyki samochodowe z kieszonki koszuli na piersi. Do rzeki. Jak kamień w wodę. Pomimo nurkowania całej męskiej osady wyspy nie udało się ich wydobyć. Miałem już wizję czeskiej pomocy drogowej holującej nas za grube miliony z Moraw do Warszawy. Albo wyprawę pociągiem po kluczyki do domu na Ochocie. Na szczęście okazało się, że tata miał zapasowe kluczyki do moskwicza. Nie przy sobie wprawdzie: kluczyki leżały bezpiecznie w schowku w środku moskwicza. A bez kluczyków moskwicz był nie do otwarcia. Jak Fort Knox. Można było oczywiście rozbić szybę. I do tego mentalnie zaczęliśmy się przygotowywać... Tata znalazł kamień i podszedł do małego trójkątnego okienka przy bocznej szybie od strony kierowcy. Wziął zamach i... zauważył, że szyba nie jest zamknięta do końca. Nastąpiły długie minuty manewrowania paskiem aparatu fotograficznego, przepychania go przez szczelinę, a potem próba zahaczenia o klamkę. Po półgodzinie moskwicz stał otworem, a tata triumfalnie potrząsał zapasowymi kluczami.

Już myśleliśmy, że mamy *happy end* i wtedy właśnie spadł deszcz. Padał i padał. Przez 30 dni i 30 nocy. Nie czekaliśmy. Po trzecim dniu ulewy zwiniliśmy namioty i przeprawiliśmy się na pontonach na stały ląd. Przeprawa w strugach deszczu przypominała mi forsowanie Odry z filmu Jerzego Passendorfera. Kilka dni przemieszkaliśmy u Romanów w Opawie, ale trzeba było coś zrobić z dalszym ciągiem wakacji. Pożegnaliśmy bratnie Czechy, obiecując sobie i Romanowi spotkanie na tej samej wyspie w przyszłym roku.

Skrzętnie unikając nieoznakowanych i niestrzeżonych przejazdów kolejowych, przekroczyliśmy polską granicę, wylądowaliśmy w Rabce, na prywatnych kwaterach w blokach. Też było pięknie. Ale inaczej.

Roman w następnym roku, z powodu popierania obalonego przez Sowietów czeskiego prezydenta Dubczeka, wyleci z pracy z teatru i będzie miał zakaz grania w czeskiej telewizji i filmie. Wpiszą mu w papierach adnotację, że jest „prawicowym oportunistą”. Kiedy nam o tym opowie cztery lata później, będzie żartować, że wpisali mu „oportunistą”, bo im się to kojarzyło z oporem. W 1971 roku przyjadą z Vlastą do Warszawy po drodze nad polskie morze, Roman o wypadkach w Czechosłowacji w 1968 roku będzie opowiadał z właściwym sobie poczuciem dystansu i humoru.

Pamiętam tamto upalne lato 1968 roku w Unieściu koło Mielna. Gdzie razem z rodzicami i psem spędzaliśmy sierpień w towarzystwie studentów wydziału reżyserii warszawskiej szkoły teatralnej. Stało się tak dlatego, że moi rodzice w wieku lat 40 zdali na te reżyserskie studia i po prostu chcieli spędzić wakacje z kolegami z roku. Byli wśród nich przyszli reżyserzy teatralni - Andrzej Przybylski, Magda Bączewska czy Ewa Bułhak. Ja znów byłem najmłodszy, ale za to najlepiej grałem w brydża, więc mnie akceptowano.

Chodziliśmy razem do istniejącego do dziś kina Hawana. Dzięki temu, że byłem wśród nich, udało mi się przemykać na filmy od lat 16. *Czyngis - chan* z Omarem Sharifem, *Major Dundee* z Charltonem Hestonem, *Angelika i król* z Robertem Hosseinem. Pamiętam te filmy, jakby to było wczoraj.

Wieczorami studenci reżyserii teatralnej wspominali wydarzenia z Marca '68, które były ich udziałem pół roku wcześniej. Jak w czasie marcowego wiecu, infiltrowanego oczywiście przez esbecję i milicjantów po cywilnemu, ktoś rzucił hasło: „Studenci kucnąć!”. Wszyscy prawdziwi studenci kucnęli, a oczywiście ci z SB i MO zorientowali się za późno i byli jedynymi, którzy stali wyprostowani na placu. To wszystko działo się w pamiętnym sierpniu 1968 roku, a ja od roku pałałem namiętną sympatią do naszych południowych sąsiadów. Niespodziewana wojna z Czechosłowacją wydawała mi się przez to tym boleśniejsza, że absurdalna. Wojnę z NRD jeszcze bym zrozumiał, ale wojna ze słowiańskimi braćmi, w dodatku o lepszym poczuciu humoru?

Dzięki Romanowi Mecnarowskiemu pozostałem na zawsze wielbicielem naszych południowych sąsiadów i ich kultury. Wojska Układu Warszawskiego nie mogły nic z tym zrobić. Późniejsza moja współpraca z Pavlem Hajnym przy *Seksmisji*, z czeskimi specjalistami od trików i efektów specjalnych z Barrandova przy *Kingsajzie*, przyjaźń z Janem i Zdenkiem Sverakami. To wszystko zaczęło się wtedy, w czasie wakacji na czeskiej wyspie, na Morawach. A przecież gdyby tata wtedy na przejeździe kolejowym z mniejszym impetem nacisnął pedał gazu, wszystko skończyłoby się w jakiejś nieznanej z nazwy wiosce pod Opawą, na początku lipca 1967 roku.

7.

### Dekabryści z drużyny hokejowej

Kim są te chwasty?” - ciągle nie rozumiała pani profesor Draszka.

Skinąłem poważnie głową i zatroskany powtórzyłem swoje pytanie.

- Tak, pani profesor. Skoro już tak dogłębnie analizujemy twórczość tego wielkiego poety, to chciałbym wiedzieć, bo nigdzie nie mogłem się doszukać, co Jan Kochanowski miał na myśli?

Nasza polonistka zaczęła mi się przyglądać spod przymrużonych powiek. Jeszcze do końca nie wiedziała, czego się może spodziewać. Nie podejrzewała przede wszystkim, że ma właśnie do czynienia z operacją *NUPUM*. Edmund Niziurski dokładnie opisał wszystkie psychologiczne zachowania uczniów w swojej książce *Sposób na Alcybiadesa*, ale pedagodzy licealni najwyraźniej nie zadali sobie trudu, by ją przeczytać. Na to przynajmniej liczyłem. *NUPUM* znaczyło: *Nie Uczyć się, a Pozornie U Mieć*. Stosowałem tę metodę długo przedtem, zanim mój ulubiony autor ją opisał i w 99 procentach odnosiła ona skutek. Może to zabrzmiało dziwnie, ale w liceum w ogóle się nie uczyłem. Kompletnie. Nie byłem zainteresowany tym, co Liceum Ogólnokształcące imienia Juliusza Słowackiego przy ulicy Wawelskiej w Warszawie miało mi do zaoferowania. Z prostego powodu. Wiedziałem, że po maturze będę zdawał do łódzkiej szkoły filmowej. Było oczywiste, że na trywialne lekcje licealne szkoda czasu.



Niestety, nauczyciele byli innego zdania. Każdy z nich bezwzględnie odpytywał, tak jakby to właśnie jego przedmiot był najważniejszy. Tego dnia mieliśmy zadane

wypracowanie na temat trenów Jana Kochanowskiego. Oczywiście, nie odrobiłem lekcji. Poprzedniego dnia miałem zbyt dużo ważniejszych zajęć typu kino i czytanie dramatów Mrożka czy Eugene'a O'Neill'a. Gdyby lekcja polskiego wypadła po historii czy biologii, miałbym czas napisać wypracowanie na tych lekcjach. Ale polski akurat był po wuefie, a z tego przedmiotu nie chciałem rezygnować, bo to były jedyne zajęcia, oprócz języka francuskiego, w których dostrzegałem jakiś sens. Nie mając pracy domowej, jedyną obroną przed ujawnieniem się, był psychologiczny atak w postaci ucieczki do przodu.

W momencie gdy nasza polonistka zaczęła sunąć wzrokiem po nazwiskach w dzienniku, kombinując, kogo by tu dzisiaj wezwać do odpowiedzi, miałem gotowy plan. A gdy zaczęła niebezpiecznie zerkać w stronę ostatniej ławki, która była moim okopem, podniosłem rękę. Zdziwiona, ale ciągle niczego niepodejrzewająca, pani profesor Draszka spytała:

- Ty??? Chciałbyś odczytać swoje wypracowanie? Naprawdę? Proszę bardzo!

- Chętnie to zrobię, pani profesor, ale przedtem chciałbym zadać jedno pytanie, na które odpowiedzi nigdzie nie mogłem znaleźć.

- Tak?

- W *Trenie V* Jan Kochanowski porównuje Urszulkę do oliwnego krzaczka. Proszę posłuchać...

I z podręcznika do literatury polskiej odczytałem fragment:

*Jako oliwka mała pod wysokim sadem,*

*idzie z ziemi ku górze macierzyńskim śladem,*

*jeszcze ani gałązek, ani listków rodząc,*

*sama tylko dopiero szczupłym prątkiem wschodząc...*

- Dotąd wszystko jest jasne, pani profesor, ale teraz proszę uważać:

*Tę, jeśli ostre ciernie lub rodne pokrzywy*

*Uprzątając, sadownik podciął ukwapliwy...*

- I tu właśnie jest pies pogrzebany... Tu rodzi się problem...

- Jaki problem? - zmarszczyła brwi pani Draszka - Nie rozumiesz czegoś?

- Nie rozumiem, co autor miał na myśli... - rozłożyłem bezradnie ręce.

Zafrasowana polonistka zerknęła do tekstu, jakby widziała go po raz pierwszy. Potem jeszcze raz badawczo spojrzała na mnie, ale ponieważ wyglądałem jak żywy przykład spragnionego nauki ucznia, zaczęła tłumaczyć jak komu dobremu.

- No, porównał swoją zmarłą Urszulkę do krzaczka oliwnego, to zrozumiałe, prawda? A śmierć do nadmiernie gorliwego ogrodnika - to też zrozumiałe?

- To jest absolutnie jasne, pani profesor... - odpowiedziałem skwapliwie.

- Więc co jest niejasne?! - teraz pani Draszka była na tyle zdezorientowana, że zaczęła zdanie od „więc”. Czuję też, że zaczynała się powoli irytować. Oczekałem chwilę i powiedziałem cicho:

- Ostre ciernie lub rodne pokrzywy, pani profesor...

Chyba powiedziałem za cicho, bo pani profesor kazała mi powtórzyć.

- Nie słyszę! Co?! Głośniej!

- Ostre ciernie lub rodne pokrzywy!

- Dobrze, już! Nie jesteśmy głusi. A co w tym trudnego? Zbyt skwapliwy ogrodnik, wycinając chwasty, wyciął niechący młody krzaczek oliwny. Autor miał na myśli, że śmierć zabrała Urszulkę Kochanowską trochę jakby niechący. Trochę jak wypadek przy wycinaniu chwastów...

- To oczywiście rozumiem, pani profesor.

- To czego nie rozumiesz? - pani Draszka zamknęła dziennik i zdjęła okulary. Wiedziałem, że nie jest przygotowana na to, co miało nastąpić. Zrobiłem pauzę, dla większego efektu.

- Nie rozumiem... kim są te chwasty?

- Kim są te chwasty? - pani profesor Draszka nie czuła jeszcze podstępu.

- Kto to są te ciernie i pokrzywy, jak napisał autor - zasmucony pokiwałem głową.

- Chwasty to chwasty! - odpowiedziała polonistka lekko zmieszana. - Tu akurat nie ma żadnej metafory.

- Nie ma? - udałem najszczerze zdziwienie, na jakie było mnie stać. - We wszystkich trenach Kochanowskiego wszędzie są metafory, tylko tutaj ich nie ma?! Urszulka to oliwka, ogrodnik to śmierć, ale tylko chwasty to niby tylko chwasty?

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała polonistka.

- Co ja chcę przez to powiedzieć? To raczej co Kochanowski chciał przez to powiedzieć. Urszulka, jego córka, była dobrze urodzoną szlachcianką, tak?

Pani Draszka skinęła głową bez słowa.

- To jeśli dobrze urodzona szlachcianka symbolizuje krzaczek szlachetnej rośliny



oliwnej, to czy czasem te ciernie i pokrzywy... - zawiesiłem głos dla większego efektu, starając się brzmieć naturalnie, ale pani profesor Draszka przyglądała mi się już bardzo podejrzliwie.

-...to czy te pospolite chwasty... Te ciernie i pokrzywy nie są przypadkiem... dziećmi pospółstwa? A mówiąc wprost: czy nie są to czasem dzieci pochodzące z czworaków znajdujących się w pobliżu dworku Kochanowskich? Z chłopstwa po prostu?

- Z chłopstwa? - powtórzyła jak echo pani profesor.

- Z chłopskiej biedoty? Pospolitej wiejskiej hołoty?! - szedłem na całość.

W klasie zapanowała cisza. Moi kumple, jak jeden mąż, patrzyli w białe blaty swoich ławek, żeby przypadkowo nie spojrzeć na siebie i nie wybuchnąć śmiechem. Ale reszta klasy - dziewczyny i kujony - była rzeczywiście zdezorientowana. Działo się to późną jesienią 1969 roku i naszej pani polonistce nie mieściło się w głowie, że chudy 15-latek mógłby analizować poezję Kochanowskiego z takim neofickim, komunistycznym zapalem.

Wreszcie przemówiła.

- Co ty wygadujesz? Jak w ogóle można było tak pomyśleć?! Wiesz co?! Dziękuję! Siadaj!

Blefowałem do końca, choć czułem, że już kuszę los.

- W XVI wieku nie istniało jeszcze pojęcie walki klasowej, więc mistrz z Czarnolasu nie zdawał sobie sprawy, że obraża chłopstwo - tę klasę społeczną, która dopiero w XX wieku udowodni, że jest solą narodu. W wypracowaniu, które zaraz przeczytam, dowiodę tego poza wszelką wątpliwość.

Grałem *va banque*, mając przed sobą pusty zeszyt. Pani Draszka nerwowo założyła okulary na nos.

- Powiedziałam: Dziękuję! Dosyć! Siadaj!

Przez krótką chwilę wahała się, co ze mną począć, po czym wybrała najbardziej banalną opcję.

- Malinowski! - zerknęła do dziennika. - Czytaj swoją pracę domową!

Michał Malinowski, który był na liście zaraz po mnie, wstał i zrezygnowanym głosem zaczął dukać. Malinowski dostał trzy z dwoma, ale mnie się upiekło.

Zdarzało się, że *NUPUM* nie działał. Na przykład kiedy nowa i zakompleksiona rusycystka kazała mi w czwartej klasie wymienić rosyjskich dekabrystów, powstańców z 1825 roku. Rylejewa i Bestużewa pamiętało się dzięki *Dziadom*, ale kto tam był jeszcze? Kto jeszcze?! Mickiewicz wymienił tylko dwóch! Uciekając do przodu, zacząłem wymieniać drużynę hokejową ZSRR, która wówczas była najlepsza na świecie. Charłamow, Fetisow, Malcew i Makarow przeszli gładko, przy bramkarzu Konowalencie rusycystka zaczęła coś podejrzewać i na wszelki wypadek dała mi dwóję (dziś: pałę).

Wtedy rzeczywiście się nie udało, ale metoda *NUPUM* na ogół działała. To były czasy, kiedy nie uczniowie, ale nauczyciele zakładali nam kosze od śmieci na głowę. To oni rzucali w nas dziennikami i kredą, bili linijką po rękę, a książkami po głowie. Ich pedagogiczne zajęcia sprowadzały się do sprawdzania tarcz szkolnych na rękawach, długości włosów i zmieniania butów na kapcie. Były to czasy, kiedy szkoła była bezpłatna. Dziś w szkołach prywatnych za 4 tysiące złotych miesięcznie dziecko robi, co chce, i ma zagwarantowane czwórki na koniec roku, za 5 tysięcy piątki, a za 6 tysięcy oceny celujące. Nauczyciele chodzą na palcach, żeby broń Boże nie zdenerwować wychowanków. Uczeń mógłby poskarżyć się rodzicom i wtedy nauczyciel mógłby szukać sobie pracy.

Za moich czasów z powodu błędów ortograficznych można było oblać maturę. Dziś w wyniku epidemii dysleksji i dysgrafii ortografia jest przedmiotem bardziej martwym niż łacina. Dzisiaj istotą pracy pedagoga jest dbanie o to, by nigdy, ale to przenigdy i pod żadnym pozorem nie stresować uczniów! Wtedy szkoła była jednym wielkim, trwającym 12 lat stresem, a mimo to wszystko było prostsze. Oczywiście i dziś działają szkoły publiczne, które są jak za moich czasów za darmo. Tylko wtedy nazywały się one domami poprawczymi. Ktoś powiedział, że ludzi zamyka się w szkole na 12 lat, żeby nie zamykać ich potem w więzieniu.

To prawda.

Jedyne, co wyniosłem z liceum, to przyjaźnie, które trwają do dziś, podstawy francuskiego i niezły strzał do kosza z dystansu. Reszta była mi naprawdę niepotrzebna.

W maturalnej klasie oportunistycznie zacząłem się jednak uczyć. Nie za wiele, ale tyle, żeby zdać maturę. Z polskiego pisałem pracę *Adaptacje filmowe, ich pierwowzory literackie: podobieństwa i różnice*. Pamiętam, jak nasza polonistka weszła po pisemnych maturach do klasy oznajmić, kto co dostał. Kiedy doszła do mojego nazwiska, spojrzała na mnie tak jakoś niespokojnie. Przez dwie sekundy patrzyliśmy na siebie w napięciu. Potem nagle pani profesor Draszka uśmiechnęła i pokazała mi otwartą dłoń. Dostałem piątkę. Ale przez chwilę wydawało mi się, że widzę na jej twarzy cień z tamtej lekcji o Kochanowskim.

8.

### Mój pierwszy raz na Zachodzie

Nie wierzyłem własnym oczom. Ona była kompletnie naga! Stała z podniesioną głową pięć metrów ode mnie i śpiewała. Wysoka hipiska. Nawet niebrzydka. Przeszkadzało mi trochę, że obok niej stał facet. Zupełnie goły. Nie byłem przygotowany tego wieczoru na widok męskiego penisa. Nie byłem też przygotowany na widok nagiej dziewczyny, ale jakoś dziwnie spokojnie mogłem to znieść. Oczywiście starałem się raczej patrzeć na nią. Chyba wtedy wreszcie tak naprawdę poczułem, że jestem w Paryżu.

Był 27 sierpnia 1970 roku, a ci goli państwo stali na scenie teatru Porte Saint - Martin, wykonując song *Aquarius* z musicalu *Hair*. Miałem 15 lat i to był mój pierwszy wyjazd na Zachód, pierwszy musical i pierwsza naga kobieta w teatrze. Siedzący obok mnie Yehuda Razgour nachylił się do mnie i szepnął: „I pomyśleć, że na tej samej scenie stała kiedyś Sarah Bernhardt...”. Nie wiedziałem, jak wyglądałaby Sarah Bernhardt nago, ale czułem, że dobrze się stało, że siedzę tu akurat dziś. Aktorzy nie zdołali skończyć muzycznego numeru, gdy na widowni pojawili się francuscy policjanci w kepi. Z pałkami wbiegli na scenę, chcąc rozgonić nagich hipisów. Publiczność zaczęła gwizdać, solidaryzując się z artystami. Byłem mile zaskoczony, ale i trochę rozczarowany. Pałowanie? Zupełnie jak w Związku Radzieckim albo u nas. I warto było wyjeżdżać z Polski?



Tymczasem nadzy aktorzy błyskawicznie zwiiali za kulisy, a policjantów powstrzymali ubrani hipisi. Okazało się, że pałowanie było integralną częścią spektaklu. Rok '68 tkwił jeszcze świeżo w pamięci paryżan.

Yehuda Razgour, przyjaciel rodziców, francusko - izraelski malarz, emigrant z Polski, wytłumaczył nam w przerwie: „Na premierze policjantów nie było. Dodali ich po tym, jak w czasie jednego ze spektakli na scenę wtargnęli członkowie francuskiej Armii Zbawienia z megafonem, domagając się zamknięcia obscenicznego show. Wtedy aktorzy na scenie objęli Żołnierzy Zbawienia i nagle wszyscy razem zaczęli tańczyć w rytm muzyki, udowadniając, że choć pisze się to tak samo, chodzi jednak o angielskie słowo *hair* - włosy, a nie francuskie *hair* - nienawidzić”.

Yehuda zapewniał nas, że francuska wersja musicalu jest lepsza od nowojorskiego oryginału, nie mówiąc już o londyńskiej, i że mamy szczęście, oglądając właśnie tę wersję. Wiedziałem, że mam szczęście. Ogromne szczęście. Przede wszystkim dlatego, że w ogóle się tu, w Paryżu, znalazłem. Wiele widziałem później musicali, ale *tribal love - rock Hair* wydawał się nie do przebiccia. Po pierwsze: byłem pewien, że nigdy nie dotrze do Polski (tu się myliłem, bo ani się obejrzałem, jak 30 lat później zawitał do Teatru Muzycznego w Gdyni). Po drugie: to był rockowy musical o hipisach, a w latach 70. nie było stylu życia bardziej *cool* niż hipisi! Po trzecie: wystawiony był za pomocą środków technicznych i inscenizacyjnych, o których nawet najwięksi inscenizatorzy teatralni za żelazną kurtyną nie słyszeli. Akustyka, stroboskopowe światła, psychodeliczne efekty specjalne. I najważniejsze: wykonawcy śpiewali jak najlepsze gwiazdy rocka i tańczyli jak zawodowi tancerze u Bójarta, a jak jeszcze byłoby tego mało - grali jak najprawdziwsi aktorzy dramatyczni. Emocje nie były tu operową konwencją. Taka sceniczna wszechstronność w naszej demoludowej rzeczywistości nie istniała.

Przeżyłem ten psychodeliczny spektakl bardziej niż wszystko, co dotąd widziałem w teatrze. Zresztą cały ten sierpień w Paryżu przeżyłem jak w psychodelicznym śnie. Byłem przekonany, że to jedyne miasto na świecie, gdzie warto żyć. I jedyne na świecie miasto, gdzie nie sposób być nieszczęśliwym.

Moi rodzice byli w Paryżu już wcześniej i koniecznie chcieli mi go pokazać. Poprzedniego roku Janek kręcił film, którego akcja działa się na Kubie, w Rzymie i w Paryżu właśnie. Zarobił trochę pekaowskich dolarowych bonów, dzięki czemu mogliśmy w skromnych warunkach przeżyć w Paryżu miesiąc. Na szczęście mój ojciec był facetem, który mając do wyboru: nowy samochód czy Paryż, zawsze wybierał Paryż. Ja wolałbym Paryż i

samochód, ale nie dało się mieć wszystkiego.

Kiedy pierwszego wieczoru z placówki PAN-u na rue Lauriston 74 poszliśmy na Champs Élysées, wpadłem w trans. Nigdy nie brałem narkotyków, ale przypuszczam, że tamten mój trans pod Łukiem Triumfalnym o zachodzie słońca był porównywalny do odlotu po LSD. Choć było grubo po godzinie 11 w nocy, wszystkie sklepy były otwarte, nie mówiąc już o restauracjach i barach. Uznałem, że to bardzo praktyczne i miłe podejście do życia.

Pierwszy raz widziałem gigantyczne ręcznie malowane plakaty filmów, o reżyserach których nie miałem pojęcia. Pamiętam jak przez mgłę plakaty *MASH* Altmana, *Antonio das Mortes* Rochy czy *Liberation of L.B. Jones* Wylera. Bilet do kina kosztował 10 franków, czyli 200 złotych. Dwadzieścia razy więcej niż w Polsce.

Zmusiłem Janka, żeby poszedł ze mną na nowego *Bonda*, a przede wszystkim na *Nieustraszonych zabójców wampirów* - film Romana Polańskiego z 1967 roku. Miałem wrażenie, że były to najlepsze filmy, jakie w życiu widziałem. Ale nie filmy i nie muzea były największą atrakcją tego pobytu. Był nim mecz piłkarski drużyn Red Star Paris St. Ouen kontra Legia Warszawa! Jako wierny kibic Legii musiałem być na tym meczu! Bilety kosztowały majątek: 15 i 18 franków. Na taką rozrzutność nie było nas stać. Postanowiliśmy wejść na beczelnego. Mówiąc tylko po polsku, krzyczeliśmy, że jesteśmy rodziną piłkarzy przybyłą z Polski razem z ekipą. Zniechęceni szeleszczącymi dźwiękami naszej mowy ojczystej francuscy odźwierni machnęli ręką na *dingues Polonais*. Na szczęście trener Lucjan Brychczy rozpoznał tatę i dzięki temu siedzieliśmy obok niego na ławce rezerwowych. To była ta legendarna drużyna Legii z Grotyńskim w bramce, Stachurskim, Trzaskowskim i Blautem w obronie, Deyną w pomocy i Gadochą w ataku. Wygrali gładko 4:0.

Kilka dni później wracałem do Polski w stanie absolutnej nirwany, z przekonaniem, że zrealizowałem wszystkie swoje marzenia. Przez ten miesiąc w Paryżu dowiedziałem się o świecie więcej niż przez wszystkie 15 lat dotychczasowego życia. Przekonałem się, że benzyna może mieć przyjemny zapach, a pomarańcze je się przez cały rok. Coca-cola okazała się jednak lepsza od polo-cockty, a w sklepach można było kupić każdą markę samochodu i wszystkie płyty Beatlesów. Widziałem drzwi otwierane przez fotokomórkę i kolorową telewizję. Przeżyłem także szok ideologiczny. Byłem pewien, że cały wolny świat, tak jak ja, uwielbia Stany Zjednoczone. A tutaj nagle zobaczyłem na murach nazwisko prezydenta

Nixona, w którym x zmienione było na swastykę. Nie rozumiałem, o co chodzi. Czy oni nie wiedzą, że wszystko, co amerykańskie, jest najlepsze? Nie wiedzieli. Francuzi uważali, że wszystko, co francuskie, jest najlepsze. Tego właśnie lata toczyły się w Paryżu rokowania pomiędzy USA i komunistycznym Wietnamem. Często mijaly nas bezszelestnie czarne limuzyny z flagami tych krajów, zmierzające na Quai d'Orsay do ministerstwa spraw zagranicznych. Dla mnie ta wojna była oczywiście godną podziwu misją USA, która w imieniu demokratycznej ludzkości broniła wolnego świata przed sowiecką zarazą z Państwa Zła. Tymczasem od poznanych Francuzów, a także z musicalu *Hair*, dowiedziałem się, że to brudna wojna, na którą biali wysyłają czarnych, żeby mordowali żółtych, w obronie kraju, który odebrali czerwonym. Byłem zaskoczony, że mówi się tu to samo, co od lat bez powodzenia wmawiała nam peerelowska propaganda. Był to szok porównywalny do widoku tamtej nagiej solistki na scenie. Ze zrozumiałych względów, jako przybysz zza żelaznej kurtyny, nie mogłem tubylcom niczym zaimponować. Prowokacyjnie nosiłem więc w klapie kurtki znaczek czerwonej gwiazdy z Leninem. I pewnego dnia, na placu de la Concorde, zauważył tego Lenina jakiś wyglądający na bojownika o lepsze jutro długowłosy osobnik. Uśmiechnął się do mnie szeroko i podniósł pięść w komunistycznym pozdrowieniu. W tamtych czasach to Che Guevara, Mao Tse-tung, Trocki i Lenin byli bohaterami paryskiej ulicy. Francja, o zgrozo, była wtedy lewacka. Dziś wiem, że to była tak zwana kawiorowa lewica. Sam może byłbym lewakiem, mieszkając na rezydencyjnej avenue Foch.

Pamiętam swoje graniczące z niepokojem rozbawienie, gdy na Wyspie Świętego Ludwika na wystawie nieistniejącej już dziś polskiej księgarni zauważyłem książkę pt. *Czy Rosja sowiecka przetrwa do roku 1984*. Ponieważ jasne było dla mnie, że przetrwa nie tylko do 1984, ale i do 2084, pomyślałem sobie: „I po co jątrzyć? Tak mają pięknie dookoła i nie potrafią się z tego cieszyć?”. Wtedy też po raz pierwszy zetknąłem się z zakazaną prozą Instytutu Literackiego Jerzego Giedroycia. Właściciel księgarni wiedział, że przyjechaliśmy z Polski i nie stać nas na kupno książek po tutejszych cenach, a że rozpoznał w Janku znanego aktora, podarował nam dwie książki. *Moniza Clavier* z tomu opowiadań *Dwa listy* Sławomira Mrożka jest od tamtej pory moim ulubionym opowiadaniem w języku polskim. Paryż był zresztą najwłaściwszym miejscem na tę lekturę. Druga wroga książka zawierała eseje nieznanego bliżej emigracyjnego pisarza, niejakiego Miłosza, pt. *Widzenia nad zatoką San Francisco* (trzy lata później, kiedy znalazłem się na warszawskiej polonistyce, moi koledzy z roku dalej nie wiedzieli o istnieniu pana Czesława).

W liceum uczyli nas, że kapitalizm na zgniłym Zachodzie wszedł już w finałową fazę dekadencji i obumiera. Jeśli to była prawda, to śmierć miałą piękną. Było mi trochę smutno, że zgodnie z dialektyzmem marksistowskim pewnego dnia na zaprojektowanych przez barona Hausmanna bulwarach pojawią się sowieckie tanki, niosąc na pancerzach komunizm. Miałem tylko nadzieję, że tego nie doczekam.

Od tamtej pory odwiedziłem Paryż ze 20 razy. Odbywałem tu stypendium i kręciłem film, a dzisiaj moja córka Marysia dzielnie sobie tam radzi jako grafik na stażu w paryskich wydawnictwach. Mimo że dziś Paryż dla mnie to bardziej taksówka i dobra restauracja niż metro i wilgotna kanapka na ławce w parku, to zawsze będę tęsknił za miastem, jakie widziałem po raz pierwszy 40 lat temu. Plac Étoile nie nazywał się jeszcze de Gaulle'a; paryskie Hale ciągle stały, czekając na rozbiórkę; w metrze oprócz drugiej była pierwsza klasa i bileterzy dziurkaczami sprawdzali bilety przy wejściu na peron. Musée d'Orsay jeszcze nie istniało, więc impresjoniści wisieli w Tuileries w sali do gry w piłkę.

Choć wierzyłem, że tu kiedyś wrócę, z bólem wyjeżdżałem z Paryża. A gdy znalazłem się z powrotem w Polsce, okazało się, że być może nigdy już więcej nie wyjadę za granicę.

Służba Bezpieczeństwa wzywała Janka kilkakrotnie, czepiając się naszych częstych wizyt na rue Chabrol u Yehudy Razgoura, który jako emigrant z Polski z lat 30. był w Paryżu pod stałą obserwacją naszych dzielnych komunistycznych wywiadowców.

- I co? - pytałem ojca, gdy wracał z kolejnego spotkania w pałacu Mostowskich.

- Nie jest dobrze - mówił.

- Ale wyjedziemy jeszcze kiedyś do Paryża?

- A co byś powiedział na Bułgarię? - odpowiadał. Zrozumiałem, że Paryż musi zaczekać.



## 9.

### Szelmostwa dziadka Antoniego

Zginął dziadek. A właściwie zaginął. Było to na przełomie lat 60. i 70., kiedy dziadek Antoni, rocznik 1904, gdzieś się zapodział. Nie to, że wyszedł z domu i nie wrócił. Wyszedł z domu już dawno temu, rozwodząc się z babcią jako 58-latek, ale zawsze mieliśmy z nim jakiś kontakt. Miał 66 lat, gdy ten kontakt właśnie się urwał. Nie było dziadka pod żadnym adresem. Babcia Jasia, była żona, specjalnie nie rozpaczała z tego powodu. Oboje dalej mieszkali w Łodzi, więc mimo rozwodu sporadycznie się widywali. Najczęściej przypadkowo na ulicy, bo mieszkali niedaleko. Ale ostatnio - to znaczy przez cały 1969 rok - nie widziała go wcale. Powiedziała o tym swojemu synowi, a mojemu ojcu, Jankowi.

Mój ojciec, z którym miałem bardzo dobry kontakt przez całe dzieciństwo, chciał mieć ze swoim ojcem Antonim w wieku dojrzałym kontakt jakikolwiek. Ale Antoni właśnie zaginął.

Swoją drogą, dziadek Antoni to był aparat. Dusza towarzystwa. Lubiany przez całe łódzkie Bałuty. Do tańca i do różańca. Był murarzem sezonowym - to znaczy w lecie murował, w zimie pił. Nie jestem pewien, czy nauczył się czytać i pisać. Zdaje się, że czytanie, a zwłaszcza pisanie, w jego fachu nie było nieodzowne. Ponieważ miał fantazję i poczucie humoru, był przed wojną lubiany przez wszystkich w dzielnicy.

„Nawet przez Franka Zalewajkę” - powiedział kiedyś mój ojciec. Franek Nalewajko był hersztem bandytów z Bałut. Janek jako dzieciak obserwował, że jak Antoni razem z Frankiem - który zawsze chodził w nieskazitelnie białym golfie - i jego kompanią szli środkiem bałuckiego rynku, to przechodnie ustępowali im miejsca z szacunku, czy raczej ze strachu. I pewnego razu dziadek, czyli ojciec Janka, wrócił wieczorem do domu strasznie smutny i powiedział, że źli ludzie zabili właśnie nożami Franka Zalewajkę. A Janek najbardziej zmartwił się tym, że biały sweter się zmarnował.

Dziadek Antoni oprócz tego, że miał fantazję, miał też tak zwanego nosa. Ten nos kazał mu na początku 1939 roku własnymi rękami wybudować pod Łodzią, na Nowym

Złotnie, niewielki dom czy raczej jednoizbowa chatę i tam przenieść się z żoną i synem. Całą wojnę spędzili w tej budowli ogrzewanej żeliwnym piecykiem, tak zwaną kozą, bez większych przykrości. Chociaż we wrześniu owego roku, jak wszystkich Polaków w wieku poborowym, ojczyzna wzięła dziadka do wojska.

Janek opowiadał mi, że strasznie się martwił, co się stało z jego tatą. Ludzie opowiadali, jak mężnie poległ w kampanii wrześniowej, idąc z bagnetem na czołgi żelazne. Potem doszła wieść, że widziano go w jenieckim stalagu. Ktoś inny przyniósł wiadomość, że pracuje na wsi u niemieckiego bauera pod Monachium. Nie było jasne, komu wierzyć.

Janek i jego mama bardzo się martwili, że dziadek jednak poległ. Ale dziadek nie poległ. Nie był taki głupi.

„Na początku okupacji, w listopadzie, siedzimy z mamą w domu i jak zwykle zamartwiamy się o ojca. Dlaczego nie ma od niego listu? Czy rzeczywiście zginął? Aż tu nagle przybiega syn sąsiadów i krzyczy, że wujo Antoni wraca z wojny ranny! No to twoja babcia złapała jakiś bandaż, wodę utlenioną i wybiegła na drogę. I rzeczywiście widzimy z daleka, jak ze spuszczoną głową, powoli, idzie żołnierz z niemieckiej niewoli. Podpiera się jakimś kosturem i kuleje jak dzwonnik z Notre Dame. Postrzał w nogę! - pomyślałem. Żeby tylko nie wdała się gangrena! Ale ojciec podszedł wreszcie, przywitał się, jakby nas widział dziś rano, usiadł i zaczął opatrywać sobie piętę. Bąbel mu się zrobił od długiego marszu. To była ta »gangrena«,».

Okazało się, że dziadek, dostawszy się do obozu jenieckiego, przy pierwszej okazji zgłosił się do pracy u miejscowego gospodarza. Bauer korzystał z jenieckiej darmowej siły roboczej. Chciał wiedzieć, czy ktoś zna się na pracy w ogrodzie. Dziadek Antoni wystąpił z szeregu jako pierwszy.

No i zajął się ogrodem. Przez pierwsze dni pielął i oporządzał klomb przed domem bauera. Wprawdzie za darmo, ale nie do końca, bo bauer szczerze żywił swojego ogrodnika, a dziadek musiał mieć siły, żeby przetrwać niewolę. Wreszcie zasadził mu najpiękniejsze kwiaty w zapierających dech kompozycjach. Ogród był piękny, a bauer szczęśliwy. Przez jakieś 15 minut, bo nagle dziadek dostał ataku padaczki pośrodku klombu i z kwiatowych kompozycji nic nie zostało.

Sprawa wyglądała groźnie, bo dziadek kilkanaście minut kopał nogami w ziemię, rwał rękami trawę i toczył z ust krwawą pianę. Na tydzień położono go do obozowego lazaretu, żeby odzyskał siły.

Kiedy przyszedł do siebie, odbudował w ogrodzie wszystko to, co zniszczył. Bauer podziękował mu sutym bawarskim obiadem. Następnego dnia dziadek dostał napadu padaczki wśród grządek z warzywami. Bauer przejął się znowu. Tym razem bardziej stanem własnego gospodarstwa.

Dziadek znowu spędził tydzień w lazarecie i dostał następną szansę na rehabilitację. Podjął pracę, która skończyła się trzecim i ostatnim atakiem epilepsji, powyrywał wtedy świeżo posadzony młody las i zaneczyścił staw.

Bauer podziękował dziadkowi i kazał odesłać do obozu. W obozie również podziękowali jeńcowi, który większość czasu wylegiwał się w lazarecie. Odesłano go pieszo do Polski. Był to wyczyn nie lada. Niewielu jeńcom udało się tak zbajerować niemieckie władze obozowe. Myślę, że dziadek był być może jedynym z wziętych do niewoli polskich żołnierzy, którego wróg, nie mogąc z nim wytrzymać, nie rozstrzelał, tylko wysłał do domu. Albo widocznie tam też go polubili.

Janek był zachwycony brawurą ojca i jego symulanckim talentem. Spytał, jak mu to uszło na sucho. „Krwawa piana” - odpowiedział dziadek lakonicznie. „Niemcom nie mieściło się w głowie, że można ją zasymulować”. „A można? Jak to zrobiłeś?”. „Przed każdym atakiem epilepsji musiałem nakłuć sobie bok języka szpilką. I to tyle. Prostolinijny Niemiec nigdy by na to nie wpadł”.

Kiedy po wojnie Janek oznajmił ojcu Antoniemu, że chce iść w jego ślady i zostać aktorem, ten zmartwił się bardzo.

- To głupi pomysł - powiedział. - Co to za zawód: aktor? Załatwiłem ci dobry fach, który pozwoli ci przynosić do domu pieniądze.

- Jaki fach? - spytał mój ojciec nieufnie.

- Mój dobry przyjaciel ze stalagu został właśnie dyrektorem PGR - u w Węgorzewie. Potrzebują traktorzysty. Ty umiesz prowadzić ciężarówki, więc idealnie nadajesz się na to miejsce!

Po takiej ofercie pracy mój ojciec pokiwał głową i czym prędzej złożył papiery do szkoły teatralnej mieszczącej się wówczas na ulicy Gdańskiej w Łodzi.

Lubiłem tego dziadka, bo zawsze mnie rozśmieszał. Choć widziałem go poprzednio bardzo dawno temu, bo osiem lat wcześniej. Byłem wtedy w drugiej klasie szkoły podstawowej. Szliśmy właśnie z babcią na spacer ulicą Obrońców Stalingradu - dziś Legionów - gdy nagle natknęliśmy się na dziadka. Wtedy też gdzieś zniknął. Nie mieszkał już z babcią, ale ja nie wiedziałem, że się rozwięli, więc spytałem, gdzie tak długo się podziewał.

- Byłem w Ameryce - odpowiedział.

Mnie ta odpowiedź zadowoliła. Już wtedy rozumiałem, że pobyt w Stanach Zjednoczonych usprawiedliwia bardzo wiele. Przeszedłem do drugiego z tak zwanych żelaznych pytań wnuczka do dziadka:

- A co mi przywiozłeś?

- Amerykańskiego konia! - dziadek nawet nie mrugnął okiem.

Spod tamtej szerokości geograficznej spodziewałem się raczej indiańskiego pióropusza albo kowbojskiego kolta, ale koń też mógł być. - A gdzie ten koń? - przeszedłem do konkretów.

- A tu niedaleko, w szopie na Kilińskiego.

- To chodźmy go obejrzyć!

Babcia, która przyglądała się naszej rozmowie spode łba, odpowiedziała, że nigdzie

nie pójdziemy.

- To w takim razie przyprowadź go tutaj! - wykrzyknąłem.

- Nie mogę - odpowiedział dziadek - bo to jest dziki mustang i jeszcze by mi się urwał i uciekł.

- Yhm - zamruczała babcia - urwał się tak jak ty!

Wprawdzie wierzyłem bezgranicznie dziadkowi, ale coś mi kazało być dociekliwym małym dupkiem.

- A jak jest po angielsku „koń”? - zapytałem niewinnie. Od roku byłem zmuszany do nauki angielskiego, więc zdążyłem przyswoić sobie kilka słówek. Nie byłem jednak pewien, czy słowo „koń” jest wśród nich. Liczyłem na to, że jak dziadek powie to słowo, to mi się przypomni. Dziadek spojrział na mnie swoim przenikliwym, szelmowskim wzrokiem i powiedział po angielsku coś w rodzaju „aoruhak”. Ale wtedy właściwe słowo wskoczyło mi na miejsce i już przypomniałem sobie, że po angielsku „koń” brzmi *horse*, i nie omieszkałem podzielić się tą refleksją z dziadkiem.

- Tak - zgodził się po sekundzie namysłu. - *Horse* to koń po angielsku oczywiście, ale po amerykańsku - bo przecież amerykańskie mustangi są, jak wiadomo, inne - po amerykańsku koń jest „rohuck”!

- Czy nie powiedziałaś przed chwilą „aoruhak”? - małe dzieci potrafią być perfidnie upierdliwe.

- Oczywiście! - dziadek z zapałem kiwnął głową. - „Aoruhak” oznacza konia w ogóle, a „rohuck” jest tym szczególnie dzikim koniem, którego ci przywiozłem.

Bardzo mi się podobała ta rozmowa, bo przypominała mi dialogi Kubusia Puchatka z Prosiaczkiem z mojej ulubionej - do dziś! - książki.

- Idziemy już - powiedziała lekko już zniecierpliwiona babcia, ciągnąc mnie za rękę. -

Wystarczy!

- Jeszcze nie, babciu! Muszę zobaczyć tego konia!

Babcia spojrzała na mnie dobrotliwie.

- Czy nie widzisz, że ten człowiek cię nabiera? Nie był w żadnej Ameryce i nie przywiózł żadnego konia!

- Dlaczego tak mówisz? To co? To znaczy, że dziadek kłamie?

- Wnusi! - powiedział dziadek solennym głosem. - Dziadek nigdy nie kłamie! Zapamiętaj to sobie na całe życie! Przyprawdzą ci konia następnym razem - dodał i po tym, jak umówiliśmy się w tym samym miejscu na następny dzień, oddalił się, podrygując w sposób, jak mi się wydało, bardzo amerykański.

Bardzo długo musiałem prosić babcię, żeby wyszła następnego dnia na to spotkanie ze swoim byłym mężem. Kiedy się spotkaliśmy, dziadek był zdyszany.

- Co się stało?

- Nie widzieliście może konia, jak tu przebiegał? Wyrwał mi się z rąk! - i na dowód dziadek pokazał długi kawałek sznurka. Widziałem, że babcia wydyma wargi, ale nic nie mówi.

- Szkoda, że ci uciekł! - zasmuciłem się. Oczami duszy widziałem siebie, jak jadę stępa na tym rohumacku środkiem ulicy Piotrkowskiej. Dziadek wyjął zza pazuchy plik czegoś, jakby wycinków z gazet.

- A przy okazji przyniosłem ci prezent. Wycinałem to dla ciebie przez rok z „Expressu Łódzkiego”.

Były to sklezione i zebrane w książkę strony z rysunkami komiksu z gatunku płaszczka i szpady pod tytułem *Benvelino - upiór z Wenecji*. Byłem strasznie szczęśliwy.

- Fajnie, że zbierałeś to, nawet w Ameryce!

Dziadek uśmiechnął się szelmowsko, spojrzał przeproszająco na babcię, pogłaskał mnie po głowie i odszedł.

Od tamtej pory, czyli zimy 1962 roku, nie widziałem go więcej. A ponieważ mój ojciec nie bardzo był tą sytuacją zdenerwowany, ja też próbowałem się do niej przyzwyczaić. Zwłaszcza że miałem jeszcze drugiego dziadka, Aleksandra Brzezińskiego - tatę mamy. Dziadek Oleś walczył o Polskę w Legionach, chodził o lasce i grał na harmonii i trąbce. Kiedy jednak Oleś zmarł w 1965 roku i liczba posiadanych dziadków spadła raptownie o 50 proc., zrozumiałem, że bardzo bym chciał, by dziadek Antoni się odnalazł. Poszukiwania spełzały na niczym aż do 10 kwietnia 1970 roku, kiedy poszedłem z rodzicami na drugą serię filmowego hiciora w reżyserii Tadeusza Chmielewskiego pt. *Jak rozpętałem II wojnę światową*.

Już w pierwszej części grający szeregowca Dolasa Marian Kociniak bardzo mi przypadł do gustu, bo w moim młodzieńczym mniemaniu uosabiał brawurę i przebiegłość dziadka Antka w czasie II wojny. Dolas, tak jak mój dziadek, dostał się do niewoli, a potem, też tak jak dziadek, zaczął pracę u bauera w Bawarii. Toteż siedząc wygodnie w kinie Atlantic na ulicy Rutkowskiego (dziś Chmielna), z wypiekami na twarzy śledziłem dalsze losy dzielnego wojaka Dolasa. Tym razem Marian Kociniak, jak zwykle mimo woli, dostawał się w szpony Legii Cudzoziemskiej i na dziedzińcu fortu w Syrii brał udział w przeglądzie wcielonych siłą do Legii „ochotników”.

- Jeeest! - wykrzyknąłem nagle, wystrzeliwując palcem w stronę ekranu, jakby to był mecz piłkarski i mój idol Kazimierz Deyna właśnie strzelił gola.

- Zachowuj się! - opieprzył mnie szeptem ojciec. - Kto jest?

- No, dziadek Antek! Odnalazł się!

Na ekranie tuż za Marianem Kociniakiem stał Antoni Machulski, czerstwy, zdrowy i lekko opalony, wypisz wymaluj podstarzały „ochotnik” do Legii Cudzoziemskiej.

- Rzeczywiście, skubany - powiedział mój ojciec. - Co on tam robi?

- No, jak to co? Gra w filmie! - odparłem. - Nie chciał być gorszy od ciebie.

Wiele się dziadek nie nagrał, bo scena zaraz się skończyła i szybko zobaczyliśmy jego plecy, jak odmaszerowuje w dwuszeregu razem z Marianem Kociniakiem.

Kiedy wyszliśmy z kina, Janek zatelefonował do znajomego kierownika produkcji, który zatelefonował do szefa biura statystów w Łodzi, który podał aktualny adres dziadka Antosia. Kiedy Janek zjawił się w Łodzi w jego mieszkaniu, dziadek był bardzo zdziwiony, że go szukamy.

- Przecież się nie ukrywałem - powiedział.

Osiemnaście lat później wykorzystałem to filmowe *qui pro quo* w filmie *Deja vu*. Amerykańscy gangsterzy zniecierpliwieni zniknięciem Johnny'ego Pollacka (Jerzego Stuhra) odnajdą go przypadkowo podczas projekcji *Pancernika Potiomkina*. Johnny, w czasie swoich przygód w Odessie w 1925 roku, niechcący zaplątuje się w film kręcony na odeskich schodach przez Sergiusza Eisensteina. Omyłkowo wzięty za statystę zostaje uwieczniony w tym legendarnym filmie.

- Nie damy mu zostać gwiazdą filmową - mówi w moim filmie „Big Jim” Cimino, szef mafii (Jan Machulski), i wysyła następnego gościa do Odessy, żeby zlikwidował Johnny'ego Pollacka.

Hollywoodzkie przysłowie mówi, że *Film is bigger than life*. W przypadku mojego dziadka Antoniego powinno ono brzmieć raczej: *His life was bigger than film*.



## 10.

### **Choć się Franco zwija w szale, Legia będzie w półfinale!**

Siedziałem na zimnych betonowych schodach w przejściu trybun pomiędzy dwoma dzentelmenami, których wygląd sugerował przynależność do środowiska recydywistów. Rozglądałem się w poszukiwaniu znajomego hasła na otaczających mnie transparentach. Miałem wprawdzie bilet na regularnych trybunach, ale przyszedłem za późno. Tylko półtorej godziny przed meczem. Był 24 marca 1971 roku, a za kilka minut na stadionie na Łazienkowskiej miały spotkać się futbolowe jedenastki Atletico Madryt i warszawskiej Legii. Stawką był półfinał europejskiego Pucharu Mistrzów (dziś Ligi Mistrzów). Pierwszy mecz w Madrycie przegraliśmy 0:1 i dziś Legia musiała - musiała! - wygrać co najmniej dwoma bramkami, żeby zagrać w półfinale. Nie było to proste, ale znając potencjał warszawskiej drużyny, możliwe.

Zebrani na stadionie kibice darli się, wyli, trąbili i walili w bębny ze wszystkich sił. Milicja z trudem powstrzymała tłum napierający na bramki wpuszczające na trybuny, które już pękały w szwach. Żądza rewanżu kapłała wielkimi kroplami ze spoconych mord dookoła mnie. Ja również kibicowałem Legii, choć może w bardziej cywilizowany sposób. Wystarczyło mi oglądać mecz i krzyczeć z radości, jeśli zdobędzie bramkę. Znowu rozejrzałem się, poszukując wzrokiem znajomego transparentu. Tomek Szmidel i Cyngiel - dwaj koledzy, z którymi umówiłem się na mecz, przyszli wcześniej i pewnie zajęli lepsze miejsca.



Transparent, który z takim trudem przygotowywałem na zajęciach praktyczno - technicznych, był najwyraźniej poza zasięgiem wzroku. Mieliśmy pojechać na mecz razem, ale wcześniej musiałem wysłać list do Paula Newmana. Dałem im transparent i kazałem zaczekać na przystanku autobusowym. Trochę mi się zeszło na tej poczcie, list do USA musiał być polecony, i kiedy wreszcie znalazłem się na przystanku autobusu 114, ich już nie było. Najwidoczniej nie wytrzymali nerwowo i odjechali wcześniejszym.

A list do Paula Newmana musiałem wysłać. Proponowałem w nim, żeby został honorowym członkiem FSF - Federacji Sympatyków Filmu - organizacji, którą założyłem w pierwszej klasie liceum, jesienią 1969 roku. Żeby się w niej znaleźć, trzeba było zdać testy wstępne z wiedzy o filmie. Sam je ułożyłem, ale dziś miałbym problem z odpowiedzią na przykład na pytanie nr 39: „Ile filmów nakręcił znany aktor francuski Jean - Paul Belmondo do końca 1969 roku - a. 80; b. 75; c. 43; d. 39?”. Mieliśmy 18 członków w dwóch miastach, Warszawie i Łodzi. Uznałem, że najwyższy czas poszerzyć działalność i wciągnąć do niej gwiazdy światowego formatu. Paul Newman po filmach *Ruchomy cel*, a przede wszystkim *Hombre* stał się moim aktorem numer 1.

Dzięki adresom amerykańskich wytwórni filmowych, otrzymanych na listowną prośbę z czasopisma „Magazyn Filmowy”, dostałem namiary Newmana w 20th Century Fox. Szkolną angielszczyznę skleciłem list, pisząc o FSF, o tym, jak go cenimy i że proponujemy mu status członka honorowego. Co znaczy, że zwalniamy go z egzaminu testów wstępnych, a jedyne, czego oczekujemy, to przysłanie nam zdjęcia z autografem. Będzie to znaczyło: *yes*, czyli że zgadza się tym członkiem zostać. Mając taką fotografię w ręku na dorocznym zjeździe FSF w czerwcu, zaimponowałbym wszystkim 18 członkom i umocniłbym swoją pozycję prezesa na następne kilka lat. Licząc, że korespondencja z Ameryką potrwa dwa i pół miesiąca (miesiąc w jedną, miesiąc w drugą stronę; poza tym chciałem Newmanowi zostawić

ze dwa tygodnie czasu do namysłu), 24 marca był ostatecznym terminem wysłania listu na 444 West 56th Street w Nowym Jorku. Ceną za to dalekowzroczone planowanie było niewygodne miejsce na betonowych schodach stadionu Legii.

W tamtych czasach, kiedy randkowanie z dziewczynami jeszcze się nie zaczęło, tylko dwie rzeczy interesowały mnie naprawdę: film i piłka nożna. Właśnie przeżywałem krótki futbolowy moment, kiedy mógłbym zatrzymać nawet Zinedine'a Zidane'a. W sezonie 1972/73 byłem reprezentacyjnym lewym obrońcą liceum Słowackiego w Warszawie, a na swoim koncie miałem klasowe mistrzostwo szkoły w trzech kolejnych latach. Zizou miał wtedy niecały rok, ale za następnych 12 miesięcy mógłbym już nie dać mu rady. Byliśmy klasą francuską i każdego roku graliśmy mecz Francja - reszta świata (szkoły). Od pierwszej licealnej wszyscy - nawet starsze od nas klasy - regularnie dostawali cięgi. Moi koledzy z boiska po maturze wyszli na ludzi, a prawy napastnik Piotrek Łukasiewicz był nawet w latach 1992/93 p.o. ministra kultury.

Lubiłem gry zespołowe, bo nie musiałem być najlepszy, żeby grać w najlepszej drużynie. Inaczej niż w filmie. Reżyser, aktor czy scenarzysta może być świetny, a film nie. Regularnie chodziłem wtedy na mecze Legii na Łazienkowską. Wtedy to były ostatnie chwile, kiedy można było kibicować bez obawy, że po powrocie do domu nie będzie się mogło zdjąć kurtki z powodu siekiery tkwiącej w plecach. Chociaż nie mogłem się przyzwyczaić do stadionowych obyczajów.

Na meczach Legia - Górnik Zabrze, kiedy w drużynie gości występował najlepszy wówczas polski piłkarz Włodzimierz Lubański, warszawscy kibice gwizdali, kiedy tylko pan Włodek dotknął piłki. A co pewien czas jakiś starszy i zmęczony alkoholem głos krzyczał w jego kierunku: „Lubański! Ty parowo!”.

Mimo że też kibicowałem Legii, było mi przykro i zrozumiałem, że mój czas chodzenia na mecze polskiej ligi powoli dobiega końca.

Na razie siedziałem na złożonej na szorstkim betonie gazecie w poszukiwaniu mojego transparentu. Zauważyłem prześcieradło z napisem: „Legia - Atletico 3:0!!! Niech się Rodri dzisiaj modli!” - Rodri był bramkarzem Hiszpanów. Wzruszyłem ramionami. Moje hasło było lepsze! Brzmiało: „Choć się Franco zwija w szale, Legia będzie w półfinale!”. Byłem dumny,

że za jednym zamachem rozprawiam się z Atletico i ucieram nosa dyktatorowi. Ale ciągle nie mogłem wyłapać w morzu transparentów tego mojego.

W tym czasie na boisku rośli obrońcy Legii - Stachurski, Trzaskowski i Blaut - przechwytywali wszystkie podania Hiszpanów, a ja patrzyłem po bokach w poszukiwaniu mojego dwuwiersza. Wpatrywałem się właśnie w transparent ze sloganem: „Wprawdzie Madryt ma Salceda, ale Legii rady nie da!”, gdy 25 tysięcy ryczących kibiców na stadionie nagle ucichło. Spojrzałem na boisko. Bramkarz Legii, Grotyński, wyjmował piłkę z siatki. Cieszyła się tylko kilkunastoosobowa drużyna hiszpańska. To nie były czasy, kiedy kibice mogli swobodnie podróżować, żeby sobie obejrzeć wyjazdowy mecz. Szczególnie kibice z faszystowskiej Hiszpanii. Ironia losu sprawiła, że to właśnie Ignacio Salcedo z transparentu przekreślił wszystkie nadzieje. No, może nie wszystkie. Legia musiałaby zdobyć trzy bramki i nie stracić żadnej. Do końca meczu zostało 78 minut.

Legioniści, jak na rasową drużynę przystało, runęli na przeciwnika. Kazimierz Deyna inicjował akcje, po których Robert Gadocha dośrodkowywał tak, że Legia dwukrotnie była bliska wyrównania. Wydawało się, że zielono - białych jest na boisku dwa razy więcej niż Hiszpanów. Wreszcie w 25. minucie Pieszko wyrównał! Tłum wychodzących już ze stadionu kibiców małej wiary nagle zawrócił. Stadion ożył na nowo. Ale wynik do końca pierwszej połowy już się nie zmienił. W przerwie próbowałem namierzyć moich koleżków z transparentem. Niestety, telefony komórkowe istniały wówczas tylko w enerdowskich filmach SF.

Prawdę powiedziawszy, to już zwątpiłem, że Legia wygra mecz. Moi neandertalscy sąsiedzi na schodach chyba też, bo sobie poszli. Udało mi się wcisnąć na drewnianą ławkę, na miejsce zwolnione przez jakiegoś zrezygnowanego kibica.

Sześć minut po przerwie Hiszpanie sfaulowali i Stachurski, zawodnik z najmocniejszym kopem, ustawił sobie piłkę do wolnego. Stadion na chwilę zamarł, żeby zaraz wybuchnąć szaleńczą radością. Bomba z 30 metrów wylądowała w okienku bramki Rodriga. 2:1. Żeby zagrać w półfinale, potrzebna była trzecia bramka. Spokojnie, do końca meczu jeszcze 40 minut. Biało - zieloni nacierali, kręcili po trawie, jak chcieli, hiszpańskimi obrońcami. Ale ciągle brakowało szczęścia. W kilku stuprocentowych sytuacjach piłka mijała bramkę o włos. Nie udało się... Franco nie musiał zwijać się w szale, bo Atletico będzie w

półfinale. Pomyślałem, że jeśli nie oddałbym kolegom transparentu, to może mecz potoczyłby się zupełnie inaczej. I zaraz potem pomyślałem, że to głupio tak myśleć.

Na przystanku 114 w stronę Ochoty spotkałem moich zaginionych koleżków. Byli zachrypnięci, ale szczęśliwi.

- Gdzie byliście, debile? I z czego się cieszyacie?! - zrugłem ich. - Przecież przegraliśmy!

- No to co? - odpowiedział Tomek Szmidel. - Ale byliśmy w telewizji!

- Jak to w telewizji?

- Zobaczyli nasz transparent i kazali zejść niżej, żeby nas sfilmować!

- Jaki wasz transparent? - byłem wściekły. - To jest MÓJ transparent!

Czara goryczy i niesprawiedliwości się przelała. Nie dość, że półtorej godziny na twardym betonie, to jeszcze te dupki spijają śmietanę, którą ja ubiłem!

- Kamerzyście ten transparent tak się spodobał, że pozwolił nam potem oglądać mecz z miejsca dla prasy.

Nic nie odpowiedziałem i przez 40 minut jazdy do przystanku na rogu Pruszkowskiej i Żwirki Wigury nie odezwałem się do nich. Jasne, że transparent mógł się podobać! Sam go malowałem. Rzymski legionista w hełmie z pióropuszem, z mieczem i zielono - białą tarczą Legii!

Mój ojciec, który oglądał mecz w TV, zapamiętał rysunek i hasło.

- Zobaczyłem twój transparent i pomyślałem, że zobaczę ciebie, ale był tylko Tomek z jakimś chłopakiem, którego nie znam. A ty gdzie byłeś?

- Musiałem wysłać list do Paula Newmana i potem już ich nie odnalazłem.

- List? - zapytał Janek, mój ojciec. - Do TEGO Paula Newmana?

Kiwnąłem głową:

- Taaa, żeby został członkiem FSF.

- OK - uśmiechnął się tata. - Powodzenia.

Dwa tygodnie później Atletico przegrało półfinał z Ajaxem Amsterdam. Ale prawdziwy finał tej sprawy z transparentem nastąpił 14 lat później w redakcji „Nowego Dziennika” w Nowym Jorku. Kiedy nieżyjący już dziś Bolesław Wierzbiański, legendarny redaktor naczelny „Dziennika”, podarował mi trochę polskich książek wydanych na Zachodzie, był wśród nich *Czytelnik ubezwłasnowolniony* Stanisława Barańczaka. Poznański poeta w swoich esejach zajął się tym razem peerelowską perswazją i praniem mózgow w kulturze literackiej. Jakież było moje zdumienie, gdy w rozdziale *W kręgu stadionu*, w którym Barańczak analizował slogany na meczowych transparentach, na stronie 53 zobaczyłem moje hasło z meczu z Atletico! „Choć się Franco zwija w szale, Legia będzie w półfinale”. Autor pisze, że w tym przykładzie „interesującym chwytem wydaje się zastosowanie podwójnej synekdochy: najpierw drużyna madrycka zostaje utożsamiona z całą Hiszpanią, z kolei ta ostatnia zastąpiona w tekście hasła przez nazwisko niesympatycznego dyktatora”.

Byłem dumny jak paw z moich synekdoch. Warto było siedzieć wtedy na betonowych schodach!

Kilka miesięcy później, kiedy straciłem już nadzieję, że Paul Newman się odezwie, w lipcu 1971 nadeszła odpowiedź! Czarno-biała fotografia z własnoręcznym podpisem aktora. Wisi dziś w moim gabinecie w studiu Zebra na dowód, że Paul Newman powiedział *Yes* i zgodził się zostać honorowym członkiem Federacji Sympatyków Filmu.

Natychmiast rzuciłem wszystko i zabrałem się do pisania listu do mojego ulubionego aktora nr 2 - Lee Marvin.

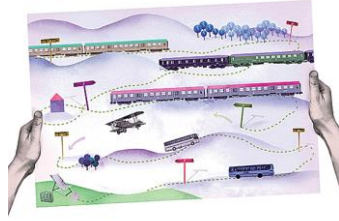
## 11.

### **Never say never again!**

Kątem oka dojrzałem, jak biegnący obok mnie sympatyczny inżynier potyka się i pada jak ścięte drzewo. Przez ułamek sekundy zastanawiałem się, czy nie powinienem się zatrzymać. Nie mogłem! Stawka była zbyt wysoka. Biegłem dalej z ciężką torbą, starając się nie stracić z oczu niebieskiej koszuli przede mną. To z dwiema walizkami biegł tata. Bob, największy z nas, pędził przodem z plecakiem, torując nam w ciżbie biegnących drogę jak zawodnik rugby na połowie przeciwnika. Miałem tylko nadzieję, że zostająca nieco z tyłu mama trzyma się blisko nas. Tłum biegnących był gęsty i ponury. Kto upadł, zostawał stratowany, tak jak sympatyczny inżynier 50 metrów wcześniej. Bob i tata dobiegli do celu pierwsi.

W środku siedziały już te dwie kobiety. Wyfiokowane i teraz lekko przerażone kataklizmem, który wywołały. Wskoczyliśmy do autobusu, a ja rzuciłem walizkę na najbliższe siedzenie. Tata i Bob wcześniej zabezpieczyli dwa inne. Mogłem odetchnąć. Miejsca zostały zarezerwowane! Teraz czekaliśmy tylko na mamę.

Linie mety przekraczali kolejni pasażerowie i autobus szybko się zapelniał, a mama ciągle nie nadchodziła. Nagle usłyszeliśmy rozdzierający krzyk. To był jej krzyk! Bob i tata rzucili się do przednich drzwi, widząc jej wyciągnięte w stronę autobusu ręce. Mama chciała wsiadać, ale rosły konduktor jej nie pozwalał. Szarpali klamkę po obu stronach drzwi. Konduktor był silniejszy. Uwieszona po drugiej stronie mama, udająca rozpacz à la Sarah Bernhardt w jej najlepszych dniach, nie miała szans.



Tata z Bobem usiłovali odciągnąć rozjuszonego konduktora, któremu wreszcie udało się zatrzaskać drzwi. Jego współnik, kierowca, ruszył i wtedy mama odpadła od klamki.

Wściekłość dodała mi sił. Wziąłem rozpęd i ruszyłem na powstrzymywanego przez Boba i tatę pracownika bułgarskiej komunikacji. Gdy byłem blisko, kopnąłem go z całej siły w dupę. Z czuba. W samą centralę. Konduktorowi spadła czapka. Zaskoczony jęknął i upadł na kolana.

Tata i Bob byli zdziwieni, podobnie jak sfaulowany konduktor, i nieco poluzowali chwyt. Wtedy konduktor z rykiem odwrócił się, a zobaczywszy przed sobą 16-latkę, spróbował go, czyli mnie, zabić. I zrobiłby to, gdyby Bob w porę nie złapał go za rękę. Bob Stokowski był na szczęście roslym mężczyzną, przewyższającym konduktora o głowę. Pracownik autobusu, którego głównym zadaniem było sprawdzanie biletów, puścił w moją stronę strumień przekleństw. Bariera językowa uchroniła mnie przed dokładnym zrozumieniem intencji bałkańskiego dżentelmena. Bob nie został mu dłużny i zrugął go po rosyjsku: - *Ty swinnaja tuszonka! Kak ty хочiesz socjalizm strait'?!*, co w wolnym tłumaczeniu znaczyło: „W taki sposób, ty, wieprzowa konserwo, chcesz zbudować socjalizm?!”.

Bułgarski konduktor nie przestawał ryczeć, oskarżająco wskazując na mnie palcem, ale kiedy słowa Boba usłyszał kierowca, coś w nim pękło. Gwałtownie zjechał na pobocze, zgasił silnik i chowając twarz w dłoniach, zaczął łkać. Stało się jasne, że podróż jest skończona. Bob i tata spojrzeli ponuro na dwie wyzywająco ubrane blondyny siedzące z przodu autobusu. Teraz wystraszone i ciche.

- Trzeba wezwać polskiego ambasadora albo chociaż konsula - zawyrokował Bob. - Sprawa nabrała znamion międzynarodowego skandalu.

A był to dopiero pierwszy etap powrotu z wakacji z miejscowości Pomorie w Bułgarii



w sierpniu 1971 roku. Pamięając lato spędzone w bałkańskim rajku przed pięciu laty, zatęskniliśmy za gwarantowanym słońcem i arbuzami. Rodzice z całego bułgarskiego wybrzeża wybrali Pomorie na bułgarskiej riwierze, miasto znane z produkcji najlepszego, pięciogwiazdkowego „bułgarskiego koniaku”.

W czasach kiedy słowo „czarter” nie istniało w języku polskim, połączenie z tą odległą, choć słowiańską krainą było skomplikowanym przedsięwzięciem logistycznym. Uśmiechnięci, bo nieświadomi, wsiadaliśmy do pociągu sypialnego na Dworcu Centralnym zmierzającego do Bukaresztu. Po 24 godzinach wylegiwania się na kuszetkach pod wieczór wjechaliśmy do stolicy Rumunii. Tam zajęło nam chwilę gorączkowe poszukiwanie właściwego peronu - zapowiedzi w głośnikach odbywały się tylko w języku Ionesco i Eliadego - i z nadwyrężonymi nadgarstkami przesiedliśmy się w pociąg do miejscowości Ruse na granicy rumuńsko - bułgarskiej. W Ruse z powodu późnej pory czekała nas konieczność wynajęcia prywatnych kwater: wilgotna pościel, racjonowana woda, lampy naftowe.

O świcie następnego, trzeciego już dnia podróży wladowaliśmy się w pociąg Bułgarskich Kolei Państwowych do Warny. Po pięciu godzinach gry w brydża na drewnianych siedzeniach drugiej klasy byliśmy w Warnie. Tam galopem z walizami do portu i błyskawiczna przesiadka na wodolot do Nesebaru. Po półtorej godziny przyjemnej morskiej bryzy kolejny *parcours* z walizami - 1500 metrów - na miejscowy przystanek autobusowy. W malowniczym Nesebarze czekał na nas autobus do Słonecznego Brzegu. Po godzinie dotarliśmy do Słynczew brąg i z wprawą przesiedliśmy się w podmiejski autobus. I tak, po trzech dniach i siedmiu godzinach byliśmy w Pomorie!

Po latach od tej bułgarskiej wyprawy podróż na festiwal filmowy do Manili na Filipinach wydała mi się szybkim wyskokiem za miasto.

W Pomorie czekał nas jeszcze krótki spacer z trzema walizami - po 15 kilo każda - do Balkantouristu, czyli miejscowego oddziału bułgarskiego Orbisu - gdzie po godzinie załatwiania formalności przydzielono nam kwatery prywatne. Wtedy mogliśmy już zacząć odpoczywać.

Zaczęły się wakacje!

I tu rzeczywiście mieliśmy szczęście, bo dom był ładny, a gospodarze przemili. Sam pobyt nie obfitował w wydarzenia. O to zresztą chodziło. Plaża położona malowniczo, pomiędzy siarkowymi leczniczymi błotami a morzem, była wprawdzie oddalona od miasta, ale dzięki temu prawie pusta. Jedynymi ludźmi, jakich na niej spotkaliśmy, była para Czechów z Brna, pani doktor Koci i jej 15-letni syn Luboš. Trzecią i ostatnią osobą na plaży był właśnie Bob, czyli Bogusław Stokowski, aktor, kolega rodziców z Teatru Polskiego w Warszawie. Szczęśliwie więc i ja, i rodzice mieliśmy towarzystwo. Kąpiele błotne, brydż, pływanie, plażowa piłka nożna, jedzenie arbuzów i kino pod gołym niebem wypełniały nam czas. Ale wiedzieliśmy, że ta beztraska wkrótce się skończy. Luboš z mamą wrócili do Brna, Bob Stokowski zostawał nieco dłużej niż my, ale na szczęście odprowadzał nas na ten autobus.

Zaczynała się gehenna powrotu. Dojazd miejskim autobusem z Pomorie do Słonecznego Brzegu nie był uciążliwy. Ot, 45 minut stania w spoconym tłoku turystów z walizkami. Gdy dotarliśmy na miejsce, czyli krajowy dworzec autobusowy w Słonecznym Brzegu, ogarnęły nas wątpliwości. Myśleliśmy, że odbywa się jakiś wiec. Na dworcu zebrało się, lekko licząc, 500 osób. Nasza czwórka stanęła nieśmiało na krawężniku przy czymś, co przypominało wiatę wiejskiego przystanku PKS. Obok nas stała para z Polski. Od sympatycznego inżyniera tata i Bob dowiedzieli się, że: tak, to jest przystanek autobusu do Warny, i że: tak, wszyscy, co tu się zebrali, czekają na ten sam autobus.

- A ile jest w nim miejsc? - chciałem się upewnić, że wszyscy się zmieszczą.

- Czterdzieści osiem - precyzyjnie poinformował mnie sympatyczny inżynier.

Wtedy obok naszej grupy pojawiły się dwie wyzywająco ubrane i umalowane rodaczki. Tlenione blondynki na obcasach. Rozpoznały tatę.

- O, pan Jan... Pan też do Warny? - zapytały.

- Taki mamy zamiar - odpowiedział tata. - Ale chyba będzie trudno się dostać?

- Nie, dlaczego? - zdziwiła się jedna z rodaczek. W tym momencie nadjechał autobus.

Wiecujący tłum zafalował, starając się rozpoznać, które miejsce jest najlepszą pozycją startową.

Autobus nie podjechał jednak do wiaty. Zatrzymał się po przeciwnej stronie placu. Jakież 100 metrów od nas. Przez okno wychylił się uśmiechnięty od ucha do ucha bułgarski kierowca i zawołał: „Eee! Mariola! Basza!”, do blondynek w szpilkach i gestem przywołał je do siebie. Blondynki pomachały w odpowiedzi słowiańskiemu przyjacielowi i, lekko kuśtykając na szpilach, zaczęły przemierzać asfalt dzielący je od autobusu. Wreszcie do niego dotarły i zniknęły wewnątrz. Autobus mimo to nie podjeżdżał pod wiatę, jak się należało spodziewać. Wreszcie tłum nie wytrzymał.

Pękł nagle niewidzialny łańcuch trzymający dotąd oczekujących pasażerów na dystans. Z gardłowym okrzykiem setki turystów rzuciły się w stronę rejsowego autobusu do Warny. Bob, tata, mama i ja razem z nimi. Wtedy właśnie stratowano sympatycznego inżyniera.

Kiedy bułgarski kierowca dostał histerii i powiedział, że dalej nie jedzie, Bob z tatą ruszyli na poszukiwanie polskiego ambasadora w Słonecznym Brzegu. Wrócili z kierownikiem miejscowej placówki Orbisu. Na szczęście kierownik rozpoznał tatę. Żeby załagodzić międzynarodowy skandal i zapobiec wiszącemu na włosku wybuchowi polsko - bułgarskiej wojny, Balkantourist podstawił tyle autobusów do Warny, ile było trzeba, by zmieścili się wszyscy. Podjechały cztery, wypasione jak na tamte czasy, monstra z klimatyzacją i lotniczymi siedzeniami, dwie klasy lepsze od tego, który wcześniej szturmowaliśmy. Podróżowaliśmy jak paniska. Nawet siedzący obok sympatyczny inżynier z lekko przetartym po asfalcie policzkiem się uśmiechał.

W Warnie gładko wparowaliśmy w pociąg sypialny do Ruse. Tam, w nocy, płynnie przesiedliśmy się na rumuńską kolej parową, która pamiętała czasy króla Michała I. Tuż przed wyjazdem z Polski byłem na rumuńskim horrorze pod tytułem *Toporek*, o mordercy grasującym na bukaresztańskiej prowincji z początku wieku. Miałem niejasne przeczucie, że w tym nocnym i nieoświetlonym pociągu jadą z nami krewni i znajomi hrabiego Draculi. Dotarliśmy do Bukaresztu już o trzeciej nad ranem. Wypaliśmy się na siedząco w dworcowej poczekalni, a zaraz wieczorem czekało na nas komunikacyjne marzenie. Bezpośredni pociąg sypialny relacji Bukareszt - Warszawa. Wtedy na dworcu w Bukareszcie tata, mama i ja

przysięgliśmy sobie solennie, że nigdy, ale to przenigdy więcej nie spędzimy wakacji w Bułgarii. Bob Stokowski po powrocie do Warszawy pytany, jak spędził urlop, odpowiadał: „Fantastycznie! Jest takie miejsce w Bułgarii z genialnymi dzikimi plażami, co do którego jedno jest pewne: Machulscy nigdy więcej tam nie pojedą!”.

W Pomorie byłem potem jeszcze pięć razy. W 1977 roku na tej samej plaży, na której sześć lat wcześniej z Bobem Stokowskim i Luboszem Koci graliśmy w nogę, napisałem scenariusz filmu *Kwinto*. Trzy lata później powstał z niego *Vabank*.

*Never say never again!*

## 12.

### **Biegiem do Polski**

Uszliśmy już dobre 40 minut z Łysej Polany, a schroniska w Dolinie Roztoki ciągle nie było widać. Na mapie wyglądało to na 2 kilometry. Janusz powiedział, że musimy przejść obok Wodogrzmotów Mickiewicza. Więc szliśmy. I szliśmy. I szliśmy. Nie było słychać ani wody, ani grzmotów. Szeroka ścieżka zmieniła się w wąską, aż wreszcie weszliśmy do lasu i dalej maszerowaliśmy brzegiem jakiegoś parowu. Wyglądało to na wyschniętą rzekę. Po przeciwnej stronie rzeki (Janusz znający lepiej tatrzańską topografię powiedział, że to prawdopodobnie koryto Białki) wypatrzyłem wygodniejszy szlak. Przeszliśmy po powalonym drzewie na drugi brzeg i człapaliśmy dalej. Teraz droga była szersza i przyjemniejsza. Spytałem Janusza, czy dobrze idziemy, i odpowiedział, że chyba tak - był w schronisku w Roztoce już wcześniej.

We wrześniu 1973 obaj jako świeżo upieczeni studenci korzystaliśmy z przedłużonych o miesiąc wakacji. W czerwcu obu nam nie udało się zdać na Wydział Operatorski Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej i Telewizyjnej w Łodzi i teraz Janusz Gauer studiował w Łodzi handel zagraniczny, a ja polonistykę w Warszawie. Zналиśmy się od trzeciej klasy szkoły podstawowej i przyjaźniliśmy ciągle, mimo że ja w 1966 roku przeprowadziłem się do Warszawy. Postanowiliśmy pojechać razem na wakacje w Tatry. Trafiliśmy do prywatnych kwater w Kośnych Hamrach pod Zakopanem i mieliśmy w planie zwiedzanie gór. Nie bardzo nam się dotąd to udawało, bo gdy wreszcie wybraliśmy się na Giewont, w połowie drogi musieliśmy wracać, żeby nie przepadł nam zapłacony góralski obiad. Tym razem już po obiedzie wyruszyliśmy - ahoj, przygodo! - do schroniska w Dolinie Roztoki, gdzie mieszkał mój kolega Włodek Gruszczyński, żeby razem z nim zdobyć Dolinę Pięciu Stawów, Morskie Oko, a kto wie, może nawet Rysy? Na razie po godzinie marszu ciągle nie byliśmy pewni, czy to właściwy szlak. Nagle zauważyłem czerwone tabliczki przybite do drzewa 200 metrów od nas.



- Jesteśmy w domu! - krzyknąłem do Janusza. - Tam są drogowskazy!

Chwilę później byliśmy pod rozłożystym dębem. Najbardziej rzucała się w oczy duża tablica: nie bardzo wiedziałem, o co chodzi, ale kilka słów zrozumiałem. Brzmiały one: *Tatranský Národný Park*. Zrobiło mi się gorąco.

- Jesteśmy w Czechosłowacji - powiedziałem do Janusza. - Ta wyschnięta rzeka to była granica...

- Taaa? Eee? Neee... - odpowiedział Janusz - ale nie jest wykluczone, że to taka wspólna polsko - czechosłowacka przestrzeń strefy nadgranicznej... Może tędy też się uda przejść do Roztoki?

- Raczej bym na to nie liczył - odpowiedziałem, oczyma duszy widząc owczarki alzackie, które rzucają się nam do gardła pośród bzykających wokół pocisków smugowych straży granicznej. W ułamkach sekundy wyobraziłem sobie, jak czechosłowacka milicja brutalnie bije kolbami kałachów dwóch polskich studentów bez dokumentów, a potem zakuwa ich w kajdany i wrzuca do wilgotnej celi w Ołomuńcu.

- Chcesz spędzić najbliższych pięć lat w obozie pracy?! - krzyknąłem do Janusza.

- Gdzie? Dlaczego? Co?! - nie rozumiał.

- Jajco! Czytałeś Kunderę? Biegiem!

- Dokąd?! - Janusz ciągle nie wierzył, że coś złego może się nam przydarzyć.

- Do Polski! - rzuciłem się pędem z powrotem w stronę powalonego drzewa. Słyszałem, że Janusz biegnie za mną. Po kilkunastu minutach byliśmy znowu w ojczyźnie. Szkoda, że nie mierzyliśmy czasu. Dzięki motywacji, mimo naszego obuwia, mieliśmy spore szanse na wyczynowy rekord. Spoceni, przerażeni, ale wolni napiliśmy się polskiej wody z polskiego źródła. Smakowała jak nigdy. Potem, kiedy już ochłonęliśmy, odnaleźliśmy oczywiście Roztokę i schronisko, a po zjedzeniu sucharów i wypiciu herbaty z kubków ze śladami jajeczniczy ze śniadania doszliśmy nawet do Morskiego Oka.

Oczywiście udawałem, że powala mnie piękno Tatr i takie tam pierdoły, a tak naprawdę to tęskniłem tylko za tym, żeby dorwać się do pierwszego tomu *Dzienników Gombrowicza*, które miałem w plecaku. Usiąść gdzieś na powietrzu przy dobrej kawie czy piwie i poczytać sobie wreszcie, bez ganiań po tych górach! Właściwie po co ja po nich tak łążę od 13. roku życia? - myślałem. Tylko dlatego, że są? Tak naprawdę mam je w dupie! Jak wspomnę sobie te wszystkie harcerskie zwiady, kiedy w lodowatym deszczu wdrapywaliśmy się na Turbacz czy Lubań, żeby potem w mokrych mundurach trząść się w nocy z zimna na jakiejś słomie w stodole! Na jasną cholerę potrzebne mi były takie atrakcje?! Co z tego, że wziąłem udział w trzech rajdach świętokrzyskich (100 km po górach w trzy dni), że pozdobywałem jakieś odznaki turystyczne, górskie i terenowe? Jakieś sprawności terenoznawcy czy wędrownika? Kiedy pomyślę, ile mógłbym przez ten czas obejrzeć filmów, przeczytać książek i posłuchać płyt, ile czasu spędzić sensownie jak kulturalny człowiek z miasta, to krew mnie zalewa!

Na szczęście to już upiory przeszłości. Dziś z paszportem w kieszeni można jeździć, po pierwsze: wszędzie, po drugie: także w wygodne miejsca. Nie mam nic przeciwko obserwowaniu dzikich lwów i gazeli u wodopoju gdzieś pośrodku Serengeti, pod warunkiem że obserwuję je przez panoramiczną szybę, sącząc drinka w głębokim fotelu, w lobby luksusowego hotelu.

Mógłbym ostatecznie stanąć na Evereście czy K2, ale tylko kiedy będzie tam można wjechać windą lub, w najgorszym razie, dolecieć helikopterem. Chociaż co takiego jest na Evereście, czego bym potrzebował do szczęścia, a czego mi na przykład nie zapewni Manhattan, bulwar St. Germain czy Kazimierz w Krakowie?

Mimo wszystko wcześniej zrozumiałem, że miasta są mi bliższe niż tak zwana dzika

przyroda. Po PRL - u mam idiosynkrazję na egzotykę i klimaty alternatywne, czyli krótko mówiąc: dziadostwo. I jeśli już miałbym wybierać się w podróż, to na pewno na zachód od Łaby. W westernach oglądanych w dzieciństwie starzy traperzy zwykli mówić, że „prawo kończy się na południe od Rio Grande”, czyli w Meksyku. Dla mnie prawo kończy się na wschód od Berlina Zachodniego. Bliski i Daleki Wschód pozostają dla mnie niezrozumiałe i obojętne. Wystarczy mi lektura powieści Josepha Conrada. Byłem wprawdzie w Chinach, ale chciałem wracać do domu tego samego dnia. Kilkakrotnie odmówiłem podróży do Tajlandii i Indii (w tym na Goa). Jakoś nie przepadam za tym, by trędowaci pukali mi kikutami w szyby, kiedy stoję na czerwonym świetle. Szczerze powiedziawszy, nawet do anglosaskiej bądź co bądź Afryki Południowej czy Australii też jest dla mnie za daleko. Z wyrozumiałym uśmiechem wysłuchuję, jak moi przyjaciele z USA czy Francji ekscytują się rozmowami o egzotycznych wyprawach do Tybetu, na Syberię czy Kubę. I bardzo się dziwią, że mnie to nie kręci. Nie rozumieją, że ja już to wszystko, całe to dziadostwo przerobiłem w czasach PRL - u, nawet nie ruszając się z miejsca. Kiedy lekko zirytowani pytają w końcu, czy jest jakieś miejsce na ziemi, które wydaje mi się godne odwiedzenia, odpowiadam niezmiennie, że bardzo odpowiada mi klimat i obyczaje społeczności Beverly Hills czy Santa Monica w Kalifornii. Uznają to za kiepski żart albo prowokację. Ale ja naprawdę tak myślę! Jeśli już umierać ze strachu w samolocie przez 10 godzin, to niech na końcu przynajmniej będzie San Francisco. Jeśli Afryka, to Wyspy Kanaryjskie - chociaż nastrojowy klimat niektórych restauracji na dachach Marrakeszu na zawsze zapamiętam; jeśli Wschód, to Upper East Side na Manhattanie - choć wiem także, że coś bym przegapił, nie widząc Morza Martwego z wysokości Masady.

Kiedyś myślałem, że lubię podróżować. Szczególnie wtedy, gdy paszport był marzeniem ściętej głowy. Ale złapałem się na tym, że podczas rocznego pobytu w Stanach nie zwiedziłem żadnego parku narodowego oprócz parków rozrywki w Disneylandzie i Universal Studio. Woląłem Las Vegas niż Grand Canyon, luksusowe dzielnice Coconut Grove czy Coral Gables niż bagna aligatorów w Miami. Te wyjazdy były raczej tęsknymi pogoniami za niedostępnymi w Polsce filmami, książkami i płytami. Wydawałem na nie ostatnie grosze. Dziś, kiedy portale internetowe w tydzień zaspakajają moje najbardziej wyszukane potrzeby kulturalne, wydaje mi się, że świat to za mało. Kiedyś w biurze podróży, kiedy żaden z oferowanych kierunków wyjazdu mi nie odpowiadał, powiedziałem do lekko już załamanego agenta: „A innego globusa pan nie ma?”. W Pekinie zorganizowano mi wycieczkę na Wielki Mur Chiński. „Jak długo tam się jedzie?”. „No, ze dwie godziny”. „A



potem, jak już się dojedzie, jak długo się na niego wchodzi?”. „No, ze 40 minut do godziny”. „A, to dziękuję. Powłóczę się po Pekinie. Może znajdę jakieś KFC?”. Moi chińscy przyjaciele do dziś są w szoku.

Kiedyś we wspomnieniach Jeana Renoira, który w 1951 roku kręcił w Indiach film *Rzeka*, przeczytałem o tym, jak cała ekipa filmu szykowała się na zwiedzanie po zdjęciach pałacu Tadź Mahal, który był oddalony o kilkanaście kilometrów od planu. Renoir wtedy powiedział: „To wy sobie tam jedźcie, a ja wrócę do hotelu poczytać”. Zapanowała francusko - indyjska konsternacja. „Jak to, Jean?! Nie chcesz zobaczyć Tadź Mahal? Ósmego cudu świata?!”. „A dlaczego mam go oglądać? Tylko dlatego, że jest niedaleko?” - odpowiedział pytaniem. Jean Renoir jest moim turystycznym idolem. Wolałbym pokrewieństwo dusz dzielić z nim także w twórczości, ale przecież nie można mieć wszystkiego.

Jestem prawie pewien, że wyobraźnia wystarcza. Nie sądzę, żebym nie mógł żyć bez nurkowania na Galapagos, przemierzania tratwą jeziora Titicaca, pokonywania na motorze Kamczatki czy wchodzenia na Kilimandżaro z grupą telewizyjnych celebrytów. Młodszy ode mnie rodacy, którzy nie mają komunistycznych obciążeń pamięci, rwą się do tych trudnych geograficznie okolic - na Syberię, Kubę, do Pekinu - jak ćmy do ognia! Ja ich rozumiem. Oni nie mieli obowiązkowych pochodów pierwszomajowych ani wakacji w Rumunii. Im się to kojarzy z romantyczną przygodą. Im Rosja kojarzy się z filmami Nikity Michalkowa - mnie ze Stalinem; Kuba z *Buena Vista Social Club* - mnie z braćmi Castro; Chiny z *Ostatnim cesarzem* Bertolucciego, mnie z masakrą na Tiananmen.

Każdy ma to, na co zasłużył.

Ja bardzo przepraszam, ale o wiele bardziej wolę starą Europę. I jedynym dziś powodem podróżowania jest dla mnie lepszy klimat. Ucieczka od trwającej osiem miesięcy polskiej zimy. Chociaż nie przeczę: niektóre podróże kształcą.

## 13.

### Amerykański kryminal

Mężczyzna oparty barkiem o framugę pali papierosa i z uwagą wygląda przez okno, jakby kogoś oczekiwał. W oddali słychać nadjeżdżający samochód. Człowiek w oknie, ze wzrokiem wciąż teraz utkwionym w jeden punkt, sięga po oparty o ścianę snajperski karabinek. Poprawia się na swoim miejscu i niechętny zaczepia rękawem o gwóźdź wystający z framugi. Szarpnięciem uwalnia rękaw, nie zauważając, że na gwoździu zostaje kilka nitki z tweedowej marynarki. Przeładowuje karabinek i wolno przykładają go do oka. Nie odrywając wzroku od optycznego celownika, wyjmując papierosa z ust, wyrzuca go i delikatnie kładzie palec na cynglu...

To wszystko dzieje się w czwartek 7 marca 1974 roku, dokładnie trzy dni przed moimi 19. urodzinami. Oglądam spektakl telewizyjnego Teatru Sensacji „Kobra” pod tytułem *Śmierć w najszcześniejszym dniu*. Akcja dzieje się w Pensylwanii, w Stanach Zjednoczonych. Tom Howard, pan młody, ginie w dniu ślubu na progu rezydencji teściów. Zabójcą jest morderca na zlecenie, Harry Lomax, bardziej znany jako Smukły Harry, ale kto go wynajął? Tę zagadkę à la Agatha Christie w ciągu 70 minut fabuły wyjaśnią dwaj policyjni detektywi. Prowadzącego śledztwo porucznika Smike’a gra mój ojciec, który także reżyseruje spektakl.



Byłem podekscytowany nie tyle kryminalną akcją, ile moim w niej „udziałem”. Uczestniczyłem bowiem jako obserwator w realizacji przedstawienia na Woronicza, a także miałem kilka pomysłów obsadowych, które Janek wykorzystał i które się sprawdziły. Po wieczornej emisji uznałem, że ta „Kobra” bardzo mi się podoba. Podobnego zdania byli branżowi krytycy. Janek zebrał słowa uznania za reżyserię zapewniającą przejrzystość i wartość akcji, a także za odwagę obsadzenia nowych twarzy. Jeden z recenzentów napisał

nawet, że wprawdzie bardzo ceni sobie Krzysztofa Chamca i Jana Matyjaszkiewicza i wszystkich „żelaznych kobrowców”, ale cieszy się, że w tej sztuce nie grali, bo po samej obsadzie można by się zorientować, kto zabił. Wychwalano również kunszt pisarski amerykańskiego autora Jerry’ego McKee, nieznanego szerzej polskiej publiczności. Zastanawiano się, dlaczego mimo że wymyślił łamigłówkę kryminalną nie gorszą niż Raymond Chandler, Dashiell Hammett czy Ross Macdonald, nie jest tak popularny jak tamci. Redaktorzy Teatru Sensacji „Kobra” zainteresowali się natychmiast innymi sztukami tego pisarza, a ponieważ to mój ojciec go odkrył i przyniósł scenariusz *Śmierci w najszcześniejszym dniu* do telewizji, zapytano Janka, czy McKee nie napisał jeszcze czegoś. Mój ojciec odpowiedział, że owszem, autor napisał jeszcze dwie sztuki o przygodach detektywów Smike’a i Bolta. Telewizja poprosiła, żeby je dostarczyć w polskim tłumaczeniu, i to jak najszybciej. Prośba została spełniona błyskawicznie. Scenariusze *Kto chce zabić Martina Cheevera?* i *Ostatnia taśma van Houtena* zjawiły się na biurku szefowej Teatru „Kobra” następnego dnia. Przypominam, że były to czasy, kiedy po wschodniej stronie żelaznej kurtyny nie obowiązywały przepisy prawa autorskiego. Każdy mógł wybrać sobie dowolną amerykańską czy zachodnioeuropejską książkę, przetłumaczyć ją, zrobić z niej spektakl TV lub teatralny i nie płacić autorowi tantiem.

W telewizji zaczęto pytać, jak trafiliśmy na ślad tak znakomitego, a nieznanego autora kryminałów. „Było to tak... - zaczął mój ojciec -...dawno, dawno temu, na początku zeszłego roku dostałem do reżyserowania »Kobrę« pod tytułem *Rewolwer na deszczu* jakiegoś węgierskiego autora...”. Teatr „Kobra” odczuwał wyraźne braki scenariuszowe, skoro sięgał po nieco zleżale, trzeciologiczne zapasy tekstów z bratnich krajów socjalistycznych. Janek był dość zniesmaczony węgierskim tekstem i nawet dał mi go do przeczytania.

- I co? - zapytał, kiedy skończyłem.

- Szkoda, że zamiast do przeczytania nie dałeś mi tego do napisania - odpowiedziałem.

Była to dość arogancka uwaga, zważywszy, że właśnie oblałem egzamin na Wydział Operatorski Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej i Telewizyjnej w Łodzi. Dostałem się wprawdzie na pierwszy rok polonistyki UW, ale to miało mało wspólnego ze scenariopisarstwem. Janek najwidoczniej też tak sądził, bo uśmiechnął się sarkastycznie i powiedział: „Tak uważasz? No, to napisz!”.

Ambicja nie pozwoliła mi odpuścić. Ale przedtem podkreśliśmy ten węgierski *Rewolwer*, dopisując parę scen, a wyrzucając inne. I tak naprawdę ten beznadziejny *Rewolwer na deszczu* spełnił funkcję katalizatora. Dodał mi odwagi do spróbowania własnych sił i miał swój ciąg dalszy.

Wymyślanie i pisanie tej „Kobry” odbyło się w sierpniu 1973, właśnie na Węgrzech, w czasie wakacji nad Balatonem. Ponieważ już wtedy uważałem, że wszystko, co najlepsze, nie tylko w filmie, jest amerykańskie, nasza „Kobra” musiała być napisana przez autora o amerykańskim nazwisku. Już wcześniej przychodziło mi do głowy, że nazwisko Machulski wygląda właściwie na szkockie lub irlandzkie, szczególnie gdyby je zapisać jako Mac Hulski. Hm... nie wyglądało to zbyt anglosasko. A może Mac Hoolsky? Albo McHoolskee? Niby lepiej, ale ciągle nie to. Tak się zdarzyło, że akurat czytałem *Wielkiego Gatsby’ego* i jak na zawołanie natknąłem się w prozie Fitzgeralda na małżeństwo o nazwisku McKee! Uznałem to za dobry omen, skoro pojawiło się ono w kultowej amerykańskiej powieści. Potrzebowałem jeszcze odpowiedniego imienia na literę „J”. W owym czasie byłem zafascynowany filmami *Narkomani* i *Strach na wróble* Jerry’ego Schatzberga.

A więc Jerry McKee. I tak właśnie z piany Balatonu narodził się nowy amerykański autor. Kiedy już mieliśmy nazwisko, reszta poszła z górki. W ciągu miesiąca w czasie spacerów z ojcem po błotnistej trawie nad jeziorem, przy gulaszu w samoobsługowym barze w Balatonfüred i gry w kierki powstała *Śmierć w najszcześniejszym dniu*. I dlatego spytany przez szefową „Kobry”, jak znaleźliśmy tego autora, Janek odpowiedział: „Prawdę mówiąc, napisaliśmy te sztuki sami, ja z Julem... A właściwie to on napisał... Jul”. To prawda, że byłem tym, który stawiał litery na papierze, ale bez Janka jako sparingpartnera sztuka by nie powstała. To wyznanie spowodowało lekką konsternację pani Mariny Niecikowskiej - szefowej Teatru TV. Po chwili jednak pani Marina uśmiechnęła się i powiedziała, że przekaze te „amerykańskie” teksty dalej do zarządu redakcji. I żebyśmy byli dobrej myśli.

Byliśmy najlepszej myśli na świecie, a nasze szczęście nie miało granic. Natychmiast poszliśmy z tatą do aktorskiego klubu SPATiF w Alejach Ujazdowskich opić sukces naszych sequeli, tyle tylko, że nie wiedzieliśmy, że to się nazywa sequel. Piliśmy oczywiście węgierski *bikaver*.

Radość była przedwczesna. Innym członkom redakcji Teatru „Kobra” dzieła zebrane Jerry’ego McKee nie przypadły do gustu. Najprawdopodobniej najbardziej nie podobało się, że Janek miałby reżyserować i grać w dwóch następnych sztukach tę samą postać, co już zakrawało na serial. Nie dość, że pieniądze, to jeszcze popularność?! I żeby to jeszcze były amerykańskie sztuki! Ale nie! Skąd! To były jakieś podróbki! Jakies „polskie dzinsy”! I w dodatku napisane przez studenta polonistyki, który był synem reżysera!

- Za dużo nazwiska Machulski w jednym spektaklu... - perswadowała nam pani redaktor Katarzyna Sobol, motywując odmowę. To był oczywiście pretekst, ale w ten sposób skończył się nasz amerykański sen. Nie od rzeczy był też fakt, że redaktorzy wyjadacze z Teatru „Kobra” dali się nabrać 19-letniemu gówniarzowi. Przecież wszyscy kupili *Śmierć w najszcześniejszym dniu* jako pełnokrwisty amerykański kryminał nieistniejącego autora! Bo to, że autor widmo żył w PRL - u, strącało go/mnie na dno niebytu. Z takich samych powodów chyba Maciej Słomczyński podpisywał swoje „angielskie” kryminały jako Joe Alex, a Janusz Majewski swojego *Upiora w kuchni* - jako Patrick G. Clarke.

W czasach PRL - u wszyscy, którzy próbowali wziąć się do tego gatunku, czuli instynktownie, że nie powinno się to dziać w kraju, gdzie była milicja zamiast policji, bandyci mogli wyposażyć się jedynie w broń zakopaną w ogródku po II wojnie światowej, a od pieniędzy cenniejsze były układy i przynależność do PZPR. Czyli po co zabijać i co tu rabować? Zwłaszcza że w tamtych czasach w Ameryce więcej było towarów w koszu na śmieci niż u nas w delikatesach. Dlatego też kiedy już w trakcie studiów w szkole filmowej w Łodzi zabrałem się do pisania kryminału, wiedziałem, że muszę akcję umieścić w dwudziestoleciu międzywojennym - kiedy Polska była Polską, policjant policjantem, a złotówka wymienialna na dolara. Nie chciałem też robić laurki dla Milicji Obywatelskiej.

Ale per saldo *Śmierć w najszcześniejszym dniu* bardzo mi w zawodowym życiu pomogła. Przede wszystkim wielu widzom zapadła w pamięć. Kiedy w maju 1974 roku zdawałem tym razem na reżyserię do szkoły filmowej w Łodzi, większość profesorów z komisji egzaminacyjnej pamiętała tę bardzo amerykańską „Kobrę”, którą oczywiście nie omieszkalem się pochwalić. Nawet rok później, kiedy grałem w filmie *Personel*, Krzysztof Kieślowski przyznał się, że oglądając *Śmierć w najszcześniejszym dniu*, sądził, że ma do czynienia z oryginalnym produktem znad Potomacu. Ale najlepsze miało dopiero przyjść. Po wakacjach 1977 roku zanieśliśmy z Jankiem pani dyrektor Marinie Niecikowskiej nowo

napisany, tym razem w Bułgarii, scenariusz filmu retro. Na wszelki wypadek, żeby to źle nie zabrzmiało, zatytułowałem go *Kwinto - projekt scenariusza filmu kryminalnego*. Pani Marina świeżo po awansie z telewizyjnej „Kobry” urzędowała teraz na Krakowskim Przedmieściu jako dyrektor Naczelnego Zarządu Kinematografii. Następnego dnia poprosiła mnie do siebie. Przybyłem cały spocony, co też przyniesie ta rozmowa.

Pani dyrektor klepnęła ręką w pierwszą stronę mojego scenariusza i zapytała:

- Co pan tu napisał?

- Nooo... - zacząłem się tłumaczyć -...to jest taki kryminał retro o uczciwym kasiarzu i nieuczciwym bankierze...

- Wiem! Czytałam! - odparła Niecikowska. - Tylko tu na pierwszej stronie napisał pan, że to jest projekt scenariusza filmowego. Trzeba to poprawić.

- Oczywiście, poprawię. Gdyby pani zechciała podzielić się ze mną uwagami, zacznę poprawiać jeszcze dziś.

Gorliwie wyjąłem notes, odkręciłem wieczne pióro i zastygłem wyczekująco. Pani Marina zmarszczyła brwi, jakby nie rozumiała, o co mi chodzi. Wreszcie roześmiała się.

- Ja nie mam uwag! Trzeba tylko poprawić stronę tytułową.

Tym razem ja nie zrozumiałem.

- Aha... Coś z nią nie tak?

- To nie jest projekt scenariusza, tylko scenariusz! W dodatku najlepszy scenariusz, jaki czytałam w zeszłym roku. I jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, zamierzam go kupić.

Zaniemówiłem przez chwilę.

- Ach, to świetnie! I co dalej?

- Trzeba będzie zrobić z niego film. Kiedy pan kończy szkołę filmową?

- Za pół roku, w maju.

- No to niech pan się postara napisać, a potem szybko zrobić jakiś telewizyjny film. A *Kwinto* mógłby być pana debiutem kinowym.

Tym razem zaniemówiłem na dłużej.

- Nigdy o tym nie myślałem. Po prostu chciałem napisać scenariusz...

- No to niech pan zacznie o tym myśleć, panie McKee. - Pani Marina uśmiechnęła się i wyciągnęła dłoń na pożegnanie. Nie miałem wyjścia. Zacząłem myśleć o *Kwincie* jak o filmie, który miałem zrobić sam.

## 14.

### Wojna w wapnie

Yhm... - powiedział Jerzy Rutowicz, mierząc mnie uważnie od stóp do głów, po czym przeniósł wzrok na Ryśka i zobaczyłem, że w tym momencie jego twarz rozpodga się, jakby słońce wyszło zza chmury.

- Tak! Ten jest bardzo dobry! - wykrzyknął. - Wygląda jak Zbyszek Józefowicz w młodości!

- A ja? - spytałem nieśmiało.

- No, ty jesteś synem Janka, to się rozumie samo przez się... - odpowiedział Jerzy Rutowicz. - Chyba że masz brata, który jest bardziej do ojca podobny.

- Żadnego, o którym mi wiadomo - odpowiedziałem wymijająco.

- No to w takim razie do zobaczenia za tydzień we Wrocławiu.

Był kwiecień 1974 roku i właśnie przed chwilą wygraliśmy casting do filmu. Jerzy Rutowicz, wytrawny kierownik produkcji polskiej kinematografii, właśnie nas z Ryśkiem - a zwłaszcza Ryśka - zaakceptował. A to było tak. Mój ojciec Jan Machulski grał jedną z głównych ról w odcinku *Katastrofa* serialu TVP *Najważniejszy dzień życia*. Inżynier Urban, którego grał Janek, „dostawał retrospekcji” i przypominał sobie, jak to się stało, że wyszedł ze wsi i został inżynierem. Jego przyjaciel z młodości, dziś sekretarz POP PZPR towarzysz Łoś - grany przez Zbigniewa Józefowicza - ma z Urbanem same problemy. Po pierwsze: musi wyciągnąć Urbana z katastrofy górniczej w kopalni (Urban ma złamaną nogę i ledwo zipie - dlatego dostaje retrospekcji). Po drugie: musi coś zrobić ze swoją żoną, która puszcza się z Urbanem. Ten drugi problem powoduje, że Łoś być może nie bardzo się przyłoży do wyciągania Urbana z - dosłownie - bagna i może nawet go ukatrupić. Tak przynajmniej powinien myśleć widz i na tym polegał suspens w tym produkcyjniaku.



Obaj z Ryśkiem bardzo chcieliśmy zagrać w tym filmie. Rok wcześniej założyliśmy amatorski teatr/kabaret Pod Pachą i nasz aktorski apetyt rósł z programu na program. I właśnie wiosną 1974, kiedy ja szykowałem się do egzaminów na Wydział Reżyserii Filmowej, a Rysiek grzał się do matury, Jankowi Machulskiemu przyszło do głowy genialne w swojej prostocie rozwiązanie obsadowe: ojca w młodości zagra jego syn!

- A może masz jakiegoś kolegę blondyna? - spytał Janek. - Podobnego do Józefowicza?

- No... Rychu? - odparłem bez namysłu.

- Rychu może być - odpowiedział Janek po namyśle, a dalej poszło jak z płatka.

Kierownictwo produkcji *Katastrofy* zafundowało nam przelot samolotem. W podniosłych nastrojach 26 kwietnia wylecieliśmy do Wrocławia. Żaden z nas dotąd nie był w tym mieście ani nie grał w prawdziwym filmie. To nic, że film był telewizyjny. Kręciło się go na taśmie 16 mm i to już było powodem do dumy. A w dodatku Rysiek nigdy nie leciał samolotem! No, może samolotem to za dużo powiedziane, bo był to radziecki An-24, ale póki maszyna utrzymywała się w powietrzu, uchodziła za samolot. Kiedy zbliżaliśmy się do lądowania, z kabiny wyszedł jeden z pilotów, stanął na środku przejścia między rzędami i zaczął skakać, z całej siły uderzając nogami w metalową podłogę. Rysiek był zaintrygowany, a reszta pasażerów patrzyła na to, wstrzymując oddech. Po kilku skokach coś zgrzytnęło, zawarczało, pilot poprawił mundur i wrócił na swoje miejsce za sterami. Rysiek spytał stewardessę, co się stało. Odpowiedziała, że czasem są problemy z wypuszczeniem podwozia i wtedy trzeba skakać. Wtedy Rysiek spytał mnie, czy zawsze się tak ląduje. Odpowiedziałem, że nie wiem, bo pierwszy raz lecę do Wrocławia.

Na lotnisku w Strachowicach czekał już kierowca, żeby zawieźć nas na ulicę Wystawową do Wytwórni Filmów Fabularnych. Reżyser miał się z nami spotkać, ale ponieważ jeszcze nie wrócił z planu, kazano nam czekać w pokoju, w którym, jak się domyślaliśmy, przyjdzie nam spędzić noc. Zaczęliśmy się rozglądać z Ryśkiem, jak tu się ułożymy na tych dwóch ceratowych kanapach w pokoiku dwa metry na dwa. Dadzą pewnie jakąś pościel, a jak nie, to i koc wystarczy - myśleliśmy. Zajrzawszy pod kanapy, Rysiek dokonał niezwyklego odkrycia. Stało tam dziesięć skrzynek z wódką.

- W życiu nie widziałem tyle wódki naraz! Nawet w sklepie - powiedział Rysiek.

- W końcu jesteś w wytwórni filmowej! W fabryce snów, nie? - odpowiedziałem.

W tym momencie drzwi się otworzyły i wszedł niewysoki, czterdziestokilkuletni, siwy mężczyzna. Powiedział, że jest reżyserem i nazywa się Ryszard Ber. Popatrzył na nas spod przymrużonych powiek. Najpierw na mnie, i pokiwał głową, a potem na Ryśka, i rozchmurzył się.

- Zbyszek Józefowicz jak żywy! Tylko 30 lat młodszy!

A kiedy zauważył, że spoglądamy na wódkę pod kanapami, machnął ręką lekceważąco.

- Tym się nie przejmujcie. Mam dziś imieniny.

Natychmiast złożyliśmy mu życzenia, a ja spojrzałem na Ryśka z wyrzutem.

- A ty co? - szepnąłem mu na ucho.

- Ja miałem 3 kwietnia! - odszepnął.

- Zaprowadzę was do charakteryzatorni - powiedział reżyser i poszliśmy długimi korytarzami, słuchając po drodze, jak solenizant opowiada nam nasze role.

- Przyjeżdżacie ze wsi do miasta w 1950 roku, wstępujecie do Służby Polsce i dlatego musicie mieć krótsze włosy.

W czasie kiedy doświadczony charakteryzator Zbigniew Dobracki nas strzygł, Ryszard Ber skończył opowieść dotyczącą naszych retrospekcji w filmie. Czekaly nas cztery sceny: *Przyjazd*; *Partyjny wiec*; *Zabawa w remizie* i *Bójka z bikiniarzami*. Szczególnie na tę ostatnią scenę zastrzygliśmy uszami. Zapowiadał się dzień zdjęciowy pełen wrażeń.

- I nie martwcie się - powiedział reżyser - scenariusz jest do dupy, ale film będzie dobry!

Tak pocieszeni, zwłaszcza tym, że wypłacono nam diety, daliśmy się zawieźć - ku naszemu zdziwieniu - do supernowoczesnego jak na owe czasy, a dziś nieistniejącego hotelu Panorama. Rzuciliśmy bagaże i ruszyliśmy na miasto w poszukiwaniu baru mlecznego, bo byliśmy już bardzo głodni. Przy porcji klusek z serem przejrzelśmy miejscową prasę i odkryliśmy, że w Teatrze Kameralnym grają *Na pełnym morzu* Sławomira Mrożka! Sztukę, do której mam wielki sentyment z kilku powodów. Przede wszystkim byłem na jej prapremierze 11 lat wcześniej. Jankowi - który wprowadził mnie w świat Mrożka - udało się ubłagać Mistrza, by zgodził się na prapremierę swojej sztuki na eksperymentalnej scenie Reduta 61 w Lublinie. To była wielka sprawa, bo dopiero dwa tygodnie potem odbyć się miała warszawska galowa premiera w Teatrze Współczesnym, który był okrętem flagowym Sławomira Mrożka.

Od niedawna mieliśmy z Ryśkiem tę sztukę na tapecie w naszym amatorskim teatrze, więc musieliśmy zobaczyć konkurencję. Ulicę Świdnicką, na której mieści się Scena Kameralna, znaleźliśmy bez trudu i, o dziwo, były jeszcze bilety. Wyczerpani emocjami dnia z rozkoszą oddaliśmy się purnonsensowi sztuki, w której trzech rozbitków na tratwie w obliczu wyczerpania zapasów żywności zaczyna rozumieć, że aby przeżyć, muszą zjeść któregoś z nich. Wrocławski tercet aktorski Józef Skwark - Andrzej Gazdeczka - Igor Przegrodzki grał to samo co my z przyjaciółmi na gościnnej scenie Teatru Ochoty w Warszawie. Po kilku minutach zrozumiałem, że nie do końca to samo. My, amatorzy, graliśmy słowo w słowo to, co napisał autor. Wrocławscy zawodowcy natomiast wypowiadali, co im ślina na język przyniosła. Niby sens był podobny, ale słowa i szyk zdań niekoniecznie.

Ostrzyżeni na lata 50. siedzieliśmy z Ryśkiem na widowni, ze zgrozą przyglądając się, jak profesjonaliści mordują Mrożka. No bo nie może być tak, że słowa, które autor świadomie i starannie dobierał w długim procesie twórczym, zmieniają się nagle, bo aktorzy mają kłopot z pamięcią albo z braku skupienia wyskakuje im z ust inny, najczęściej przypadkowy zestaw wyrazów.

I tak zamiast na przykład kwestii: „Lepiej znajdziemy inne wyjście. Jesteśmy ludźmi

cywilizowanymi. Losowanie to pozostałość z epoki ciemnoty”, aktor mówił: „Trzeba znaleźć lepsze rozwiązanie. Przecież jesteście kulturalnymi ludźmi. Loteria to zabobon z epoki kamienia łupanego”. Niby podobne, ale jakże inne.

Później, już w dorosłym życiu na planie filmowym zdarzało mi się, że niektórzy aktorzy rozpuszczeni i przyzwyczajeni do niechlujstwa w wypowiedaniu kwestii na scenie - byle na temat i byle do przodu - nagle stawali bezradni, kiedy wymagałem od nich, żeby grali przed kamerą tekst tak, jak został napisany. Cierpliwie wyjaśniałem, że autor scenariusza zastanawiał się o wiele dłużej nad tym, jak powinien brzmieć dialog, niż nieskoncentrowany aktor, który właśnie wpadł na plan pomiędzy próbą a popołudniówką w teatrze. Do dziś wymagam tekstu co do litery - chyba że wpadnie mi przed ujęciem do głowy lepszy dialog.

Zdruzgotani nonszalanckim potraktowaniem bądź co bądź najlepszego naszego współczesnego dramaturga wróciliśmy do hotelu, żeby wyciszyć się przed zdjęciami.

Następnego dnia pierwsze ujęcie polegało na tym, że wyskakiwaliśmy z pociągu na socjalistycznej budowie, by podejść do majstra, który zapisywał ochotników do pracy. Rysiek miał powiedzieć: „Myśmy chcieli do pracy”. Na co majster, grany przez Andrzeja Mrozka, odpowiadał: „Tu jest ciężka robota, tu się lagą gruch nie strąca!”. Ja na to, że rozumiemy i jesteśmy gotowi na każdą pracę. Po czym ładowaliśmy się do ciężarówki i odjeżdżaliśmy z innymi zetempowcami w kierunku hotelu robotniczego.

To wszystko było kręcone w jednym długim ujęciu przewodnim. Kiedy zrobiliśmy już próbę i poszła kamera, majster Mrozek - dla żartu prawdopodobnie, bo stał tyłem do kamery - odpowiedział Ryškowi w te słowa: „Tu jest ciężka robota, tu się ch... gruch nie strąca”. Cokolwiek nas to zmieszało, nie bardzo, ale cokolwiek. Do tego stopnia, że się roześmialiśmy trochę nie na temat. Oczywiście czar prysł, pieczołowicie przygotowane ujęcie zostało przerwane. Reżyser poprosił nas o profesjonalne podejście. My poprosiliśmy o to samo Andrzeja Mrozka i jakoś się udało. Sceny wiecu i potańcówki przeszły bezszmerowo.

Na koniec dnia zdjęciowego została bitwa w wapnie (!) naszej grupy w mundurach Służby Polsce z bikiniarzami w kolorowych skarpetkach. Mimo że bójka odbywała się na niby, wapno było prawdziwe. Spytałem, czy jest bezpiecznie. „Spokojnie!” - odpowiedział kierownik planu. „To wapno gaszone!”. Nie bardzo wiedziałem, jakie mogłoby być inne, ale

żeby nie wyjść na dupka, kiwnąłem głową, że jest OK. No i się zaczęło!

Mój przeciwnik tak się wczuł w sytuację, że rzeczywiście usiłował mnie w tym wapnie udusić. Musiałem strzelić go z byka, żeby poluzował chwyt. W końcu wszystko dobrze się skończyło poza tym, że pod prysznicami w wytwórni była tylko zimna woda. Zmęczeni, ale szczęśliwi wróciliśmy do hotelu, gdzie do późnych godzin nocnych szorowałem się z gaszonego wapna, które zdołało wedrzeć się dosłownie wszędzie.

Następnego dnia w samolocie do Warszawy myślami byłem już przy egzaminach na reżyserię filmową, nie mając pojęcia, że wrócę tu za dziesięć miesięcy grać główną rolę w filmie Krzysztofa Kieślowskiego *Personel*. A w jednej ze scen partnerować mi będzie Andrzej Gazdeczka, aktor z *Na pełnym morzu*, któremu nie wspomnę o tym, że widziałem, jak kaleczyli Mrożka.

W czasie lotu w pewnym momencie Rysiek zapytał mnie:

- Myślisz, że też dałbym radę zdawać do tej szkoły filmowej?

- Powiem ci, jak sam się dostanę - odpowiedziałem, nie przypuszczając, że w niedalekiej przyszłości zrobimy razem sześć filmów fabularnych i dwa seriale.

Nikt dotąd o tym nie napisał - recenzenci filmowi skupiają się na rzeczach drugorzędnych - ale to właśnie Rysiek Zatorski jest jednym z nielicznych reżyserów polskich, którzy uczestniczyli w powstaniu siedmiu filmów z ponadmilionową widownią. Jako asystent reżysera pracował przy *Vabanku* i *Seksmisji*, jako scenarzysta przy *Kilerze*, *Kilerach 2-óch*, a jako scenarzysta i reżyser nakręcił *Nigdy w życiu*, *Tylko mnie kochaj* i *Dlaczego nie?*.

Nie jestem pewien, czy to wszystko nie zaczęło się właśnie od tej bijatyki w wapnie, 37 lat temu, we Wrocławiu.



15.

### **Kryptonim „Szafa”**

Muszę pilnie rozmawiać z panem dyrektorem... szefem!

- W jakiej sprawie? - damski głos po tamtej stronie słuchawki był uprzejmy w sposób dający do zrozumienia, że ta uprzejmość jest na kredyt, który właśnie zaczyna topnieć. Była wczesna jesień 1976 roku, stałem w gmachu F telewizji na Woronicza, kurczowym uściskiem rozgrzewając do czerwoności słuchawkę automatu telefonicznego. Od tygodnia próbowałem dodzwonić się do telewizyjnego guru, który rządził Studiem 2. Było to nieosiągalne, przynajmniej dla takich śmiertelników jak ja.

- Powiem, jak pani mnie z nim połączy!

Kobieta po drugiej stronie nie usłyszała albo udała, że nie usłyszała.

- Halo? W jakiej sprawie? I można wiedzieć, kto mówi? - głos dawał do zrozumienia, że tylko skrajny profesjonalizm powoduje, że jeszcze ze mną rozmawia.

- W sprawie niecierpiącej zwłoki!

- A kto mówi?

Przedstawiłem się. Dla niej nadal byłem nikiem, ale przynajmniej nikiem z nazwiskiem. Po drugiej stronie zapanowała pełna zamyślenia cisza, po czym po chwili odezwał się lekko

znieczepliwiony, chropawy męski głos.

- Mariusz Walter, słucham!

Byłem tak zaskoczony, że mam wreszcie szansę porozmawiać z najważniejszym szefem Studia 2, że wypaliłem:

- Roman Polański!

Po drugiej stronie przez ułamek sekundy wyczułem zmieszanie.

-...że... kto mówi?!

- Mam świetny pomysł na film dokumentalny o Romanie Polańskim!

- A kto pan jest?!

- Studentem trzeciego roku reżyserii filmowej w Łodzi.

- I to jest ta niecierpiąca zwłoki sprawa?!

- Tak... Nie... No, nie wiem...

- Wie pan, że przez pana przerwałem redakcyjne kolegium? Dwanaście poważnych osób na mnie czeka!

Czułem, że rozmowa zbliża się do końca, więc rzuciłem na szalę wszystko, co miałem.

- Wiem, że lada dzień pan Roman Polański zjawi się w Polsce! Spotkałem go miesiąc temu w Paryżu. Obiecał, że się zgodzi... i myślałem, że to dobry pomysł, żeby zrobić film o jego powrocie po latach do kraju... Halo?

Zapytałem na wszelki wypadek, bo wydało mi się, że mówię do głuchej słuchawki, ale

mój rozmówca nie zakończył rozmowy, tylko rozważał jakieś opcje. A może zastanawiał się, czy nie blefuję.

- To jest świetny pomysł. Kupuję go. Niech pan się zgłosi do mojego zastępcy. Z nim uzgodnicie szczegóły - powiedział Mariusz Walter i zakończył rozmowę.

Byłem oszołomiony. Wierzyłem w powodzenie misji, ale szybkość, z jaką się to stało... Nie mogłem w to uwierzyć! Wysuplałem następne 50 groszy i kolejny telefon wykonałem do Roberta Glińskiego, kolegi z reżyserii z roku niżej. Powiedziałem mu, że mamy zgodę Mariusza Waltera i teraz przed spotkaniem z jego ludźmi powinniśmy nasz pomysł przelać na papier, czyli napisać scenariusz filmu dokumentalnego.

Robert rzucił wszystko i po kilku wspólnych nasiadówkach mieliśmy potrzebny dokument filmowy. Czego w nim nie było! I Sopot, gdzie dwaj ludzie noszą szafę, i Ściek, czyli popularny klub filmowców na Trębackiej, i schody w łódzkiej szkole filmowej, i Mazury, gdzie kręcono *Nóż w wodzie*. We wszystkich sytuacjach miał występować Roman Polański osobiście, a czasem mieli towarzyszyć mu przyjaciele i koledzy z młodości: Henryk Kluba, Janusz Morgenstern, Leon Niemczyk. Przewidywaliśmy około 14 dni zdjęciowych, w których nasz bohater zajęty byłby od rana do nocy.

Od razu z dumą pokazaliśmy scenariusz Krzysztofowi Kieślowskiemu. Krzysztof przejrzał kilkudziesięciostronicowy egzemplarz ze zdumioną miną.

- Co wyście tu, kurna, wysmarowali?! Co to jest?

- Scenariusz filmu, no... dokumentalnego...

- Scenariusz filmu dokumentalnego ma dwie, góra trzy strony! A to jest jakaś zaszrana praca doktorska!

Ponieważ bardzo cenilem sobie zdanie Krzysztofa, zwłaszcza w kwestiach projektów dokumentalnych, zmartwiłem się.

- Myślisz, że Walter to odrzuci?



Krzysztof się roześmiał. Wyczuł, że jego prostolinijne opinie robią zamierzone wrażenie.

- Odrzuci? A co on jest - jakąś komisją? Skoro powiedział, że kupił temat, to go kupił. Wiesz, co jest dla niego w tym wszystkim najważniejsze?

Nie wiedziałem.

- To, że poznałeś go osobiście - Kieślowski popatrzył na mnie uważniej, mrużąc oczy.  
- Rzeczywiście poznałeś go?

Skromnie kiwnąłem głową i opowiedziałem, jak to los był dla mnie łaskawy, że podczas wakacji w Paryżu udało mi się przy pomocy znajomych rodziców z polskiej sekcji UNESCO dotrzeć do Romana Polańskiego, mojego filmowego idola. Spotkanie umówiła młoda i pełna wdzięku Irena Strzałkowska, prawa ręka szefa polskiej sekcji UNESCO. Spotkaliśmy się w kawiarni na placu du Palais Bourbons, gdzie mieści się redakcja paryskiego „Vogue’a”. Byłem rozemocjonowany jak nigdy w życiu. Czułem dosłownie, jak adrenalina wylewa mi się uszami. Przed wyjazdem z Polski obejrzałem *Chinatown*, dwa dni wcześniej w Paryżu *Dziecko Rosemary*, a teraz miałem przed sobą ich autora, najprawdziwszego Romana Polańskiego, w szarej jedwabnej koszuli z monogramem. Na szyi miał złoty łańcuch ze swoim znakiem zodiaku Lwem. Obok medalika wisiały dwie złote obrączki. Domyśliłem się, że jedna musiała należeć do Sharon Tate.

Siedzieliśmy sobie w kawiarnianym ogródku, wielki reżyser pił herbatę i rozmawiał ze mną o szkole filmowej w Łodzi i twórczości dramatycznej Petera Shaffera, którą był zafascynowany. Chwalił najnowszą sztukę autora *Czarnej komedii - Equus*. Czego mogło mi brakować do szczęścia? Projekcji *Lokatora*, najnowszego filmu, który zszedł już z paryskich ekranów. Roman Polański obiecał, że zorganizuje specjalny pokaz, i dwa dni później w paryskiej siedzibie Paramountu zobaczyłem także ten film. A wcześniej umówiliśmy się, że jak przyjedzie jesienią do Polski, to będę mógł o nim zrobić film dokumentalny.

No i właśnie teraz, dzięki uprzejmości szefa Studia 2, taki film miał powstać. Kieślowski życzył nam szczęścia i sobie poszedł, a my z Robertem Glińskim zaplanowaliśmy

szczególności operacji o kryptonimie „Szafa”.

Ponieważ nie była znana data przyjazdu reżysera, telewizja obiecała, że będziemy mieli do dyspozycji tak zwaną alarmową kamerę, która zawsze jest w gotowości, jakby coś się działo. Z logistyką właśnie mieliśmy najwięcej trudności. Wprawdzie nasz człowiek w Paryżu - Irena Strzałkowska - był w stałym kontakcie z avenue Montaigne, gdzie mieszkał Roman Polański, ale ciągle nie było wiadomo, kiedy reżyser jesienią przyjedzie. Zaczynaliśmy z Robertem powoli tracić wiarę w przedsięwzięcie, a redaktorzy od Mariusza Waltera patrzyli na nas z coraz bardziej ironicznym uśmiechem pod tytułem „I znowu główniarzom z Łodzi nie wyszło”. W daremnej tęsknocie za tym filmem ujrzeliśmy koniec roku.

31 grudnia umówiliśmy się z Robertem Glińskim na premierę *Płatonowa* w Teatrze Narodowym. Staliśmy w foyer teatru, popijając polo-cocktę, mając nadzieję, że nadchodzący rok będzie lepszy.

- Pomyśl, Robert, jaki to mógł być piękny rok...

- Mógł być. Gdyby Polański przyjechał - przytaknął Robert. I właśnie wtedy, tuż przed nami, wyrósł niewysoki mężczyzna w krótkiej futrzanej kurtce, dobrze się na tym nie znam, ale chyba z jenotów. Dotąd nie widziałem w życiu mężczyzny w futrze. Zaniemówiłem. Także dlatego, że to był on! Prawdziwy Roman Polański w towarzystwie Krystyny i Janusza Morgensternów. Walnąłem Roberta łokciem w bok.

- Jest! Przyjechał! - pokazałem głową oddającego do szatni futro mężczyznę. Robert zakrztusił się polo-cocktą.

- Szkoda, że nie uprzedził! Nie mamy kamery!

Zrozpaczeni patrzyliśmy, jak obiekt naszych filmowych nadziei znika na marmurowych schodach Teatru Narodowego.

Na premierze byli również moi rodzice, więc ojciec podszedł do Morgensterna i Polańskiego, a ja z nim. Roman poznał nas dzięki temu, że była wówczas z nami także moja

dziewczyna, która towarzyszyła mi wtedy w Paryżu.

- Pani ścięła włosy! - zauważył reżyser.

- Idź i namów go! - syczał do mnie na boku Robert.

- Jak namów? Na co? Może on przyjechał tylko na sylwestra?

- Musisz podejść i przypomnieć mu o filmie! I że jesteśmy przygotowani!

- Nie mamy kamery!

- Jak się zgodzi, kamera się znajdzie!

Wiedziałem, że Robert ma rację, ale jakoś niezręcznie było mi nagabywać pana Romana w sylwestrowy wieczór.

- Dlaczego ja? - broniłem się.

- Bo ty go dłużej znasz!

Robert miał rację. Nie cierpiałem takich misji, ale wiedziałem, że nie mam wyjścia. Zbierałem się do tego cały pierwszy akt i sztuki w ogóle nie pamiętam. W przerwie podszedłem na sztywnych nogach do mojego idola i w desperacji obejmując ramieniem jego aksamitną marynarkę, niby mimochodem zapytałem, czy miałby coś przeciw temu, abyśmy korzystając z jego pobytu w Warszawie, zrobili o nim krótki, 40-minutowy film dokumentalny. Polański spojrział na mnie z prawdziwym niepokojem.

- Co pan, co pan?! Ja tu jestem prywatnie! U przyjaciół na sylwestra! Nie mam czasu na żadne filmy!

Byłem załamany, a on to zauważył. Widocznie zrobiło mu się mnie żal, bo poklepał mnie po plecach.

- Głowa do góry! Przyjadę w przyszłym roku, to wtedy się spotkamy! I może nawet uda się coś nakręcić?

Nadzieja powróciła.

- Kiedy w przyszłym roku? - zapytałem, nie wierząc we własne szczęście.

- Na wiosnę. Zrobię tylko reportaż dla „Vogue’a” w Hollywood i w kwietniu będę z powrotem w Polsce.

Podniósł mnie na duchu. Drugi akt oglądałem już spokojniej, zauważyłem nawet, że Płatonowa grał Zdzisław Wardejn. Po spektaklu razem z Robertem Glińskim życzyliśmy Romanowi Polańskiemu szczęśliwego roku 1977, sobie szczęśliwego filmu w nowym roku i podbudowani rozjechaliśmy się każdy na swojego sylwestra.

Niestety. Roman Polański nie przyjechał w kwietniu do Polski. W Stanach zatrzymały go pewne sprawy. Kiedy po latach zjawiał się znowu, ani ja, ani Robert nie mieliśmy głowy do filmów dokumentalnych, zajęci swoimi filmami fabularnymi. Zresztą zapodziliśmy gdzieś nasz scenariusz w formie pracy doktorskiej. Od tej pory upłynęło przeszło 30 lat, każdy z nas zrobił po kilkanaście filmów fabularnych, a Robertowi Glińskiemu udało się nawet zostać rektorem łódzkiej szkoły filmowej. Irena Strzałkowska wróciła z Paryża i od lat jest prawą ręką Krzysztofa Zanussiego w Studiu Filmowym „Tor”. Mariusz Walter zrezygnował z telewizji publicznej i stał się właścicielem swojej prywatnej telewizji. Tymczasem sprawy, które zatrzymały Romana Polańskiego w Ameryce w 1977 roku, trzymają go do dziś. Bardzo boleję nad taką złośliwością losu.

## 16.

### Podarowana historia

We wrześniu 1977 roku skończyłem pierwszą wersję skromnego scenariusza pod tytułem *Kwinto*. Opowiadał on historię zemsty uczciwego kasiarza na nieuczciwym dyrektorze banku. Całość utrzymana w konwencji retro miała wiele wdzięku, ale z powodu umieszczenia akcji w 1934 roku wymagała wysokiego budżetu. Byłem już po trzecim roku szkoły filmowej i miałem nadzieję, że *Kwinto* spodoba się jakiemuś doświadczonemu reżyserowi. O tym, że samemu uda mi się zadebiutować tym scenariuszem, nawet nie marzyłem. Chciałem po prostu zaistnieć jako scenarzysta, aby starając się w przyszłości o debiut, mieć na koncie jakieś profesjonalne osiągnięcie. Pokazałem scenariusz Januszowi Majewskiemu, który właśnie skończył mroczny kryminał retro pod tytułem *Sprawa Gorgonowej*. Janusz pochwalił mój tekst, ale powiedział, że ma inne plany na przyszłość. I żebym może sam zrealizował scenariusz, przerabiając go nieco na Teatr Telewizji. Tego w ogóle nie brałem pod uwagę.

- Bardzo pana przepraszam, może to zabrzmie nieskromnie, ale wołałbym, żeby to była fabuła do kin.

Janusz Majewski, człowiek, który wiedział wszystko o filmach na temat dwudziestolecia międzywojennego w Polsce, pokiwał głową:

- No to musisz się spieszyć, bo podobny film o kasiarzu właśnie jest w zdjęciach.

Oblał mnie zimny pot.

- Jaki podobny film?! - ledwo zdołałem wyszeptać.

- Zdaje się, że się nazywa *Halo, Szpicbródka!* - odpowiedział pan Janusz.

Opuściłem głowę i zabrałem swój nieszczęsny, spóźniony scenariusz z mahoniowego biurka reżysera. Byłem zdruzgotany. Moja kariera scenarzysty właśnie się skończyła. Miałem

niejasne przeczucie, że film o kasiarzu w przedwojennej Warszawie wisiał w powietrzu, ale ludziłem się, że to tylko głupie obawy. Podziękowałem mojemu filmowemu mentorowi za rady i opuściłem jego willę na ulicy Fortecznej na Żoliborzu. Przez następną godzinę, jadąc tramwajem na Ochotę, przemyślałem sprawę raz jeszcze i kiedy wysiadałem przy Korotyńskiego, gdzie mieszkalem z rodzicami, wiedziałem, że nie będę przyjmował „nie” jako odpowiedzi. Niedługo potem mój ojciec, spotkawszy przypadkiem Stanisława Różewicza, szefa Zespołu Filmowego „Tor”, napomknął mu o scenariuszu *Kwinty* i pan Stanisław zgodził się go przeczytać. Tydzień później Witold Zalewski, kierownik literacki Toru, zadzwonił i umówił się ze mną na spotkanie.

Jechałem do siedziby Zespołów Filmowych z bijącym sercem. Pomyślałem, że jeśli im się scenariusz spodoba, zagram *va banque* i poproszę Tor, by *Kwinto* był moim debiutem reżyserskim. W owych czasach była to dość bezczelna prośba. Mniej więcej tak, jakby nowicjusz, który nie skończył jeszcze kursu szybowcowego, poprosił o pilotowanie pasażerskiego jumbo jeta. W starych, bezwzględnych i wymagających czasach komunizmu istniał bowiem regulamin debiutu w filmie fabularnym. Warunkiem były dwie asystentury w fabule u innych reżyserów oraz zrealizowany przynajmniej jeden film telewizyjny. Wcześniej, w marcu tego roku, byłem asystentem Janusza Kijowskiego przy filmie *Indeks*. Zrozumiałem, że nawet jeśli uda mi się odbębnić jakoś drugą asystenturę, to zajmie mi przynajmniej rok, zanim zrobię film telewizyjny. Na spotkaniu na drugim piętrze przy ulicy Puławskiej 61 oprócz Witolda Zalewskiego był obecny Włodzimierz Śliwiński - szef produkcji. Zrozumiałem, że traktują sprawę poważnie.

- Pryncypałowi scenariusz się raczej podobał... - zaczął ostrożnie pan Witold. Odetchnąłem z ulgą.

-...i pan Stanisław Różewicz widzi w nim wspaniały materiał na film dla Marka Piwowskiego - pan Zalewski zrobił pauzę. - Cieszy się pan?

- Tak, oczywiście, cieszę się, albowiem bardzo sobie cenię twórczość pana Marka Piwowskiego... - powiedziały usta, ale oczy i reszta twarzy mówiły co innego. Witold Zalewski był zbyt doświadczonym zawodowcem, by tego nie zauważyć.

- Widzę, że nie za bardzo. To czego by pan po nas oczekiwał, jeśli wolno zapytać?

Nabrałem powietrza w płuca i wypaliłem:

- Prawdę mówiąc, chciałbym zrobić ten scenariusz sam, jako debiut.

Obaj panowie obejrzeni mnie sobie jeszcze raz, od stóp do głów. Nawet ja musiałem przyznać, że to, co zobaczyli, nie napawało otuchą. Przed wytrawnymi producentami stał chudy 22-latek z grzywą opadającą na okulary, typowy *nerd*, czyli gamoń. Pan Witold westchnął i spojrzał na pana Włodzimierza.

- Ten film dzieje się w 1934 roku. I powinien zrobić go ktoś, kto pamięta tamte czasy... - oznajmił pan Śliwiński. -...na przykład Marek Piwowski.

Uznałem, że czas popisać się filmową erudycją.

- Ale pan Marek Piwowski urodził się dopiero w 1935 roku.

Witold Zalewski spojrzał na mnie już mniej przyjaźnie:

- Tak czy owak, coś tam może pamiętać. Więcej niż pan w każdym razie. Ale przede wszystkim jest znakomitym i doświadczonym reżyserem. Powinien się pan cieszyć.

Jakoś nie mogłem i brnąłem dalej.

- A nie wydaje się panom, że pan Piwowski nadaje się bardziej do obyczajowych filmów typu *Rejs* czy *Przepraszam, czy tu biją?* - odparłem dość bezczelnie.

Witold Zalewski odłożył mój scenariusz na biurko. Nic nie odpowiedział. Za to odezwał się Włodzimierz Śliwiński:

- Czy zna pan regulamin debiutów?

- Oczywiście.

- I spełnia go pan?

- Nooo... za pół roku kończę wydział reżyserii i mam odbyłą jedną asystenturę.

Panowie ponownie spojrzeli po sobie, dając do zrozumienia, że ich najgorsze obawy się sprawdzają.

- Wie pan, że trzeba mieć dwie asystentury i film telewizyjny? - spytał retorycznie pan Zalewski.

- Wiem, i jeśli panowie dacie mi na to rok, to spełnię wszystkie wymagania. Ale na razie chciałbym wiedzieć, że zgadzacie się, abym ja zrobił u was debiut.

Pan Włodzimierz spojrział przez okno na ruchliwą ulicę Puławską, a pan Witold przesunął scenariusz na biurku w moją stronę. Zrozumiałem, że spotkanie się skończyło. Nikt więcej już nic nie powiedział. Wyszedłem lekko przybity kolejnym fiaskiem.

Zrozumiałem, że muszę pisać dalej, ale tym razem muszę napisać scenariusz filmu telewizyjnego. Taki na 50 minut. Ale jaki? Kompletnie nie miałem pomysłu! Czułem się, jakby *Kwinto* wyczerpał mi wyobraźnię. Wiedziałem tylko, że po kryminale retro chciałbym wziąć się do gatunku science fiction, jednocześnie zdając sobie sprawę, że jest to gatunek, który nie przybliżył mnie do telewizyjnego debiutu. Strasznie starałem się wymyślić coś współczesnego i nic nie przychodziło mi do głowy. Teraźniejszość była siermiężna, beznadziejnie nudna i zupełnie nieinspirująca. „Trudno - pomyślałem. - Czort z debiutem telewizyjnym! Będę pisał, co mi serce dyktuje”. Wiedziałem, że to musi być science fiction, nie wiedziałem tylko, o czym bym chciał opowiedzieć.

W październiku pojechałem z delegacją szkoły filmowej na CILECT - Cykliczne Spotkania Europejskich Szkół Filmowych - do Budapesztu. Wziąłem ze sobą książkę *Prognozy w nauce XXI wieku* z nadzieją, że znajdę w niej coś, co mnie zapłodni. Nim pociąg dotarł do Koluszek, gdzie dosiadł się kolega z roku niżej Adek Drabiński, w rozdziale o genetyce wyczytałem o partenogenezie i o tym, że właściwie kobiety mogą rozmnażać się same. Świat bez mężczyzn? Zrozumiałem, że mam pomysł na film. Nie film telewizyjny, którego mi było trzeba, ale dużo, dużo lepszy! Na ziemi żyją same kobiety, niemające



pojęcia, że może być inaczej. Od razu przyszło mi do głowy zakończenie. Jakimś trafem - nie wiedziałem jeszcze jakim - rodzi się chłopiec. Położna odbierająca poród krzyczy z przerażenia na widok jedyne go szczegółu odróżniającego w tym wieku chłopca od dziewczynki. Po cichu miałem nadzieję, że studenckie etiudy w Budapeszcie jakoś mnie zainspirują do znalezienia tematu na współczesny film.

Tydzień na Węgrzech minął szybko, głównie na próbowaniu z Adkiem węgierskiej palinki i oglądaniu etiud studenckich. Bez palinki - owocowej wódki - byłoby to prawie niemożliwe. Jak powiedział w Australii w swoim wstępnym wykładzie na otwarciu CILECT - u rektor szkoły filmowej profesor Jerzy Toeplitz, studenckie filmy dzielą się na trzy kategorie: TL, MTL i VMTL. Co znaczy: *too long* - za długie, *much too long* - o wiele za długie, i *very much too long* - o bardzo wiele za długie.

Wróciłem do Warszawy zdeprimowany, że czeka mnie syzyfowa praca - poszukiwanie tematu na współczesny film telewizyjny. Od progu przywitała mnie mama z tajemniczą miną.

- Słuchaj! Co myśmy tu przeżyli, jak ciebie nie było! - i opowiedziała mi o tajemniczym telefonie, który zadzwonił pewnej nocy. W słuchawce słyhać było tylko głos starej kobiety proszący o ratunek. Mama rozpoznała w nim głos swojej mamy, a mojej babci Zosi mieszkającej w Łodzi. Ponieważ nie mogła się z nią dogadać, poprosiła ojca, żeby zatelefonował do jej siostry, mojej ciotki, również mieszkającej w Łodzi, aby wezwała do babci pogotowie. Sama tymczasem złapała taksówkę - nie mieliśmy wtedy samochodu - i pojechała nocą do Łodzi. Taksówkarzem okazał się podrywacz gawędziarz, który przez całą drogę opowiadał jej jakieś pierdoły, żeby skrócić czas podróży. Kiedy dojechali, taksówkarz powiedział, że zaczeka. Mama przygotowana, że zostanie na noc i że będzie towarzyszyć babci w szpitalu, kazała mu wracać. A on, że przecież będzie wracał do Warszawy, a mama i tak zapłaciła za kurs w obie strony. I że jakby co, jest do dyspozycji.

Mama wpadła do mieszkania babci, budząc ją w środku nocy. Okazało się, że to nie ona dzwoniła. Że czuje się świetnie. Kilka chwil później przyjechało pogotowie, wezwane przez Sławka, mojego ciotecznego brata. Sprawa się wyjaśniła i moja mama wsiadła z powrotem do tej samej taksówki i wróciła do domu, nie dając się poderwać taksówkarzowi.

- I do dziś nie wiemy, kto wtedy do nas dzwonił! - zakończyła opowieść.

Ucałowałem ją i powiedziałem, że właśnie podarowała mi historię, której szukałem. Scenariusz napisałem błyskawicznie, nazwałem go *Bezpośrednie połączenie* i udało mi się go zrealizować w cyklu *Opowieści rodzinnych* Zespołu Filmowego „X” Andrzeja Wajdy w lutym 1979 roku. Moją mamę zagrała Ewa Żukowska, tatę Włodzimierz Press, ciotkę zagrała moja mama, taksówkarza Ryszard Kotys, a w roli mojego ciotecznego brata Sławka zadebiutował kolega z wydziału aktorskiego szkoły filmowej Jacek Koman. Później Jacek wyjechał do Australii i usłyszeliśmy o nim ponownie dopiero wtedy, gdy zagrał w filmie *Moulin Rouge* u boku Nicole Kidman. 30 lat zleciało jak z bicza trząśł i oto Jacek znowu jest w Polsce i po raz drugi gra u mnie, tym razem w filmie *Kołysanka*, który właśnie skończyłem kręcić na Mazurach. Z nostalgią wspominaliśmy w przerwie zdjęć w skansenie w Olsztynku ten debiutancki dla nas obu film. Kręciliśmy go w ekstremalnych warunkach: nocą, w zimowym plenerze, w czasie tzw. klęski żywiołowej. A wtedy, 32 lata temu, kiedy już nacieszyłem się tym, że mam temat na telewizyjną fabułę, powiedziałem mamie:

- Gdybym był wtedy tu razem z wami, przede wszystkim zadzwoniłbym do babci, żeby sprawdzić, czy to na pewno ona. Wszystko by się wyjaśniło i nie musiałabyś do niej niepotrzebnie jechać po nocy.

Mama zastanowiła się chwilę i uśmiechnęła tajemniczo:

- Ale wtedy nie miałbyś tematu na film...

17.

### Gorączka mleka

Siedziałem w luksusowej francuskiej restauracji przy stoliku wielkości znaczka pocztowego i czekałem na swoje menu gourmet. Był 20 stycznia 1978 roku, Francję odwiedzałem po raz trzeci, ale w tak dobrej francuskiej restauracji gościłem po raz pierwszy. Poprzednio stołowaliśmy się z rodzicami w kuchniach różnych ośrodków PAN - u albo w tanich paryskich barach samoobsługowych. *Gorączka mleka* zapewniła mi pierwsze godne posiłki we Francji i pierwszy pobyt we francuskim hotelu.

*Gorączka mleka* - 12-minutowy film - była moją trzecioroczną etiudą fabularną i to dzięki niej wysłano mnie do Tours na Festiwal Filmów Studenckich. Uświadomiłem sobie wówczas, że zapraszany na festiwale film to coś więcej niż bilet lotniczy i voucher na hotel w jednym. Nieco później, dzięki *Vabankom*, *Seksmisji*, *Kingsajzowi* i innym swoim filmom, miałem zwiedzić cały świat: od Szanghaju po Bergen i od Erywania po Las Vegas. Doszło do mnie, że życie reżysera z powodu sfinalizowania pracy nad filmem może być przyjemniejsze niż w czasie jego realizacji.

Dziś, kiedy paszporty możemy już trzymać w domu i złotówka jest wymienialna, nie lubię jeździć na festiwale filmowe, gdzie zawsze się jest od kogoś zależnym, trzeba się stawiać w określonym miejscu o określonej godzinie, a przede wszystkim poznawać całą masę ludzi, z którymi mimo znajomości wielu języków nie ma się wiele do omówienia. Ale wtedy miałem 23 lata, żyłem w PRL - u i jeżdżenie za darmo po świecie oraz poznawanie nowych ludzi, z którymi nie miało się wiele do pogadania, wydawało mi się całkiem interesującym zajęciem.



Kelner przyniósł mi awokado z sosem tatarskim, które wydało mi się najlepszą przystawką na świecie. Dotąd nie wiedziałem o istnieniu tego warzywa? (owocu?). Królik w potrawce na drugie i *crème brûlée* kompletnie mnie rozwały. Do tego półlitrowa butelka francuskiego wina. Cena kolacji wynosiła 50 franków = 10 dolarów, co było równowartością połowy górniczej pensji w kraju nad Wisłą. Nigdy w życiu nie mógłbym sobie na to pozwolić, gdyby nie darmowe restauracyjne bony, które organizatorzy festiwalu rozdawali jego uczestnikom.

W czasie zamawiania kolejnych potraw zauważyłem, że siedzący przy sąsiednim stoliku mężczyzna uważnie mi się przygląda. Tego dnia kilkakrotnie na ulicach Tours spytano mnie o drogę, co spowodowało, że czułem się bardziej francuski niż Joanna d'Arc. Moim nieskazitelnym, wyniesionym z liceum językiem Kartezjusza poprosiłem o deser. Facet przy sąsiednim stoliku nie wytrzymał i zapytał.

- Przepraszam, skąd pan jest?

- Ja? - zdziwiłem się. Było oczywiste, że stąd! Z Tours! Z miasta hugenotów nad Loarą!

- Ma pan lekki amerykański akcent, więc...

Mój lingwistyczny świat się zawalił. Przez chwilę chciałem mu odpowiedzieć, że jestem z Disneylandu. (Po latach dowiedziałem się w USA, że mówię po angielsku z lekkim francuskim akcentem).

- *Alors? Vous venez d'où?*

- *De Pologne.*

Mój sąsiad się ożywił.

- Ooo! Pan z Polski?!

Spodziewałem się najgorszego. Pytań o antysemityzm, o to, jak sobie radzimy z komunizmem, albo czy wiem, co to kolorowy telewizor.

- W takim razie chciałbym pana przeprosić za 1939 rok - powiedział Francuz.

-???

Spojrzałem uważniej, czy gość nie żartuje. Ale najwyraźniej mówił serio.

- Armia francuska miała 85 dywizji na Linii Maginota przeciwko 33 dywizjom niemieckim na zachodniej granicy Niemiec. Gdybyśmy wtedy uderzyli, Hitler musiałby wycofać większość wojska z polskiego frontu. *Hélas!* Szkoda, że tak się nie stało, bo losy II wojny mogły potoczyć się zupełnie inaczej...

- *Vous êtes tres gentil, monsieur.* - Odpowiedziałem, że to miło z jego strony.

Do głowy by mi nie przyszło, że jakiś Francuz na widok przybysza z Polski mógłby dostać wyrzutów sumienia. Zwłaszcza że facet wyglądał na oko na 40 lat, więc w 1939 mógł mieć rok albo dwa lata. Przebacząc machnąłem ręką i spytałem, czy nie napiłby się wina. Francuz przyjął zaproszenie, z zastrzeżeniem, że to on stawia. Musiałem się zgodzić. Kiedy kelner przyniósł butlę St. Emilion, zaczął dalej mnie przeproszać, tym razem za żelazną kurtynę, którą Zachód nam zafundował. Tutaj grzecznie, ale stanowczo, zaproponowałem, przekonując, że to raczej wina Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Żeby nieco rozładować sytuację, przypomniałem zasługi Napoleona dla Polski, a polskich szwoleżerów dla Napoleona. Wówczas Jean - Jacques uśmiechnął się i zaproponował, żebyśmy mówili sobie po imieniu.

- *Tu sais, Julius?! C'était Napoleon qui disait: Ivre comme les Polonais!*

W Polsce mówi się: pijany jak szewc, we Francji: pijany jak Polak. Jako zwolennik rzetelnej informacji musiałem wyjaśnić mojemu nowemu francuskiemu przyjacielowi genezę tego powiedzenia. Rzeczywiście Napoleon zwrócił się tak do swoich oficerów po jednej z bitew. Poprzedniego dnia wszyscy pili na umór, ale tylko Polacy następnego dnia potrafili utrzymać się w siodle pomimo kaca. Cesarz nie tyle więc skarżył się na naszych szwoleżerów, ile raczej stawiał ich jako wzór do naśladowania. Jean - Jacques z podziwem wysłuchał historycznej egzegezy i przyznał mi rację. Przyniósł, że odtąd będzie swoich rodaków wyprowadzał z błędu. Że jeśli już być pijanym, to tak jak Polacy! Żeby to nie przeszkadzało w pracy! Wypiliśmy zdrowie Polski i Francji. Potem powiedział, że nieźle sobie dają radę z francuskim. Jak długo się uczyłem? Bez namysłu odpowiedziałem:

- *Six mois!*

Co było poniekąd prawdą, bo rzeczywiście sześć miesięcy uczyłem się w Instytucie Francuskim w Warszawie. Uznałem, że wspomnianie o wcześniejszych pięciu latach nauki w liceum i na studiach byłoby małostkowe.

- *Drôlement bien, drôlement bien!* - powtarzał Jean - Jacques. Zdziwiał się dobrze! Jak na sześć miesięcy! - dodał zaraz. - A co cię sprowadza do Tours, Julius?

- Jestem gościem festiwalu filmów szkolnych. Mój film został zaproszony do konkursu.

- Jesteś filmowcem? Jak Roman Polański?!

- Jestem dopiero studentem reżyserii filmowej. Ale Polański to rzeczywiście mój idol.

- Bo playboy? - Jean - Jacques zmrużył oko.

- Chodziło mi o to, że chciałbym mieć talent jak on.

- OK. Niech będzie... Opowiedz mi swój film. Jaki ma tytuł?

- *La fièvre du lait*. To historia studenta dorabiającego roznoszeniem mleka. (Ten proceder, dziś już nieistniejący, w czasach PRL - u był jednym z nielicznych udogodnień, jakie realny komunizm oferował. Można było zaprenumerować dostawy w sklepie spożywczym i codziennie rano pod drzwiami czekała butelka świeżego mleka). Mój bohater rozwozi mleko po piętrach wieżowca i pewnego razu zauważa w okienku windy przerażoną twarz staruszki. Kiedy wraca windą na to piętro, na korytarzu nikogo nie ma. Zaczyna coś węszyć, rozpoczyna prywatne śledztwo i odkrywa, że staruszka została zlikwidowana przez wnuczka i narzeczoną, którzy chcieli odziedziczyć po niej mieszkanie. Jean - Jacques uznał, że to ciekawa historia i chętnie obejrzy mój film. Pożegnaliśmy się więc do jutra, do projekcji.

Wracając do hotelu, przeciąłem plac przed merostwem. Na masztach łopotały flagi państw wszystkich uczestników festiwalu. Poszukałem wzrokiem biało - czerwonej. Było mi przyjemnie, że powiewała z mojego powodu. Polskę reprezentowały wprawdzie jeszcze dwie etiudy, ale tylko ja byłem na miejscu w Tours.

Projekcja *Gorączki mleka* odbyła się następnego dnia w kinie Olympia. Miałem nadzieję, że lista dialogowa, jaką wspólnie z Martine, francuską żoną Krzysia Kiersznowskiego, udało nam się wypichcić, będzie dobrze zrozumiana. Etiuda nakręcona zimą rok wcześniej była pokłosiem zauroczenia *Powiększeniem* Antonioniego, a przede wszystkim *Rozmową* Coppoli. Film miał swój klimat i nawet trochę się podobał. Niestety, mój francuski przyjaciel Jean - Jacques się nie pojawił. Za to po projekcji podeszło do mnie dwoje stypendystów z Norymbergii odbywających w Tours nauki. Ruth i Bernhard film chwalili, więc zakolegowaliśmy się i wspólnie zostaliśmy obejrzyć film z Węgier *Pan Theodor Mundstock* według książki Ladislava Fuksa. Etiuda opisywała przygotowania ojca i syna do wyjazdu do Auschwitz. Oni już wiedzą o Holocauście i chcą jak najlepiej się przygotować na to, co ich czeka. Noszą ciężkie walizy, śpią na gołych deskach i nawet próbują oswoić się z gazem. Wprawdzie tym z kuchenki gazowej, ale zawsze. Etiuda była wstrząsająca. Młody reżyser, którego nazwiska nie pamiętam, idealnie trafił w tonację książki. Z wyczuciem ominął pułapki, jakie ten dramatyczny temat zawsze ze sobą niesie. Przede wszystkim ustrzegł się przesady. (Zrealizowana sześć lat później według tej samej książki *Kartka z podróży* Waldemara Dzikiego nie miała już dla mnie tej drapieżności co skromniutka etiuda budapeszteńskiego studenta).

Moi niemieccy przyjaciele po projekcji długo milczeli i kiedy Bernhard podniósł na mnie wzrok, przez chwilę bałem się, że zaczną przeproszać mnie za działalność Trzeciej Rzeszy w latach 1939-1945. Kolejnej ekspiacji z powodu II wojny światowej mógłbym nie znieść. Ale Bernhard wyszeptał tylko: „*C’était cruel*”. (To było okrutne). Przyznałem mu rację i w ramach zasypywania podziałów, a także dzięki restauracyjnym bonom, których miałem w bród, zaprosiłem oboje na obiad.

Zrozumieliśmy bez słów, że na szczęście jesteśmy już innym pokoleniem. Odprowadziłem ich potem do autobusu, a kiedy zamyślony wracałem obok katedry St. Gaiten, zauważyłem zbliżającą się z naprzeciwka postać. Człowiek ubrany był w swojsko wyglądający kozuch i futrzaną czapkę. Nagle doszło do mnie, że to przewodniczący festiwalowego jury. Kompletnie zapomniałem, że w tym roku był nim Jerzy Kawalerowicz. Wtedy jeszcze nie znałem osobiście pana Jerzego i wydało mi się, że to jest właśnie idealny moment, aby się poznać. Przedstawię się, przypomnę, jaką etiudę zrobiłem, i co dalej? Ale czy autora *Faraona* i *Matki Joanny od Aniołów* może zainteresować jakaś gówniana etiuda o roznosicielu mleka?

Jerzy Kawalerowicz zbliżał się powoli, a ja biłem się z myślami, czy wypada go zaczepić. I oczywiście, jak ostatnia dupa wołowa przegapiłem moment. Mijając mnie, pan Jerzy rzucił mi przelotne spojrzenie, a ja nawet nie zdobyłem się na „dobry wieczór”.

Potem wytłumaczyłem sobie, że to nie byłoby właściwe rozmawiać z szefem jury przed zakończeniem festiwalu. Mogłoby to zakrawać na lobbing - choć wówczas tego słowa jeszcze nie znałem. Pan Jerzy odszedł dalej w stronę posiadającego trzy gwiazdki więcej niż mój hotelu, a ja wróciłem do swojego.

Nazajutrz było rozdanie nagród. Festiwalowa reguła numer 1: Jeśli ma się film na festiwalu, żeby nie wiem jaki był słaby - liczy się na nagrodę! Jerzy Kawalerowicz z tajemniczym uśmiechem stał na scenie otoczony pozostałymi jurorami. Werdykt w imieniu przewodniczącego odczytał Roberto Perpigianni - montażysta filmu *Padre Padron* braci Tavianich. Jako Włoch lepiej sobie radził z francuskim.

Grand Prix i 11 tysięcy franków na następny film otrzymał... No, niestety, nie ja.



Zasłużenie wygrał *Pan Theodor Mundstock*. Moja *Gorączka mleka* wyjechała z Tours tylko z wyróżnieniem honorowym. Po powrocie do Polski opowiedziałem rodzicom o tym, że Kawalerowicz wyróżnił mój film.

- I co? Poznałeś Jurka? - zapytał ojciec.

- Wiesz, jakoś tak było niezręcznie, nie wiedziałem, jak do niego podejść...

Ojciec patrzył na mnie przez chwilę i westchnął.

- Ty rzeczywiście umiesz dbać o swoje interesy... - po czym podniósł słuchawkę i umówił mnie z Jerzym Kawalerowiczem.

Nazajutrz zjawiłem się w Zespole Filmowym „Kadr” na Puławskiej 61, żeby kuć żelazo, póki gorące. Kawalerowicz zerknął na mnie badawczo.

- To ty jesteś ten facet od *Gorączki mleka*? To czemuś nie podszedł do mnie w Tours?

- A jakoś się krępowałem... - przełknąłem ślinę.

Pan Jerzy popatrzył mi głęboko w oczy.

- Ty rzeczywiście umiesz dbać o swoje interesy... Może mógłbym ci w czymś pomóc? Masz jeszcze jakiś scenariusz?

I tak zaczęła się moja 30-letnia przyjaźń z Jerzym Kawalerowiczem.

## 18.

### Niski Pan

Pozwoliłem wozom zbliżyć się na 20 kroków, wyciągnąłem rękę i zawołałem: „Halt!”. Powożący wozem na czele pochodu zatrzymał się natychmiast. Sprawili to mój mundur i krótki, kawaleryjski karabinek, który zdjąłem z ramienia. „W imieniu Kaiser und König Armee rekwiruje się konie i pojazdy do celów wojskowych!”. Siedzący na koźle wysoki mężczyzna w cylindrze oddał lejce sąsiadowi i zszedł z wozu.

Kiedy podchodził, było jasne, że jest szefem tej karawany. „Panie oficerze! - zaczął z przywilnym uśmiechem - Kaiser und König Armee jest ogromna, a mój cyrk mały, maleńki! To oni się nie mogą dogadać. Ale jak na drodze spotka się człowiek z człowiekiem, to oni - zrobił gest liczenia pieniędzy - na pewno się mogą dogadać!”.

Poprawiłem ułańską kurtkę, ale zanim otworzyłem usta, żeby go skarcić, z drugiego wozu wybiegł człowieczek w meloniku. Był wzrostu dziecka, ale miał rysy twarzy dorosłego. Człowieczek dopadł dyrektora i zaczął kasać go po rękach. Ten w pierwszej chwili był zaskoczony, a kiedy odzyskał rezon, począł okładać batem nieszczęsną postać. Karzełek odbiegł z krzykiem: „Nie tak mocno, panie Mietku!”. Z boku leśnej ścieżki usłyszałem śmiech i przeciągłą komendę: „Stoop!”. Zerknąłem w lewo i zobaczyłem, że operatorzy Zygmunt Samosiuk i Jurek Garstecki śmieją się zza kamer. Reżyser Janusz Majewski, rozbawiony wprawdzie, ale też lekko zirytowany, zszedł z pagórka i podszedł do człowieczka w meloniku.



- Co się z panem dzieje, panie Waldku? Dlaczego gryzie pan swojego dyrektora?

Waldek poszukał wzrokiem wśród stojącej w lesie ekipy i kiedy zauważył Halinę Garus, drugiego reżysera, pokazał na nią palcem.

- Ta pani mi kazała!

- Co też pan opowiada, panie Waldku! Kazałam panu gryźć tego tutaj, w mundurze - odpowiedziała Halina i pokazała na mnie.

- To w takim razie przepraszam wszystkich za nieporozumienie - odpowiedział Waldek i wrócił do swojego wozu. Padły komendy: „Kamera! Łączyć! Akcja!”, i zaczęliśmy od początku.

Siedzieliśmy w Bieszczadach już tydzień, kręcąc *Lekcję martwego języka*, siódmy film kinowy Janusza Majewskiego. Akcja filmu działa się w ostatnich miesiącach 1918 roku w miasteczku Turka, na polskich Kresach Wschodnich. Kręciliśmy w okolicach Zagórza, Leska i Sanoka piękną jesienią 1978 roku. Bohater, grany przez Olgierda Łukaszewicza, był porucznikiem ułanów austro - węgierskiej armii, który z powodu gruźlicy zostaje odesłany z frontu na komendanta stacji Turka. Tam umiera powoli, a wraz z nim całe austro - węgierskie imperium habsburskie. „Żyję z tego, że umieram” - mówił Olo Łukaszewicz, dla którego był to kolejny po *Brzezynie* długi film o umieraniu. Film był dekadencji i pięknoduchowski, w klimacie *Pustyni Tatarów* Dino Buzzatiego, tyle że kręcony w socjalistycznych warunkach.

Janusz Majewski słynął ze skutecznego kreowania minionych światów w październikowej, peerelowskiej rzeczywistości. Ja grałem w tym filmie austriackiego ułana nieudacznika o żydowskich korzeniach, którego zadaniem było konwojowanie i pilnowanie rosyjskich jeńców wojennych. Moim drugim zadaniem - o wiele trudniejszym i ważniejszym - była funkcja asystenta reżysera. Do moich obowiązków należało rekrutowanie statystów płci męskiej w wieku poborowym, którzy wyglądaliby na jeńców z carskiej armii. Okoliczne technika w Lesku i Sanoku pełne były takich właśnie twarzy. Gdy już ich wybrałem i umówiłem na właściwy dzień, musiałem pomagać szczupłej ekipie kostiumograficznej w ubraniu ich w rosyjskie mundury. Ubranych i ucharakteryzowanych: wąsy, brody, dowoziłem

autobusem na plan, a tam niejako już w roli z filmu konwojowałem ich z bronią w ręku. Pod koniec zdjęć w Bieszczadach dyrektorzy techników już zabronili uczniom statystowania, gdyż pod pretekstem udziału w filmie szkoły opustoszały.

Tego dnia kręciliśmy scenę, gdzie grany przeze mnie ułan przypadkiem natrafia na przejeżdżający cyrk wędrowny i rekwiruje wszystkie wozy do celów wojskowych. Dyrektora cyrku grał Mieczysław Voit, czyli Kuno von Lichtenstein z *Krzyżaków*, ksiądz Suryn z *Matki Joanny od Aniołów* i kapłan Samentu z *Faraona*. Pan Voit był aktorem bardzo skupionym i w każdym dublu jednakowo elektryzującym. Zdawałem sobie sprawę, jakiego zaszczytu dostępuję, partnerując aktorowi tej klasy, ale nie miałem czasu się nad tym zastanawiać.

Jak na październik było chłodno i z każdym dublem coraz trudniej było mi artykułować moje kwestie. W jeszcze gorszej sytuacji był jednak pan Waldemar, specjalnie wyszukany przez produkcję filmu - mały człowiek grający rolę cyrkowego karła. Angaż pana Waldemara był przedsięwzięciem dość delikatnym i przebiegał w pełnej napięcia atmosferze. Pierwsze pytanie pana Waldemara brzmiało: „Jak moja postać nazywa się w scenariuszu?”. Janusz Majewski, mistrz dyplomacji, wziął głęboki oddech i oświadczył, że w roboczej wersji scenariusza ta postać nazywa się Karzeł, ale jednocześnie chciałby dać panu Waldemarowi uroczyste słowo honoru, że to słowo w filmie się nie pojawi.

- To dobrze - odpowiedział pan Waldemar - bo ja nie jestem karłem.

- To tym lepiej. Kamień spadł nam z serca! - wykrzyknął uradowany reżyser.

- Jestem liliputem - wyznał pan Waldemar.

Janusz Majewski namyślał się krótko.

- W takim razie daję panu moje słowo, że wyraz „liliput” też się nie pojawi.

Reżyser i scenarzysta dotrzymał słowa. Nowa wersja scenariusza ze zmienioną nazwą roli na Niski Pan miała być następnego dnia dostarczona do domu pana Waldemara. To wymagające nadzwyczajnej ostrożności zadanie dziwnym trafem, jaki zawsze zdarza się podczas kręcenia filmu, zostało powierzone drugiemu asystentowi reżysera Wojtkowi

Zawadzkiemu mierzącemu 195 cm wzrostu.

Janusz Majewski przed wysłaniem scenariusza odbył z Wojtkiem długą rozmowę dotyczącą strategii przekazania tekstu.

- Jak pan zadzwoni do drzwi i pan Waldemar otworzy, dobrze byłoby, gdyby pan upuścił klucze albo cokolwiek i zszedł do pozycji klęczącej.

- Rozumiem - Wojtek poważnie skinął głową.

- Szukając kluczy na kolanach - ciągnął reżyser - poda mu pan tekst i zaprosi na jutrzejsze zdjęcia.

- Rozumiem - odparł Wojtek.

- W ten sposób zminimalizujemy różnicę wzrostu.

- Wykonam - odparł Wojtek i odjechał spełnić misję. Fortel zadziałał, bo jeszcze tego samego dnia pan Waldemar przyjął rolę.

Kiedy nadszedł jego pierwszy dzień zdjęciowy, właśnie wtedy w Bieszczadach, wysłany po niego filmowy kierowca długo nie wracał. Coraz bardziej niespokojni czekaliśmy z Wojtkiem na dziedzińcu naszej bazy w Zagórze, gdyż naszym zadaniem było zaprowadzić go do charakteryzacji i ubrać w cyrkowe ciuchy. Mieliśmy potem dowieźć Waldemara na plan, na którym reszta ekipy przygotowywała pierwsze ujęcia, jeszcze bez niego. Kiedy filmowy polonez wreszcie nadjechał, z niepokojem zauważyłem, że samochód jest pusty. Kierowca wyszedł i uspokoiwszy nas gestem, podszedł do tylnych drzwi. Otworzył je, schylił się do wnętrza auta i wyciągnął nieprzytomnego Niskiego Pana. Zarzucił go sobie na ramię i podszedł do nas.

- Miałem go przywieźć, to przywiozłem - zameldował pan Jurek, kierowca poloneza.

- Ale co się stało? Dlaczego jest nieprzytomny? - zapytałem.

- To zawał? Mam zawołać lekarza?! - przeraził się Wojtek.

- Wydaje mi się, że on chyba śpi... - odpowiedział kierowca.

Kiedy nieśliśmy pana Waldemara do garderoby, Jurek opowiedział nam, jak przyjechał po niego o umówionej godzinie i Niski Pan otworzył mu drzwi i powiedział: „Jestem już gotów, tylko dokończę herbatę”.

Jurek czekał przed domem 10, 15, 20 minut. Po półgodzinie wszedł do domu, drzwi były otwarte, i zastał naszego malutkiego aktora chrapiącego w ubranu na kanapie. Niewiele myśląc, zabrał go ze sobą.

- Dobrze pan zrobił - pochwaliłem go - bo bez niego nie ma dzisiejszej sceny.

W ciągu kwadransa docuciliśmy Waldemara w garderobie. Już przebranego w kostium dotransportowaliśmy na fotel w charakteryzatorni. Gdy nasz filigranowy przyjaciel doszedł do siebie, opowiedział, co się stało.

- Wiecie, panowie, mam zwyczaj na śniadanie pić herbatę z rumem. I zawsze dolewam sobie łyżeczkę do herbaty. Jak ten pan kierowca przyjechał po mnie, nie pamiętałem, czy już wlałem rum, jak on zadzwonił, czy jeszcze nie. Pomyłkowo musiałem wlać dodatkową porcję i to mnie ścięło z nóg. Ale już jestem w pełnej formie.

Ulżyło nam i godzinę później pan Waldemar po raz pierwszy wystąpił w filmie, gryząc po rękach pana Mieczysława Voita.

Kiedy przygotowaliśmy dubel, znakomity aktor, który nigdy się nie mylił, odwrócił się do Waldemara skulonego na schodkach cyrkowego wozu i zapytał:

- Czy już pan wie teraz, kiedy i kogo ma gryźć?

- Tak jest, panie Mietku! Tylko gdyby mnie pan lżej bił tym batem po nogach. Mam strasznie delikatne łydki!

Mieczysław Voit popatrzył na Waldemara przeciągle.

- Sławku - powiedział.

- Co „Sławku”? - nie zrozumiał Waldemar.

- Mam na imię Sławek. Zdrobniale.

Waldemar był zdezorientowany.

- Aha, dobrze, panie Mietku. Będę mówił „panie Sławku”.

Zaczęliśmy ujęcie i tym razem wszystko wyszło dobrze. Nikt się nie pomylił, pan Waldemar pogryzł kogo trzeba i kiedy trzeba.

Janusz Majewski był zadowolony i wieczorem wróciliśmy do bazy świętować trudny i udany dzień. Panie z pionu reżyserskiego po kolacji zafundowały ciastka. Mieszkaliśmy w jednym bungalowie, my z Wojtkiem na dole, pani Halina Garus, drugi reżyser, razem z sekretarką planu na górze. Obżarliśmy się tymi kremówkami, ale kilka jeszcze zostało. Otworzyłem drzwi i zawołałem w górę do naszych sąsiadek:

- Co mamy zrobić z resztą? Przynieść wam?

Nikt nie odpowiedział. Najwyraźniej słuchały radia. Spędziliśmy z Wojtkiem i Ryszardem Kotysem, aktorem grającym drugiego konwojenta, jakieś pół godziny na opowiadaniu kawałów i sprawdzaniu mocy łąckiej śliwowicy, po której nie miało się kaca. W styczniu miałem zadebiutować telewizyjnym filmem *Bezpośrednie połączenie* i namawiałem Rysia, żeby w nim zagrał. Film miał być realizowany w legendarnym już wtedy Zespole „X” Andrzeja Wajdy, więc nie miałem zbytniego kłopotu z przekonaniem aktora, by przyjął rolę. I nagle usłyszeliśmy, jak pani Halina Garus krzyczy do nas z góry na korytarzu:

- Potem zostawcie je w papierze!

Spojrzeliliśmy na siebie, nie rozumiejąc.

- To jej odpowiedź na temat ciastek? - zdziwił się Rysiek, patrząc na zegarek - Po półgodzinie?

Otworzyłem drzwi i krzyknąłem w górę:

- Czy to znaczy, że mam je wam zanieść? Te ciastka?

Na schodach stała drugi reżyser Halina Garus, żelazna dama polskiego filmu. Miała łzy w oczach! Jeszcze nie widziałem jej tak szczęśliwej.

- Jakie ciastka?! - spytała nieobecny głosem.

- No, kremówki, napoleonki! Krzyczała pani, żeby zostawić je w papierze.

Halina roześmiała się przez łzy.

- Krzyczałam: „Polak został papieżem!”. Przez radio podali.

Wtedy właśnie po raz pierwszy usłyszałem nazwisko kardynała Karola Wojtyły. Był 16 października 1978 roku.



## 19.

### W ciemności, w ciemności

Agatko! Ten pieprzony, swawolny Zyzio znowu dołożył mi po nerach w „Polityce”!

Mknęliśmy granatową dacią Krzysztofa Kieślowskiego szosą na Lublin. Agatka, która siedziała z tyłu, poprawiła okulary na nosie i odpowiedziała:

- Olej to.

- Łatwo ci mówić... Ten gość mnie nienawidzi.

- On wszystkich nienawidzi. Całego naszego kina, ale to nie powód, żeby się tym martwić.

- Pisze, że dali mi Grand Prix w Moskwie nie bez przyczyny. Że kino moralnego niepokoju to jedno wielkie oszustwo i że jest nawet popierane przez władze jako interwencyjne.

- Niech sobie mówi, nikt mu nie uwierzy. Wszyscy wiedzą, że Kałużyński to pieszczoch reżimu i szalała.

- Szalała?

- Krzysztof Mętrak tak trafnie napisał o nim kiedyś. Olej to.

Agatka miała w sobie pokłady sceptycznej pewności, która mi zawsze imponowała.

Milczałem z ciekawością, dumny, że mimo woli uczestniczę w wymianie myśli dwojga najważniejszych reżyserów młodego, niepokornego kina polskiego.

Był koniec listopada 1979 roku i sunęliśmy do Lublina na jakiś nikomu niepotrzebny

festiwal filmowy. Ja jechałem ze swoim pierwszym i ostatnim filmem dokumentalnym *Zrób to sam*, który nakręciłem dla łódzkiej Wytwórni Filmów Oświatowych. Film był zrobiony na zamówienie na temat „Kariera a awans społeczny”. Nakręciłem produkcyjniaka *à rebours*, trochę pod wpływem Krzysztofa, o facecie karierowiczu, konformiście i oportuniście, który niby wszystko robi w życiu jak trzeba, jest ceniony przez podstawową organizację partyjną swojego zakładu i kolegów, ale widz go jakoś za to za bardzo nie lubi. Ponieważ bałem się, że nie znajdę gościa, jakiego sobie wymyśliłem, napisałem cały ten „dokumentalny film” od początku do końca, a karierowicza zagrał aktor amator, prywatnie kapitan Ludowego Wojska Polskiego Janusz Obara. Poznałem go dzięki mojej mamie, która prowadziła w Teatrze Ochoty warsztaty teatralne; 32-letni oficer LWP należał do jej najzdolniejszych uczniów.

W czasie tygodnia zdjęć do tego 11-minutowego filmiku zrozumiałem, że kompletnie nie nadaję się na reżysera filmów dokumentalnych. Nie tylko dlatego, że nie lubiłem, jak rzeczywistość mnie zaskakuje - co jest solą dokumentu! - ale też dlatego, że nawet gdybym znalazł odpowiedniego, sympatycznego, a przez to jeszcze bardziej nikczemnego bohatera, to czułbym się nieswojo, obnażając go tak bez ogródek, wykorzystując jego naiwne przekonanie, że jak się o kimś robi film, to na pewno jest on godny szacunku.

Jechałem do Lublina bardzo zadowolony, bo tych dwoje trzydziestokilkulatków w rumuńskiej wersji renaulta było jak dotąd najważniejszymi ludźmi w moim zawodowym życiu. Cztery lata wcześniej to właśnie Agatka podeszła do mnie na balu szkół aktorskich, kiedy Krzysztof szukał odtwórcy głównej roli do swojego filmu, i zapytała, czy jestem aktorem. Nie byłem, ale powiedziałem, że jestem za to na pierwszym roku reżyserii filmowej, co pewnie zadecydowało, że Krzysztof powierzył mi rolę swojego alter ego w *Personelu*. A w 1978 roku, kiedy skończyłem szkołę filmową i dostałem na festiwalu etiud kilka nagród, Agatka, spotkawszy mnie w pociągu z Warszawy do Łodzi, zaproponowała, żebym wstąpił do Zespołu X Andrzeja Wajdy.

To był zaszczyt. Zespół już wtedy miał status ekskluzywnego klubu młodych zdolnych. Młody byłem na pewno, co do zdolności miało się dopiero okazać.

Tak czy owak, zacząłem być zapraszany do udziału w kolaudacjach Zespołu. Miałem okazję oglądać filmy *Aktorzy prowincjonalni*, *Bestia* czy *Wśród nocnej ciszy* w ich pierwszych wersjach montażowych, które pod wpływem twórczych dyskusji kolaudacyjnych

zmieniały potem swój kształt. Obserwowałem, z jaką pokorą Agatka z notesem i piórem w ręce wysłuchuje uwag kolegów i wprowadza w życie te, które sama uważa za słuszne.

To spotkanie z nią w pociągu relacji Warszawa Centralna - Łódź Fabryczna spadło mi jak z nieba. Miałem bowiem scenariusz filmu telewizyjnego, ale nie miałem producenta. Agatka znowu miała szczęśliwą rękę. Wykonała kilka telefonów i już na następny dzień umówiony byłem ze scenariuszowym guru, kierownikiem literackim Zespołu X Bolesławem Michałkiem. Bolo przeczytał mój scenariusz, uznał, że jestem nie tylko młody, ale też zdolny, i w rekordowym tempie skierował go do produkcji jako jeden z odcinków serialu *Opowieści rodzinne*.

Moja opowieść nazywała się *Bezpośrednie połączenie* i opowiadała o głuchym telefonie, który wywołał lawinę zaskakujących następstw. Zdjęcia do filmu zacząłem 2 stycznia 1979 roku, w czasie tak zwanej klęski żywiołowej. Po prostu spadło trochę więcej śniegu niż zwykle. Kręciłem w plenerze, w nocy, w zimie stulecia. Najgorsza kombinacja okoliczności nie tylko dla debiutanta, ale dla reżysera w ogóle. Wiedziałem, że po tym filmie najtrudniejsze nawet warunki nie są w stanie wyprowadzić mnie z równowagi.

Kiedy zmontowałem film, z dumą pokazałem go Andrzejowi Wajdzie i członkom Zespołu X na kolaudacji. Mistrz, który właśnie wrócił z Rzymu z audiencji u papieża i znajdował się jeszcze w innym wymiarze, zareagował, jakby nie czytał scenariusza. Strasznie się zdziwił, że taki filmik został wyprodukowany przez jego zespół! Ani to walczący niepokój moralny, ani zjadliwy opis peerelowskich obyczajów, takie ni to thriller, ni to horror, ni pies, ni wydra. Nie wiadomo w ogóle, po co toto zostało nakręcone.

Największy polski reżyser uznał, że wcale nie jestem tak zdolny, jak to zdiagnozowano, skrytykował wszystko - reżyserię przede wszystkim, i zaordynował dokrętki. Film miał 52 minuty, a miałem nakręcić 40 minut filmu na nowo! I przestano mnie zapraszać na kolaudacje.

Miałem do wyboru: stoczyć się i do końca życia w SPATiF-ie opowiadać przy półlitrowce, jak to złamano mi karierę, albo zacisnąć zęby i siłą woli wierzyć, że jednak coś umiem i że to inni się mylą. Nie załamałem się tylko dlatego, że miałem już napisany scenariusz *Kwinty*, który bardzo się wszystkim podobał. Wiedziałem też, że taka droga przez

mękę i lekcja pokory jest niezbędna, zanim dostąpię debiutu.

Los i Jerzy Kawalerowicz byli dla mnie łaskawi, bo nakręciłem *Kwintę* rok później.

A w gorączkowym 1981 roku na festiwalu w Gdańsku Agatka była pierwszą koleżanką po fachu, która entuzjastycznie pogratulowała mi filmu nazywającego się już wtedy *Vabank*. Dobrze wiedziałem, że *Bezpośrednim połączeniem* trochę ją rozczarowałem, uznałem więc ten gest z jej strony za pasowanie na zawodowca.

Na tym samym festiwalu film w jej reżyserii zdobył Grand Prix, staliśmy więc obok siebie na scenie, nagrodzeni, ja za najlepszy debiut, ona za najlepszy film.

Spotykaliśmy się potem wielokrotnie. Najczęściej za granicą, bo Agatkę los rzucił na światowe szerokie wody filmowe. Ale zawsze, czy to w Cannes, czy w Nowym Jorku, wracała do tego mojego pierwszego, średnio udanego filmu, przepaszając, jak bardzo się wtedy w X pomylili. Także Andrzej Wajda po *Seksmisji* przysłał mi długi list z gratulacjami, że jest zadowolony, że wyszedłem na ludzi, zwłaszcza po naszej pierwszej niefortunnej współpracy. Dziś jesteśmy w doskonałych relacjach, ale wówczas jeszcze byłem na niego zły, więc list gdzieś zgubiłem.

Życie jest tak cholernie interesujące przez to, że niektórych sytuacji kompletnie nie można przewidzieć. No bo na przykład nagle zdarzyło się, że zostałem producentem filmu Agatki, która naprawdę ma na imię Agnieszka, a jedynie Krzysztof Kieślowski z sobie tylko znanych powodów tak do niej się zwracał. Oznaczało to prawdopodobnie większą zażyłość albo wyższe wtajemniczenie.

Film, którego byłem jednym z producentów, nazywał się *Hidden*, a Agnieszka bardzo długo nie chciała się dać nań namówić. Ze zrozumiałych względów. Wiedziała, że jak powie „tak”, to skaże się na wiele miesięcy pobytu w kanałach Lwowa. Sześć lat temu kanadyjski producent Eric Jordan dotarł do Studia Filmowego „Zebra” ze scenariuszem filmu *Ukryci*, obiecując anglosaskie gwiazdy. Wtedy zacząłem się obawiać, że proponowany do roli Poldka Sochy Ewan McGregor może spowodować, że będzie to tylko kolejny film o Holokauście. Agnieszka musiała myśleć tak samo. Szczęściem w nieszczęściu okazało się, że Kanadyjczycy nie mieli pieniędzy, które pozwoliłyby zatrudnić hollywoodzkie gwiazdy. Za

to znaleźli niemieckich koproducentów, dzięki którym udało się zamknąć budżet. A wtedy Agnieszka, wiedząc, że może zrobić film, jaki będzie chciała, obsadziła w głównej roli Roberta Więckiewicza, który w oczywisty sposób był od początku najlepszym wyborem. Kiedy w projekcie pojawił się Robert, zaczęła mi świtać nadzieja, że może mamy szansę na wyjątkowy film o Holokauście. O tym, że w czasie II wojny światowej nie wszyscy Niemcy byli dobrzy jak Oskar Schindler czy jak oficer Wehrmachtu, który uratował Szpilmana. I że z jakiegoś powodu Polacy mają największą liczbę drzewek Sprawiedliwych wśród Narodów Świata w Yad Vashem.

Przywilejem producenta jest oglądanie pierwszego układu montażowego filmu niejako „na surowo”. Bez czystego dźwięku, bez muzyki, z niektórymi scenami za długimi, a innymi zbędnymi. Nigdy nie zapomnę tej projekcji. Pierwszy raz w 25-letniej historii Studia „Zebra”, które założyłem z dwoma Jackami: Bromskim i Moczydłowskim, poczułem, że mamy film światowego formatu. Pomyślałem nawet, że być może nasze studio powstało tylko po to, żeby został nakręcony ten film. Agnieszka od dawna przyzwyczaiła nas do tego, że jest w reżyserskiej lidze mistrzów. Jej *Europa, Europa* czy *Olivier, Olivier* to filmy, które weszły do światowego kanonu. Zastanawiałem się przez chwilę, czy nie namówić jej, żeby nazwała swoją nową produkcję *W ciemności, w ciemności* - z eholalią jako znakiem rozpoznawczym. Czułem przez skórę, że ten skromny film o lwowskim kanalarzu i grupce ocalonych sprawi nam wiele niespodzianek. Skromny, bo kosztował tylko 5 milionów euro. Dla porównania *Rzeź* Romana Polańskiego, adaptacja sztuki teatralnej rozgrywającej się w dwóch pokojach z kuchnią - 25 milionów.

Kiedy pokazaliśmy film polskim dystrybutorom, wielu z nich po projekcji miało łzy w oczach ze wzruszenia. Ale żaden z nich nie chciał wziąć filmu do rozpowszechniania, bo „kto na to pójdzie?”. Na szczęście znalazło się Kino Świat, jedyna firma, która zdecydowała się filmem zająć z powodu jego klasy i prestiżu, a nie tylko dla ewentualnych zysków.

Amerykańska Akademia Filmowa 24 stycznia zrobiła nam niespodziankę i nominowała film Agnieszki jako jeden z pięciu najlepszych filmów nieanglojęzycznych z ubiegłego roku. Gdy Drodzy Czytelnicy czytają te słowa, wiadomo już, że nominacja nie zamieniła się w nic więcej. Ale i tak do tego czasu *W ciemności* miało w Polsce 1 milion 200 tysięcy widzów. I to jest największy powód do satysfakcji!

Ten trudny i przejmujący film zadaje kłam rozpowszechnianemu przez polskich dystrybutorów filmowych mniemaniu, że nasi widzowie wolą oglądać idiotyczne, skeczowate i plastikowe komedie romantyczne. Polscy widzowie uwielbiają chodzić na dobre polskie filmy. Okazało się, że nasi dystrybutorzy do końca nie znają rodzimej widowni. A film Agnieszki Holland przywrócił mi wiarę w polskiego widza.

### **Błogosławione nieszczęście**

Jechaliśmy przez bratnią Słowację już dobre dwie godziny, kiedy autokar wjechał do miasta Frýdek-Místek leżącego jakieś 20 kilometrów od granicy w polskim Cieszynie. Aż tu nagle Tadius, asystent kierownika produkcji, który całą drogę drzemał z uśmiechem dobrze spełnionego obowiązku na ustach, ocknął się z przerażeniem w oczach. Uśmiech znikł mu z twarzy, ustępując rozpacz.

- Pyrkosz! - zduszonym szeptem wykrzyknął Tadius. - Gdzie jest Pyrkosz?! Zapomnieliśmy o panu Witoldzie!

Rozejrzeliśmy się wokół siebie. Aktor Witold Pyrkosz rzeczywiście grał w tym filmie i był przez cały czas z nami na zdjęciach w Brnie, ale w naszym autobusie go nie było.

- Jezus Maria, zostawiliśmy go w Brnie - wyszeptał pobladłymi ustami Tadius.

Działo się to dawno, dawno temu, 20 lutego 1980 roku. Tydzień wcześniej reżyser Krzysztof Zanussi wybrał, który z aktorów z jego najnowszego filmu *Constans* pojedzie na atrakcyjne, zagraniczne zdjęcia do Brna. Ku mojemu rozczarowaniu pan Krzysztof wybrał mnie również. A przecież grałem drugoplanową rolę jednego z trzech kolegów bohatera i wydawało mi się, że może akurat ten kolega (czyli ja) mógłby (mógłbym) zostać w domu. Miałem w tamtym czasie na głowie tyle spraw, że granie w filmie, nawet u Krzysztofa Zanussiego, było najmniej ważną z nich.



- Czy rzeczywiście muszę? - zwróciłem się nieśmiało do reżysera. - Kończę właśnie pisać pracę dyplomową i równocześnie scenopis mojego fabularnego debiutu. Czy postać, którą gram, nie mogłaby zostać w Warszawie? Z powodu choroby na przykład? Nikomu do głowy nie przyjdzie pytanie, dlaczego mnie (tego kolegi) nie ma tam razem z bohaterem!

Nie chciało mi się wyjeżdżać również dlatego, że nie znoszę jazdy autobusem zimą po górskich drogach, a do tego byłem w Brnie trzy lata wcześniej i zaspokoilem swoją ciekawość dotyczącą stolicy Moraw.

- Pan gra kolegę bohatera, który tak jak on jest inteligentem, tyle że cynicznym. Dlatego bardzo chciałbym pana tam mieć u jego boku - pan Krzysztof spojrział na mnie z wyrzutem zza okularów.

Dramatyzmu wypowiedzi dodawał celuloidowy gorset ortopedyczny, który nosił od kilku dni z powodu urazu, jakiego doznał w samochodowej stłuczce w trakcie kręcenia filmu. Przez celuloid prześwitywała biel nienaganej koszuli i krawat. Nie miałem wyjścia. Westchnąłem i się poddałem. Nie mogłem odmówić.

Brno w najnowszym filmie pana Krzysztofa udawało Frankfurt nad Menem. A w zasadzie Międzynarodowe Targi Przemysłowe w Brnie miały udawać Międzynarodowe Targi we Frankfurcie. Z powodów oszczędnościowych oczywiście. Zmniejszona ekipa zamierzała nakręcić później kilka ujęć na ulicach Frankfurtu, żeby po zmontowaniu wyglądało, że rzeczywiście byliśmy w RFN. Film był zresztą bardzo wyjazdowy i egzotyczny. Bohater filmu grany przez Tadeusza Bradeckiego, pracownik biura organizacji wystaw zagranicznych, wyjeżdżał nawet do Indii, ale akurat tam pan Krzysztof nie zaproponował mi podróży. Tadeuszowi Bradeckiemu, który grał uczciwego młodego człowieka szukającego w życiu



stałych wartości i niemogącego znaleźć sobie miejsca w zakłamanej peerelowskiej rzeczywistości - udało się. Pojechał do New Delhi. Ale nam, jego kolegom, pomalowanym przez charakteryzatorkę sztuczną opalenizną, już trochę mniej. Musieliśmy udawać, że siedzimy w pokoju hotelowym w Bombaju, a był to przysposobiony przez scenografa pustostan na zapleczu placu Zbawiciela. Wyjazd do Indii chyba bym jakoś wytrzymał. A nawet zrywanie się o świcie, mimo że nienawidzę wczesnego wstawania. Ale do Czechosłowacji?

Zbiórkę wyznaczono nam o 7.15 w Wytwórni Filmowej na Chełmskiej, na Dolnym Mokotowie. Dla mnie, mieszkającego na ulicy Dobosza na Szczęśliwicach, oznaczało to pobudkę o 5 rano. A takiej godziny nie ma! Autobus z ekipą wyruszał o 7.30. Znając filmową rzeczywistość - dwa lata wcześniej pracowałem z tym samym kierownikiem produkcji Tadeuszem Drewnem przy filmie *Lekcja martwego języka* - próbowałem wytargować przyjazd do wytwórni przynajmniej o godzinę później. Pan Tadeusz Drewno był jednak nieubłagany. - Ma pan być w wytwórni o 7.15 zgodnie ze starym filmowym obyczajem obowiązującym również w armii brytyjskiej: *hurry up & wait!* - pośpiesz się i czekaj!

Chcąc nie chcąc, dowlokłem się lutowym porankiem na Chełmską 21 o 7.15 i zająłem pokornie miejsce w autobusie. Czekaliśmy półtorej godziny, zanim autobus ruszył. Ale nie miałem nawet komu powiedzieć: „A nie mówiłem?”, bo kierownik produkcji Tadeusz Drewno, reżyser Krzysztof Zanussi i operator Sławomir Idziak odlecieli do Brna samolotem. Cóż, przywilej najważniejszych w ekipie. A my, filmowa ferajna w wesołym autobusie, mknąc przez Częstochowę, Katowice, Bielsko - Białą i Cieszyn, z przerwą na obiad i siusiu, dotarliśmy do hotelu Grand w centrum Brna w nocy, po 11 godzinach jazdy. Zdjęcia miały rozpocząć się następnego dnia wieczorem. Mieliśmy więc sporo wolnego czasu na zwiedzanie miasta Milana Kundery. Pochodziliśmy po ulicach opisywanych w jego powieści *Żart*, zajrzeliśmy i do stołówki uniwersytetu Masaryka, gdzie jako student musiał jadać obiady. Miałem nawet pomysł, żeby udać się na wycieczkę do miasteczka Slavkov leżącego 20 kilometrów na wschód od Brna. Ale nikt nie chciał mi towarzyszyć, nawet gdy wytłumaczyłem, że to sławne napoleońskie Austerlitz.

Ponieważ organizatorzy międzynarodowych targów udostępniali nam pawilony wystawowe dopiero po ich zamknięciu, kręciliśmy nocami, a w dzień spaliliśmy albo wałęsaliśmy się po Brnie jak zombi. I codziennie na planie, zgodnie z zasadą „pośpiesz się i

czekaj”, głównie czekałem, aż przyjdzie kolej na moje ujęcie.

Witold Pyrkosz grał naszego szefa - cwaniaka i kombinatora. Cała jego ekipa - Jacek Strzemżalski, Jan Jurewicz *et moi* - to byli cwaniacy, kombinatorzy i cynicy, którzy znali cenę wszystkiego, a nie znali wartości niczego. Jedynym pozytywnym bohaterem w tej nikczemnej paczce był Tadeusz Bradecki grający kogoś w rodzaju peerelowskiego Chrystusa. On jeden nie zgadzał się, kiedy koledzy namawiali go na sprzedanie na lewo kilku rzutników do przezroczy czy wyłudzenie dodatkowych diet w dewizach na prawo. Był pryncypialnym idealistą, a my cynicznymi groszorobami. Musiało się to skończyć dla niego sceną kocowy w hotelowym numerze.

Moja rola okazała się nieskomplikowana i negatywna, dlatego bardzo mi się podobała. Miałem tylko jeden problem. Był to mój czwarty dzień zdjęciowy w filmie, a ja ciągle nie wiedziałem, czy reżyser jest ze mnie zadowolony, czy nie. Wydawało mi się, że pan Krzysztof Zanussi w ogóle nie zwraca na mnie uwagi. Na planie nie odzywał się do mnie i nie dawał mi uwag. Kiedy zaczęliśmy nocną szychtë w polskim pawilonie na targach, podszedł wreszcie do mnie i powiedział:

- Pan nie zwraca w ogóle uwagi na moje wskazówki!

- Ja? - moje zmieszanie nie miało sobie równych.

- Tak, pan! Mam wrażenie, jakby pan mnie wcale nie słuchał, panie Jacku!

Nie wierzyłem własnym uszom.

- Słucham?!

- No właśnie, pan nie słucha, bo ja wołam do pana i wołam: „Panie Jacku! Panie Jacku!”, a pan nie reaguje! - pan Krzysztof był autentycznie rozgoryczony. Nie wiedziałem, czy w dobrym tonie jest poprawianie sławnego reżysera, ale nie miałem wyjścia.

- Bo ja myślałem, że pan woła Jacka Strzemżalskiego. Ja nie mam na imię Jacek - wyszeptałem przez zaschnięte wargi.

- Nie Jacek? A jak? - Wydawało się, że nieco zbiłem pana Krzysztofa z tropu.

- Juliusz... ale może pan mówić do mnie Julek - uśmiechnąłem się przepaszająco.

- A, to już teraz rozumiem całe to *qui pro quo* - odpowiedział ojciec kina moralnego niepokoju szczęśliwy, że znalazł przyczynę. Od tej pory nasza współpraca już do końca filmu szła gładko.

Po trzech dniach zdjęć w Brnie wyjazd do Warszawy miał nastąpić o szóstej rano. Tym razem nie dałem się nabrać. Zamówiłem śniadanie do numeru i zszedłem na dół dopiero około godziny siódmej. Okazało się, że cały autobus - 40 osób ekipy - czeka tylko na mnie. Ze skruszoną miną przeprosiłem wszystkich i tak ciesząc się w duchu, że udało mi się dłużej pospać.

Ale Tadius, drugi kierownik produkcji, kipiał z wściekłości i tak długo nie mógł się uspokoić, że z tej wściekłości zapomniał, że ma po drodze zabrać jeszcze Witolda Pyrkosza, który mieszkał w hotelu dwie ulice dalej. Potem zdrzemnął się, uspokoił, aż tuż przed granicą przypomniał sobie o panu Pyrkoszu. Panika w oczach, szok i przerażenie. Autobus zatrzymał się w miasteczku Frýdek-Místek, żeby Tadius mógł złapać taksówkę i popędzić z powrotem na południe w kierunku Brna. Dzięki temu miałem kilka godzin wolnego na zwiedzenie XIV - wiecznego rynku z zamkiem książąt cieszyńskich. W czeskim barze mlecznym zjedliśmy porcję knedli z kefirem i wtedy powróciła taksówka z odnalezionym Witoldem Pyrkoszem. Kiedy znalazł się w końcu w autobusie, ruszyliśmy w drogę powrotną do Warszawy. Porzucony aktor nie odezwał się do Tadius do końca podróży. Podobno przez dwie godziny w taksówce także jechali w milczeniu.

Całe to zajście dość komplikowało filmowe plany, bo następnego dnia mieliśmy zdjęcia w hotelu Novotel, a przepełniony winą i skruchą Tadius nie śmiał zakomunikować o tym panu Pyrkoszowi. Wreszcie udało mu się to za pośrednictwem fotosisty, którym był Maciek Hen, syn pisarza Józefa. Witold Pyrkosz nie obiecał, że zjawi się nazajutrz na zdjęciach, nam natomiast opowiedział, jak wyglądała historia porzucenia z jego punktu widzenia.

Sumienny Witold o umówionej godzinie czekał z walizką w holu swojego hotelu. Kiedy nikt nie zjawił się po niego przez dwie godziny, pan Witold zaczął się lekko niepokoić. Ale ponieważ miał nerwy ze stali, nie pękał. Niestety poprzedniego dnia wydał ostatnie czeskie korony. Tylko dzięki uprzejmości recepcjonisty mógł zadzwonić do hotelu Grand i dowiedział się, że ekipa filmowa z Polski wyjechała już dawno. Pan Witold poprosił wtedy o wykonanie telefonu do polskiego konsulatu w Ostrawie. Wy tłumaczył konsulowi, że jest aktorem, który grał w filmie Krzysztofa Zanussiego w Brnie i najprawdopodobniej zapomniano go zabrać do Polski, a on nie ma pieniędzy na powrót, musi się zaś dostać dziś jeszcze do Warszawy, bo jutro gra spektakl w teatrze. Po drugiej stronie słuchawki zapanowało długie milczenie, po czym polski konsul przemówił: „To niemożliwe, żeby o panu zapomnieli. Przecież nie jest pan pudełkiem zapalek! Pewnie coś się panu pomyliło?” - w domyśle: aktor upił się i zasnął. I nie ma żadnych możliwości na zakup biletów na pociąg, w końcu konsulaty PRL - u nie są od tego, żeby dowozić spóźnionych aktorów do teatrów. Na końcu konsul grzecznie poprosił, żeby pan Witold więcej do niego w tej sprawie nie dzwonił. W tym momencie do hotelowego lobby, z rozwianymi włosami wpadł Tadzio, asystent kierownika produkcji. Witold Pyrkosz na jego widok nie ucieszył się, nie odezwał się słowem ani nie przyjął przeprosin. Z ponurą miną wsiadł do taksówki i w milczeniu jechali tak przez dwie godziny. A potem dalej autobusem pozostałe osiem godzin do Warszawy.

Trochę się wtedy z panem Witoldem zakolegowałem przy tym filmie, więc ze mną wyjątkowo rozmawiał, a nawet żartował. Nie wiedziałem wtedy, że pół roku później zaproponuję mu, by zagrał w moim debiutanckim filmie *Vabank* rolę, która miała stać się kultową. Następnego dnia w scenie w lobby hotelu Novotel na Okęciu, który udawał hotel Novotel we Frankfurcie, byliśmy już bardzo zaprzyjaźnieni. Może sprawiła to gościnna obsługa hotelowego baru. A po latach tak się jakoś stało, że Witek Pyrkosz alias Lucjan Mostowiak z godnością zagrał w serialu *M jak miłość*. Nie jestem pewien, ale być może ma to związek z zamierzczłymi wydarzeniami w Brnie. Bowiem producentem tego serialu - magnatem, guru i królem Midasem polskich seriali - jest Tadzio, a raczej Tadeusz „Na dobre i na złe” Lampka! To właśnie on 30 lat temu był tym niefortunnym drugim kierownikiem produkcji, który zapomniał aktora Pyrkosza w Brnie. Myślę, że dla Witka było to, jak mówią Anglosasi, *blessing in disguise*, czyli błogosławione w skutkach nieszczęście. Co tu ukrywać! To Witold Pyrkosz wyszedł najlepiej na tej „chwileczce zapomnienia Tadeusza Lampki” w Brnie w lutym 1980 roku.



## 21.

### Nie lubię festiwalu

Był gorący - dosłownie i w przenośni - maj 1981 roku, kiedy dzięki stypendium rządu francuskiego po raz pierwszy wylądowałem na filmowym festiwalu w Cannes. Nie pokazywałem na festiwalu filmu, byłem gościem, widzem, gamoniem. Czyli absolutne spoko, luz! Znalazłem się na Lazurowym Wybrzeżu z grupą przyjaciół z Paryża i po ulokowaniu się w prywatnych kwaterach - na hotele nie było nas stać - poszliśmy do jednej z wielu restauracji na plaży. Doszło do mnie niespodziewanie, że na plaży mogą funkcjonować restauracje! Dotąd wszystkie znane mi instytucje zbiorowego żywienia, na wybrzeżach polskim czy bułgarskim, były usytuowane daleko w głębi lądu, permanentnie nieosiągalne z braku wolnych miejsc i śmierdzące zjełczałym olejem.

Tymczasem tutaj jedliśmy pyszne spaghetti przy stoliku oddalonym o 50 metrów od Morza Śródziemnego, z widokiem na... „Zaraz, zaraz! Te panie chyba o czymś zapomniały!...” - pomyślałem, widząc przechodzące obok mnie dwie dzagi topless. Chwila dekoncentracji i porcja spaghetti pomodoro wylądowała mi na kolanach.

Niewyobrażalna tragedia. Wybrałem się na Riwierę w białych lnianych spodniach. Coś mi mówiło, że w szortach, jakie miałem na zmianę, nie wpuszczą mnie na żadną festiwalową projekcję, a przecież po to, by oglądać filmy, tu przyjechałem! Pogodziłem się w myślach z dewizowym wydatkiem w dziale ze spodniami w najbliższym domu towarowym. Tymczasem kelnerka na widok mojej zrozpaczonej miny powiedziała tylko: *C'est pas grave!* (Nic takiego!), i wróciła za chwilę ze sprayem, którym spryskała pomidorową plamę. Po trzech minutach, kiedy piana zastygła i dała się skruszyć, po pomidorach nie było śladu. Poczulem się, jakbym brał udział w reklamie z XXI wieku! Gdy spytałem, jak nazywa się ta czarodziejska sztuczka, odpowiedziała: „K2R”. Zrozumiałem, że właśnie poznałem pradiadka robota „R2D2” z *Gwiezdnych wojen*.

Cały późniejszy pobyt w Cannes miał być tak magiczny jak to zdarzenie w restauracji. Nie tylko z powodu wszechobecnego topless. Przede wszystkim to było polskie Cannes. W konkursie filmy mieli Andrzej Wajda (*Człowiek z żelaza*) i Andrzej Żuławski (*Possession*),

poza konkursem jako film niespodzianka reklamowano *Ręce do góry* Jerzego Skolimowskiego, a w bocznym konkursie Un Certain Regard Filip Bajon pokazywał *Wizję lokalną*. Z Polski z pierwszą kopią filmu wprost z laboratorium przyjechała liczna ekipa *Człowieka z żelaza* oraz wielu nieznanymi mi, za to smutnych urzędników. Tony Molière, francuski producent filmu *Danton*, który Andrzej Wajda miał kręcić jesienią we Francji, szerokim gestem zaprosił wszystkich polskich filmowców na *déjeuner* na plaży. Ponieważ nie lubię załapywać się na tak zwanego sępa, wahałem się, mimo że Edward Kłosiński ciągnął mnie za rękaw, bym szedł. Ale kiedy zobaczyłem, jak fotosista „Filmu” Jerzy Kośnik nurkuje pod sznurowymi barierkami i jako pierwszy zasiada za stołem, przestałem mieć skrupuły.

Nikt jeszcze nie wiedział, że właśnie oblewamy przyszłą Złotą Palmę w Cannes, werdykt jury miał zapaść dwa dni później. Moim zdaniem w konkursie były lepsze filmy, choćby *Rydwany ognia* Hugh Hudsona czy *Excalibur* Johna Boormana, ale film Wajdy był najbardziej oczekiwany. Kiedy oglądałem go w Pałacu Festiwalowym z francuską publicznością, jej entuzjazm udzielił mi się całkowicie. Dla Francuzów był to przewodnik po „Solidarności” i polskich zajściach w Sierpniu ‘80. Taki „gorący” film zza żelaznej kurtyny nie mógł wtedy nie wygrać. A był to specjalny festiwal. Widziałem, jak Jack Nicholson przed projekcją filmu *Listonosz zawsze dzwoni dwa razy* wpina sobie w klapę znaczek „Solidarności”, który właśnie dostał od Kośnika. Byłem też na wypełnionej po brzegi konferencji prasowej Andrzeja Wajdy, którą na żywo tłumaczył na francuski najwybitniejszy polski krytyk filmowy i kierownik literacki Zespołu „X” Bolesław Michałek. Andrzej Wajda był wtedy oklaskiwany za każde słowo. W 1981 roku wszyscy chcieli być Wałęsą albo przynajmniej Polakiem.

Mimo wszystko po dwóch tygodniach z ulgą wróciłem do Paryża. Cały ten zgiełk festiwalowy działał mi trochę na nerwy. Obiecałem sobie, że jeśli się uda, nigdy tam nie wrócę. Dla mnie było tam wszystkiego za dużo! Ludzi, filmów, filmowców, rozmów o niczym, kanapeczek, drinków, przyjęć. Czyli wszystkiego tego, co tak naprawdę nie ma nic wspólnego z kręceniem filmów. Na szczęście wiedziałem, że takim filmom, jakie chciałem robić, festiwale typu Cannes raczej nie grożą. Ani się obejrzałem i dziewięć lat później byłem w Cannes z powrotem. W 1990 roku zaproszono mnie do wzięcia udziału w dyskusji „Cinéma et liberté”. Pojechałem, bo potrzebowałem znaleźć francuskiego koproducenta do filmu, który właśnie przygotowywałem. Znów była duża delegacja z Polski: Agnieszka Holland, Janusz Zaorski, Maciej Dejczer. A w konkursie polskie remanenty: *Przesłuchanie*

Bugajskiego z 1982 i *Ostatni prom* Krzystka.

Prosto z lotniska zawieźli nas na przyjęcie, gdzieś w góry do willi z widokiem na kawał Lazurowego Wybrzeża. Party się już rozpoczęło, gdy nagle kilka kroków od siebie zauważyłem szpakowatego, pięćdziesięciokilkuletniego dżentelmena, który oparty o barierkę wpatrywał się w morze i rozpostarte w dole Cannes. To był on! Rozejrzałem się wokół siebie. Nie do wiary! Nikt z kolegów go nie rozpoznał! Łyk martini dodał mi odwagi. Podeszedłem ostrożnie, starając się robić jak najmniejszy hałas na żwirze pokrywanym taras. Stałem obok i czekałem, aż dżentelmen zerknie na mnie. Zrobił to po chwili z anglosaskim uśmiechem. *Hi!* Uśmiechnąłem się również i odpowiedziałem: *Mister John Boorman, I presume?* Kiedy przytaknął, przedstawiłem się i powiedziałem, że mamy wspólnego znajomego, Judda Bernarda z Los Angeles i że jestem fanem jego filmów, a szczególnie *Point Blank* (poetycko zatytułowanego przez polskiego dystrybutora *Zbieg z Alcatraz*). Boorman zdziwił się, że jego film z 1967 dotarł do Polski.

Jeśli miarą sukcesu filmu jest odporność na upływający czas, to ten film nie zestarzał się wcale. Jest wyreżyserowany, zagrany, zmontowany i sfotografowany o lata świetlne nowocześniej niż większość naszej tegorocznej produkcji filmowej. To historia zemsty gangstera Walkera (Lee Marvin) na nieuczciwym wspólniku. Jest w tym filmie scena, kiedy Lee Marvin wdziera się do apartamentu wiarołomnej żony i wstrzeliwuje w łóżko kochanków cały magazynek rewolweru. I dopiero gdy skończą się naboje, orientuje się, że łóżko jest puste. Marvin siada na kanapie, otwiera bębenek rewolweru i wysypuje łuski po nabojach na szklany stolik do kawy. Ta sekwencja powraca później w postaci wizji sennych Walkera, tym razem w zwolnionym tempie. Odrzut ręki po każdym wystrzale oddanym w łóżko, detal wysuwających się z bębna rewolweru mosiężnych gilz, złote łuski po nabojach tańczące na świetlistym blacie...

Przypominam, Boorman zrobił ten film w 1967 roku. Po nim ten zabieg *slow motion* zaczęli wykorzystywać w sekwencjach gwałtu i przemocy wszyscy. Także najwybitniejsi: Kubrick, Peckinpah, Scorsese, Tarantino. Nie mogłem się powstrzymać, żeby nie zapytać o scenę strzelania do łóżka. Boorman się roześmiał.

- Wszyscy reżyserzy mnie o to pytają! Ostatnio Brian De Palma. Rzeczywiście było to dziwaczne w tamtych czasach. Do tego stopnia dziwaczne, że nie mogło znaleźć się w



scenariuszu, bo studio od razu zaczęłoby się mnie czepiać. Pamiętam dzień, kiedy szefostwo Metro Goldwyn Meyer obejrzało materiały z tej sceny. Po projekcji poprosili mnie do biura. Oprócz szefów był tam jakiś facet, którego nie znałem. Ten facet zaczął mi zadawać pytania. Szybko zorientowałem się, że to psychiatra! Faceci z MGM myśleli na pewno, że dostałem kota! Na szczęście Lee Marvin tak wierzył we mnie i w ten film, że odstąpił mi swój przywilej *final cut* - czyli decydowania o ostatecznym montażu filmu. MGM nie mogło nic zrobić.

Wtedy przyszło mi do głowy, czy nie jest czasem tak, że akcja *Zbiega z Alcatraz* dzieje się jedynie w gasnącym umyśle umierającego Walkera, którego grał Lee Marvin. John Boorman spojrział na mnie rozbawiony.

- Oczywiście! - odpowiedział. - To moja ulubiona interpretacja. Ale tak to sobie możemy porozmawiać my dwaj filmowcy z Europy. W Europie jeszcze można dywagować w ten sposób o filmach. Na Starym Kontynencie ciągle próbujemy zadawać sobie pytania, być może pretensjonalne, ale najważniejsze, że próbujemy je zadawać.

- Jakie pytania? - nie rozumiałem.

- Pytania: Kim jesteśmy? Skąd pochodzimy? Dokąd zmierzamy? Jeśli w Hollywood zadają sobie jakieś pytania, to brzmią one raczej: Kto wrobił królika Rogera?

Bardzo mnie to rozbawiło, a John Boorman był na tyle miły, że zaprosił mnie do swojego stolika.

Reszta polskiej delegacji zmyła się szybciej, gdyż śpieszyli się na pozakonkursowy pokaz nowego filmu Wajdy. Mając do wyboru między przywilejem zjedzenia kolacji z Johnem Boormanem a projekcją *Korczaka*, nie wahałem się długo. Zwłaszcza że kolegą Boormana przy stole okazał się Alan Parker, autor filmów *Midnight Express* i *Harry Angel*. Parker był świeżo po premierze *Mississippi w ogniu* i narzekał, jak go kantują na wpływach z kin.

- Film był przebojem kasowym na całym świecie, a moi producenci ciągle mówią, że się nie zwrócił!

Wtedy zrozumiałem, że wszyscy filmowcy to jedna rodzina. Po kolacji pożegnaliśmy się, wymieniając się adresami. John Boorman mieszkał w Irlandii i obiecał, że jak będę coś tam potrzebował, to mi pomoże. Odpowiedziałem, że jeśli będzie potrzebował czegoś w Warszawie albo Łodzi, to też może na mnie liczyć.

Tym razem mieszkałem kilkanaście kilometrów od Cannes, w Juan-les-Pins, i to mnie ratowało przed beładnym zamętem deptaka La Croisette. Pierwszą osobą, na jaką wpadłem nazajutrz na śniadaniu, był Krzysztof Kieślowski.

- Bardzo się cieszę, że was widzę - powiedział na widok mój i Janusza Zaorskiego. - I nie mówię tego, bo tak się mówi, tylko dlatego, że naprawdę się cieszę, że was widzę.

Krzysztof nienawidził wyświechtanych zwrotów grzecznościowych. Usiedliśmy przy stole i zapytałem go, co on tu robi.

- Właśnie nie wiem. Zaprosili mnie do dyskusji „Kino i wolność”, a ja nie mam na ten temat nic do powiedzenia.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem.

- Widziałeś jakiś dobry film na festiwalu? - spytałem.

- Nie lubię oglądać filmów - odpowiedział Krzysiek.

- Tak? - byłem zaskoczony. - Ja zostałem reżyserem, bo lubiłem chodzić do kina.

- Żeby chodzić do kina, nie trzeba być reżyserem - odpowiedział.

- Ale żeby być reżyserem, trzeba być kinomanem.

- Może. Nie wiem - odparł. - Mnie tu wszystko wkurwia na tym festiwalu. Te czerwone dywany, te kanapeczki, ci fotoreporterzy! Całe to targowisko próżności!

Krzysztof był w trakcie przygotowań do filmu *Podwójne życie Weroniki* i nie znając francuskiego, czuł się we Francji wyobcowany. Pojechaliśmy wspólnie do Pałacu Festiwalowego na dyskusję i pomogliśmy Romanowi Polańskiemu, który czekał przed wejściem na salę, a nie miał zaproszenia, dostać się do środka. Na pocieszenie powiedziałem mu:

- Wie pan? Oni tu myślą: Chopin nie Chopin, bez biletu nie wpuszczamy.

Polański śmiał się jeszcze, gdy miejsce za mikrofonem zajął Krzysztof Kieślowski. Krzysztof kazał napęlić szklankę do połowy wodą i powiedział przez tłumacza:

- Z wolnością jest jak z tą szklanką. Jedni uważają, że jest do połowy pełna, inni, że do połowy pusta. Co nam z wolności i z tego, że granice będą otwarte, skoro zabraknie miejsc w samolotach, żeby się przemieszczać?

I mówił jeszcze z dziesięć minut w tym duchu. Audytorium milkło coraz bardziej zdołowane.

Obiecałem sobie, że po raz trzeci do Cannes nie przyjadę. I kiedy 16 lat później zaproszono mnie tam jako producenta filmu *Palimpsest*, odmówiłem. Mój przyjaciel Jacek Bromski, który też nie znosi Cannes, a musi tam jeździć często jako prezes Stowarzyszenia Filmowców, powiedział wtedy do mnie:

- Czy wyobrażałeś sobie, kiedy studiowaliśmy w szkole filmowej, że nastaną takie czasy, że nie będzie nam się chciało jechać na festiwal w Cannes?

- Tak - odpowiedziałem. - Bo ja nie lubię festiwali filmowych.



22.

### **Nie uśmiechaj się przy Imeldzie Marcos!**

Wyciągnął z puzdra wielki order na trójkolorowej wstędze i ruszył w moją stronę. Stałem na scenie w otoczeniu Gwardii Honorowej całej w półpancerzach i świecących szyszakach z pióropuszcami. Gwardziści wyprężeni jak struny prezentowali obnażone szable, tłum ubranych na biało dziewcz zarzucał mi na szyję girlandy kwiatów, a z nieba leciały płatki róż. Przed chwilą z rąk Priscilli, byłej żony Elvisa Presleya, odebrałem największą - a na pewno najcięższą - filmową nagrodę na świecie, siedmiokilowego Złotego Orła.

A on zmierzał do mnie ubrany w narodowy strój *barong tagalog*. Wreszcie stanął przy mnie i założył mi order na szyję.

- *This award goes to an exceptional first film by a new director* - powiedział do mikrofonu, potem ucisnął mi dłoń. - *Congratulations*.

- *Have you seen the movie, Mr. President?* - zapytałem.

- *Not yet* - odpowiedział, dając do zrozumienia, że wkrótce to nadrobi, i skromnie usunął się na bok.

Nie pamiętam słów, którymi po angielsku zwróciłem się do publiczności w

festiwalowym pałacu. Byłem zbyt przejęty wymianą zdań, którą właśnie odbyłem z prezydentem Filipin Ferdinandem Marcosem.

Był 29 stycznia 1982 roku, a ja przed chwilą zostałem pierwszym laureatem 1. Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Manili. Brałem potem udział w wielu filmowych festiwalach, ale po przepychu Manili wszystko - od Cannes po Los Angeles - wydało mi się mszą przy bocznym ołtarzu. *Vabank* dostał nagrodę za debiut. A wcale nie było łatwo. W konkursie startowały filmy z 21 krajów, a wśród nich *Kobieta z sąsiedztwa* François Truffauta, *Gallipoli* Petera Weira czy *Kochanica Francuza* Karela Rejsza.

Ale najtrudniej było tutaj dotrzeć. W grudniową niedzielę półtora miesiąca wcześniej, na festiwalu młodych filmowców w Smolan w bułgarskich Rodopach, w czasie śniadania podszedł do mnie Czesław Dondziło, redaktor tygodnika „Film”.

- Nie jest dobrze - szepnął konspiracyjnie.

- Wiem - odpowiedziałem. - O ósmej wieczorem wyłączają wodę w hotelu.

Dondziło pokręcił głową.

- To też, ale mamy stan wojenny.

Oślupiałem.

- W Bułgarii?

- Nie, w kraju.

- Cholera jasna! - przeraziłem się nieco. - Ale chyba skończy się do 17 stycznia?!

- Dlaczego do 17 stycznia?

- Bo 17 lecę do Manili!

Stan wojenny zaskoczył mnie, Dondziłę i reżysera Leszka Wosiewicza w bułgarskim kurorcie narciarskim, perle Rodopów, Pamporowie. Po kilku godzinach przysłuchiwania się z Leszkiem kompletnie zaskoczonym spikerem Radia Wolna Europa zrozumiałem, że to się szybko nie skończy i łatwo nie będzie. Ale ciągle nie chciałem wierzyć, że na Filipiny nie polecę. Gdy później wracaliśmy do kraju pociągiem - wszystkie loty do Polski odwołane - via Sofia, Bukareszt, Lwów, wiedzieliśmy już trochę więcej i mieliśmy najgorsze obawy, z wizjami walk na barykadach włącznie. Reżyser Wosiewicz chciał nawet poprosić o azyl w amerykańskiej ambasadzie w Sofii, ale gdy mu wytłumaczyłem, że nie ma pewności, że internują nas akurat w Hollywood, odpuścił. Na Centralnym w Warszawie okazało się, że telefony są głuche. Zrozumiałem, że Manila odpływa coraz dalej. Ale nagle, na początku roku 1982, coś drgnęło. Widocznie nasz komunistyczny reżim uznał, że nic się nie stanie, kiedy polska delegacja filmowa zamieni komunistyczny stan wojenny na kapitalistyczny stan wojenny w wydaniu filipińskim. Wprawdzie stan wojenny na Filipinach skończył się kilka miesięcy wcześniej, ale nasi ubecy, zajęci ważnymi sprawami, mogli to przeoczyć.

I tak spóźnieni o dwa dni wyruszyliśmy do Manili 19 stycznia. Wylecieliśmy pierwszym samolotem, jaki wystartował w stanie wojennym z Warszawy. W środku było niewielu pasażerów. Nasza delegacja, urzędnik ambasady w Bangkoku z kubłem pełnym jabłek - bo jabłka są drogim rarytasem w Tajlandii - i Gołda Tencer, aktorka Teatru Żydowskiego.

W Kopenhadze czekał już na nas jumbo jet tajlandzkich linii lotniczych, który miał zawieźć nas do Bangkoku. Samolot był ogromny, dwupiętrowy i na wieczornym lotnisku wyglądał jak budynek KC PZPR ze skrzydłami. Stan wojenny narzucał nawet metafory.

Pierwszy raz leciałem tak luksusowo: *in flight cinema*, czyli filmy w trakcie rejsu, sześć kanałów muzyki w słuchawkach i darmowe drinki, jak to w klasie biznes.

Ewa Szykulska i Elka Zającówna miały jeszcze lepiej. Jako gwiazdy filmowe leciały pierwszą klasą w kabinie na piętrze, i miały własne leżanki. Do dziś nie wiem, dlaczego organizatorzy festiwalu woleli od męskich odtwórców głównych ról w *Vabanku* aktorki w rolach drugoplanowych.

Kiedy wreszcie jumbo jet wylądował, dopadł nas 40-stopniowy upał. Wszystko, co

mieliśmy na sobie, było absolutnie nieodpowiednie dla tego klimatu. Otumaniony 20-godzinną podróżą dałem sobie wsadzić na szyję powitalne girlandy z jaśminów czy orchidei i umieścić się w festiwalowej limuzynie. Wszystko wokoło pachniało. Pewnie sprawiły to te kwiaty na szyi. Zgodnie z zasadą, że w filmie prawdziwymi gwiazdami są aktorki, nie reżyser, Ewa i Ela zostały zakwaterowane w lepszym hotelu Philippine Plaza na terenie centrum festiwalowego, ja - w skromnym Holiday Inn, niedaleko, ale jednak po drugiej stronie Roxas Boulevard.

W hotelowym pokoju natychmiast puściłem wodę do wanny i włączyłem telewizor. Czekając na kąpiel, wpatrywałem się z niedowierzaniem w ekran. Wiedziałem o istnieniu dyscypliny sportowej, która się nazywa golf. Podejrzywałem też, że może są jej nawet jakieś turniejowe rozgrywki, ale nie śniło mi się, że to może być całkiem na poważnie transmitowane w telewizji! Czulem się zresztą dość surrealistycznie. Dopiero co wyrwałem się ze śniegu, czołgów i koksowników, żeby na drugim końcu świata obserwować w telewizji, jak jakiś dżentelmen w sąsiedzkiej Australii przechadza się po trawniku i pyk, pyk uderza ze śmiertelną powagą w plastikową piłkę. Publiczność wokół przyjmowała te pyknięcia na przemian brawami lub jękami zawodu, w zależności od tego, co zrobiła piłka. Patrzyłem na to jak urzeczony, niewiele brakowało, a woda w wannie mi się przelała. Po kąpielu popełniłem pierwszy z błędów, które są udziałem niedoświadczonych obieżyświatów. Wiedziałem co nieco o strefach czasowych, ale nie miałem pojęcia o *jet lag*, czyli lotniczej tysiącmilowej nodze! Zmęczony poszedłem spać, nie zważając na to, że jest trzecia po południu. Kiedy obudziłem się rześki po 12 godzinach o trzeciej nad ranem, miałem za swoje. Do ósmej leżałem w bezruchu w pachnącej kwiatami pościeli i czekałem, co przyniesie los na śniadanie. Po śniadaniu chciałem dołączyć do reszty ekipy, a przede wszystkim zmienić hotel. Nie to, że ten był zły. Nigdy nie mieszkałem w lepszym, ale reszta delegacji mieszkała w Philippine Plaza, a ja musiałem spotkać się z członkiem jury Krzysztofem Zanussim, dla którego jako kurier z Warszawy miałem mnóstwo wiadomości od jego mamy i Krzysztofa Kieślowskiego. Czekając, aż organizatorzy przyjadą po mnie, wyszedłem na krótki spacer. Skręciłem w lewo i zamiast w centrum życia stolicy Filipin znalazłem się w jakichś slumsach, gdzie natychmiast otoczyło mnie mnóstwo filipińskich dzieci, obdartych i brudnych, wyciągających ręce i krzyczących jedno przez drugie:

- *One peso! One peso, sir!*

Pomyślałem: „To mnie ta zgraja prosi o wsparcie? Mnie? Biedaka z za żelaznej kurtyny?! Który na cały pobyt ma wszystkiego 90 oficjalnie dozwolonych do wywozu zielonych papierów? To ja powinienem te dzieciaki prosić o wsparcie!”.

Biegiem wróciłem do hotelu i chwilę potem znalazłem się w getcie białego człowieka, w festiwalowym centrum. Tego dnia Krzysztof Zanussi przedstawił mnie pierwszej damie Imeldzie Romualdez Marcos. Zanim do tego doszło, pan Krzysztof ostrzegł, żebym w czasie robienia zdjęć z First Lady pamiętał, by przypadkiem się nie uśmiechać. Dlaczego?

- Proszę sobie wyobrazić, że za kilka, góra kilkanaście lat, gdy reżim Marcosów upadnie, ktoś opublikuje to zdjęcie i podpisze: „Uśmiechnięty reżyser Machulski wspomina stare dobre czasy u boku państwa Marcos”.

Nie mogłem nie przyznać mu racji.

- I niech pan uważa - dodał pan Krzysztof. - Ja się trochę obawiam tych spotkań z panią Marcos, bo na nią były już trzy zamachy. Zawsze zaglądam pod stół, czy nie ma bomby. Widzi pan tę miłą siwą kobietę obok pani Imeldy? To jej minister kultury. Nosi długie rękawy, bo raz w czasie zamachu na panią dyktatorową zasłoniła ją i teraz ma na przedramieniu blizny po ciosach maczety. Ręka na szczęście wytrzymała, choć niewiele brakowało.

Zajrzałem pod stół, bomby na szczęście nie było. Pani Imelda z miłym uśmiechem wypytywała o wieści z Polski.

Ze wszystkich sił starałem się zająć patriotyczną postawę i w poważnych barwach przedstawić ciemną noc stanu wojennego w Polsce, nie mogłem jednak oderwać wzroku od paznokci First Lady. Były dziwnie pomalowane na trzy kolory, a do tego schodził z nich lakier. Kiedy wreszcie Imelda Marcos westchnęła i spytała: „I co będzie z tą Polską?”, odpowiedziałem odruchowo tekstem angielskiego psalmu: *We shall overcome!*

Byliśmy pierwszą oficjalną delegacją, jaką reżim wypuścił za granicę, i dlatego przyglądano nam się z troską i uwagą. Czy aby czasem nie jesteśmy agentami KGB? Zauważyłem, że ludzie z Zachodu, a zwłaszcza dziennikarze, o wiele bardziej emocjonalnie



przeżywali to, co właśnie działo się w Polsce niż na przykład ja sam. Jakaś francuska żurnalistka z Agence France Press, zatroskana naszą narodową kondycją, zapytała mnie, czy to prawda, że Andrzej Wajda siedzi w niemieckim obozie koncentracyjnym. Ponieważ kilka dni wcześniej widziałem pana Andrzeja na kołaudacji filmu Filipa Bajona *Limuzyna Daimler Benz*, prostolinijnie odpowiedziałem, że nie. Że widziałem go w pełni sił, na wolności i w dobrym zdrowiu.

- Niech pan nie traktuje nas jak idiotów! - syknęła Francuzka i obrażona odeszła.

Zrozumiałem, że choćbym nie wiem jak się starał, oni i tak wiedzą lepiej. Krzysztof Zanussi wytłumaczył mi ich zachowanie:

- Są rozżaleni, bo robi im pan przykrość. Co panu zależało? Trzeba było powiedzieć, że Wajda siedzi w obozie! Oni tak bardzo przeżywają Solidarność, Polskę i wszystko, co się u nas dzieje, że jeśli coś nie jest aż tak źle, jak sobie wyobrażają, to po prostu w to nie wierzą, bo wtedy wychodzą na histeryzujących kabotynów.

Tego wieczoru byliśmy zaproszeni do prezydenckiego pałacu Tagalog, gdzie przechadzając się po oświetlonych pochodniami, zwirowanych alejkach, nagle usłyszałem, że ktoś się za mną skrada. Obejrzałem się i zobaczyłem Toshiro Mifune stąpającego kocim krokiem samuraja. Wzrokiem poszukiwałem baru. Kiedy o mały włos nie zderzyłem się z Michaeliem Yorkiem przy nakładaniu ostryg, zrozumiałem, że jestem w wielkim świecie.

Wreszcie nastąpił dzień pokazu *Vabanku*. Sala konferencji prasowej pękała w szwach. Nie z powodu filmu oczywiście, którego jeszcze nikt nie widział, ale stanu wojennego. Mimo sugestii pana Krzysztofa raz po raz rozczarowywaliśmy zagranicznych dziennikarzy złaknionych krwawych obrazów z pola bitwy. Natomiast odbiór filmu był bardzo udany. Kiedy na miejscu włamania została blaszka jako dowód rzeczowy, widownia jęknęła z zawodu. Tak samo było w Warszawie i w Pamporowie. Zrozumiałem, że kino nie zna granic ni stanów wojennych. Czas na festiwalu zleciał szybko, głównie na hotelowym basenie, pokazach medycyny filipińskiej i rozmowach przy herbacie z panem Krzysztofem w obrotowej restauracji na najwyższym piętrze hotelu. W czasie rozdania nagród stałem na scenie w swoim ślubnym garniturze sprzed trzech lat - sztuczkowe spodnie, szara kamizelka, czarny surdut - a obok mnie Jeremy Irons, Delbert Mann, Ludmiła Gurczenko...

Na widowni dostrzegłem Susan George, śliczną brytyjską aktorkę, którą zapamiętałem z *Nędznych psów* Sama Peckinpaha. Susan z uśmiechem niedowierzania nie odrywała ode mnie wzroku. Pewnie sprawił to ten mój trzyczęściowy garnitur. Australijski producent powiedział mi później, że wyglądałem w nim jak nowojorski adwokat: gruby i zadowolony.

Wracaliśmy do domu przez Bangkok z międzylądowaniem w Karaczi, Kalkucie i Kopenhadze, gdzie okazało się, że LOT znowu wstrzymał loty. A więc dalej do Zurychu, stamtąd do Pragi, a z Pragi pociągiem do Warszawy. Już drugi raz z rzędu wylatywałem z Polski samolotem, a wracałem lądowo, pociągiem. Powoli wchodziło mi to w nawyk.

Gdy na początku lutego 1982 roku spotkałem w Zespołach Filmowych na Puławskiej operatora Jurka Zielińskiego, ten na widok mojej opalenizny spytał z zazdrością:

- Byłeś w Zakopanem?

W stanie wojennym, żeby dojechać do Zakopanego, trzeba było - marzenie ściętej głowy - mieć specjalną przepustkę z MSW.

- Nie - odparłem prostolinijnie - byłem w Manili, na Filipinach.

Jurek zaniemówił na chwilę, a potem roześmiał się na całe gardło.

- Chciałbym mieć twoje poczucie humoru! - poklepał mnie po plecach i odszedł, zaśmiewając się z mojego żartu.

**Misja Elżbiety K.**

Założyliśmy ręczniki na szyję i tylko w kąpielówkach i klapkach ruszyliśmy na dach hotelu, gdzie znajdował się basen. W krajach komunistycznych w latach 80. hotel z basenem na dachu był rzadkością. Ale to był hotel Thermal! Najnowocześniejszy hotel w Karlowych Warach, a może nawet w całej Czechosłowacji, showbiznesowa oaza dla gości festiwalu. A my z Janem Machulskim byliśmy właśnie takimi wybrańcami losu dzięki filmowi *Vabank*.

Wyszliśmy z windy na ostatnim piętrze i skierowaliśmy się do przeszklonych drzwi, za którymi czekał na nas relaks w amerykańskim stylu. Janek kładł rękę na klamce, gdy za sobą usłyszeliśmy stukot damskich szpilek i zdyszany głos:

- A panowie dokąd?

Odwróciliśmy się, żeby stanąć twarzą w twarz z panią Elżbietą K., wysoką urzędniczką z Naczelnego Zarządu Kinematografii. Janek zmierzył ją od stóp do głów, ale najwyraźniej nie była w jego typie, bo dość cierpko spytał:

- A pani kim jest?

Mój ojciec nigdy wcześniej nie spotkał pani Elżbiety, ale ja, który musiałem od czasu do czasu bywać na Krakowskim Przedmieściu w sprawach wyjazdów na festiwale, trochę ją znałem. W czasie tego wyjazdu pełniła funkcję „politruka” polskiej delegacji - czyli esbeka, który się nami opiekował i za nas ideologicznie odpowiadał. Teraz stała w służbowym granatowym kostiumie i dyszała. Musiała nas ścigać przez kilka pięter po schodach. Zerknąłem badawczo na unoszącą się rytmicznie górę garsonki, starając się wypatrzeć wybrzuszenie kabury ze służbową bronią. Na szczęście tego dnia pani Elżbieta najwidoczniej zostawiła broń w hotelowym pokoju. Chciałem pociągnąć Janka za rękaw, ale ponieważ był w slipach, tylko znacząco zakaszlałem.

- Jesteś przeziębiony? - zaniepokoił się ojciec. - To może nie idźmy na basen?

- Panowie wybieracie się na basen? - pani Elżbieta zaniemówiła.

- A bo co? - mój ojciec musiał wyraźnie jej nie polubić.

- Bo co? - powtórzyła i z torby na ramieniu wyciągnęła program festiwalu. - Bo właśnie w tym momencie na drugim piętrze zaczyna się panelowa dyskusja na temat pokoju na świecie i cała polska delegacja ma obowiązek być tam obecna i zabierać głos!

Przez chwilę poczułem się bohaterem prozy Milana Kundery.

- Pokój na świecie ma się dobrze, czego i pani życzymy! - powiedział Janek i pociągnął mnie za szklane drzwi na basen. Kątem oka zauważyłem, że urzędniczka NZK łapie ustami powietrze jak ryba, nie mogąc pozbić się po naszym bezczelnym i antyinternacjonalistycznym zachowaniu. Pomyślałem sobie, że trudno, ale zanim nas deportują, przepłyniemy kilometr stylem klasycznym. Nie deportowano nas być może dlatego, że konkursowy pokaz *Vabanku* miał się odbyć dopiero za dwa dni.

Nazajutrz przy śniadaniu, gdzie 30-osobowa polska delegacja filmowa zajmowała trzy stoły, pani Elżbieta udawała, że nas nie widzi, zajęta nalewaniem kawy znużonemu Romanowi Wilhelmowi. Ja siedziałem skromnie na końcu, między Jankiem i Stanisławem Bareją, który nieśmiało nakładał sobie węgierskie salami na kanapkę. Czechosłowacki komunizm różnił się tym od naszego, że na każdym rogu ulicy widniały hasła „Ze Związkiem Radzieckim na wieczne czasy i nigdy inaczej”, a w sklepie było świetne piwo i salami. W Polsce na murach pełno było graffiti w rodzaju „Solidarność żyje!”, za to w sklepach brak piwa i wyroby czekoladopodobne.

Jechałem na ten festiwal 9 lipca 1982 roku w ponurym nastroju. Zespół Filmowy „Kadr” Jerzego Kawalerowicza właśnie zrezygnował z produkcji mojego drugiego filmu fabularnego pt. *Seksmisja*. Oficjalną przyczyną była obawa, czy nasza skromna kinematografia udźwignie produkcję filmu SF.

„Kadr” zaproponował wcześniej film jako koprodukcję z Czechami, ale ci odrzucili scenariusz ze względów ideologicznych. Akcja filmu działa się w roku 2044 i na świecie komunizmu najwyraźniej już nie było. Zaproponowali mi przeniesienie akcji do roku 2344, na co ja się nie mogłem zgodzić. Odwołanie produkcji w ostatniej chwili było dla mnie klęską. Do tego 10 lipca wieczorem nasza futbolowa reprezentacja grała z Francją o trzecie miejsce na mundialu w Hiszpanii, a w 1982 roku w hotelowych pokojach nie było telewizorów. Czekala nas z Jankiem biesiada w przypadkowym czeskim barze z przypadkowym towarzystwem, nie daj Boże kibicującym Francji. Na szczęście tego dnia dołączył do nas Stanisław Stefański, minister kinematografii, który z racji swojej funkcji miał w hotelowym apartamencie telewizor i był tak miły, że zaprosił całą polską delegację. Poszli wszyscy: Jerzy Kawalerowicz, Roman Wilhelmi, Barbara Brylska, Krzysztof Szmagier, Jerzy Passendorfer, Dorota Stalińska, Stanisław Bareja, redaktor tygodnika „Film” Czesław Dondziło, nas dwóch z Jankiem, oczywiście pani Elżbieta K. i 20 innych osób, których kompletnie nie pamiętam.

Miejsc było mało, więc jako najmłodszy leżałem na wykładzinie, za to najbliżej telewizora. Do przerwy prowadziliśmy 2:1 i srebrny medal wisiał w powietrzu. Kiedy Kupcewicz strzelił trzecią bramkę, wybuchł szal radości, który zainteresował ministra Stefańskiego na tyle, że uprzejmie zapytał:

- Przepraszam państwa bardzo, a którzy to nasi?

Na chwilę zapanowała cisza, a potem Dorota Stalińska wycodziła przez zęby:

- Panie ministrze, jeśli pan będzie nadal tak się zachowywał, to pana zamkniemy w szafie.

Minister Stefański przeprosił tłum zebrany w jego pokoju i ze zrozumieniem zamilkł do końca meczu. Aby się zrehabilitować, otworzył po zwycięstwie szampana z minibarku. Przypomniałem sobie, jak to osiem lat wcześniej w czasie pamiętnego mundialu w Monachium zdawałem do szkoły filmowej w Łodzi. Jak graliśmy z Argentyną podczas pisemnego egzaminu i po każdej bramce wybiegaliśmy na korytarz, żeby zobaczyć replay. Widocznie tak już musiało być. Srebrny medal dla polskiej piłki zbiegał się z ważnym filmowym wydarzeniem w moim życiu.

Następnego dnia po południu miałem konkursową projekcję swojego *Vabanku* i w związku z tym przy śniadaniu podeszła do mnie pani Elżbieta K. z niewysoką blondynką w okularach. Szybko skończyłem dawno niewidziane w Polsce parówki i wstałem wyczekująco.

- Czy zamierza pan coś powiedzieć ze sceny przed projekcją? - zapytała lekko naburmuszona pani Elżbieta.

- Ależ oczywiście! Tak się chyba powinno, prawda? - odpowiedziałem.

- A co pan powie? - dopytywała pani K.

- Jeszcze nie wiem, co mi przyjdzie do głowy - odparłem szczerze.

- Hm... To niech pan się namyśli, bo pani tłumaczka Zdenka z czeskiego Komsomołu chciałyby wiedzieć, co ma przetłumaczyć.

Niewysoka blondynka uśmiechnęła się lekko. Znowu poczułem się postacią z książki *Kundery*.

- Chcą panie, żebym teraz powiedział to, co powiem przed filmem?

- Tak - odpowiedziała pani K.

- A jak potem powiem coś innego? - dopytywałem.

- Dlatego musimy to mieć na piśmie! - powiedziała Elżbieta K. z przebiegłym uśmiechem.

W tym czasie tłumaczka zauważyła siedzącą obok Dorotę Stalińską i szepnęła coś na ucho pani Elżbiecie.

- A właśnie! Dobrze, dobrze! - i zwróciła się do pani Stalińskiej: - Pani Doroto, pani dziś wychodzi na scenę i w związku z tym mamy pewien problem...

Dorota Stalińska, która słyszała naszą rozmowę, odpowiedziała:

- Nie mam zamiaru niczego mówić.

Pani K. przestąpiła z nogi na nogę.

- Nie o to chodzi. Zostanie pani przedstawiona festiwalowej publiczności, a ponieważ imię Dorota w języku czeskim ma podobne konotacje co, powiedzmy... żul czy alfons w języku francuskim, towarzyska tłumaczka proponuje, żeby przedstawić panią jako Dorotkę Stalińską. Co pani na to lingwistyczne *qui pro quo*?

Dorota spojrzała spod ciężkich powiek na uśmiechającą się słodko Elżbietę K.

- Tylko spróbujcie powiedzieć na mnie Dorotka, to zrobię wam takie lingwistyczne Zaolzie, że obie będziecie żałować, że nie nazywam się Adolf Hitler!

Obie panie szybko odeszły i nie musiałem już zeznawać, co powiem przed filmem. W *Vabanku* jest scena, gdzie futbolowy kibic Duńczyk, grany przez Witolda Pyrkosza, mówi do Kwinty, granego przez mojego ojca, że żałuje, że nie zdążył do Rzymu na mistrzostwa piłkarskie w 1934 roku. Na to Kwinto odpowiada, że pojedzie, jak na mistrzostwach będzie grała Polska. Duńczyk na to: „To się naczekam! Ze 40 lat!”. Po tej kwestii, najprawdopodobniej za sprawą meczu z poprzedniego dnia, w kinie gruchnęły brawa. Film podobał się również z innych powodów i po projekcji Jerzy Passendorfer powiedział mi w zaufaniu, że wie od jednego z jurorów, że film ma szansę na nagrodę za najlepszy debiut.

- Och! To byłoby super! - ucieszyłem się. - Już jedną nagrodę za debiut dostałem za *Vabank* na początku roku, w Manili, na Filipinach.

- Aha... - powiedział Passendorfer. - To świetnie! - i odszedł.

Dwadzieścia pięć lat później dowiedziałem się od czeskiego scenarzysty i aktora, że po tej festiwalowej projekcji chciał się do nas dopchnąć po autograf, ale nie dał rady, taki był ścisk. Wrócił potem do domu i powiedział do swojego 17-letniego syna:

- Wiesz, widziałem dziś polski film. Syn był reżyserem, a główną rolę grał ojciec. Może i my byśmy kiedyś tak spróbowali?

Jego syn Jan wziął sobie słowa taty - Zdenka - do serca i po latach panowie Sverakowie, odebrali Oscara za film. Z dumą mogę powiedzieć, że to mój wkład w rozwój czeskiej kinematografii. Tymczasem wtedy w Karlowych Warach nie dostałem żadnej regulaminowej nagrody. Organizatorzy dowiedzieli się jakoś o moim sukcesie w Manili i z obawy, żeby mi się w głowie nie przewróciło, dali nagrodę pocieszenia w postaci kryształowego wazonu od czechosłowackiego ZMS. Nie wiem, od kogo się dowiedzieli, ale pani Elżbiety K. już do końca festiwalu nie spotkałem.

Na pożegnalnym śniadaniu Stanisław Bareja siedzący obok mnie jakby od niechcenia powiedział:

- Kiedyś w liceum wygrałem długodystansowy bieg 15-latków i pochwaliłem się, jaki jestem dobry, mimo że nie mam skończonych 15 lat. Natychmiast skorzystano z okazji i mnie zdyskwalifikowano. Nigdy nie należy mówić za dużo, żeby nie zostało to wykorzystane przeciwko tobie.

Pan Stanisław miał rację, ale nie do końca. Kilka dni wcześniej wieziono mnie z Jerzym Kawalerowiczem z lotniska w Pradze do Karlowych Warów. Podczas półtoragodzinnej podróży festiwalową limuzyną przyznałem się panu Jerzemu, że w związku z odłożeniem realizacji Seksmisji przyjąłem propozycję z Zespołu „Zodiak” Jerzego Hoffmana wyreżyserowania filmu według scenariusza panów Grońskiego i Komara *Kim jest ten człowiek?*. Jerzy Kawalerowicz, mój szef i mentor, na chwilę zaniemówił.

- Chcesz robić film poza moim zespołem?

- Muszę coś zrobić. Czuję, że powinienem wyreżyserować film.

Pan Jerzy jechał w milczeniu godzinę. Podejrzewałem najgorsze. Że już nigdy do mnie się nie odezwie. Kiedy wjeżdżaliśmy do Karlowych Warów, odwrócił się nagle do mnie i powiedział:



- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś zaczął *Seksmisję* jeszcze w tym roku.

Słowa dotrzymał. Czyli czasem dobrze się chwalić. A film *Kim jest ten człowiek?* wyreżyserowali państwo Ewa i Czesław Petelscy.

## 24.

### Gdybym spotkał szpiega

Był ponury poniedziałek 28 listopada 1983 roku. Tego dnia, w samo południe, miałem wyznaczony egzamin kwalifikacyjny na stypendium do Stanów Zjednoczonych. Rozmowa i test miały się odbyć w amerykańskiej bibliotece ambasady przy ulicy Pięknej. Idąc od Kruczej, już z daleka zauważyłem szary tłum rodaków starających się o amerykańską wizę. Stan wojenny zakończył się cztery miesiące wcześniej, ale trzech mężni milicjanci nadal ochraniali obywateli PRL przed nimi samymi, nie wpuszczając nikogo na teren ambasady. Ponury tłumek zlorzeczył pod nosem, ale stał przepisowo kilka kroków od furtki.

Przepchnąłem się do przodu na „ziemię niczyją”, między petentów a milicję, wymachując telegramem wzywającym na egzamin jak białą flagą. Dowodzący oddziałem plutonowy MO, zmarznięty jak diabli i regulaminowo wściekły jak jasna cholera, nawet na mnie nie spojrzał, tylko zagroził kolbą kałacha drogę.

- Gdzie? - spytał niezbyt poprawnie gramatycznie.

- Pyta pan, dokąd zmierzam? - chciałem być uprzejmy. - Mam tu zaproszenie na egzamin językowy, proszę łaskawie rzucić okiem...



To nieco zaintrygowało milicjanta. Nie kolejny zdrajca ojczyzny, który stara się o wizę, by wiać do Chicago i nachapać się dolarów przy azbeście, ale jakiś inteligencki dupek dopraszający się egzaminu z języka amerykańskiego.

- Pan nie wejdzie.

- A dlaczego?

- Mam rozkaz nikogo nie wpuszczać.

- Ale ja nie po wizę! Ja na egzamin. I tam pewnie na mnie czekają.

- Nie wpuszczać znaczy: nie wpuszczać.

- Ale to co ja mam zrobić w tej sytuacji? - zapytałem dramatycznie.

Plutonowy zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów. Spojrzenie nie wyrażało podziwu dla chęci kształcenia się na obcej, ale jakże bliskiej Polakom ziemi Kościuszki i Pułaskiego. Widocznie jednak coś w mojej desperackiej postawie kazało mu potraktować ten wypadek indywidualnie, bo jego wzrok złagodniał, gdy pochylił się do mnie.

- Mogę dać jedną radę... Tu, gdzie stoimy, czyli chodnik i jezdnia, to Polska. Za tymi sztachetami - pokazał na ogrodzenie - zaczyna się terytorium Stanów Zjednoczonych. I tam moje rozkazy nie sięgają.

- Rozumiem! Ale jak się tam dostać?

- Gdyby wtargnął pan do limuzyny ambasadora i razem z nim wjechał na teren ambasady, wtedy nic nie będę mógł zrobić. Limuzyna, tak jak ambasada, jest poza moim zasięgiem.

- Wtargnąć do samochodu ambasadora? Że też sam wcześniej na to nie wpadłem! A czy pan ambasador już przyjechał do pracy?

Milicjant spojrział na zegarek. Było kwadrans po dwunastej.

- Ma się rozumieć. Jest tu od dziewiątej rano.

- No, to sam pan widzi, jak mam wtargnąć? Nawet gdybym chciał?!

- No, tak... - pokiwał głową plutonowy. - To już raczej jutro z rana...

Odszedłem zdruzgotany.

Zanim udało mi się kupić telefoniczny żeton, aby z pobliskiej budki dodzwonić się do ambasady, zrobiła się godzina pierwsza. Kiedy przedstawiłem się i opowiedziałem, co mnie spotkało, z drugiej strony słuchawki zaległa wymowna cisza.

- Halo?! Jest tam kto? - zawołałem w ebonitową słuchawkę.

- Jestem, jestem! Zamyśliłem się, bo jeszcze nikt nie zdołał się przedrzeć. Bardzo nam przykro... - odpowiedział zasmucony głos z amerykańskim akcentem. - *Keep on trying*. Będziemy czekać do wieczora. Może się uda.

- A nie można by zrobić tego na zewnątrz? W SPATiF-ie obok na przykład?

- Obawiam się, że nie. Test musi się odbyć w ambasadzie. *Good luck!*

Zrozumiałem, że to koniec marzeń o wyjeździe do Hollywood. W najbliższym czasie przynajmniej. Stałem w budce telefonicznej przed nieistniejącą już dziś restauracją Ambassador, naprzeciw ambasady i zastanawiałem się co dalej. Wtedy zauważyłem, że głównego wejścia pilnuje tylko jeden milicjant. Tędy interesanci nie wchodzili. Obserwowałem go chwilę, jak przytupuje dla rozgrzewki. Po chwili milicjant ziewnął. Najwyraźniej nudził się jak mops. Coś mi przyszło do głowy. Postawiłem kołnierz podróbki amerykańskiej kurtki wojskowej i uśmiechnięty po anglosasku od ucha do ucha ruszyłem przez Aleje Ujazdowskie do frontowej bramy. Machnąłem milicjantowi, tym razem w stopniu sierżanta, telegramem przed nosem i powiedziałem:

- *Hello!* Mam tu wezwanie do ambasady w pilnej sprawie.

- Proszę, niech pan idzie. - Milicjant usunął się z przejścia uprzejmie.

Zaskoczony, ale szczęśliwy wparowałem na eksterytorialną przestrzeń US Embassy.

Pięć minut później bez żadnych problemów ze strony strzegących ambasady żołnierzy amerykańskiej piechoty morskiej znalazłem się w czytelnicy gotowy do zmierzenia się z testem. Oprócz mnie przez polsko - amerykańską granicę udało się przedrzeć jeszcze pięciu śmiałkom.

Test składał się z dwóch części. Pierwszą stanowiła pisemna odpowiedź na sto pytań, drugą - rozmowa z pracownikami ataszatu kulturalnego. Pytania okazały się dość trudne, ale uporałem się z nimi. Nie miałem pojęcia, na jakim poziomie językowym byli inni kandydaci, lecz gdy piszący obok mnie facet spytał szeptem, czy *citizen* znaczy to samo co „zegarek”, zrozumiałem, że nie jestem najgorszy. Rozmowa była miła i czułem, że attaché, pan Hutchison, jest szczęśliwy, że ma wreszcie z kim pogawędzić. Dwaj panowie czekali na nas bądź co bądź kilka godzin. Obaj bardzo interesowali się filmem, więc było mi łatwiej. Obiecałem im specjalną projekcję *Seksmisji*. Pan Hutchison podziękował i pożegnał się ze mną słowami: „Do zobaczenia”. Wyszedłem z ambasady wyjściem od Pięknej. Plutonowy Milicji Obywatelskiej ciągle stał na posterunku.

- Miłego dnia życzę - powiedziałem, mijając go. Rozpoznał mnie i uśmiechnął się szeroko.

- Udało się panu jednak? Gratuluję!

- Wszedłem od Ujazdowskich.

- Jasne - przytaknął plutonowy. - Od Ujazdowskich można wchodzić.

Zatrzymałem się.

- To dlaczego pan mi o tym nie powiedział!?

- Bo pan chciał od Pięknej - odparł milicjant.

Z uśmiechem wyższości na ustach oddaliłem się nonszalanckim krokiem.

Kilka dni później zadzwonili z ambasady. Do rodziców. Ja wówczas nie miałem telefonu - były takie czasy - i mama przekazała mi, że jest dla mnie jakaś taśma czy płyta, którą mam w piątek odebrać na mieście.

- Co na niej jest?

- Nooo... nagranie, które ma ci pomóc zdać następny egzamin z angielskiego.

- A konkretnie?

Mama nie zastanawiała się długo.

- Chyba nagrali rozmowę z tobą w ambasadzie i teraz dadzą ci posłuchać, gdzie zrobiłeś błędy...

- Nagrali tę rozmowę, nie uprzedzając mnie? - nie chciało mi się wierzyć. - W takim razie ja rezygnuję z tego pieprzonego stypendium! Co to jest? *Rozmowa Coppoli*?! Nie będę mi tu robić Watergate! Odbiorę tę taśmę i rzucę im w twarz!

Kiedy już dostałem płytkę, okazało się, że to nagranie miało przygotować mnie do końcowego egzaminu TOEFL (Test of English as a Foreign Language), który odbywał się za dwa miesiące. Test z angielskiego jako języka obcego nie wpływał już na przyznanie stypendium, chodziło raczej o uświadomienie kandydata, na jakim poziomie języka używanego w sytuacjach akademickich się znajduje. Do dziś nie wiem, czy moja mama naprawdę myślała, że wtedy mnie nagrali, czy po prostu robiła mnie w jajo.

I dwa miesiące potem do mieszkania przy ulicy Dobosza, gdzie mieszkałem, zapukał pewien mężczyzna. Mężczyzna - dość nijaki człowieczek w kapeluszu agenta Stasi - mignął mi przed oczami legitymacją z nagłówkiem Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i powiedział, że ponieważ nie posiadam telefonu, przekazuje mi ustne wezwanie. Mam się zgłosić w piątek, 27 stycznia na ulicę Rakowiecką do pani kapitan Koniecznej, pokój 458. Spytałem, w jakiej sprawie.

- Pan się na jakąś zagranicę szykuje, zdaje się? - odpowiedział człowieczek i

odmaszerował. Wyznaczonego dnia z duszą na ramieniu powlokłem się do MSW na Rakowiecką. Pani kapitan Konieczna, z pięć lat starsza ode mnie blondynka, była zaskoczona, że się zjawiłem w piątek, gdyż przygotowana była na sobotę.

- No, ale skoro pan już przyszedł - powiedziała i sięgnęła do mojej teczki. Teczka była cienka i jak się zorientowałem, zawierała głównie kolejne podania o paszport.

- W jakim celu jedzie pan do Szwajcarii? - spytała pani kapitan. Odpowiedziałem, że za kilka dni lecę do Zurychu na dokumentację do filmu *Vabank 2*, wyszukać obiekty zdjęciowe, postarać się o pozwolenie kręcenia na ulicach Zurychu itp. Pani kapitan skinęła głową ze zrozumieniem i wyznała:

- Mam tu zanotowane, że pan jest bardzo inteligentny i ma wielkie poczucie humoru.

- Jestem pod wrażeniem, że tyle o mnie wiecie.

- Proszę pana, no więc jest tak. Wiemy, że zdawał pan egzamin w ambasadzie USA. Proszę powiedzieć, z kim pan tam rozmawiał.

W głowie przeleciały mi sceny z wszystkich szpiegowskich filmów, których akcja toczyła się w NRD albo ZSRR. „Nic im nie powiem esbekom!” - pomyślałem i odparłem:

- Rzeczywiście, przypominam sobie, że zdawałem jakiś egzamin, ale z kim rozmawiałem, nie pamiętam.

- Nie pamięta pan? - powtórzyła pani kapitan i z potężnej szafy pancерnej wyjęła duży klaser jak do znaczków. Zaczęła powoli przerzucać tekturowe stronicę.

- Tutaj mamy pracowników ambasady USA. Może pan sobie chociaż twarz przypomni? - pani kapitan podsunęła mi stronę z ataszatem kulturalnym, na której z kolorowej fotografii uśmiechali się do mnie pan Hutchison i jego asystent.

„Jej chodzi o to, żeby mnie sprawdzić! - myślałem gorączkowo. - Przecież doskonale wie, kto mnie egzaminował, chce tylko sprawdzić, czy pęknę, czy nie! Co robić, psiakrew?!”

Co robić?!”.

W tym momencie drzwi do pokoju otworzyły się i do środka wszedł młody człowiek, którego gdybym zobaczył w innym miejscu, wziąłbym za studenta politechniki.

- To co, Krycha, przyjdiesz na tę prywatkę do mnie czy nie? - zapytał panią kapitan, kompletnie mnie ignorując.

- No, nie wiem, nie wiem... - droczyła się pani kapitan Konieczna. - Upijecie się jak zwykle...

- Krycha, nie bądź taka! Przyjdź, kurde! Będzie gites!

- No dobra już, dobra, Jarek, może wpadnę. Jak znajdę czas.

- Nie powiedziałaś „nie”, a to najważniejsze! - rozradowany Jarek wybiegł z pokoju, a pani kapitan zwróciła się do mnie z błogim uśmiechem, myślami pewnie już na prywatce:

- No i jak? Przypomniał pan sobie kogoś?

Pomyślałem, że jak powiem, że nikogo nie pamiętam, będzie wiedziała, że kłamię. Jedyne, co mogłem zrobić, to nie przyznawać się, że był tam też asystent. Ociągając się, małym palcem wskazałem na zdjęcie sympatycznego pana Hutchisona. Pani kapitan sięgnęła do zeszytu, gdzie była lista nazwisk. Szybko odszukała właściwą pozycję.

- To pan Hutchison - poinformowała mnie z dumą i zamknęła klaser. - No więc, panie Juliuszu! - zaczęła, a ja już wiedziałem, że nie jest dobrze. - Wyjeżdża pan na rok do Stanów, a tam, jak wiemy, nie lubią Polski Ludowej...

- Tak? - spytałem zaskoczony. - Ciekawe czemu?

- Nasz wywiad nie kłamał, rzeczywiście jest pan dowcipny! - roześmiała się pani kapitan. - W Ameryce na pewno będzie poznawał pan mnóstwo ludzi. Tak to już bywa na stypendiach. Ale wśród tych, których będzie pan poznawać, mogą być szpiedzy obcego



mocarstwa i my tutaj chcielibyśmy, żeby pan nas o tym informował...

Przełknąłem ślinę. „No i zaczęło się!” - pomyślałem. „Zarzucają sieć!”, a głośno powiedziałem:

- Obiecuję, że za każdym razem, jak spotkam szpiega, dam pani znać.

Kapitan Konieczna spojrzała na mnie i znowu się roześmiała.

- Drogi panie Juliuszu, z całym szacunkiem, ale mogłoby się zdarzyć, że pan jako nieprzeszkolony nie rozpoznałby, że szpieg to szpieg. Proszę dać nam szansę wykonywać naszą pracę...

- Czyli o co konkretnie mnie pani prosi?

- Żeby informował pan o wszystkich nowych znajomościach w Stanach, a my już ustalimy, kto jest kto.

Tym razem ja zamyśliłem się na kilka sekund.

- Wie pani co? Ja właściwie nie lubię ludzi. W zasadzie to będę unikał nowych kontaktów. Mam zamiar głównie chodzić do kina i czytać książki. No, może się zdarzyć, że pójdę w niedzielę na plażę w Santa Monica, ale to wszystko.

- Nie uda się panu nie widywać z ludźmi - pani kapitan robiła wrażenie rozbawionej. - Po przyjeździe spotkamy się, oczywiście nie musimy tutaj. Zrobimy to w jakiejś miłej kawiarni. A, i przy okazji proszę podpisać, że o czym tu rozmawialiśmy, nie powie pan nikomu.

I podsunęła mi formularz do podpisu.

Oczywiście wszyscy moi przyjaciele dowiedzieli się o tym spotkaniu jeszcze tego samego dnia. A przez rok w Stanach nie spotkałem żadnego szpiega. Tak mi się przynajmniej zdawało. I może trochę żałuję...

A po powrocie pani kapitan najwidoczniej zapomniała o naszym umówionym spotkaniu w kawiarni. Bo już nikt więcej mnie z SB nie nachodził.

25.

### **Do Moskwy!**

13 grudnia 1983 roku stałem na Okęciu w kolejce do odprawy samolotu Aerofłotu do Moskwy. Byłem zaproszony przez Sojuz Sowieckich Kinematografistów - czyli Związek Filmowców Radzieckich - na uroczysty pokaz filmu *Vabank*. Dotąd, przez 28 lat, udawało mi się trzymać z dala od ZSRR, choć Moskwa zawsze kusiła swoim słodko - trującym wdziękiem. Po przeczytaniu *Mistrza i Małgorzaty* w ostatniej klasie liceum uznałem, że mimo wszystko chciałbym odwiedzić to miasto w jakiejś bliżej nieokreślonej przyszłości, ale na razie wzorem premiera Mikołajczyka odsuwałem wizytę w Sowietach.

W baraku, który był wtedy terminalem odlotów na Okęciu, spotkałem kolegę reżysera Krzysztofa Gradowskiego. Krzysztof w owym czasie latał do Moskwy co dwa tygodnie z powodu obowiązków związanych z koprodukcją któregoś tam z kolei filmu o życiu i twórczości Pana Kleksa. Kiedy już przetrzepano nam bagaże w poszukiwaniu kontrabandy i kremów Nivea, starszy kolega filmowiec spytał, co mnie gna do stolicy Kraju Rad. Pochwaliłem się, że rosyjscy koledzy filmowcy zapragnęli zobaczyć *Vabank*. Gradowski zamyślił się chwilę:

- Tak sądzisz? A gdzie byłeś ostatnio?

- Ostatnio? Cały czas siedziałem w Łodzi i kończyłem film, to znaczy *Seksmisję*.

- Chodzi mi o to, gdzie służbowo byłeś za granicą ostatnio!

- Służbowo? Na festiwalach czyli? No, byłem na Filipinach, w Szwajcarii, we Francji...

Doświadczony kolega filmowiec się roześmiał.

- Wszystko się zgadza! Przyszedł czas na wyjazd do Moskwy! Musi być parytet!

- Parytet? - nie rozumiałem.

- A jak? Chciałbyś byczyć się tylko na kapitalistycznych festiwalach, za dewizy? Takiego wała! Już Naczelny Zarząd Kinematografii dopilnuje, żeby ci się w głowie nie przewróciło!

Widząc, że nadal nie rozumiem, zaczął mi spokojniej tłumaczyć, smarując samolotową bułkę masłem.

- To działa tak: po trzech wyjazdach do krajów atrakcyjnych i kapitalistycznych następują trzy demoludy. Przygotuj się jeszcze na Bułgarię i jakiś daleki wyjazd do kraju komuchów.

- Typu Kuba? - spytałem z nadzieją.

- Typu Mongolia raczej!

Po tym wyjaśnieniu puzzle moich zagranicznych wyjazdów zaczęły układać się w logiczną całość.

- Ja pierniczę! - olśniło mnie nagle. - Masz rację! Chcieli mnie właśnie wysłać do Libii!

- Ooo... - w głosie Krzysztofa wyczułem nutę zazdrości. - I co?

- Już miałem wizę, ale odmówiłem! - odparłem z dumą.

- Dlaczego? Libia jest super! - Krzysztof był autentycznie rozczarowany.

- Nie spodobało mi się, jak strzelali z okien ambasady do ludzi w Londynie. Zrozumiałem, że to chyba kraj nie dla mnie - starałem się brzmieć pryncypialnie.

- Chłopie! To była okazja! W Libii do gości Kaddafiego nie strzelają! I co się stało dalej?

- Wysłali za mnie Stanisława Mikulskiego.

- Mikulskiego? Aaa - pokiwał głową z podziwem. - Świetny ruch! Podobne nazwisko, więc Libijczycy się nie kapną!

Gradowski nagle zmienił temat.

- Na pewno zorganizują ci ten pokaz w *Domie Kino* - w Domu Kina, a tam mają znakomitą restaurację, taki nasz SPATiF. Spróbuj języka.

- Języka?

- Ichniego ozorka. *Foie gras* się nie umywa.

Ani się nie obejrzelismy, jak przywitało nas Szeremietiewo - futurystyczne w porównaniu z Okęciem - lotnisko wybudowane trzy lata wcześniej z okazji olimpiady. Tam nasze drogi się rozeszły. Krzysztof Gradowski udał się dokumentować przygody Pana Kleksa w dalekim Kazachstanie czy Armenii, a mnie przejęła towarzyszka Tatiana - tłumaczka i opiekunka z ramienia Sowieckich Kinematografistów. Wyprowadzony wyjściem dla VIP - ów, bez sprawdzania bagaży, umieszczony w służbowej czajce poczułem się bardzo ważnym i docenionym gościem z bratniej Polski. Zostałem nakarmiony w Domu Kino (*jazykiem*) i zakwaterowany w hotelu Białoruskaja na ulicy Gorkiego (dziś Twerska). Tatiana pokazała mi plac Czerwony, Nowodiewiczij monastyr' oraz pamiętający czasy sprzed rewolucji sklep Jelisiejewów, którzy byli jakąś jej daleką rodziną. Na prośbę, żeby zaprowadziła mnie do domu Bułhakowa na Sadową 10 i na Patriarszyje Prudy, usłyszałem, że te adresy już nie istnieją. Na pytanie, kiedy mam pokaz *Vabanku*, odpowiedziała, że kopia jeszcze nie doleciała z Warszawy. Zamurowało mnie.

- Jak to nie doleciała z Warszawy? Wy nie macie swojej kopii? Przecież film był tutaj w kinach!

- No, nie mamy - odpowiedziała Tatiana. - Może jutro przyleci.

- Czyli co ja mam robić?

- *Siedzieć i żdać zwanka* - uśmiechnęła się Tatiana. Czyli siedzieć w hotelu i czekać na telefon.

Jurek Łukaszewicz, mój przyjaciel operator, przestrzegł mnie przed taką sytuacją. Opowiedział, że kiedyś tak *żdał zwanka* trzy dni, zanim ktoś sobie o nim przypomniał. Dlatego gdy tylko zostałem sam, zadzwoniłem do moskiewskich znajomych moich rodziców Wiery i Walerego, a oni zaprosili mnie do siebie. Na kolację miał też przyjść ich znajomy, choreograf Andriej. Bardzo wrażliwy artysta, jak o nim mówili. Kiedy zjawił się Andriej, przez jakiś czas było bardzo miło, dopóki rozmowa nie zeszła na temat zestrzelenia trzy miesiące wcześniej koreańskiego samolotu pasażerskiego przez sowieckiego Mig-a. Ja prostolinijnie uważałem ten wypadek za akt barbarzyństwa i zbrodnię, a Andriej za konieczność racji stanu i uboczny skutek zimnej wojny.

- A co zrobiliby Amerykanie, gdyby nad ich terytorium przeleciał nasz samolot szpiegowski? - zapytał mnie Andriej.

- Ale to nie był samolot szpiegowski, tylko pasażerski.

- Ale w nim siedzieli amerykańscy szpiegzy! - Andriej nie miał najmniejszych wątpliwości.

- Samolot pełen szpiegów? Dwustu czterdziestu sześciu szpiegów?

- Wszystko jedno! - Andriej miał odpowiedź na każde pytanie. - Amerykanie zrobiliby to samo.

- Nie zrobiliby.

- Nie? A co by zrobili?

- Nic - odpowiedziałem prostolinijnie.

- Pozwoliliby samolotowi uciec?

- Tak, gdyby nie mogli zmusić go do lądowania, pozwoliliby mu odlecieć.

- Niby dlaczego?

- Bo dla Amerykanów człowiek jest najważniejszy.

Przestaliśmy dalej dyskutować, ale ta wymiana poglądów nie dawała mi spokoju. Skoro inteligent, artysta i choreograf ma do tego stopnia wyprany mózg, strach pomyśleć, co się dzieje w głowach sowieckich generałów.

Następnego dnia kopia *Vabanku* ciągle nie nadeszła.

- To na razie może by tak pójść do teatru? Słyszałem o kultowym przedstawieniu *Mistrza i Małgorzaty* w reżyserii Lubimowa na Tagance.

Tatiana rozłożyła ręce.

- Marzenie ściętej głowy! Grają to już sześć lat, a bilety ciągle wyprzedane pół roku naprzód.

- To może chodźmy na grób Wysockiego?

- Nie ma czasu.

- Dlaczego?

- Bo lecimy do Kiszyniowa - odpowiedziała towarzyszką Jelisiejewa. Nie rozumiałem.

- Do jakiego Kiszyniowa?

- No, do stolicy Mołdawii.

- Wiem, że to stolica Mołdawii, ale dlaczego mamy tam lecieć?!

- Bo w Kiszyniowie właśnie odbywa się Festiwal Młodego Kina Radzieckiego, na który został pan zaproszony jako zagraniczny gość.

Chwilę zajęło mi, żeby dojść do siebie i zrozumieć podstęp.

- Ja zostałem zaproszony do Moskwy! Pamięta pani?! Na pokaz filmu *Vabank!*

Tatiana Jelisiejewa była nieugięta.

- Tu mam bilety. Wylatujemy za dwie godziny.

Cóż było robić? Z hotelu mnie już wymeldowano. Poleciliśmy. W samolocie Tatiana czytała jakieś polskie czasopismo i co chwilę pytała mnie, co to znaczy *aerobik* albo *break dance*. Po dwóch godzinach lotu wylądowaliśmy w ośnieżonej stolicy Mołdawskiej Republiki Socjalistycznej. Na miejscu okazało się, że jest nas więcej takich wyróżnionych gości ochotników. Jakiś wietnamski student ze szkoły filmowej; jakiś rumuński gwiazdor filmowy po czterdzieście z farbowanymi na blond włosami, obrażony, że nikt go tu nie rozpoznaje; i bułgarski reżyser Żenia Michajłow. Nie mając nic innego do roboty w zasypanym śniegiem po pas mieście, oglądaliśmy beznadziejne filmy z różnych republik radzieckich. Jedynym pocieszeniem była osoba przewodniczącego jury Nikity Michałkowa - najzdolniejszego reżysera kina rosyjskiego, którego podziwiałem od czasu filmu *Swój wśród obcych, obcy wśród swoich*. Miałem nadzieję, że uda nam się zamienić kilka słów. Ale organizatorzy zajęli się nami tak skwapliwie, że nie mieliśmy czasu na towarzyskie spotkania. Któregoś dnia zamiast wieczornego bankietu zorganizowano nam autobusową wycieczkę.

- Dokąd jedziemy? - spytał Żenia organizatora wycieczki.

- Do obozu pionierów.

- Po co? Jest zima! Jest noc! A my jesteśmy głodni! - protestował Żenia, który jako



jedyny z nas znał rosyjski.

- Wszystko będzie dobrze! Czekaj tam na nas wspaniała kolacja.

Po godzinie tłuczenia się po zasypanych śniegiem bocznych drogach dojechaliśmy na miejsce. Wysiedliśmy z autobusu pośrodku lasu, żeby zobaczyć polanę, która być może w lecie służyła pionierom za pole namiotowe. Teraz była pusta, nie licząc stojącej pośrodku drewnianej rzeźby. Rzeźba przedstawiała pioniera z trąbką. Postaliśmy w milczeniu obok trębacza z pięć minut. Organizatorzy najwyraźniej byli dumni, że nas tu przywieźli.

- I to wszystko? - spytał Żenia po następnych dziesięciu minutach.

- No, mniej więcej... W lecie tu jest bardzo gwarno i wesoło. To najlepszy pionierski *lagier* w Mołdawii - odpowiedzieli organizatorzy.

Pomyślałem sobie, że *lagier* to właściwe słowo.

- A teraz zapraszamy na kolację.

Władowaliśmy się z powrotem do autobusu. Po 20 minutach zatrzymaliśmy się przed drewnianym budynkiem barakiem. Organizator wycieczki poprosił, żebyśmy chwilę poczekali, i wyskoczył z autobusu. Kiedy wrócił po kwadransie z bardzo niepewną miną, byliśmy ledwo żywi z zimna i głodu.

- Chcielibyśmy wreszcie coś zjeść - zaczął Żenia.

Organizator odchrząknął:

- No, więc... Jest mała komplikacja...

- Kolacja?! - zaczęto dopytywać się z różnych stron.

- Hm... Grupa, która przybyła tu przed nami, zjadła przygotowaną specjalnie dla nas kolację. Po prostu nastąpiła pomyłka. Ale udało mi się zdobyć z kuchni trochę sucharów -

potrząsnął dumnie papierową torbą.

Byliśmy tak zubożniali, że nikt nawet nie zaprotestował. Po chwili wszyscy w ciszy chrupali suchary.

- I co teraz? - zapytał jakiś nieśmiały damski głosik z tyłu autobusu.

- No, cóż... - organizator wycieczki starał się uśmiechnąć. - Wracamy do Kiszyniowa i zjemy coś w hotelu, jeśli kuchnia jeszcze czynna...

Autobus zawrócił i po wpatrywaniu się przez godzinę w zacięte oblicze rumuńskiego gwiazdora dotarliśmy do punktu wyjścia. Na szczęście hotelowa restauracja ciągle działała. Mołdawski specjał mamałyga, czyli paćka z kukurydzianej mąki, wydał mi się najlepszym daniem na świecie. Następnego dnia nastąpiło uroczyste zakończenie festiwalu i rozdanie nagród. Mnie podobał się tylko jeden film, komedia *My iz džaza (Stworzył nas jazz)* Karena Szachnazarowa ze scenariuszem Aleksandra Borodianskiego. Nie miałem pojęcia, że za dwa lata zaprzyjaźnimy się z Saszą Borodianskim do tego stopnia, że napiszemy razem *Deja vu* - odeską komedię z czasów NEP-u. Oczywiście festiwal wygrał zupełnie inny film, o wiele bardziej poważny i artystyczny. Nikita Michałkow w swoim końcowym przemówieniu podkreślił, że żaden ze światowych festiwali nie powstydziliby się prezentowanych tu, w Kiszyniowie, filmów. Po tym werdykcie osłabła mi ochota na rozmowę z wielkim reżyserem...

Następnego dnia wróciliśmy do Moskwy w zmniejszonym składzie. Rumuński gwiazdor śmiertelnie obrażony brakiem zainteresowania widzów płci żeńskiej wrócił na skróty koleją do Bukaresztu. W Moskwie umieszczono nas w hotelu Pekin, w jednym z budynków typu Pałac Kultury. Dostałem pokój razem z Żenią, co mi nie przeszkadzało, bo w Kiszyniowie trochę się zakolegowaliśmy. Ten pokój, a właściwie apartament, był olbrzymi, ponadstumetrowy, miał tylko jeden mankament - pojedyncze łóżko. Zeszliśmy do recepcji z reklamacją.

- *My wsio taki nie siemja!* - argumentował Żenia, co znaczyło, że mimo wszystko nie jesteśmy rodziną.

Niechętnie, ale zamieniono nam apartament na dwulóżkowy. Ponieważ kopia *Vabanku* ciągle nie nadeszła, a nazajutrz miałem wracać do Warszawy, zrozumiałem, że projekcja się nie odbędzie. Tatiana była niepoczyszona i aby mi osłodzić gorycz porażki, jakimś cudem załatwiła bilety na „marzenie ściętej głowy” - *Mistrza i Małgorzatę* na legendarnej Tagance. Rzadko mi się to zdarza w teatrze, ale byłem autentycznie olśniony. Pomyślałem sobie, że warto było tu przyjechać tylko dla tego przedstawienia. Grający Piłata genialny Witalij Szapowałow zagrał później w *Deja vu*.

Kopia *Vabanku* przyleciała następnego dnia. W pośpiechu zorganizowano pokaz w Domu Kina. Ja zdążyłem tylko przywitać widzów przed seansem, bo pędem musiałem jechać na lotnisko.

Kiedy po powrocie przyjaciele i znajomi pytali mnie, czy mi się w Moskwie podobało, odpowiadałem słowami Gałczyńskiego: „Wszystko mi się tam podobało poza jednym: wszędzie, na każdym rogu, można dostać pomarańcze. A ja nie cierpię pomarańczy!”.

26.

### **Homo, Maestro i panna Li**

Rzuć wszystko i przyjeżdżaj! - głos Janka w słuchawce drżał z radości.

- Bo co? - spytałem.

- Nie będziesz żałował. Chyba mam to, czego szukamy!

- A czego szukamy?

Ale Janek już się rozłączył.

Był koniec marca 1984 roku. Na wejście na ekrany czekała *Seksmisja*, a ja szukałem nowego pomysłu na następny film. Miałem wprawdzie pewien projekt w zanadrzu, ale chciałem znaleźć coś oryginalniejszego. Zrozumiałem, że Janek, czyli mój ojciec, który bardzo kibicował mojej twórczości, właśnie coś takiego znalazł.

Wsiadłem w swoją białą strzałę, czyli fiata 126p, wersja ekonomiczna, by po dziesięciu minutach płynnej jazdy zaparkować przed wieżowcem na ulicy Korotyńskiego, gdzie mieszkali rodzice.

- O co chodzi? - spytałem od progu.

Janek z tajemniczym uśmiechem na ustach zaprosił mnie do salonu.

- Mamy gości...

Facet miał około sześćdziesiątki i długie włosy. Mógłby uchodzić za uniwersyteckiego profesora dziwaka. Mógłby, gdyby nie jego blond asystentka z zadartym nosem, lat 25-28, typowy, co tu kryć, kurwiszon. Wstali z kanapy na mój widok.



- O! Ale pan młody - w głosie gościa brzmiało rozczarowanie. - Wprawdzie nie widzieliśmy pana filmów, ale dużo słyszeliśmy i pan się wydaje do tego idealny...

Spytałem:

- Idealny do czego? - gość nie usłyszał.

- Jestem głuchy na prawe ucho, proszę mi mówić do lewego.

- Czym mogę służyć?! - krzyknąłem do lewego ucha.

- Homo Canis Sapiens Septimus - wyszeptał gość.

- Że co? - nie rozumiałem.

- Jestem Maestro - powiedział Maestro. - A to moja asystentka panna Li.

Panna Li dygnęła zgrabnie, a ja spojrzałem na Janka z pytaniem w oczach. Skubany uśmiechał się szeroko. Najwyraźniej był w siódmym niebie.

- Nadal nie rozumiem, do czego jestem potrzebny! - zaskandowałem do lewego ucha Maestra.

- Chodzi o psa Homo - rzekł Maestro z dumą.

- Homoseksualnego psa? Są takie psy? - Maestro mnie zaskoczył.

- To pies rasy husky, który nazywa się Homo, a ja - Maestro skromnie spuścił oczy - jestem jego treserem.

- Rozumiem - powiedziałem - że ten pies jest jakiś specjalny?

Maestro z powagą kiwnął głową.

- Homo umie rysować linie ciągłe i faliste, owale, kwadraty i portrety panny Li oraz podpisywać się, a obecnie jest w trakcie pracy nad rysowaniem pejzażu.

Spojrzałem na Janka wzrokiem, który pytał: „Słyszysz to samo co ja?”. Janek kiwnął głową. Wydawało mi się, że jest prawie tak samo dumny z psa Homo jak Maestro.

- Posłuchaj, posłuchaj, to niebywałe - szepnął Janek.

- Niebywałe to na pewno! Ma pan może przy sobie jego prace? - spytałem Maestra.

- Niestety, nie zabrałem, ale mam kilka zdjęć Homo przy pracy.

Panna Li wydobyla ze sfatygowanej koperty czarno - białą fotografię 15 × 24 i podała Maestrowi. Ten zaprezentował mi ją z pewnej odległości. Na niewyraźnym zdjęciu pies Homo siedział przed sztalugą z pędzlem w pysku. Miał bardzo nieszczęśliwą minę.

- To jest pies geniusz - powiedział rzeczowo Maestro. - Za kilka pokoleń jego potomkowie będą mogli porozumiewać się z panem jak ja teraz.

- Jak to porozumiewać? Myślałem, że specjalizuje się w malarstwie?

- Homo jest psem o wielu talentach. Teraz chcę nauczyć go mówić w różnych językach. Na razie Homo mówi po angielsku. Umie się też podpisać i napisać po angielsku: *I love Li, I love Maestro*. Musimy z nim rozmawiać po angielsku, choć sami tego języka nie znamy. Panna Li zrezygnowała ze studiów, by kształcić Homo.

- Po angielsku, hm - mruknąłem i spojrzałem na Janka. Ten najwyraźniej znał już osiągnięcia Homo i był pod ich wrażeniem. Maestro nalał sobie pełną szklanekę mirindy i kontynuował:

- Pracuję nad tym, by nauczyć Homo mówić po łacinie. Proszę sobie wyobrazić taką scenę: Jan Paweł II odbywa przechadzkę na terenie ogrodów Watykanu. My z panną Li załatwiamy audiencję i Homo, przechadzając się, niby przypadkiem spotyka papieża i pozdrawia go słowami: *Laudatur Jesus Christus*. Papież na pewno pogłaskałby psa po głowie i odpowiedział: *In secula seculorum*. Będzie to pierwszy przypadek w historii chrześcijaństwa, kiedy pies pozdrowi Pana Boga po łacinie.

- A w innych językach już pozdrawiał? - zdenerwowałem się i wstałem. - Czy mogę cię prosić na słówko? - zwróciłem się do ojca.

Weszliśmy do jego gabinetu.

- Co to ma być?! Próba generalna przed prima aprilis?

- Skąd?! - Janek był oburzony. - Wydawało mi się, że to jest to, czego szukasz!  
Pomysł na film!

- Pomysł na film? O psie, który mówi? Jaja sobie ze mnie robisz?

- Nie o psie! Wiadomo, że ten pies nie mówi! Żaden pies nie mówi! Ale film o tym facecie! I tej pannie Li! To jest para! Jak nie przymierzając w *La Stradzie*!

Zastanowiłem się krótko.

- A skądś ty go wytrzepałeś?

- Z telewizji! Nachodził tam jakiegoś redaktora. Żeby się go pozbyć, redaktor wymyślił, że ty jesteś idealnym reżyserem do filmu o tym psie. Nie mieli telefonu do ciebie, więc zadzwonili do mnie. Tyle! - Janek był lekko urażony, że nie doceniam jego troski o moją twórczość.

- Mam zrobić o nich film dokumentalny? Ja się nie nadaję do filmów dokumentalnych.

- Po co dokumentalny? Potraktuj to jak dokumentację nad projektem pt. *Pies Homo*.

- Mogę to dla ciebie zrobić - zgodziłem się i wróciliśmy.

- Co ten pies jeszcze potrafi? - spytałem Maestra.

- Och! Wiele rzeczy! Na przykład gra na fortepianie melodie.

- A jakie? - chciałem być uprzejmy, ale i dociekliwy.

- Na przykład: *Wlazł kotek na płotek, Summertime, I'm sailing*. Ostatnio zarzucono nam, że uczymy psa tylko zachodnich przebojów, aby go wywieźć na Zachód. W związku z tym wyuczyłem go również grania melodii *Oczy czarne*.

- Kto zarzucił?

- Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe, Estrada - po raz pierwszy otworzyła usta panna Li. - Zarzuty były także ze strony Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, że Maestro znęca się nad psem, że nim steruje za pomocą radia i uczy go brzydkich słów.

Maestro spojrzał na pannę Li ze złością.

- Prosił cię kto?! Wziąłem cię pod warunkiem, że miałaś być cicho! - Maestro odwrócił się w stronę mojego ojca i powiedział: - Chciała bardzo poznać pana, panie Janie! A co do brzydkich wyrazów. Raz psina w trakcie nauki na fortepianie zdenerwowała się i rzuciła kurwą. Wielkie rzeczy! Najważniejsze, że to genialny pies jest! Jego można nauczyć grać wszystko i nauczyć mówić wszystkimi językami. Homo teraz będzie szył na maszynie. Właśnie jestem w trakcie przystosowywania maszyny do szycia na potrzeby Homo. Pies również potrafi strzelać z pistoletu na strzałki do celu.

Tu panna Li wyjęła fotografię numer 2, na której trzymała na głowie wielkie jabłko z *papier mâché*, zasłaniając sobie oczy dłońmi, a Homo na podpórcie trzymał blaszany pistolet ze strzałką.



- Dlaczego panna Li zasłania sobie oczy dłońmi? - zapytałem podejrzliwie.

Maestro pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Bo wprawdzie strzałka jest zakończona gąbką, ale zawsze mogłoby boleć, gdyby trafiła w oko. Oczywiście Homo musi podnieść łapę na odpowiednią wysokość, gdyż inaczej nie trafiłby do celu. Dlatego musieliśmy zrobić specjalne rusztowanie do podparcia łapy, a przecież wszystko kosztuje! Jak tak dalej pójdzie, to będziemy musieli tego genialnego psa oddać komuś. Najlepiej jakiemuś zakładowi naukowemu albo w zagraniczne ręce, bo przecież w budzie nie będziemy go trzymać. Chyba że pan zrobi o nim film? - Maestro spojrzał na mnie sprytnym oczkiem. - Pan się idealnie do tego nadaje. Zrobi pan?

Zrozumiałem, że muszę wreszcie zająć stanowisko.

- Myśli pan, że on, ten pies, jest szczęśliwy?

Maestro nie odpowiedział od razu. Znowu upił mirindy.

- Odpowiem szczerze: nie jest. Ale on jest jak genialne dziecko, które rezygnuje z dzieciństwa i doczesnych przyjemności dla późniejszych wyższych celów. Ja mu nie mogę tego zrobić, żeby go nie uczyć! A skąd brać na wszystko? Skąd brać na opłacanie czynszu za pracownię, w których Homo się uczy? Chcielibyśmy, aby Homo zarabiał na siebie. Próbowaliśmy przeprowadzić występy przez Zjednoczone Przedsiębiorstwo Rozrywkowe, ale całe przedsięwzięcie upadło, gdyż zaproponowano Homo za niskie stawki. Panna Li miała dostawać 400 złotych jako amatorka, a Homo 1000! Proszę sobie wyobrazić! Tysiąc złotych dla takiego genialnego psa?! To byle szarpidrut z zespołu rockowego bierze więcej. No więc zrezygnowaliśmy z występów Homo. A do cyrku go nie oddamy! Co to, to nie!

- Na czym opiera pan przekonanie, że ten pies jest genialny? - spytałem przez zęby.

- Bo to już siódme pokolenie genialnych psów! - zapalił się Maestro. - Stryj mój, dziwak, wybierał psy z miotu pod względem inteligencji. A więc przywiązywał je w dużej odległości od miski z jedzeniem, tak żeby nie mogły jej dosięgnąć. Inteligentny pies w tej

sytuacji przysuwał ją sobie łapą. Ale tego stryjowi było mało. Ustawiał miskę z żarciem tak daleko od psa, by nawet łapą nie mógł sięgnąć. I co wtedy robił naprawdę inteligentny pies? Odwracał się mianowicie tyłem i zadnią łapą przyciągał miskę z jedzeniem! I takiego właśnie psa mój stryj brał i szkolił. I Homo to właśnie już siódme wyszkolone pokolenie. Mój stryj wyglądał dziwnie, a więc ludzie go nie lubili i brali go za idiotę czy diabła. Mnie często też tak traktują. Przysyłają mi listy z pogrózkami. Raz nawet dostałem wyrok śmierci za to, że znęcam się nad zwierzęciem. Ale przecież ja nie mogę tego zrobić temu genialnemu psu, żeby go nie szkolić!

Tu znowu odezwała się panna Li:

- Zawiązał się nawet Komitet Ochrony Homo przed tak zwanymi oprawcami, a na jego czele stoi pani Irena Dziedzic. Widzi pan? A przecież to my jesteśmy prześladowani! Telewizja już trzykrotnie odkładała reportaż o tym genialnym psie. Jest więc konieczne, by pan zrobił na ten temat film, bo już zainteresowali się psem Francuzi...

Zanim Maestro zdążył odpowiedzieć, wtrąciłem się:

- Wiecie, państwo, co zrobić? Zaraz zadzwonię do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, poproszę ich, żeby wam zabrali tego Homo i oddali w jakieś dobre ręce. Na przykład Irenie Dziedzic. Nie mogę was stąd wyprosić, bo to mieszkanie rodziców, nie moje. Ale ja z tym tematem skończyłem.

Maestro miał łzy w oczach.

- Ale oni nam tego psa już zabrali... Przyszliśmy tu, żeby pan pomógł nam go odzyskać...

Kiedy za Maestro i panną Li zamknęły się drzwi, odwróciłem się do Janka.

- Przepraszam, że ci zawracałem głowę szukaniem tematu na mój nowy film. Dobra. Pójdziemy na łatwiznę. Zrobimy ten *Vabank 2*.

Janek, nie ukrywając uśmiechu satysfakcji, skinął głową:

- Nie widzę przeciwwskazań.

Była to kwestia, w którą wyposażyłem naczelnika Twardijewicza w wykonaniu Marka Walczewskiego, kiedy dwa miesiące później zaczęliśmy w Łodzi zdjęcia.

Projekt „Homo „przestał istnieć.



27.

### **Zawód: cenzor**

W poniedziałek 14 maja 1984 roku w nieistniejącym już dziś w Warszawie kinie Skarpa odbyła się premiera filmu *Seksmisja*. Widownia bawiła się świetnie, a tak się zdarzyło, że siedziałem w pierwszym rzędzie balkonu tuż obok jakiegoś grubego pana. Ten pan zaśmiewał się przez cały film, a szczególnie podskoczył w momencie, gdy Jerzy Stuhr ze słowami: „Uwaga, grupa! Kierunek - wschód! Tam musi być jakaś cywilizacja!”, wyprowadzał naszych bohaterów na wolność, w plener bałtyckiej plaży.

Dwa dni później na polecenie kierownika Wydziału Kultury Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej towarzysza Witolda Nawrockiego szef kinematografii, czyli towarzysz minister Jerzy Bajdor, wydał polecenie dyrektorowi Przedsiębiorstwa Dystrybucji Filmów towarzyszowi Grygielowi, by rozesłał do kin wyświetlających *Seksmisję* telefonogram z nakazem wycięcia we wszystkich kopiach eksploatacyjnych dwóch ujęć, 15 sekund filmu. Eksterminowany fragment zawierał dialog następującej treści: „Uwaga, grupa! Kierunek - wschód! Tam musi być jakaś cywilizacja!”.

Ta skomplikowana logistycznie operacja cenzorska została przeprowadzona błyskawicznie i z profesjonalnym zjawstwem. Skrótowi musiał dokonać zawodowy montażysta filmowy. Widz, który oglądał film po raz pierwszy, nie miał pojęcia, że czegoś brakuje. Oficjalnym powodem usunięcia tych dwóch ujęć był „żywiolowy śmiech publiczności”.

Trzy dni później *Seksmisja* wróciła do kin w wersji ocenzurowanej. Podczas łódzkiej

premiery filmu 21 maja przed pokazem poprosiłem widzów, by nie przesadzali z żywiołowością śmiechu, bo może to się skończyć kolejnymi wycięciami. Sala wiedziała już o akcji cenzury, bo odpowiedziała oklaskami. Następnego dnia napisałem do szefa kinematografii list. Protestowałem w nim przeciwko bezprawnej ingerencji w mój film. Przypominałem, że *Seksmisja* została zaakceptowana przez Główny Urząd Kontroli Prasy i Wydawnictw, tak zwaną cenzurę, pół roku wcześniej. Napisałem też, że cenzurowanie filmu będącego już w eksploatacji, bez wiedzy i zgody autorów, jest oburzające i godzi w normalizację stosunków pomiędzy środowiskiem filmowym a władzą. List spowodował jedynie to, że minister Bajdor zaprosił mnie na spotkanie.

Był to towarzysz duży, zwalisty, lekko ospowaty, z siwą brodą, ale bez wąsów. Spacerowaliśmy przez godzinę po parku na Solcu, a on z troską przedstawiał mi delikatną sytuację, w jakiej znalazła się *Seksmisja*. Jak się okazało, nasza narodowa kinematografia tkwiła w kleszczach pomiędzy Wydziałem Kultury KC PZPR a ambasadą radziecką. Towarzysz Nawrocki - to był właśnie ten grubas, co siedział koło mnie na premierze - bardzo obawiał się reakcji towarzyszy radzieckich. Jak też oni mogą zareagować na taką prowokację?

- Prowokację? - powtórzyłem, dodając, że nie rozumiem, co pan minister do mnie mówi. Spojrzał z ukosa i wyjaśnił:

- No, bo przecież to jasne, że skoro na wschodzie jest cywilizacja, to całą tę chryję ze światem bez mężczyzn rozpętał Związek Radziecki!

Uderz w stół, a nożyce same się odezwią, pomyślałem, a głośno powiedziałem:

- Myślę, że nie zwrócą na to uwagi. Przecież Wschód dla towarzyszy radzieckich to Chiny albo nawet Japonia. Takie są geopolityczne fakty.

Miałem rację. Dwa lata później Gorbaczow, obejrzawszy film w Polsce, tak się na nim ubawił, że kazał go natychmiast zakupić do dystrybucji w Sowietach. Ale tego towarzysz Bajdor nie mógł oczywiście podczas spotkania przewidzieć.

- Ja wiem - przyznał mi rację - ale na układy nie ma rady! Niech pan za wiele ode

mnie nie wymaga - i z głębokim westchnieniem rozłożył ręce.

Spojrzałem na niego surowo:

- Muszę pana uprzedzić, że o swoim proteście powiadomiłem już prasę. Kopię listu, który pan otrzymał, wysłałem również do redakcji „Polityki” i „Życia Warszawy”.

Na chwilę w parku zapadła cisza. Słyszeć było tylko płacz niesfornych dzieci bitych przez zniecierpliwione matki. Minister milczał, a potem lekko jęknął:

- Oj, to niedobrze! Dlaczego pan to zrobił? Prasa nie może być stroną w tej sprawie!

Mój minister, który teoretycznie powinien bronić filmowców przed nadużywaniem władzy przez organa państwowe, zafrasowany wysapał:

- Osobiście mogę tylko powiedzieć, że bardzo pana przepraszam.

A ponieważ nadal milczałem dumnie, dodał cynicznie:

- I dodam cynicznie, że cała ta sytuacja z ingerencją cenzury przysporzy panu widzów.

Wiedziałem, że na to muszę zareagować pryncypialnie, ale jedyne, co mi przyszło do głowy, to zdanie:

- Wolałbym, żeby cenzura nie troszczyła się o sukces kasowy mojego filmu.

Po czym oddaliłem się z godnością. Cyniczny minister się nie mylił. W ciągu najbliższych miesięcy *Seksmisję* obejrzało prawie 12 milionów widzów. Mam nadzieję, że nie tylko z powodu wiadomości o tym 15-sekundowym wycięciu.

W czasach schyłkowego PRL - u państwo komunistyczne uprawiało szczególny rodzaj szorstkich relacji z tak zwanymi ludźmi kultury. W potrzebie nie miało dla nich czasu, natomiast jeśli chodziło o małe upierdliwości życiowe, to jak najbardziej. Kiedy pół roku później leciałem na stypendium Fulbrighta do USA, zaprzyjaźniona urzędniczka z

Ministerstwa Kultury wysłała do Nowego Jorku faks, w którym prosiła, by ktoś z konsulatu wyszedł po mnie na lotnisko. Taksówki były drogie, lotnisko daleko od miasta, a do tego tachałem ze sobą 30 kilogramów kopii filmowej *Seksmisji*. Chodziło o drobny gest dyplomatycznej placówki, który ułatwiłby życie filmowcowi, na którego filmach ojczyzna dobrze zarabiała. Bardzo się więc ucieszyłem, kiedy przy odbiorze bagażu na lotnisku JFK obok mnie pojawił się jakiś młody człowiek i podając się za wicekonsula, zaproponował stojącemu przede mną szpakowatemu panu transport dyplomatyczną limuzyną do miasta.

- Przepraszam - zwróciłem się do niego - zaszła pomyłka, to chodzi o mnie! To ja jestem tym reżyserem, po którego pan przyjechał.

Wicekonsul zmarszczył brwi i długo na mnie popatrzył.

- Pan jest tym? Jakim? Reżyserem?

- No, tym z faksu... Ministerstwa Kultury - uśmiechnąłem się szeroko. Młody dyplomata jeszcze raz z niedowierzaniem zmierzył mnie wzrokiem i wyduł wargi.

- Powiem panu szczerze, na prośbę Ministerstwa Kultury nigdy bym nie przyjechał... Ja tu jestem po sekretarza do spraw Polonii amerykańskiej pana Żołnierkiewicza.

Ale najwidoczniej panu konsulowi zrobiło się mnie żal, był na tyle *large*, że zgodził się podrzucić mnie na Manhattan, a nawet - z powodu pana Żołnierkiewicza - załapałem się na obiad w chińskiej knajpie. Ale dwa miesiące później, kiedy w trakcie festiwalu filmowego w Chicago urządziłem prywatny pokaz *Seksmisji* połączony ze spotkaniem z miejscową Polonią, jeszcze tego samego dnia na biurku ministra Bajdora oddalonego o 8 tysięcy kilometrów wylądował faks z chicagowskiego konsulatu. W fakcie uprzejmie donoszono, że reżyser Machulski pokazuje swój film za dolary.

Gdybym zgubił paszport albo złamał nogę i potrzebowaliby, żeby konsulat za mnie poręczył w szpitalu, na pewno nie znaleźliby dla mnie czasu. Nic tak nie mobilizowało dzielnych urzędników naszych służb dyplomatycznych jak to, że ktoś pod ich nosem może zarabiać zagraniczne dewizy, a oni nic z tego nie mają! Film Polski jeszcze długo domagał się od Joanny Pacuły 25 procent gaży za rolę w filmie *Park Gorkiego*, który na emigracji

nakręciła w Hollywood.

O donosie konsulatu dowiedziałem się od życzliwych z Polski już następnego dnia, ale zaraz o nim zapomniałem.

Rok na stypendium niestety szybko minął, a kiedy po powrocie zostałem zaproszony przez towarzysza Bajdora do ministerstwa, zjawiłem się na Krakowskim Przedmieściu w przekonaniu, że chodzi mu o to, bym przy szklaneczce burbona podzielił się wspomnieniami z pobytu. Jakież było moje zdziwienie, kiedy szef kinematografii nawet nie poprosił mnie, bym usiadł, tylko odczytał mi donos z konsulatu w Chicago, a potem zadał pytanie: „Czy urządził pan projekcję swojego filmu *Seksmisja* w Clubie Cardinal w Chicago w celach zarobkowych?”.

Nie namyślając się długo, odpowiedziałem jak Michael Corleone swojej żonie Kate w *Ojcu chrzestnym* - Kate (grana przez Diane Keaton) spytała, czy Michael (Al Pacino) jest odpowiedzialny za zabójstwo swojego szwagra. Corleone oczywiście był odpowiedzialny i dlatego bez mrugnięcia okiem odpowiedział: „Nie”. Dalszą część dialogu Michaela z Kate: „I to jest jeden jedyny raz, kiedy pozwalam ci pytać mnie o moje sprawy”, dodałem już w myślach.

Ministra Bajdora ta lakoniczna odpowiedź najwyraźniej zadowoliła. Był na tyle inteligentny, że rozumiał, że gdybym nawet coś zarobił, to każdy ewentualny dolar należy mi się zawiązką. W owym czasie kurs partii komunistycznej w delikatnym temacie zarobkowania za kapitalistyczne dewizy był wyjątkowo pryncypialny i skoro donos się pojawił, towarzysz minister Bajdor nie miał wyboru. Musiał mnie wezwać i takie pytanie zadać.

Spotkanie w ministerstwie odbyło się ćwierć wieku temu. Wydawać by się mogło, że tamte czasy dawno minęły. Mamy kapitalizm i cieszymy się gospodarką rynkową, która napędza krajowy dochód brutto. Nareszcie państwo zajęło się swoimi sprawami i coraz mniej wtrąca się do spraw swoich obywateli, a szczególnie do ich twórczości. Bo przecież pokonaliśmy cenzurę! Mamy ciężko wywalczoną wolność słowa! No właśnie...

Jednak sztuka epistolarnych donosów nie zginęła. Ale tym razem są one nie tyle



wynikiem troski opresyjnego peerelowskiego państwa, ile wolnych obywateli Najjaśniejszej RP. Zupełnie niedawno otrzymałem poprzez Polski Instytut Sztuki Filmowej kopię listu wysłanego przez zaniepokojonego obywatela IV RP pana Jarosława Owińskiego ze Starogardu, któremu nie podobał się mój film *Kołysanka*. Po 26 latach od ocenzurowania *Seksmisji* marzenia o wpływaniu na rząd dusz odżyły. Ale w tym wypadku nie chodziło o głupie 15 sekund filmu. Pan Owiński domagał się zdjęcia całego filmu z ekranów kin. *Kołysanka* wzbudziła oburzenie oraz naruszyła uczucia religijne i narodowe piszącego list. W jego mniemaniu:

„Centralna postać filmu, którą jest kapłan katolicki, zostaje wyśmiana, znieważona i wyszydzona”.

W dodatku pan Jarosław obejrzał film na festiwalu w Gdyni „kilka dni przed beatyfikacją księdza Jerzego Popiełuszki, którego roli nie sposób nie doceniać”. Autor, czyli ja, przekroczył „granice dozwolonej kpiny, żartu czy krytyki”. Wtedy zrozumiałem, że jednak ktoś ustala granice kpiny i żartu, a ja wdepnąłem na terytorium, gdzie wstęp był wzbroniony. „Film burzy prawdę teologiczną. Jest fałszywym i kłamliwym komunikatem. Istotą wiary chrześcijańskiej jest ochrona przed wpływem demonów, przed czym ostrzega nauka Kościoła, czyniąc z kapłana także egzorcystę (...). W filmie pokazano tryumf zła i sił ciemności. W ostatniej scenie widzimy, jak demoniczna rodzina wjeżdża na wózku ciągniętym przez duchownego do Pałacu Prezydenckiego. Niesmaczna satyra, jaka płynie z ekranu polskiego filmu półtora miesiąca po straszliwej tragedii i przed wyborami na urząd Prezydenta RP, daje wystarczające powody, by uznać, że film narusza uczucia nie tylko religijne, ale także narodowe. Jest szkodliwy, narusza przepisy prawa, poniża przedstawicieli określonej grupy społecznej. W związku z powyższym proszę o wstrzymanie dystrybucji tego filmu i o wzmocnienie kontroli innych produkcji już na etapie scenariuszowym. Mamy na polskich uczelniach znakomitą rzeszę znawców z zakresu kulturoznawstwa, psychologii, etyki czy teologii, jeśli wymagają tego potrzeby filmu. W Polsce nie mogą powstawać filmy ignorujące wiedzę i prawdę, przesycone nienawiścią i niechęcią, niby śmieszne, a podle (...). Pozwolono, aby wybitny twórca polskiego filmu »strzelił sobie w kolano«, czego skutki doświadczamy my wszyscy. Czy zależy nam na tym, aby w Polsce powstawały filmy kontrowersyjne, niosące nieprawdziwe treści? Mam nadzieję, że listem tym poruszę sumienia osób szczególnie wrażliwych na sprawy społeczne i kondycję polskiej twórczości filmowej”.

Autor listu domagający się powrotu cenzury jest, jak sam pisze, magistrem filozofii, estetykiem, nauczycielem etyki i - uwaga! - absolwentem Wydziału Organizacji Produkcji Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej i Telewizyjnej w Łodzi.

Rzeczywiście, kiedy w końcu 2008 roku poprawiałem scenariusz *Kołysanki*, nawiedziło mnie profetyczne przeczucie, żeby tak, a nie inaczej zakończyć film, i w ostatniej scenie ksiądz grany przez Michała Zielińskiego wprowadza rodzinę wampirów do Pałacu Prezydenckiego na Krakowskim Przedmieściu. Oburzony obrońca wiary uznał to za sugestię, jakoby kler wprowadzał tam diabła. I choć 4 lipca 2010 roku najgorsze obawy pana Jarka się nie sprawdziły, bo większość świadomych Polaków oderwała się od grilla czy moczenia się w wodzie i poszła zagłosować, by przegonić diabła, to niesmak pozostał. Zwłaszcza po tym, co przed Pałacem Prezydenckim ostatnio zaczęło się wyrabiać.

I jeszcze słowo o festiwalowym pokazie *Kołysanki*, który tak zbulwersował filozofa ze Starogardu. Traf chciał, że pierwszym, który się na mnie rzucił po projekcji *Kołysanki* z gratulacjami, był rozbawiony kapłan katolicki - ksiądz Andrzej Luter. To świadczy o tym, że niektórzy widzowie obdarzeni łaską wiary nie zostali jednocześnie pozbawieni łaski rozumu.



28.

### **Kieślowski, proszę pana!**

6 lipca 1984 roku filmowy kierowca podwiózł mnie pod hotel Grand w Łodzi, gdzie chciałem wziąć prysznic, przebrać się i wyruszyć na bankiet po zakończeniu filmu. Wskoczyłem z poloneza prosto na Krzyśka i Zbyszka. Stali na krawężniku na ulicy Piotrkowskiej, wyraźnie na kogoś czekając.

- Czołem! Mogę w czymś wam pomóc?

- Dzięki, ale nie. Czekamy na nasze auto.

- „Groszek” was może podwieźć, gdzie chcecie - wskazałem na pana Henia, który z powodu koloru swojego samochodu miał ksywkę „Groszek”.

- Dzięki - powtórzył Krzysiek. - Auto z naszego filmu ma nas zawieźć do Warszawy.

- OK. Rozumiem. A wy co tu robicie?

- Dziś skończyliśmy udźwiękowanie bez końca - powiedział Zbyszek z dumą.

Nie zrozumiałem.

- To w końcu skończyliście czy nie?

- *Bez końca* to tytuł filmu - objaśnił niechętnie Krzysztof.

- Tytuł taki? Aha... No, to świetnie chyba? Ja też skończyłem. Zdjęcia. Z końcem! A teraz lecę na bankiet, na który, jakby co, serdecznie zapraszam!

- Nie damy rady - uśmiechnął się Zbyszek. - Musimy być jutro rano w Warszawie.

Kiwnąłem głową ze zrozumieniem i pobiegłem do hotelu do swojego pokoju. Pół godziny później, odświeżony, zbiegłem po schodach do wyjścia, a oni ciągle tam sterczeli. Krzysiek nudził się wyraźnie, bo kiwał się na butach na brzegu krawężnika.

- Słuchajcie, w razie czego, jakby to wasze filmowe auto nie przyjechało, to bankiet jest w Łagiewnikach. I jesteście tam obaj bardziej niż mile widziani.

Krzysiek uśmiechnął się zza okularów.

- To miłe z twojej strony, ale gruby musi być w Warszawie jutro. Ja zresztą też.

- No, dobra. Powodzenia zatem.

I odjechałem. Zdjęcia do filmu *Vabank 2*, które właśnie skończyłem, przeszły bezszmerowo, w niezwykle przyjemnej atmosferze, bo wiedzieliśmy, że robimy film, na który widzowie z niecierpliwością czekają. Nie było więc tylu co zwykle stresów. Ekipa, a przede wszystkim aktorzy, świetnie znała swoje zadania i te czterdzieści kilka dni przeleciało jak z bicza trzasknął. Jedyne małe stres przytrafił się dzień wcześniej Joachimowi Lamży, który w tym filmie grał niemieckiego oficera. Joas przyjechał do Łodzi w nocy, po spektaklu w warszawskim teatrze, a w hotelu oczekiwały nań strony scenariusza z tekstem sceny na następny dzień. Joas zabrał się do nauki swojej roli podczas śniadania, a spojrzawszy na swoje kwestie, zakrztusił się rogiem. Porzucił dwa sadzone na szynce jaja i pobiegł do recepcji zatelefonować w pilnej sprawie do kierownictwa produkcji filmu *Vabank 2*.

Kierownik produkcji Andrzej Sołtysik odebrał telefon i ze zdumieniem wysłuchał

tyrady Joachima na temat „burdelu”, jaki panuje w polskiej kinematografii.

- Dlaczego pan tak sądzi? - spytał ze stoickim spokojem Andrzej w przerwach między pykaniem fajki.

- Bo daliście mi tekst jakiegoś aktora z DEF-y! Z NRD! - krzyczał Joas. - To jest po niemiecku!

DEFA była wschodniemieckim wariantem legendarnej wytwórni filmowej UFA pamiętającej jeszcze kino nieme.

- Owszem. A czy Juliusz nie uprzedzał pana, że zależy mu, żeby grał pan swoje kwestie po niemiecku? - zapytał delikatnie Andrzej.

- Co? Może mówił mi coś, ale ja byłem wtedy na próbach spektaklu... Więc nie wiem...

- Yhm... - przytaknął grzecznie Andrzej. - Ale teraz już pan wie.

- Chodzi o to - wybuchnął Joas - że ja nie znam niemieckiego!

Joachim grał fałszywego niemieckiego celnika na fałszywej polsko - niemieckiej granicy, którą spreparował Kwinto z kolegami, żeby zmylić uciekającego z Polski Kramera.

Ponieważ wszystko było nieprawdziwe, zależało mi, żeby Joachim mówił po niemiecku tak jak jego imiennik von Ribbentrop.

- To jest niemożliwe - powiedział błądzący jak ściana Joachim, kiedy już znalazł się w biurze kierownika produkcji.

Ale ja o tym wszystkim ciągle nie wiedziałem, bo byłem na planie i kręciłem przejazdy samochodowe z udziałem Kramera/Pietraszaka i Szytca/Wrocławskiego oraz śledzących ich Moksa/Chmielnika i Nuty/Kiersznowskiego. Kiedy Joachim w mundurze kapitana Wehrmachtu dotarł wreszcie na plan, ciągle nie mógł dojść do siebie. Podszedł do

mnie i wyszeptał:

- Słuchaj! Ja mam dyskomfort!

- Jaki dyskomfort? - mając milion ważnych spraw na głowie, nie bardzo go rozumiałem.

- Taki, że cały czas myślę o tekście! Czy go dobrze wypowiem! A aktor nie może myśleć o tekście! Aktor musi myśleć tekstem! - powiedział przed ujęciem.

Wreszcie gdy wytłumaczył mi swoje lingwistyczne ograniczenia, przeszedłem do fazy, która nazywa się: „Na planie filmowym nigdy nie krzycz na aktora. Nawet jeśli jest upierdliwy i na to zasługuje. Traktuj go jak niezbyt rozwinięte dziecko”.

- Spokojnie, Joas. Może chcesz kanapkę? Kawę?

- Nic nie przełknę!

- OK. W takim razie napiszemy ci wszystko fonetycznie.

Wziąłem paszport z rąk rekwizytora.

- Zobacz, przeglądasz paszport Kramera, a w paszporcie będziesz miał to wszystko napisane dużymi literami - tłumaczyłem spokojnie.

Joas jakoś uspokoił oddech, pokiwał głową i powolutku zaczął wcielać się w postać.

Ponieważ scenę kręciliśmy w nocy, poszło szybko, bo w lecie noc ma niecałe sześć godzin.

Tak że szczęśliwy Joas w końcu odetchnął z ulgą.

Tylko ja wiedziałem, że dla mnie praca dopiero rozpocznie się na postsynchronach, kiedy w usta aktora Lamży niemieckojęzyczny spiker będzie musiał wsadzić odpowiednie

słowa.

Tak też się stało miesiąc później. Dwaj lekko speszeni, a przemili skądinąd studenci z NRD, wytropieni w Łodzi przez moich asystentów, zaczęli nieśmiało podkładać po niemiecku następujący dialog: „Ty myślisz, polska świnio, że można przekupić niemieckiego żołnierza na służbie?!”. Chichot historii spowodował, że ja, Polak, kompletnie nieznający niemieckiego, 40 lat po wojnie krzychałem te słowa w języku Heinego, by pokazać Niemcom, jak mają drzeć się na Polaków, żeby ich bardziej upokorzyć. Reżyseria to piękny, choć ciężki zawód.

Zakończeniowy bankiet jest jedyną formą wdzięczności, jaką reżyser może okazać ekipie, która z nim pracowała. Ta wspólna kolacja ze wszystkimi, z którymi przez ostatnie kilka tygodni dzieliło się pot, łzy, a czasem i krew, jest niezmiernie ważna i rzadko kiedy dopuszczany jest na nią ktoś spoza ekipy. No, chyba że tak się zdarzy, że niespodziewanymi gośćmi są Krzysztof Kieślowski i Zbigniew Preisner. A to oni właśnie, przedzierając się przez chaszcze w parku w Łagiewnikach, pojawili się na naszym bankiecie. Czułem się tym bardzo wyróżniony.

Dziewięć lat wcześniej, kiedy miałem zagrać u niego główną rolę w filmie *Personel*, Krzysztof Kieślowski przyszedł do moich rodziców i przyrzekł mojej mamie, że będzie dbał o mnie na planie we Wrocławiu. Będzie osobiście doglądał, żebym się dobrze odżywiał, wysypiał itp. I rzeczywiście dotrzymał słowa. Rano, przed zdjęciami, pilnował, żebym szedł z nim na śniadanie „do krowy” - jak nazywał bar mleczny, a po zdjęciach, żebym odpowiednio wcześnie szedł „do koca” - czyli kładł się spać. A ponieważ we wrocławskim hotelu Monopol nie mieszkalem sam, tylko z drugim reżyserem Tadzkiem Walendowskim, tak się jakoś składało, że akurat w naszym pokoju dość często odbywały się tzw. balangi. Któregoś dnia Krzysztof powiedział: „No, bez jaj! On jednak gra główną rolę w tym filmie i musi się wysypiać!”. I załatwił mi pojedynczy pokój, co w tamtych czasach było sprawą wyjątkową.

A w ogóle od czasu filmu *Personel* Krzysztof traktował mnie jak młodszego filmowego brata. Mogłem do niego przychodzić ze wszystkimi zawodowymi problemami. Nigdy nie odmawiał, gdy prosiłem o spotkanie w sprawie moich zawodowych rozterek, i zawsze miał dla mnie dużo cierpliwości. Dziewięć lat później, gdy siedzieliśmy przy długich stołach w parkowej restauracji na dworze bo lipcowa noc była ciepła, zapytałem Krzyśka, czy

jest zadowolony z filmu, który właśnie skończył. Krzysztof zamyślił się na sekundę.

- Na sześć głównych ról dwie udały się bardzo dobrze, trzy dobrze, a jedna się nie udała.

Brzmiało to na tyle enigmatycznie, że powiedziałem, że chętnie bym zobaczył ten film.

- To dobrze się składa - powiedział Kieślowski. - Za dwa dni, w poniedziałek, będę pokazywał Zanussiemu pierwszą układkę w wytwórni na Chełmskiej. Wpadnij, jak będziesz mógł.

Pierwsza układka znaczyła pierwszą montażową wersję filmu, a Krzysztof Zanussi był szefem Zespołu Filmowego „Tor”, w którym film powstawał. Oczywiście zgodziłem się z ochotą, mimo że ta projekcja wyznaczona była na 7 rano. Dziś nigdy bym na to nie przystał, ale to był czas, kiedy film był dla mnie ważniejszy od życia.

Po obejrzeniu *Bez końca* wiedziałem, że rola Aleksandra Bardniego jako mecenasa Labradora na pewno jest jedną z tych, które udały się bardzo dobrze. Wszystkie pozostałe pasowały mi zarówno do kategorii ról udanych, jak i tych nieudanych. Bo szczerze powiedziawszy, film podobał mi się średnio. W tamtych czasach byłem zwolennikiem filmów z mocną fabułą. Innymi słowy, kina amerykańskiego. To, co proponowali scenarzyści Krzysztof Kieślowski i kompletnie nieznany prawnik Krzysztof Piesiewicz - że mecenas Zyro/Radziwiłowicz umiera na zawał serca w stanie wojennym, ale mimo to uczestniczy w życiu swojej żony Urszuli/Szapołowskiej - jakoś mnie nie przekonało. Czegoś (metafizyki) było za dużo, a czegoś (psychologicznej wiarygodności) za mało.

Tymczasem podczas bankietu z okazji filmu *Vabank 2*, jak to zwykle bywa, aktorzy zaczęli opowiadać anegdoty. Jacek Chmielnik, wiedząc o lingwistycznych perypetiach Joachima Lamży z poprzedniego dnia, opowiedział o swojej przygodzie przy zdjęciach w enerdowskim filmie. Był tam aktor niemiecki, który chwalił się, że ma wyjątkowy talent do języków. Jacek powiedział mu wtedy, że jest jedno polskie zdanie, na którym wszyscy cudzoziemcy łamią sobie język. Niemiecki aktor uśmiechnął się szeroko i odpowiedział: „Ho, ho, ho! Ja znam to zdanie!”. I powiedział po polsku: „W Szczebrzeszynie chrząszcz brzmi w



trzcinie!”. Kiedy już oklaski polskiej części ekipy umilkły, Jacek pokręcił ze smutkiem głową, że nie o to zdanie chodziło. Istnieje jeszcze inne. Dużo trudniejsze. „Trudniejsze?” - spytał niemiecki aktor i zapragnął się sprawdzić.

Jacek napisał mu na kartce to najtrudniejsze polskie zdanie. Niemiecki aktor podjął rękawicę i przez kilka dni wkuwał polską frazę, żeby popisać się na końcowym bankiecie właśnie. I podczas imprezy, kiedy polsko - niemiecka ekipa rozsiadła się wygodnie, aktor poliglota wygłosił po polsku, z lekkim niemieckim akcentem - o co w tym wypadku zapewne szczególnie Jackowi chodziło - następujący tekst: „Obroncy poczty gdańskiej, podajcie szę! Jesteście otoczeni! Dalszy opór jest bezcelowy! Jeśli szę nie poddacie, zostaniecie rozrzelani!”. Oczywiście niemiecka część ekipy zaczęła bić brawo, co spowodowało jeszcze większe wybuchy śmiechu ekipy polskiej.

Kiedy w Łagiewnikach Jacek Chmielnik skończył swoją anegdotę, Krzysztof i Zbyszek śmiali się jeszcze kilka minut. Krzysztof Kieślowski, o czym nie wszyscy znający jego dość smutne filmy wiedzą, miał fantastyczne poczucie humoru i jeszcze większy dystans do siebie. Któregoś razu odwiedził mnie w Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi, w której robiłem film dokumentalny i pilnie potrzebowałem jego fachowych rad. Po kilku godzinach przy stole montażowym wychodziliśmy z wytwórni przez portiernię, odbierając dowody osobiste zostawione tam uprzednio w zastaw. Surowy portier przed oddaniem dokumentów zapytał nas o nazwiska. „Kieślowski...” - odpowiedział machinalnie Krzysztof. Portier spojrział w dowód i zmarszczył brwi. Potem popatrzył na właściciela dowodu i skarciwszy go wzrokiem za głupie żarty z własnego nazwiska, poprawił go: „Kisielewski, proszę pana!”. Na co Krzysiek Kieślowski z udanym zaskoczeniem zajrzał w swój dowód i wykrzyknął: „O Boże! Coś takiego!!! Dziękuję, że mi pan zwrócił uwagę. A ja przez prawie 40 lat przedstawiam się Kieślowski i Kieślowski. Jak jakiś debil!”.

Bardzo mi go dziś brakuje. Nie jego filmów, bo prawdę mówiąc, tylko kilka z nich naprawdę lubiłem, ale Krzysztofa mi brakuje. Jego cierpkiego stosunku do świata i własnej osoby. Spotkań w jego mieszkaniu na ulicy Capri na Sadybie, po których zawsze miałem imperatyw, że warto robić filmy. Jego racjonalizmu podszytego metafizyką.

13 marca 1996 roku, w dniu, w którym zmarł Krzysztof, zrozumiałem, że życie jest ważniejsze od kina...



29.

### Kiedy przestać kręcić

Był słoneczny poranek 12 grudnia 1984 roku. Na termometrze słupek rtęci wspiął się na 73. stopień Fahrenheita, a znad oceanu unosiła się lekka bryza. Zapowiadał się idealny zimowy dzień. Zjadłem lekkie śniadanie i wsiadłem w autobus linii 207 na rogu Trzeciej Ulicy i Zachodniej Alei w Los Angeles. Niecałe trzy mile dalej miałem spotkanie z moim filmowym guru - legendarnym reżyserem *Mostu na rzece Kwai*, *Lawrence'a z Arabii* i *Doktora Żywago*. Prawdę powiedziawszy, nie tylko ja się na to spotkanie wybierałem.

Sir David Lean pokazywał w Hollywood swój ostatni film *A Passage to India* i przy tej okazji zaproszony został przez Amerykański Instytut Filmowy na warsztaty ze studentami. Instytut założony w 1967 roku zdążył wyrobić sobie renomę dzięki absolwentom, takim jak: Terrence Malick, David Lynch czy Darren Aronofsky. Dlatego każdy reżyser z zachwytem przyjmował zaproszenie do AFI.

Wjechałem windą na pierwsze piętro. Więcej pięter budynek nie miał, ale najwidoczniej w USA architekci potrafią wyobrazić sobie człowieka, który ma trudności z chodzeniem po schodach, i tam gdzie są schody, są także windy. W peerelowskich budynkach, które zostawiłem po tamtej stronie Atlantyku, windy obowiązywały dopiero od piątego piętra wzwyż. Komunistyczni planiści ustalili, że obywatele mieszkający do czwartego nie mają prawa narzekać na nogi. A jeśli ktoś ma z tym problem, no to już na własne ryzyko!

Jak zwykle przyszedłem jako jeden z pierwszych. I słusznie, bo w ciągu dziesięciu minut sala projekcyjna im. Marka Goodmana wypełniła się po brzegi i nie miałbym siedzącego miejsca. Wkrótce również nie było miejsc na podłodze i w drzwiach.

David Lean był dla amerykańskich studentów szkół filmowych tym, kim dla nas Munk, Kawalerowicz, Has, Wajda i Hoffman w jednym. Na razie się spóźniał, ale nikt nie narzekał. Czekaliśmy 45 minut, nim wreszcie Mistrz się pojawił. Siedziałem w drugim rzędzie, więc obejrzałem go sobie dobrze. Siwy, dostojny, ubrany w elegancki granatowy blezer, zapiętą pod szyją białą koszulę bez krawata, beżowe płócienne spodnie i jedwabne granatowe skarpetki. Prawdziwy angielski dżentelmen.

Powitaliśmy go brawami na stojąco. Podziękował i zapewnił, że straszliwie jest mu przykro, że aż tak się spóźnił. Ostatni raz był tu 12 lat temu, a od tego czasu korki uliczne w Los Angeles zwiększyły się 12-krotnie.

Na wstępie przemówił dyrektor szkoły Tony Vellamy. Tak nas zaszokował swoim zagajeniem, że studenci, którzy z nabożeństwem wpatrywali się w Leana i zapewne na początku siedzieliby w ciszy, po tej tyradzie rzucili się do zadawania pytań.

- Jak pan pracuje z aktorami, sir? - zapytał przystojny blondyn o szerokiej szczęce, pewnie najlepszy student w szkole.

- Prowadzę ich, szepcząc do ucha wskazówki, których nikt poza nami nie słyszy - David Lean uśmiechnął się pod nosem. - Ale musicie wiedzieć, kochani, że niektórzy aktorzy są straszni! Czytają w scenariuszu tylko swoją rolę, bo tylko to ich obchodzi. Na przykład Sessue Hayakawa, japoński aktor grający w *Moście na rzece Kwai*, wyrwał wszystkie strony scenariusza, na których nie było jego kwestii. W rezultacie kiedy doszło do kulminacyjnej sceny z wysadzeniem mostu, Sessue nie był na nią przygotowany i spytał mnie: „A co to znowu za jakaś nowa scena?”. Odpowiedziałem mu, że to najważniejsza scena na moście, która zawsze była w scenariuszu. Scena, w której zauważa przewody od ładunków wybuchowych, chce wszczać alarm i wtedy brytyjscy komandosi wysłani do wysadzenia mostu zabijają go. „Jak to - mnie zabijają? - zachnął się Sessue. - To ja w tym filmie ginę? Jakbym to wcześniej wiedział, nie przyjąłbym tej roli!”. Sala odpowiedziała śmiechem i brawami.

- Jak należy reżyserować sceny masowe? - zapytał ciemnoskóry student z wypiekami na twarzy wpatrzony w Leana jak w obraz.

Od mistrza epickiego kina spodziewaliśmy się wykładu, tymczasem sir David odpowiedział, że ma trzy zasady:

- Po pierwsze, staram się wzbudzić entuzjazm ludzi, z którymi pracuję; po drugie, tłumaczę im dokładnie, o co chodzi; po trzecie, daję im odczuć, że są użyteczni, bo współtworzą film. Ot, i cała sztuka!

Skwapliwie zapisałem sobie te trzy bezcenne rady w kajecie, podczas gdy sala ponownie nagradzała Mistrza brawami.

- O czym nigdy nie należy zapominać, kiedy się kręci film? - padło następne pytanie od pochodzącej z Azji miłej studentki w okularach.

Tym razem Lean się zastanowił. Czekaliśmy w napięciu.

- Nie wolno zapominać, żeby nakręcić scenę także w planie ogólnym.

Po milczeniu sali, które mogło wynikać z szacunku, ale i z niezrozumienia pytania, Wielki Reżyser kontynuował:

- Jeśli ma się koncepcję sceny, to wszystko może być opowiedziane w planie ogólnym. Natomiast kiedy się jej nie ma, wtedy kręci się po bożemu: ujęcie przewodnie, potem ujęcie przez ramię i zbliżenia. Sam też tak kręcę, ale tylko wtedy, gdy nie mam pomysłu na scenę. Co, wierzcie albo nie, też mi się zdarza!

Śmiechy i brawa.

A ja pomyślałem sobie, że i tę radę muszę sobie zapisać, bo już kilkakrotnie zapomniałem nakręcić scenę także w planie ogólnym i potem był kłops w montażowni.

- Jak pracuje pan z operatorem? - zadał pytanie student w bejsbolówce założonej tył na przód, prawdopodobnie z wydziału operatorskiego.

- Opowiadam operatorowi nastrój sceny. Operatorzy często nie czytają scenariusza, więc bez sensu opowiadać im fabułę.

Śmiechy studentów ze wszystkich wydziałów, poza operatorskim, i nieśmiały pomruk protestu operatorów.

- Tak czasem bywa! Ale ja to przyjmuję z dobrodziejstwem inwentarza, bo przecież to reżyser odpowiada za film. Jako pierwszy widz musi sobie wyobrazić, że jest publicznością. A jednocześnie musi o tym zapomnieć, by mógł wodzić publiczność za nos. Czuję się trochę jak iluzjonista.

Podobnie o prowadzeniu ucha i oka publiczności jako o podstawowym zadaniu reżysera mówił mi kiedyś Jerzy Kawalerowicz.

Kiedy kolejne brawa ucichły, odważyłem się w końcu i ja - prosty stypendysta z Europy Środkowo - Wschodniej - zadać pytanie.

- Dlaczego do roli Lawrence'a z Arabii zatrudnił pan tego patafiana Petera O'Toole'a, który mizdrzy się i trzepocze rzęsami jak stara lampucera?!

Co to się działo! Co się działo! Co się działo na sali po moim pytaniu! Za obrazę filmowej ikony powinienem być zostać łamany kołem, ścięty lub przynajmniej zlinczowany.

Przeżyłem tylko dlatego, że nie starczyło mi odwagi, by tak zapytać.

Moje zachowawcze pytanie brzmiało następująco:

- Zaczął pan reżyserować 42 lata temu. Czy i jak zmienił się pan przez te lata, pracy na planie sir?

David Lean przyjrzał mi się uważniej, zanim odpowiedział.

- Pyta pan, czy się zestarzałem?

Na sali zapanowała cisza.

- To dziwna rzecz z tą starością. Mam 76 lat, ale tego nie czuję, bo w głowie jestem ciągle taki sam! Mam może więcej pewności siebie. To wszystko...

I David Lean się uśmiechnął.

Rozległy się brawa, a później pytania zadawano jeszcze dwie godziny, ale ja już miałem odpowiedzi na wszystko, czego chciałem się dowiedzieć.

Zanim doszło do tego spotkania w Amerykańskim Instytucie Filmowym, odbył się przegląd wszystkich filmów Leana. I nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że te filmy są wielkie tylko dlatego, że David Lean Wielkim Reżyserem jest! Wszystkie bowiem źle się zestarzały. Nawet najlepszy z nich - *Most na rzece Kwai*. Bronią się trochę epickie sceny masowe. Taki rozmach produkcji i sposób obrazowania musi imponować. Natomiast jeśli chodzi o postaci, ich relacje, ekranową wiarygodność, to wszystkie te filmy wyprane są z psychologicznych motywacji. A przecież w tym samym czasie powstawały filmy, w które się wierzyło. Widocznie sir David nie zwracał sobie głowy psychologicznym prawdopodobieństwem.

Do dziś zastanawiam się, jak można było tak fatalnie obsadzić i poprowadzić aktorów. Szczególnie aktorzy brytyjscy grają w jego filmach „kubłami”, od kulisy do kulisy.

Jak można było zaakceptować wyginającego się jak panna Petera O'Toole'a w roli agenta wywiadu? A dla Anglosasów to był debiut stulecia! Alec Guinness grający z szekspirowskim przytupem w *Doktorze Żywago* jest żałośnie śmieszny, a anglosaska publiczność jest przekonana, że tak wygląda enkawudzista. A skądinąd świetny aktor egipski Omar Sharif w roli Żywago na zawsze pozostanie prototypem Rosjanina.

*Eroica, Faraon czy Rękopis znaleziony w Saragossie*, żeby poprzestać na polskich filmach z tego samego czasu, są lepiej napisane, zagrane i wyreżyserowane niż dzieła zebrane Davida Leana, ale jaka z tego pociecha, skoro mało kto o nich wie, bo nie są zagrane po

angielsku?

W kinie - czy się to komu podoba, czy nie - rządzą Anglosasi. Nie tylko ci z Hollywood, ale także Brytyjczycy, Australijczycy czy anglojęzyczni mieszkańcy RPA.

Wtedy, po tym spotkaniu, zrozumiałem, że nawet jak czasem jesteśmy lepsi, to i tak jesteśmy gorsi. Z powodu języka.

Druga refleksja wyniesiona ze spotkania była poważniejszej natury.

Dotyczyła wieku, w którym reżyser nie powinien już kręcić filmów. To znaczy może wykonywać swój zawód, jeśli ma fizyczną siłę, ale niech nie oczekuje, że będą to filmy wybitne czy choćby znaczące. David Lean, notabene, kilka lat po naszym grudniowym spotkaniu w Hollywood ożenił się po raz szósty i zaczął przygotowania do produkcji filmu *Nostromo* według Conrada; zmarł pół roku przed rozpoczęciem zdjęć, w wieku 83 lat. Bo żeby nie wiem na ilu głowach stawać i jak się natężyć, to taka smuga cienia dla reżyserów istnieje. Bo jak inaczej wytłumaczyć, że ostatnie dzieła mistrzów, Kubricka, Felliniego, Kawalerowicza czy Weira, nie są olśniewające? Dlaczego wszyscy oni robią „o jeden film za daleko”?

Reżyseria to oczywiście ciężka fizyczna praca. Jest jeszcze oprócz tego coś takiego jak zdolność do podejmowania ryzyka i reżyserski węch. A nawet najlepszy pies gończy na starość go traci.

„W którym roku życia osłabnął pański zapal w tym kierunku?” - pyta Ochocki Wokulskiego w powieści *Lalka*. Ochocki jest zapaleńcem wynalazcą, Wokulski kiedyś był takim samym zapaleńcem, ale mu przeszło. „W którym roku? - odpowiada Wokulski. - W zeszłym roku... Dziś mam czterdziesty szósty rok”. „A zatem ja do kompletnego ochłodzenia się mam jeszcze przeszło piętnaście lat. To mi trochę dodaje odwagi” - mówi zadowolony Ochocki.

Wynalazcą, według Prusa, należy zostać do 45. roku życia.

Czynnym reżyserem, który ma satysfakcję z tego, co robi, można być gdzieś tak do

siedemdziesiątki, tak wtedy sobie pomyślałem.

François Truffaut powiedział kiedyś, że reżyser filmowy nie starzeje się z roku na rok, ale z filmu na film. A kiedy przestaje kręcić - umiera. Może i tak?

Hola! Hola! - powie ktoś. A Portugalczyk Manoel de Oliveira?! Najstarszy dziś aktywny reżyser, który zaczął karierę jeszcze w czasach kina niemego? Ma dziś 103 lata i co roku kręci nowy film!

Zgoda. Niech będzie. Ale nie ma się co łudzić. Pan de Oliveira jest wyjątkiem, który tylko potwierdza regułę.



### Pitching

No, dobra - powiedział Judd - opowiedz mi swój pomysł. I lepiej, żeby mnie zaskoczył! Przełknąłem ślinę. 5 marca 1985 roku siedziałem w studiu Kettle Drum Films - nikiel, szkło, skóra, wertykale w oknach - na piątym piętrze budynku „Playboya”, usytuowanym we właściwym miejscu Bulwaru Zachodzącego Słońca (8560 Sunset Blvd.) w West Hollywood. Zaszło mi w ustach, bo wiedziałem, że za chwilę nastąpi mój pierwszy w życiu „pitching” - przed prawdziwym hollywoodzkim producentem.

Dobiegający sześćdziesiątki Judd Bernard był szczególnie dla mnie ważny, jako producent dwóch kompletnie różnych, ale tak samo ulubionych filmów: *Zbieg z Alcatraz* Johna Boormana i *Na samym dnie* Jerzego Skolimowskiego.

Siedziałem już w Los Angeles od pół roku, ale po raz pierwszy amerykański producent chciał zaproponować mi realizację filmu. Zawdzięczałem to oczywiście *Seksmisji*. Na stypendium wzięłem ze sobą kopię filmu 35 mm i pokazywałem go, gdzie się dało. Inna sprawa, że przychodziło mi to bez trudu. Odbyłem kilkadziesiąt projekcji, na uniwersyteckich kampusach, w American Film Institute, nie mówiąc już o festiwalach od Chicago, Miami po San Francisco i Los Angeles. Judd przyznał się potem, że na żadnym z tych pokazów nie był. Zobaczył film na kasecie VHS, którą podsunęła mu jego pomoc domowa z Polski. Widocznie dobrze wspominał współpracę z Jerzym Skolimowskim, bo zapragnął powtórzyć tę przygodę ze mną. Od moich narracyjnych umiejętności zależało, jak tę sytuację wykorzystam. Dlatego mimo klimatyzowanego pomieszczenia pocilem się.

„Jeśli »pitching« mi się uda - myślałem - to Judd zamówi u mnie scenariusz, a być może przekona którąś z wytwórni, żeby pozwolono mi go wyreżyserować. A jeśli »pitching« się nie uda, to... nic się nie stanie i po prostu w sierpniu wrócę do Polski”.

Krzysztof Zanussi kilka lat wcześniej uświadomił mi istotę „pitchingu” w drodze do hollywoodzkiej kariery. Opowiedział o swoich próbach podbicia Hollywood. Miał świetny pomysł samograj na film, ale musiał za wszelką cenę dotrzeć do szefa jednego z ośmiu

najważniejszych studiów w Hollywood, żeby pomysł ruszył z miejsca. Dzięki pomocy jednej z licznych rozsianych po świecie ciotek dotarł do szefa Paramountu czy Universalu - nie pamiętam. Ciotka знаła faceta, który znał faceta, który znał faceta, który grał z tym szefem w golfa i wyprosił szybkie spotkanie na szczycie. Szef wytwórni, który osobiście takich „pitchingów” na ogół nie wysłuchiwał, zgodził się spotkać z reżyserem z Polski.

Kiedy spytałem pana Krzysztofa:

- Jak pan myśli, co go przekonało? Temat samograj? A może znał i cenił pana twórczość?

Uśmiechnął się dobrotliwie:

- Ależ pan jest naiwny! Facet po prostu nie chciał zrobić przykrości swojemu partnerowi od golfa. Z kim by potem grał, gdyby tamten się obraził?

Powoli zacząłem rozumieć tajemnice filmowej dyplomacji. Nasz znający najwięcej języków reżyser przez kilka tygodni przygotowywał „pitching” swojego pomysłu po amerykańsku. Kiedy już go odpowiednio z kalifornijskim akcentem podszlifował, ubrał się w garnitur i udał na spotkanie. Szef studia, po kalifornijsku śniady i profesjonalnie uśmiechnięty, poczęstował go bourbonem - pan Krzysztof odmówił, bo nie pije - i cygarem - pan Krzysztof odmówił, bo nie pali. Po tym wstępnym *qui pro quo* reszta potoczyła się gładko. Szef spytał, co przybysz z dalekiego kraju ma mu do powiedzenia.

Krzysztof Zanussi przez trzy kwadransy nienaganną anglosaską frazą wizualizował swój pomysł, jak mu się wydawało, bardzo oczekiwanego przez amerykańską widownię filmu biograficznego. Chief Executive Officer z Paramountu (czy Universalu) wysłuchał go cierpliwie, ssąc cygaro i popijając bourbona. Gdy pan Krzysztof skończył, zapytał z uśmiechem:

- Proszę przypomnieć jeszcze raz, jak nazywa się pańska bohaterka?

Krzysztof Zanussi wyprostował się i z godnością odpowiedział:

- Helena Modrzejewska...

- I kim ona była? - dopytywał szef.

Krzysztof Zanussi z podniesionym czołem odrzekł:

- Najwybitniejszą polską aktorką dramatyczną znaną na obu półkulach.

Szef Wielkiego Hollywoodzkiego Studia zadumał się chwilę, po czym uśmiechnął do pana Krzysztofa:

- *How uninteresting!* (Jakże to nieciekawe!).

Potem wstał. „Pitching” dobiegł końca.

Zaimponowała mi ta opowieść. Zrozumiałem, że Krzysztof Zanussi opowiedział mi swoją historię ku przestrodze, bym jako młodszy kolega umiał w przyszłości uniknąć jego drogi przez mękę.

- Mam nadzieję, że może pan zdoła włożyć stopę w hollywoodzkie drzwi - powiedział do mnie po sukcesie *Vabanku*.

Judd Bernard nie był aż tak ważnym producentem (nie poczęstował mnie ani burbonem, ani cygarem), a mój angielski nie był aż tak *flawless* (bez skazy), ale jakoś przebrnąłem przez lingwistyczne meandry. Opowiedziałem Juddowi wymyśloną naprędce historię. Amerykański hitman - morderca na zlecenie - przylatuje z Chicago do peerelowskiej Warszawy A.D. 1986. Ma zlikwidować gangstera polskiego pochodzenia, który uciekł z USA i zaszył się w kraju przodków. Zadanie, które początkowo wydaje się bułką z masłem, zamienia się w koszmar. Na przeszkodzie staje bariera językowa, różnice cywilizacyjne, komunizm i brak odpowiedniej amunicji. Film kończy się, kiedy hitman, nie wykonawszy zadania, odmawia powrotu do Stanów i daje się zamknąć w komunistycznym więzieniu, byle tylko nie narazić się na zemstę zleceniodawców z Ameryki. Gdy po 15 minutach skończyłem, Judd popatrzył na mnie bez uśmiechu, po czym sięgnął po słuchawkę telefonu:

- Sam? Tu Judd Bernard! Jest u mnie młody, cholernie zdolny reżyser z Polski, który ma genialny pomysł na film!

Widocznie po drugiej stronie słuchawki rozmówca miał wątpliwości, bo na twarzy Judda pojawiło się rozczarowanie.

- David Puttnam? Dlaczego David Puttnam? Ja wiem, że ma zostać szefem Columbia Pictures! I bardzo dobrze, bo to największy producent filmowy na świecie! Ale ja chcę zrobić ten film u ciebie! W Samuel Goldwyn Productions, a nie u niego!

Judd mówił dalej, a mnie zakręciło się w głowie z emocji. David Puttnam był w moich oczach producentem geniuszem! Spotkanie z nim było marzeniem każdego reżysera. *Pojedynek* Ridleya Scotta, *Bugsy Malone* Alana Parkera, *Rydwany ognia* Hugh Hudsona wyprodukował właśnie Puttnam. A teraz bawił w Hollywood, promując swój najnowszy genialny film *Pola śmierci* w reżyserii Rolanda Joffé. A do tego Judd Bernard negocjował przez telefon, kto ma robić mój film: Puttnam czy inna legenda - syn samego Samuela Goldwyna, którego nazwisko jest częścią logo Metro Goldwyn Mayer.

Byłem w siódmym niebie, bo myślałem, że właśnie zdarzył się cud i ci trzej wielcy producenci światowi pochylą się nad moim projektem. Ale cuda się nie zdarzają. Hollywood to fabryka snów, nie cudów. Mimo że mój pomysł spodobał się Juddowi, nie zdołał przekonać nikogo więcej i ciągle nie mógł zebrać pieniędzy na jego *development*, czyli pierwszy etap scenariuszowego rozwinięcia tematu.

Wciąż jeszcze się łudziłem, że uda mi się złapać filmowego Pana Boga za nogi. Judd ciągle we mnie wierzył i wypytywał o następne projekty, ale żaden nie przypadł mu już aż tak bardzo do gustu. Udało mu się za to przekonać mieszczącą się po sąsiedzku redakcję „Playboya” do zakupu *Seksmisji* dla telewizyjnego Playboy Channel. Nie dlatego, że film spełniał erotyczne wymogi redakcji. Wręcz przeciwnie! Był o wiele za mało erotyczny. Ale na szczęście wtedy szefowie „Playboya” próbowali zmienić swój wizerunek i taki „artystyczny i quasi - erotyczny film zza żelaznej kurtyny” był im bardzo na rękę.

*Purchase price* wyniosła 50 tysięcy dolarów i jedynym jej beneficjentem była komunistyczna agencja Film Polski. Do dziś nie zobaczyłem z tej sumy ani centa. Pechowo

dla mnie Playboy Channel rozwiązano, zanim zdążył wyemitować *The Sexmission*, ale wtedy właśnie Judd Bernard dojrzał w *Seksmisji* potencjał na hollywoodzki remake. Uparcie zabierał mnie na spotkania z kolejnymi znaczącymi postaciami Hollywood. Tak poznałem legendarnego agenta gwiazd Martina Bauma, reżysera Roberta Wise'a i producenta Dina De Laurentiisa. Byłem w słynnej Creative Artists Agency na rogu bulwarów Santa Monica i Wilshire w dniu, kiedy Roy Lichtenstein instalował w lobby swoje murale. Ale szczęście nadal nam nie dopisywało. Mimo niezłych recenzji, jakie *Seksmisja* zbierała w hollywoodzkich wytwórniach, ciągle nic nie wychodziło.

W pewnym momencie zrozumiałem, że Judd Bernard wyraźnie ma do mnie pecha. To znaczy, że ja przynoszę mu pecha. Było mi coraz bardziej głupio, że taki producent potknął się o takiego pechowego reżysera z Polski. Rozstaliśmy się w przyjaźni, a Judd obiecał, że nie zrezygnuje, dopóki nie zrealizuje remake'u *Seksmisji*.

Półtora roku później, podróżując ze swoimi filmami, znalazłem się w innej hemisferze i w ekstremalnie odmiennych warunkach. W największej sowieckiej wytwórni Mosfilm. Po sukcesie *Nowych Amazonek*, jak w ZSRR przechrzczono *Seksmisję*, zaproponowano mi wyreżyserowanie filmu w Kraju Rad. Miałem *carte blanche*. Zapytano, co bym życzył sobie dla nich zrobić. Żebym opowiedział swoje najskrytsze marzenie. Bez zastanowienia odparłem, że chętnie przeniósłbym na ekran *Mistrza i Małgorzatę* Bułhakowa. Odpowiedziało mi pełne zrozumienia milczenie. A potem szef Mosfilmu zapytał, czy może mam jeszcze jakieś inne skryte marzenie. Wtedy przypomniałem sobie mój hollywoodzki „pitching”. W ułamku sekundy zmieniłem to i owo w fabule. Amerykański hitman zamiast do Warszawy przyjeżdżał do Odessy i nie w 1986, tylko w 1924 roku, w epoce NEP - u. Rosjanie, zachwyceni *Vabankami* i *Seksmisją*, nie namyślając się, projekt przyjęli. I tak powstało *Deja vu* z niezapomnianą rolą Jurka Stuhra.

Kiedy po zdjęciach *Deja vu* w grudniu 1988 roku wróciłem z Odessy do Polski, dostałem zaproszenie do wzięcia udziału w programie telewizyjnym. Miałem w nim się spotkać z... Davidem Puttnamem! Ściągnął go Roman Gutek, organizując mu przegląd filmów. Puttnam, który na początku roku nagle przestał być szefem hollywoodzkiej Columbii, zgodził się przyjechać do Polski na cykl spotkań. Nie mogłem uwierzyć, że będę miał okazję poznać mojego idola. Jednego z najlepszych producentów na świecie. W schyłkowym PRL - u oficjalnie nie istniał zawód filmowego producenta, więc była okazja dowiedzieć się, na

czym ta praca polega. Program prowadził naczelny tygodnika „Film” Maciej Pawlicki, a oprócz mnie zaproszono na spotkanie nestora scenarzystów i krytyków filmowych Bolesława Michałka oraz pewnego redaktora z telewizyjnej redakcji „Poltel”, która zajmowała się koprodukcjami. Redaktor był słusznej postury, mówił po angielsku jak nowojorczyk, choć nosił wąsy. Tak poznałem Lwa Rywina.

Kiedy w bufecie przed wejściem do studia w bloku „F” przedstawiono mi Davida Puttnama, zobaczyłem przed sobą niewysokiego i szczupłego, siwego mężczyznę z brodą. Mr. Puttnam mówił cichym głosem, jak ktoś przywykły do tego, że jest uważnie słuchany. Postura i sposób bycia Puttnama zadawały kłam stereotypowym wyobrażeniom o wyglądzie producenta filmowego. Moi współrozmówcy byli tym najwidoczniej tak zaskoczeni, że już w trakcie transmitowanej rozmowy dopytywali go kilkakrotnie, dlaczego nie pali cygara, nie ma w ręku szklanki whisky i nie jest gruby.

David Puttnam odpowiedział, że gdyby wypalił cygaro, umarłby, whisky mu szkodzi, a jest szczupły, bo taki się urodził. Mnie natychmiast przyszedł na myśl inny producent filmowy - cudowne dziecko i pionier Hollywood, Rimbaud z Metro Goldwyn Mayer - Irving Thalberg.

Chorowity od urodzenia i delikatny Thalberg, podobnie jak Puttnam, wyglądał bardziej na poetę niż producenta filmowego. Kiedy zaczynał karierę jako szef produkcji Uniwersalu, miał 19 lat, czyli według prawa Stanów Zjednoczonych nie był pełnoletni i kto inny za niego musiał podpisywać czeki na wypłaty dla gwiazd. W 1924 roku wraz z Luisem B. Mayerem stworzyli MGM. Dwanaście lat później Irving Thalberg zmarł w wieku 37 lat, wyprodukowawszy dla studia z ryczącym lwem w herbie ponad 600 filmów. Dwa lata później powstała nagroda jego imienia. Najcenniejsze trofeum producentów filmowych.

W czasie telewizyjnej rozmowy David Puttnam przyznał, że czuł się nieswojo w Hollywood. Nie mógł pogodzić się z tamtejszymi obyczajami robienia filmów takich, jakie już wcześniej widziano. Zaczął kierować do produkcji ambitniejsze filmy reżyserów z Europy - Agnieszka Holland zrobiła dzięki temu *Zabić księdza*. Wkrótce nie spodobało się to zarządowi akcjonariuszy studia i poproszono go o ustąpienie. Zgodził się bez wahania, a za to, że zwolniono go przed upływem kontraktu, odszedł z pokaźnym odszkodowaniem. Dzięki temu miał czas, by przyjechać do Polski, dać kilka wywiadów i odwiedzić szkołę filmową w

Łodzi.

Po zakończeniu telewizyjnego wywiadu zaprosiłem Davida Puttnama na lunch. Gdy trochę bardziej się poznaliśmy, nie mogłem się powstrzymać i opowiedziałem mu o swoich hollywoodzkich przygodach z Juddem Bernardem i o tym, z jakim trudem Judd próbował przebić się z remakiem *Seksmisji*. Widocznie coś ze mną było nie tak. Pewnie nie jestem stworzony do Hollywood.

- Nie martw się - powiedział Puttnam. - Ja znam Judda. Jego czas minął, on tylko udaje producenta. Nikt w Hollywood od lat nie traktuje go poważnie. Twój film mógł być OK. To raczej on ma problem. I bardzo ładną córkę - dodał po chwili zastanowienia.

Ja jednak wiedziałem swoje: nie jestem stworzony do Hollywood.

**Czesław Miłosz i chevrolet corvette**

Umówiony byłem o 13 na parkingu przed budynkiem Dwinelle Hall i już wiedziałem, że nie zdążę. Było wpół do drugiej, a Lidka Przyłuska, która miała mnie tam podrzucić, nie pojawiała się. Lidka pracowała w studiu, które właśnie robiło MTV *Raspberry Beret* dla Prince'a, ale nawet to nie mogło być usprawiedliwieniem spóźnienia. Z Russian Hill w San Francisco, gdzie mieszkalem, do Berkeley, gdzie się umówiłem, jechało się 30 minut. Wiedziałem, że będę spóźniony co najmniej godzinę. Nie było szansy, żeby na mnie czekał! Kompromitacja! Zrozumiałem, że jedyna okazja takiego spotkania oddała się na zawsze.

Był 29 czerwca 1985 roku, gdy wychylałem się przez balkon garsoniery Jima Tuchńskiego, wypatrując czarnego forda mustanga Lidki. Jim odstąpił mi swoje *pied-à-terre* w ekskluzywnej dzielnicy Russian Hill, z widokiem na Alcatraz. Doktor Tuchński był wziętym chirurgiem plastycznym polskiego pochodzenia i miał drugi dom za miastem.

Obiecałem sobie solennie, że już nigdy, przenigdy nie uzależnię się od cudzego środka transportu.

A mogło być tak fajnie! Kiedy trzy dni wcześniej literowałem jego nazwisko moim amerykańskim przyjaciółom, byłem w siódmym niebie. Oni zresztą też.

- *Is his name really Coleslaw?!* - spytał Joel. Wytłumaczyłem, że to stara polska tradycja nadawać dzieciom imiona warzywnych sałatek. - *Like Czesław, you know?*

Ale gdy dodałem, że profesor Miłosz jest jedynym noblistą z Katedry Nauk Humanistycznych w historii Uniwersytetu w Berkeley, Joel Fineman, wykładowca anglistyki na tym samym uniwersytecie, zrozumiał ciężar gatunkowy tego spotkania. Spotkania, na które właśnie się spóźniałem. Byłem wściekły! I tak miałem szczęście, że Czesław Miłosz pofatygował się na projekcję *Seksmisji* na festiwalu w San Francisco i film na tyle przypadł mu do gustu, że zgodził się ze mną spotkać.



Kiedy już straciłem nadzieję, że do tego dojdzie, Lidka przyjechała! Nie pamiętam, czym się tłumaczyła. Zresztą nie słuchałem, bo wskoczyłem do auta i każąc jej jechać po ulicach San Francisco stylem porucznika Bullitta, spowodowałem, że przybyliśmy do Berkeley po 10 zamiast 30 minutach. Na szczęście była sobota, lato i wszyscy uciekli z miasta. Oczywiście na parkingu nie było nikogo. Pognałem z wypiekami na twarzy przez puste piętra Dwinelle Hall. Poza umundurowanymi woźnymi nigdzie żywej duszy! Zrozpaczony oparłem się o balustradę, klnąc w duchu, że nie zamówiłem taksówki. I wtedy usłyszałem kroki. Zbiegłem na dół, przeskakując po trzy stopnie. W głębi korytarza na tle przeszklonych drzwi wyjściowych zobaczyłem oddalającą się przygarbioną sylwetkę. To musiał być On! Puściłem się pędem i gdy spocony zbliżyłem się na kilkanaście metrów, zawołałem po polsku: - Panie Profesorze! Zatrzymał się i odwrócił.

Długo przeproszałem i tłumaczyłem moje niedające się niczym wytłumaczyć spóźnienie. Lidka, która pojawiła się po chwili, wzięła mężnie całą winę na siebie, ale Czesław Miłosz nie wyglądał na zbytnio przejętego. Jako uniwersytecki profesor musiał być przyzwyczajony do spóźnień młodych i nieodpowiedzialnych troglodytów. Wysłuchał mnie z lekkim uśmiechem i podał nam rękę.

- Jeszcze raz strasznie Pana Profesora przeproszam - powiedziałem. - Spóźniałskich nienawidzę bardziej niż alkoholików!

- W takim razie chodźmy się czegoś napić - odpowiedział Czesław Miłosz i mimo dwuznaczności odpowiedzi nie mogłem być bardziej zgodny.

Poszliśmy do jednego z pubów uniwersyteckiego campusu. Przez moment wydało mi się, że przeniosłem się w przestrzeni i z powrotem jestem w komunistycznej Polsce. Lokal był ciemny, cały obity boazerią, z długimi drewnianymi stołami i trocinami na podłodze. Piło się na stojąco. Głównie piwo. Nie zdziwiłbym się, gdybym znalazł się w takiej knajpie na dworcu w Kutnie, ale w Kalifornii? Profesor czuł się jak ryba w wodzie. Najwyraźniej był to jego ulubiony pub, zapewne z powodu swojskich, środkowoeuropejskich klimatów.

- Ja stawiam - powiedział Pan Czesław i zamówił coca - colę. Mimo ciemności próbowałem mu się przyjrzeć, żeby zapamiętać tę chwilę na zawsze. Profesor ubrany był w bawełnianą koszulę w niebieskie paski, spod której wystawał żółty siatkowy podkoszulek.

Sztruksowe spodnie i plastikowa kurteczka, tak zwany fifrak, dopełniały reszty. Po chwili milczenia Autor *Zniewolonego umysłu* odezwał się pierwszy:

- Spodobał mi się pański film, bo był niecenzuralny.

Powiedziałem, że jestem z tego powodu bardziej niż szczęśliwy, i spytałem, jak myśli, czemu ta cała *Seksmisja* w ogóle przeszła w PRL - u. Czesław Miłosz zamyślił się na trzy sekundy i postawił diagnozę, która do dziś wydaje mi się najtrafniejsza.

- Z powodu chłopskiego antyfeminizmu władz. Tych peerelowskich kacyków. A co za tym idzie i cenzorów - i zaśmiał się serdecznie na cały głos, aż goście przy sąsiednich stołach odwrócili głowy w naszą stronę. - Pan pewnie nie wie, że brałem udział w organizowaniu powojennej kinematografii polskiej?

Odpowiedziałem, że nie miałem o tym pojęcia.

- Z armią Berlinga przyjechała z ZSRR taka filmowa klika: Aleksander Ford, Stanisław Wohl i Adolf Forbert. Jeździli rabować kamery i sprzęt filmowy do niemieckiej wytwórni UFA w Poczdamie. Stamtąd wracali pełnymi samochodami. Ja na nie mówiłem „szabrolety”! - tu Profesor znowu się roześmiał ognistym, młodzieńczym śmiechem.

Musiałem to jakoś skomentować.

- Jak Pan to robi, że jest w takiej świetnej formie?

Odpowiedź była prosta:

- Codziennie pływam.

Po czym wrócił do opowieści z czasów budowania polskiego kina.

- Adam Ważyk, jeszcze w mundurze, załatwił mi w 1945 roku mieszkanie, mówiąc: „My z Lublina musimy sobie pomagać!”. Wtedy zaczęliśmy z Jurkiem Andrzejewskim pisać *Robinsona warszawskiego* według *Miasta nieujarzmionego* Brandysa. To była historia

inspirowana przeżyciami Władka Szpilmana po powstaniu w Warszawie. Napisaliśmy to najlepiej, jak umieliśmy, ale cenzura kazała dodać do scenariusza sowieckiego radiotelegrafistę i happy end. Wycofałem nazwisko, ale kilka lat potem film i tak powstał.

Spytałem Pana Czesława, czy ma możliwość oglądania polskich filmów.

- Tylko na festiwalach. Tak jak ten pański. Oczywiście widziałem także *Dolinę Issy*.

Ponieważ do *Issy* robił zdjęcia mój przyjaciel Jurek Łukaszewicz, operator *Vabanku* i *Seksmisji*, zastrzygłem uszami.

- No i jak? Piękny film, prawda?

- No właśnie moim zdaniem to taka niewykorzystana szansa...

- Chodziło mi głównie o zdjęcia... - brnąłem niepewnie.

- Taki „National Geographic” - odpowiedział Pan Czesław i machnął ręką, najwyraźniej nie planując kontynuacji tematu. Chcąc wprowadzić do rozmowy jaśniejsze tony, opowiedziałem, jak to dzięki pożyczeniu egzemplarza *Widzeń nad Zatoką San Francisco* profesorom na Uniwersytecie Warszawskim gładko zaliczyłem pierwszy rok polonistyki. Ucieszył się.

- Podobało się panu?

- Jeszcze jak! - odpowiedziałem. - I nie tylko z powodu tych zaliczeń.

Czesław Miłosz ponownie się roześmiał. A ja zaciekałem się:

- Ma Pan dostęp do współczesnych polskich książek?

- Bez problemu. Czytam wszystko, co mi przysyłają, a przysyłają wszystko.

- I co Pan sądzi o współczesnej literaturze polskiej?

- Moim zdaniem tylko Mrozek zachował twarz. Reszta zapeklowała się w byciu szlachetnymi i niezłomnymi. Tylko że tego nie da się czytać...

Pan Czesław, chcąc gestem podkreślić rozmiar beznadziei, machnął ręką, przewracając swoją szklankę z colą. Kostki lodu zagrzecotały, ślizgając się po blacie, a coca - cola chlusnęła na ortalionową kurtkę Noblisty. Próbowałem wylapywać lód jak hokejowy bramkarz, ale na niewiele się to zdało. Lidka papierowymi serwetkami wytarła stół i wróciliśmy do rozmowy, mimo że z jakiegoś powodu Pan Czesław nie zamówił dolewki.

Zapytałem, jak wspomina pobyt w Polsce w 1981 roku. Uśmiechnął się szeroko.

- Bardzo ciepło. Choć ta wizyta była trochę ponad moje siły psychiczne i sentymentalne. Szczególnie moment w Gdańsku: „Lud da siłę swojemu poecie, pan da siłę swojemu ludowi”. Ale cieszę się, że wtedy przyjechałem. Teraz to znowu nie jest możliwe...

Zobaczyłem, że się lekko wzruszył.

- Wie pan, że wtedy w Polsce cały czas za mną chodzili?

- Esbecja?

- No. Ubek wszedł za mną do kościoła Świętej Brygidy, to go pytam: „Czego tu pan szuka?”. A on, trzymając ręce złożone jak do modlitwy, odpowiada mi: „Odp... się!”.

W tym momencie w rozmowie zapadła cisza, pełna kiwania głowami ze zrozumieniem. Najoryginalniejsze pytanie, na jakie było mnie stać, brzmiało:

- A fajnych ma Pan studentów na sławistyce?

Profesor pokręcił głową.

- Ja jestem tak zwany *professor emeritus*. Już nie wykładam, tylko jeżdżę na gościnne występy i czytam swoją poezję po angielsku.

- Wiem, byłem na Pana odczycie w Los Angeles.

- I jak się podobało?

- Było super!

Pan Czesław uśmiechnął się zadowolony.

- Jestem tu już ćwierć wieku, a ciągle nie mogę się przyzwyczaić, że w Kalifornii nie ma pół roku. Jak przyjechałem, miałem kontrakt na rok. Po dwóch miesiącach dali mi *tenure*, czyli dożywotni etat. Od siedmiu lat jestem na emeryturze. Ale w ogóle nie mam poczucia czasu. Tu ma się wrażenie, jakby to był jeden bardzo długi dzień.

Odpowiedziałem, że jestem w Kalifornii od roku i rozumiem, co ma na myśli. Nagle Profesor się zasepił.

- Od kiedy odszedłem z wydziału, trochę się obawiam, że ta slawistyka i polonistyka tu nie przetrwają.

- Czemu miałyby nie przetrwać?

- Amerykanie wolą się uczyć rosyjskiego, a więc wydziałowi rusycyści zabierają pieniądze slawistom i polonistom.

Znowu zapadło milczenie. Liczyłem, że Lidka się o coś zapyta, ale ona zapatrzona w Pana Czesława piła colę.

- Przygotowuje Pan coś nowego, Panie Profesorze? - zapytałem więc. Czesław Miłosz uśmiechnął się tylko zagadkowo. Powtórzyłem pytanie. Chwilę trwało, zanim odpowiedział pytaniem.

- O co pan pytał? Bo wie pan, ja trochę niedosłyszę...

Zrozumiałem, że Profesor słyszy tylko to, co chce usłyszeć.

Rozmowa trwała już półtorej godziny i Pan Czesław spojrzął na zegarek. Westchnął i wytarł ręce w papierową serwetkę.

- Odprowadzę państwa na parking.

Spanikowany miałem wrażenie, że przegapiłem jakąś szansę! Że nie wypytałem Go o to wszystko, o co chciałem, i że być może więcej się nie spotkamy. A tyle chciałem się od Niego dowiedzieć.

Przecucie mnie nie myliło, bo więcej się nie spotkaliśmy. Ale raz byłem blisko. Dwadzieścia lat później, w maju 2004 roku, na ulicy Świętego Jana w Krakowie kręciłem film *Vinci*. Kiedy z operatorem Edkiem Kłosińskim ustawialiśmy scenę przed Muzeum Czartoryskich, kątem oka zauważyłem stojącego nieco dalej na parkingu starszego pana. Przyglądał się ekipie przygotowującej porwanie *Damy z lasiczką*. To był Czesław Miłosz. Wiedziałem, że mieszka w Krakowie. Powiedziałem aktorom, o co mi chodzi, i poprosiłem Edka, żeby kontynuował przygotowania. Odwróciłem się w stronę parkingu, chcąc podejść do Pana Czesława, ale Jego już tam nie było.

Kiedy trzy miesiące później usłyszałem wiadomość o Jego śmierci, przypomniał mi się parking pod Dwinelle Hall w Berkeley. Gdy się wtedy zegnaliśmy, Profesor nagle sobie o czymś przypomniał:

- Muszę się czymś pochwalić!

Zamieniliśmy się w słuch.

- Wiecie, jaki przywilej mają laureaci Nagrody Nobla na tym uniwersytecie?

- Catering z Hyatta? - zażartowałem.

Czesław Miłosz kolejny raz się roześmiał.

- Żeby! Mamy tu tylko jeden jedyny przywilej, ale za to bardzo istotny.

Widząc nasze bezradne miny, pokazał palcem w kierunku parkingu:

- Własne miejsce na parkingu!

Spojrzałem w tamtą stronę. Na miejscu Noblisty Czesława Miłosza stał mały czerwony chevrolet corvette. Dobrze wychowanie diabli wzięli, bo gwizdnąłem z podziwu.

- *Little red corvette!* Brawo, Panie Profesorze! Zupełnie jak w przeboju Prince'a!

- Co? - Pan Czesław wyraźnie nie rozumiał.

- No, Pana samochód! Chevrolet corvette!

Profesor spojrział jeszcze raz na odlotowe auto i powiedział:

- A... nie! To nie mój wóz. Ktoś mi miejsce zajął...



32.

### Kino moralnie niespokojne

Był późny wieczór 27 lipca 1985 roku, kiedy w mieszkaniu państwa Morgensternów na Żoliborzu zadzwonił telefon. Odebrał Janusz Morgenstern, reżyser serialu *Kolumbowie*, przez przyjaciół zwaną Kubą. W słuchawce usłyszał zmysłowy baryton.

- Cześć Kuba, tu Janusz.

- Jaki Janusz?

- Głowacki.

Janusz Głowacki był scenarzystą filmu Janusza Morgensterna *Trzeba zabić tę miłość*, do dzisiaj jednego z najlepszych polskich dramatów obyczajowych dla dorosłych.

- A gdzie ty jesteś, Janusz? Wróciłeś?

- Nie. Jestem w Ameryce.

Janusz Głowacki był właśnie po wielkim sukcesie swojej sztuki *Kopciuch* w Nowym Jorku.

- Poczekaj, Kuba, tu ktoś chce z tobą porozmawiać - i po chwili w słuchawce odezwał



się inny głos:

- Cześć Kuba, Piwek z tej strony.

- Jaki Piwek?

- Marek Piwowski, polski reżyser filmowy - padła odpowiedź.

- Jesteś tam z Głowackim? - głos pana Janusza Morgensterna zadrżał zazdrośnie.

- Głowa też tu jest, ale poczekaj, bo pewna osoba chce ci coś powiedzieć. - Słuchawka odezwała się tym razem damskim głosem:

- Dzień dobry, a właściwie dla ciebie w Polsce to dobry wieczór, prawda, Kuba? Tu Basia Borys - Damięcka.

Pani Barbara, dzisiaj senator RP, była wówczas wziętym reżyserem Teatru Telewizji, przejazdem w Stanach Zjednoczonych.

- Basia? Na miłość boską! A co ty tam robisz?!

- Jesteśmy z Januszem i Markiem tu, w Ameryce... Aha, i jeszcze pan Jacek chciałby się z tobą przywitać.

- Pan Jacek?

- Fuksiewicz - w słuchawce pojawił się nowy głos. - Co u pana słychać?

- To pan tam też jest, panie Jacku? Cała redakcja filmowa się tam przeniosła?

Znany krytyk filmowy Jacek Fuksiewicz, zanim wyjechał wykładać na Uniwersytecie Loyola w Nowym Orleanie, był szefem redakcji filmowej w TVP.

- No, jak pan słyszy!

- No, właśnie świetnie słyszę! Jakby pan dzwonił z Ursynowa!

- Tak naprawdę z Ursynowa odbiór byłby o wiele gorszy. Pozdrawiam serdecznie, ale to jeszcze nie koniec. Pan Janek ma do pana kilka słów.

- Janek? Jaki Janek?

- Machulski - przedstawił się mój ojciec. - Cześć Kuba, kochany mój! Jest cudownie! Wszyscy tu jesteśmy i cię gorąco pozdrawiamy.

- Jak to wszyscy tam jesteście? - Kuba Morgenstern stawał się coraz bardziej podejrzliwy. - Otworzyliście Zespół Filmowy na Uchodźstwie? Wpuszczacie mnie w maliny?!

- Ależ nie, drogi panie Januszu - odezwał się kolejny damski głos. - Nikt by sobie na to nie pozwolił! Przy aparacie Liliana Głąbczyńska, aktorka, tylko tak się szczęśliwie złożyło, że wszyscy spotkaliśmy się pod Nowym Jorkiem, w posiadłości mojego męża.

- Pani męża?

- Jacka Eisnera.

Jack Eisner, 60-letni amerykański milioner polskiego pochodzenia, który przeżył w Polsce Holokaust, był potentatem w branży bodajże tekstylnej, a ostatnio zajął się produkcją filmową. Zrealizował film *War & Love* oparty na własnych przeżyciach w czasie II wojny światowej. A Liliana Głąbczyńska, korzystając z okazji, że tyłu jej przyjaciół i znajomych jest w Nowym Jorku, tego sobotniego popołudnia zaprosiła wszystkich do siebie, do ekskluzywnego Westport, gdzie oprócz jej męża mieszkali Paul Newman i Miloš Forman.

Wiele bym wtedy dał za wyraz twarzy Janusza Morgensterna, ale, niestety, ja również znajdowałem się po amerykańskiej stronie słuchawki, w stanie Connecticut na Wschodnim Wybrzeżu. Tutaj była dopiero trzecia po południu. Polski kontyngent, który zebrał się na barbecue, czyli grillu, u państwa Eisnerów, był rzeczywiście imponujący i przypuszczam, że

Kuba Morgenstern długo nie mógł zasnąć zasypany wrażeniami. Oczami duszy widziałem, jak reżyser *Polskich dróg* zrywa się z łóżka i krzyczy do żony:

- Krystyna, wstawaj! Pakuj się! Wyjeżdżamy!

- Dokąd?

- Do Ameryki! Wszyscy już tam są!

A my, kiedy już skończyliśmy się śmiać z *practical joke*, jaki splataliśmy Januszowi Morgensternowi, ruszyliśmy do zajęć w podgrupach. Niektórzy wybrali tenis, inni basen. Ja z Jankiem - salę bilardową. Po roku pobytu na stypendium w Kalifornii ostatni miesiąc spędzałem w Nowym Jorku, a ojciec tam do mnie dojechał. Na razie wszystko mu się tutaj podobało. Gra w bilard na werandzie w ogrodzie też.

- Fajne życie, co? - zagadnąłem, kiedy udało mi się wbić bilę do rogu. - Chciałbyś tak mieszkać?

Janek trochę się przestraszył.

- Jak to: tak? Wiesz, ile musi kosztować utrzymanie takiej posiadłości?

- Ale zakładając, że stać cię na to, nie chciałbyś do końca życia już nic nie robić? Tylko tenis, basen, bilard, drinki, polędwica z grilla? W sklepie spożywczym spotykałbyś się z Paulem Newmanem. On tu mieszka niedaleko.

Wzmianka o jego ulubionym aktorze nie zrobiła spodziewanego wrażenia.

- Nie pracować? Nie robić tego, co lubię?

- Robić to, co lubisz, ale poza pracą - droczyłem się z nim.

- Nie mógłbym żyć bez pracy.

- A ja tak - podpuszczałem ojca, widząc wyraźnie, jak go to deprymuje.

- Ale przecież pan Eisner na to zapracował, i to bardzo!

- No, ale jak byłbyś żoną milionera? Albo chociaż bratem żony milionera? - wskazałem głową brata Liliany Klaudiusza, który wylegając się na leżaku, sięgał do wiaderka z lodem po kolejnego millera lite. Janek nie odpowiedział, tylko przyjrzał się mi uważnie.

- Ty byś tak nie mógł - ni to oznajmił, ni to spytał z nadzieją w głosie.

Enigmatycznie wzruszyłem ramionami. Ostatnie tygodnie pobytu w Stanach wypełniały mi spotkania z miejscową Polonią przy okazji projekcji *Seksmisji*. Film się raczej podobał, ale byli i tacy, którzy pytali, co spowodowało, że po zagranium głównej roli w *Personelu* Krzysztofa Kieślowskiego zdecydowałem się robić zupełnie inne niż on kino. *Personel*, telewizyjny film z 1975 roku, zapoczątkował w polskiej kinematografii trend nazwany później kinem moralnego niepokoju. A kiedy pojawił się *Wodzirej* Feliksa Falka, *Barwy ochronne* Krzysztofa Zanussiego i *Bez znieczulenia* Andrzeja Wajdy - ruszyła lawina naśladowców. Tyle tylko, że większość filmów wagoników, które doczepiały się do tych lokomotyw, nie była już tak udana. Mniej zdolni koledzy uważali zapewne, że nie mając szansy na indywidualny sukces, odniosą zwycięstwo drużynowe.

Ten nowy trend był solą w oku komunistycznego establishmentu. Partia i rząd zareagowały natychmiast filmową kontrofensywą spod znaku narodowego komunizmu. Filmy *Gdzie woda czysta i trawa zielona* Bogdana Poręby czy *Wysokie loty* Ryszarda Filipskiego miały być antidotum na ukazywanie beznadziejnej rzeczywistości PRL - u w kinie moralnego niepokoju. Chociaż samo to zaniepokojone moralnie kino było takim socrealizmem *à rebours*. Najpierw była teza, a potem na tę tezę jak na szkielet nakładało się tkanę - czyli filmową opowieść. Tylko ta teza najczęściej wystawała, bo historie były wątłutkie. Na przykład w jednym z filmów problem polegał na tym, że licealny profesor od historii jest „dobry” i uosabia opozycję, a profesor od wuefu „zły” i uosabia esbeków. A uczniowie mają się opowiedzieć, kogo wolą. W życiu bywało akurat na odwrót. Wszyscy mieli gdzieś historię jako przedmiot, bo wiedzieli, że jest zakłamana, natomiast na wuefie gra w nogę czy w kosza wolna była od jakiegokolwiek indoktrynacji. Kiedy teza jest bohaterem, trudno taki film polubić.

W końcu lat 70. w którymś z numerów branżowego brytyjskiego „Sight & Sound” z niedowierzaniem i przerażeniem czytałem recenzję z przeglądu polskich filmów w Londynie. Recenzent nie miał pojęcia o wewnętrznych podziałach polskiego środowiska filmowego na słuszne dysydenckie spod znaku Wajdy i Kieślowskiego i niesłuszne, narodowo - komunistyczne Poręby i Filipskiego. Chcąc jak najlepiej, brytyjski krytyk niezbyt poprawnie politycznie jednym tchem chwalił obok siebie filmy Holland i Poręby, Zanussiego i Filipskiego. Wtedy zrozumiałem, że dla Zachodu te filmy niewiele się różnią. Polska jawiła się im jako szarobury, znerwicowany kraj różnej maści idealistów z problemami. Jedni byli niezłomni i przegrywali, drudzy dawali się złamać, czyli też przegrywali, i tylko nonkonformistyczni komuniści odnosili zwycięstwo. Taki widok na pewno nie mógł być krzepiący dla zagranicznej widowni. Najwyraźniej gubili się w estetycznych niuansach kina moralnego niepokoju i kina niepokoju partyjnego. Dla anglosaskiego widza z tych filmów wynikało, że wystarczy zmienić nieuczciwych sekretarzy partii na uczciwych, a złych nauczycieli wuefu na dobrych historii, żeby wszystko wróciło do normy. A odsuwając na bok moralne racje, czysto filmowo i w sposobie obrazowania oba te „zaangażowane kina” były, paradoksalnie, do siebie podobne. Jak długa szarawa kiełbasa pokrojona w plasterki, której zawartość różna w niuansach i politycznych zabarwieniach, w smaku dla zagranicznego widza była nie do odróżnienia. I kiedy nagle znalazłem się z moim ulubionym pisarzem Januszem Głowackim w lajtowej formie basenu, czyli w jacuzzi, po kilku minutach bulgotu gorącej wody zdobyłem się na odwagę.

- Janusz, czy mogę cię o coś zapytać?

- Wal śmiało - odpowiedział.

- Chodzi o tak zwane kino moralnego niepokoju. Czy to rzeczywiście tak bardzo się wam, opiniotwórczym ludziom kultury, podobało?

Janusz zamyślił się na chwilę.

- Wiesz, jakie były czasy. Całe to kino było przewidywalne i nudne jak flaki z olejem, ale nie wypadało źle o nim pisać. Ono było w kontrze do rzeczywistości realnego komunizmu i obalało Związek Radziecki. Zaangażowanie wystarczało, czyli dobre intencje. Przyzwoity

człowiek nie mógł przecież tego nie popierać, nie?

Pokiwałem głową ze zrozumieniem.

Dwadzieścia lat później miałem szczęście poznać w Pradze Ivana Passera, reżysera *Intymnego oświetlenia*, jednego z twórców czeskiej nowej fali z lat 60. Zapamiętałem pewną z nim rozmowę o nieprzewidywalności w twórczości filmowej.

- Kiedy w końcu lat 50. zacząłem pracować w filmie jako scenarzysta, robiliśmy z kolegami wybitny, naszym zdaniem, odważny i artystyczny film. W tym samym czasie na hali zdjęciowej obok kręcił film starszy od nas karierowicz partyjniacza, który codziennie przychodził na plan w smokingu, prosto z balangi z poprzedniej nocy. Na planie, siedząc tyłem do kamery, wydzwaniał, umawiając się z coraz to innymi panienkami na wieczór. W tym czasie jego asystenci ustawiali scenę i praktycznie prowadzili zdjęcia bez niego. W filmie, jak wiadomo, jest to możliwe. Patrzyliśmy z pogardą na koleśka, który tylko dzięki komunistycznym plecóm mógł kręcić filmy. Obwarowani na szczytach naszej moralnej wyższości spoglądaliśmy z góry na to odrażające indywiduum, sami realizując nowoczesne i postępowe dzieło sztuki filmowej. I tak się złożyło, że oba te filmy weszły w tym samym czasie na ekrany. Na film partyjniaka waliły tłumy, na nasz nie przyszedł pies z kulawą nogą. Wtedy zrozumiałem, że racja moralna i zaangażowanie to nie to samo co profesjonalizm i umiejętność opowiadania. Od tamtej pory od dentysty zaangażowanego wolę dentystę profesjonalnego - zakończył Passer, współscenarzysta *Miłości blondynki* i *Pali się moja panno*.

Ponieważ przytaknąłem z zapalem, Ivan Passer spojrział na mnie po ojcowsku.

- Ale odkąd od 1971 roku robię filmy w Stanach, nauczyłem się, jak zaangażowanie, czyli pasję, łączyć z profesjonalizmem. To daje najlepszy rezultat - i wielki reżyser uśmiechnął się przebiegle.

Tyle historii. Dzisiaj, kiedy otaczają nas plastikowe i wesółkowate bzdety polskiego kina mentalnego niedorozwoju, widać, że tamte szarobure, smutne, a czasem niezgrabne polskie filmy z końca lat 70. były jednak prawdziwym KINEM.



**33.**

### **Po zatrzaszkującej stronie drzwi**

Janek uśmiechnął się szeroko i postawił z hukiem podróżną torbę na stole.

- I jak obiecałem, dowiozłem tę wódkę!

- Jaką wódkę?

- No, wódkę! Przecież chciałeś?

Janek włożył rękę do torby. Błyskawicznie chwyciłem go za łokieć, blokując ruch.

- Co ty robisz? - Janek, czyli mój ojciec, nie zrozumiał mojego gestu.

- Zapomniałem ci powiedzieć, że to był błąd - wyszeptałem mu do ucha.

Zdumiony Janek cały czas trzymał rękę w torbie podróżnej, prawdopodobnie zaciskając dłoń na szyjce peweksowskiej Wyborowej. Obiema rękoma powstrzymywałem ojca przed wyjęciem butelki.

John Taylor dobrodusznie przyglądał się swoim polskim sublokatorom, którzy w nic dlań nieznaczącym, szeleszczącym narzeczu przekazywali sobie szeptem jakieś tajemnicze polecenia, mocując się jednocześnie z bagażem. Zapasy odbywały się w kuchni Johna na Górnym Manhattanie. Właśnie przywiozłem Janka z lotniska do mieszkania, które John

wspaniałomyślnie zgodził się z nami dzielić przez miesiąc. Pierwszym odruchem było oczywiście obdarzyć naszego gospodarza dziękczynnym gościńcem.

- Miałem błędne dane! Nie dajemy mu wody. Za nic nie wyjmuj tej flaszki - starałem się syczeć jak najciszej. - On nie może nawet jej zobaczyć. Wczoraj dowiedziałem się, że był... nie mogę użyć tego słowa na „a”, bo po angielsku brzmi tak samo!

- Kim był? - Janek, kiedy tego najbardziej potrzebowałem, stawał się czasem dziwnie niekumaty.

- Kurna, no! Chłop swego czasu chlał gorzałę na umór i teraz nawet nie wolno pokazywać mu butelki!

Janek powoli przyswajał wiadomość i na znak, że już rozumie, skinął głową.

- Puść... - powiedział. - Zobaczysz, będzie dobrze.

Popuściłem zacisk. Janek jak zawodowy prestidigitator wyciągnął dłoń z torby. A ja na chwilę zamarłem, bo coś w niej zabłyszczało, aż ujrzałem z ulgą, że zamiast spodziewanego pół litra Janek trzyma stylizowany, trójramienny świecznik.

- Nada się? - spytał mój ojciec.

- Of koz - odpowiedziałem, uśmiechając się po angielsku do Johna. - Pozwól, John. Mój tata z myślą o tobie przywiózł z Polski ten drobiazg.

John wziął ode mnie dzieło metaloplastyka z przedmieść Warszawy i też się uśmiechnął.

- *It's so sweet of you!* A już obawiałem się, że to alkohol! - powiedział.

- Alkohol? No skąd! A wolałbyś? - spytałem niepewnie.

John w odpowiedzi wskazał regały z książkami zajmujące obie ściany w przedpokoju.



- Widzicie te książki? - spytał.

Skinęliśmy głowami.

- OK. No to sześć lat temu na tych półkach zamiast książek stały butelki z wodą, whisky, dżinem, *you name it*.

Ponownie pokiwaliśmy głowami z bardzo zafrasowanymi minami, a John poinformował nas, jakby chodziło o bycie filatelistą.

- Byłem wtedy alkoholikiem, ale dziś mam to za sobą - spojrział na świecznik. - Ta rzecz mi się bardziej przyda.

Świecznik przyjechał z Polski jako prezent dla moich przyjaciół z Los Angeles Agaty i Pawła Hanczakowskich. Dzięki ich przyjaźni, trosce i opiece dziesięć miesięcy w Hollywood upłynęło mi w poczuciu posiadania rodziny z polską duszą. Chciałem im przekazać pamiątkę z Polski. Zrozumiałem, że w tej sytuacji będą musieli zadowolić się wodą.

Johna Taylora polecili mi inni amerykańscy przyjaciele z Kalifornii. Bez przyjaciół w czasach przed wymienialnością złotówki na niewiele mógłbym sobie w Ameryce pozwolić.

Joel Fineman, 30-letni profesor anglistyki z Berkeley, namówił swojego kumpla na Manhattanie, żeby mnie wpuścił na chatę. I tak to znalazłem się nagle w apartamencie na 120. Zachodniej Ulicy niedaleko Uniwersytetu Columbia.

Jak tylko się poznaliśmy, John z tajemniczą miną pochwalił się, że dawno, dawno temu był w Warszawie. Ucieszyłem się i spytałem, czy mu się podobało.

- Moim rodzicom bardzo podobał się jeden pałac. Villeneuve?

- Może Wilanów?

- Właśnie! Tam się zatrzymali.

- Mieszkałeś z rodzicami w pałacu w Wilanowie?

- *Well*, niewiele z tego pamiętam, bo byłem wtedy dopiero płodem.

- Och, tak? Płodem! *It's so cool!* - starałem się podtrzymać rozmowę na anglosaską nutę, niczemu się zbytnio nie dziwiąc.

- Była zima 1945 roku i mama, która wtedy była w ciąży, opowiadała mi potem, że to był jeden z niewielu budynków w Warszawie, gdzie można było mieszkać. Nieswojo się czuli, rozbierając się do snu przy tych wszystkich ogromnych lustrach dookoła.

John był synem Telforda Taylora, profesora prawa, który wsławił się między innymi tym, że oskarżał jako jeden z amerykańskich prokuratorów na procesie norymberskim.

- O mały włos, a urodziłbym się w Warszawie - John powiedział to tak, jakby był zawiedziony urodzinami na Manhattanie.

- Tak? A co się stało?

- Rodzice polecieli z Niemiec do Polski, żeby zobaczyć zburzoną Warszawę. Nagle samolot się zepsuł i zaczął spadać.

- No, nie! - wykrzyknąłem autentycznie przerażony.

- Wskoczyli ze spadochronem - spuentował John.

- Ale twoja mama była w ciąży?!

- W siódmym miesiącu. *But she's a hell of a tough yankee girl.* Różnie mogło się skończyć, ale donosiła mnie aż do powrotu do Stanów.

Pełen podziwu dla polskich przeżyć Johna chciałem zaprosić go na drinka, no i wtedy

przyznał się, że nie pije, bo kiedyś pił za dużo. A ja, niestety, kompletnie tego nieświadomy zamówiłem wcześniej kilka butelek najlepszej polskiej Wyborowej, którą właśnie dowiózł mi ojciec. Ostatni miesiąc mojego pobytu na stypendium chciałem z nim spędzić w Nowym Jorku, pokazać kilka fajnych miejsc i na tydzień wysłać do Los Angeles, żeby pooddychał hollywoodzkim powietrzem. Sam nie mogłem z nim polecieć, bo zobowiązałem się wziąć udział w sześciu spotkaniach autorskich połączonych z projekcjami *Seksmisji*, której spragniona nowojorska Polonia nie mogła się doczekać.

Były to początki kaset VHS, a z Polski filmy na nich nie docierały. Ja sam przywiozłem ze sobą kopię filmu na taśmie 35 mm - ważącą razem z metalowymi puszkami ponad 30 kg - i teraz z pomocą Gene Starkeya miałem odbyć projekcje.

Gene, czyli Genek, który przybył do Ameryki na początku lat 70., miał się różnych zawodów, ale w końcu show - biznes najbardziej przypadł mu do gustu. Stało się to, kiedy pracując jako roomservice'owy kelner w hotelu Plaza, otrzymał nietypowe zamówienie. Gość zażyczył sobie tylko kubek lodu. Gene napełnił naczynie kostkami zamrożonej wody z kranu i pojechał na górę. Jakież było jego zdziwienie, kiedy drzwi otworzył mu... John Lennon! Genek nie dał po sobie nic poznać, tylko postawił kubek na stylowym stoliku i wręczył Lennonowi rachunek na 5 dolarów.

- *5 dollars for ice?! -* zdziwił się najszlachetniejszy członek zespołu The Beatles.

- *That's correct, sir -* grzecznie zgodził się Genek, czekając na napiwek.

Gdy John Lennon zrozumiał wreszcie jego wyczekującą postawę, rzucił na tacę banknot z Lincolnem, zaczerpnął garść lodu z kubka i wręczył ją Genkowi.

- *Fine! So, here's your tip! -* powiedział i zatrzasnął drzwi.

Genek zrozumiał wtedy, że lepiej jest być po zatraskującej, a nie zatraskiwanej stronie drzwi, i rzucił pracę. Dziś często odwiedza Polskę jako uznany producent i reżyser dokumentalista, ale wtedy, upalnego lata 1985 roku pomagał biednemu stypendyście zarobić trochę kasy na projekcjach w Big Apple. Genek podszedł do sprawy profesjonalnie i z mojej kopii 35-milimetrowej sporządził bardziej poręczną kopię 16 mm.

Byłem przekonany, że przynosząc swój film pod amerykańskie strzechy, robię polonusom dobrze. Wyobrażałem sobie naszych imigrantów wyczekujących polskich filmów jak towarzysz Kania dżdżu. Te setki odciętych od starego kraju i zgłodniałych polskiej kultury mężczyzn i kobiet, którzy ze łzami w oczach, jak Sienkiewiczowski latarnik, powitają mnie chlebem, solą i dolarami. I rzeczywiście pierwsze trzy projekcje w New Jersey, Filadelfii i Hartford były właśnie takie. Ale gdy rozwinęliśmy nasz ekran w mateczniku emigracji, na nowojorskim Greenpoincie, wszystko zaczęło się psuć.

Najpierw lunął deszcz. Potem okazało się, że Genek zapomniał biletów. Jak je wreszcie przywiózł, czekający w długiej kolejce widzowie byli już poirytowani. Kiedy film się rozpoczął na nabitej po brzegi sali ze złą akustyką, zaczął się tumult, że źle słychać dźwięk. Może było w tym trochę racji. Ja znałem film na pamięć, ale tutejsi rodacy oglądali *Seksmisję* po raz pierwszy. Potem ktoś przeciął kabel od dźwięku i już zupełnie nie było nic słychać. Kiedy Genek wreszcie naprawił kabel, projekcja została wznowiona, tylko nie mogła być ukończona, gdyż ktoś ukradł ostatnią rolę filmu! Wytłumaczono nam, że to pewnie sprawka niejakiego Michalskiego z New Jersey, który najwyraźniej uznał, że ma monopol na wyświetlanie polskich filmów. I że to jego sabotażyści spowodowali tumult i całą resztę. Przypomniałem sobie wówczas, że Ameryka jest krajem konkurencji i każdy pilnuje swojego terytorium.

Mój wieczór autorski 10 sierpnia 1985 roku zakończył się fiaskiem.

Ostatnie dwie zakontraktowane projekcje w Yonkers odbyły się z taśmy 35 mm - Genek honorowo wynajął salę z profesjonalnym projektorem. Jak to zwykle bywa, kiedy marzy się o kokosowym interesie - z trudem wyszliśmy na swoje.

Kilka dni później, kiedy żegnałem się z Johnem Taylorem i Ameryką na nie wiedzieć jak długo, John położył mi rękę na ramieniu i powiedział:

- Mój ojciec wtedy w Warszawie był wstrząśnięty ogromem polskich strat i zgliszczami waszej stolicy. Pustynia ruin - tak opisał Warszawę w swoim dzienniku. Wściekły wrócił do Norymbergii, przysięgając sobie, że nie popuści draniom. Kilka miesięcy później jako prokurator był obecny przy wykonaniu wyroków i zrobił, co się dało - John

mrugnął do mnie znacząco i uściskał mnie i Janka, życząc szczęśliwego powrotu do Polski.

Już w Warszawie poczytałem trochę o norymberskim procesie i dowiedziałem się, że człowiekiem wykonującym wyroki śmierci był starszy sierżant US Army John C. Woods.

Woods jako doświadczony kat wojskowy został sprowadzony ze Stanów Zjednoczonych specjalnie na norymberski proces.

Raport z wykonania wyroków opisywał, że odpowiedzialny za egzekucje nazistowskich przywódców Woods prawdopodobnie przez pomyłkę skrócił liny szubienicznych pętli. Przez to impet spadającego ciała nie mógł być wystarczający, by skazani zginęli natychmiast. Z tego powodu feldmarszałek Wilhelm Keitel, Joachim von Ribbentrop czy Ernst Kaltenbrunner umierali przez dobrych kilkanaście minut. Wtedy przypomniałem sobie znaczące mrugnięcie Johna przy pożegnaniu. Nie wiem dlaczego, ale nie mogłem uwolnić się od wizji, w której prokurator Telford Taylor kilka godzin przed wykonaniem dziewięciu wyroków śmierci spotyka na chwilę sierżanta Woodsa i coś mu szepce do ucha. Sierżant kiwa głową i wraca do przygotowanych wcześniej pętli. Ale to pewnie tylko gra wyobraźni ponurego scenarzysty, jakim stałem się po powrocie z USA do peerelowskiej rzeczywistości.

### **Mission impossible**

Byłem w trakcie przeprowadzki do pierwszego naprawdę własnego mieszkania na ulicy Bernardyńskiej na Czerniakowie, kiedy w wynajmowanej przeze mnie kawalerce na Nowotki (dziś Andersa) zadzwonił telefon. Po drugiej stronie słuchawki odezwał się baryton Mariusza Waltera, prezesa ITI.

- Czy znalazłby pan czas na spotkanie ze mną? Bardzo mi na tym zależy.

Akurat kompletnie nie miałem czasu. Po pierwsze, z powodu przeprowadzki, po drugie, za chwilę wyjeżdżałem do Moskwy, gdzie miałem zacząć przygotowania do filmu w koprodukcji ze ZSRR pod tytułem *Wiza na 48 godzin*. Ale wiedziałem także, że kiedy Mariusz Walter prosi o spotkanie, to powinno się znaleźć czas, nawet kiedy się go nie ma.

- Ależ oczywiście! W każdej chwili. Z największą przyjemnością - odpowiedziałem i następnego dnia, 27 maja 1988 roku, wyruszyłem swoim nissanem sunny do siedziby ITI gdzieś na odległą Pragę - Północ, okolicę bardziej wówczas dla mnie egzotyczną niż stolica Filipin. Firma ITI - International Trading & Investment - zajmowała się sprowadzaniem sprzętu elektronicznego z zagranicy i dystrybucją najgorętszego wówczas na rynku audiowizualnym towaru, jakim były filmy na kasetach VHS. Oprócz tego ITI było przedstawicielem japońskiego Hitachi, handlowało chipsami oraz kręciło reklamy. Rok wcześniej sam nakręciłem dla nich ze cztery, w tym prehistorycznym okresie telewizyjnego rynku reklam, kiedy już można było bardzo wiele, a wszystko jeszcze uchodziło na sucho. Mam na myśli chociażby bezkarne wykorzystywanie muzyki czy fragmentów zagranicznych filmów.

Kiedy pod koniec 1985 roku wróciłem z Los Angeles, gdzie przez rok oglądałem MTV i amerykańskie reklamy, byłem skory do kręcenia takich krótkich, audiowizualnych form w Polsce. Zwłaszcza po tym, jak miałem szczęście asystować na planie teledysku, który dla Chucka Mangione kręcił w Hollywood nagrodzony Oscarem za film *Tango* Zbigniew Rybczyński. Zaraz po powrocie udało mi się zrealizować dwa teledyski dla kapeli Kombi

oraz kilka reklam właśnie dla ITI. Moja ciekawość została zaspokojona. Ilość zużytkowanej energii, żeby coś z tego wyszło, w stosunku do satysfakcji twórczej, nie mówiąc o finansowej, była na niekorzyść tych ostatnich. Zrozumiałem, że to nie moja działka.

Tymczasem zaparkowałem na siermiężnym parkingu przed beznadziejnie zgrzebną siedzibą firmy. Byłem 15 minut za wcześnie i nie wiedziałem, co zrobić z czasem. Jakby na zamówienie wszedłem w psią kupę, więc nagle miałem pełne ręce roboty i o mały włos bym się spóźnił. Kiedy sekretarka wprowadziła mnie do gabinetu, Mariusz Walter podał mi rękę i chwilę potrzasał nią, patrząc mi z nadzieją w oczy. Odpowiedziałem mocnym uściskiem dłoni.

- Za dwa tygodnie, 10 czerwca, zaczynają się w Düsseldorfie mistrzostwa Europy w piłce nożnej - powiedział solennym głosem Mariusz Walter, po tym jak zamknął za mną drzwi w gabinecie. Jako fan futbolu wiedziałem o tym dobrze, ale z poważnym wyrazem twarzy pokiwałem głową.

- Firma Baltona zamówiła u nas dziesięć reklamowych filmów, które mają być wyemitowane w najlepszym czasie reklamowym w trakcie tych mistrzostw... - Mariusz Walter zawiesił głos. - Przed meczem, w przerwie i po każdym meczu.

Przełknąłem ślinę i pokiwałem głową z udanym zrozumieniem, bo tak naprawdę nie wiedziałem, o co chodzi.

- Za dwa tygodnie muszę wyemitować pierwszy z tych filmów...

Znowu pokiwałem głową z nieukrywaną zadumą.

-...mam już zarezerwowany w Pierwszym Programie telewizji czas ekranowy...

Po raz czwarty kiwnąłem głową i z godnością założyłem nogę na nogę.

-...ale nie mam tych reklamówek! - pan Mariusz zawiesił dramatycznie głos. - Dlatego zwracam się do pana, panie Julku, parafrazując Adasia z *Kingsajzu*: Julo, ratuj!

Z jednej strony było mi przyjemnie, że Mariusz Walter jest za pan brat z moją twórczością, a z drugiej starałem się tego nie okazywać, podejrzewając jakąś potężną minę, na którą mnie podsadza.

- I... W związku z tym? - zapytałem ostrożnie, woląc wydać się nierozgarniętym, niż antycypować straszliwą prawdę.

Mariusz Walter popatrzył mi głęboko w oczy i powiedział:

- Bardzo pana proszę, panie Juliuszu, niech pan nakręci dla mnie te filmy.

- W ciągu tych dwóch tygodni?!

- Tak!

- Dziesięć filmów reklamowych?

- Tak!

- Ale to niemożliwe!

Prezes Walter spojrzał na mnie przeciągle, niechętnie przyznając mi rację.

- No to przynajmniej osiem!

Osiem filmów w ciągu... - liczyłem szybko w myślach -...dziś jest piątek, najwcześniej będzie można zacząć w poniedziałek, może wtorek? Czyli 1 czerwca. To jest dziewięć dni, czyli ciut ponad jedną reklamę dziennie, w tym montaż w międzyczasie... i udźwiękowanie... Może się udać, pod warunkiem że...

-...scenariusze do tych filmów są gotowe? - dokończyłem głośno myśl niby pytaniem, bo sądziłem, że jest to pytanie retoryczne.

Mariusz Walter ciężko skinął głową, jakby na tak, a potem odwrócił wzrok na ścianę



obwieszoną dyplomami.

- Nie mam nic... Nie mam żadnego scenariusza - powiedział bardzo cicho.

Wtedy zrozumiałem, że mam przed sobą tak zwaną propozycję nie do odrzucenia, która jest jednocześnie *mission impossible*. Nie rozumiałem tylko, co spowodowało, że tak doświadczony producent, twórca telewizyjnego Studia 2, które inspirowało miliony widzów, dopuścił do takiej sytuacji.

Wziąłem głęboki wdech, po czym wykonałem długi wydech.

- Dziś jest piątek. Nawet gdyby zdjęcia zaczęły się w poniedziałek i mielibyśmy scenariusze, to jest to zadanie z tych raczej... niewykonalnych.

Na twarzy Mariusza Waltera nie drgnął żaden mięsień.

- Ja to wszystko rozumiem. Dlatego zadzwoniłem do pana, jak dzwoni się na *emergency*. Pan jest moją ostatnią nadzieją. Ja MUSZĘ mieć te filmy na 10 czerwca - przez mówić to wyjątkowo spokojnym głosem, co dodawało tylko dramatyzmu sytuacji. - Proszę wymienić sumę honorarium. Akceptuję w ciemno.

To był ładny dialog. Jak z amerykańskiego filmu. Pomyślałem, że gdybym jeszcze dziś wieczorem zrobił burzę mózgow z najbliższą ekipą, a potem przysiadł w sobotę i w niedzielę, to do poniedziałku może udałoby się coś wskrobać. A ponieważ - z różnych względów - byłem wówczas w finansowych tarapatach, merkantylna strona propozycji przeważała szalę.

- Zgoda - odpowiedziałem jak Lee Marvin w *Parszywej dwunastce*. - To będzie trudne, ale da się zrobić.

I zażądałem honorarium, które stanowiło połowę tego, co miałem dostać za film, który właśnie zaczynałem w Rosji. Mariusz Walter nie mrugnął okiem, tylko odetchnął z ulgą, wyszedł zza biurka i uściskał mnie.

- Dziękuję. Wiedziałem, że mogę na pana liczyć. Nigdy tego panu nie zapomnę. Mój zastępca Marek Janicki omówi z panem szczegóły dotyczące produkcji tych ośmiu filmów.

- Ośmiu? Wydawało mi się, że mówił pan o dziesięciu?

- Dwa już mam. Tacy dwaj... dwa młode pistolety podjęły się tego zadania dwa tygodnie temu. Przez tydzień zrobili dwie reklamy i rozkraczyli się... Nie dają rady. Zrozumiałem, że w tym wypadku doświadczenie jest ważniejsze od entuzjazmu.

Wiedziałem, że musiało się wydarzyć coś nieprzewidzianego, żeby zapędzić takiego produkcyjnego twardziela jak Mariusz Walter do narożnika.

- No dobrze! Żeby nie tracić czasu, pędzę do pracy!

Marek Janicki, którego znałem z wcześniejszej, bardzo harmonijnej współpracy, przelał na papier wspaniałomyślne honorarium i dorzucił jako bonus wielką lodówkę Hitachi, tak potrzebną w nowym mieszkaniu. Ta lodówka w cenie 500 dolarów - czyli połowy wartości ówczesnego fiata 126p - służyła mi, a potem moim rodzicom przez następne 20 lat.

ITI nie miało wprawdzie scenariuszy, ale zgłaszało jeden formalny warunek: na końcu każdego filmu miał pojawiać się brodaty marynarz niosący skrzynkę produktów Baltony. Wypisz wymaluj jak ten na baltonowskim logo. Zaraz po wyjściu zadzwoniłem do Janusza Gauera, przyjaciela od czasu szkoły podstawowej, a przy okazji operatora, z którym mieliśmy razem robić film w Odessie, oraz do aktora Grzesia Heromińskiego i Rafała Młodzikowskiego, aktora amatora i modela, z którymi nakręciłem kilka wcześniejszych reklam. Bez Grzesia nie wyobrażałem sobie reklamy, a Rafał miał idealną posturę baltonowskiego marynarza. Powiedziałem im, co się dzieje i że od poniedziałku mają być do dyspozycji. Po czym sam wziąłem się do wymyślania scenariuszy. Pomysły brałem z głowy, czyli z niczego, i w ten sposób 30 maja, w poniedziałek, osiem scenariuszy reklamówek leżało na biurku Marka Janickiego.

Najbardziej zadowolony byłem z dwóch. Jeden miał formę zagranicznego filmu, tak by widz, kiedy włączy telewizor, nie zorientował się, że ogląda reklamę, tylko myślał, że to kawałek gangsterskiego filmu produkcji USA. Realizmu miał dodawać głos Jana Suzina,

najpopularniejszego wówczas telewizyjnego spikera czytającego polskie dialogi przy amerykańskich filmach.

Drugi film miał pokazywać Alberta Einsteina podczas gry na skrzypcach. Słysząc pukanie do drzwi, Einstein mówi po niemiecku: „Wejść!”. Zjawia się marynarz z paczką Baltony i mówi po niemiecku: „Mam paczkę dla pana!”. Tym razem dialog tłumaczyć miały napisy u dołu ekranu. Einstein, grany przez Andrzeja Szenajcha, kwituje odbiór, a marynarz kątem oka zauważa wzór na tablicy na ścianie:  $E = mc^3$ . Marynarz marszczy brwi, bierze kredę, ściera trójkę, poprawia wzór na  $E = mc^2$  i wychodzi, zostawiając skonsternowanego Einsteina, który z bezsilności pokazuje widzowi język, jak na tym słynnym zdjęciu. Każdy film kończył się obrazem kroczącego Rafała z paczką Baltony - co też trzeba było osobno nakręcić - a zza kadru dochodzi zmysłowy głos Wojciecha Manna, który konstatował: „Baltona to więcej niż dostawca”.

W czwartek wieczorem, 2 czerwca, zaczęliśmy zdjęcia, skończyliśmy tydzień później - 9. W czasie przerzutów - z jednego planu zdjęciowego na drugi - montowałem z Marcinem Piątkowskim to, co już nakręciliśmy. Pod koniec byliśmy już tak wyluzowani, że nakręciliśmy jeden film więcej. Taki bonus od przyjaznej ekipy dla przyjaznej firmy.

Kiedy odbyła się kolaudacja, Mariuszowi Walterowi ten bezinteresowny dodatkowy filmik spodobał się najbardziej. Była to sonda uliczna, gdzie ankieter (Grzegorz Heromiński) zadawał ludziom na placu Zamkowym pytanie: „Co pani/panu mówi nazwa Baltona?”. Najpierw dość zaniedbany jegomość odpowiada praskim akcentem, jak z felietonu Wiecha: „Baltona? Baltona to coś takiego... coś takiego artystycznego mnie się zdaje...”. Następna ankietowana to młoda dziewczyna, która płoni się, odpowiadając: „Ale ja nie mogę nic powiedzieć, bo ja jestem z Gdyni...”, trzeci to mały chłopiec, który słysząc pytanie, natychmiast ucieka, potem są dwaj zagranicznie ubrani dżentelmeni, którzy dziwią się: „Bal - to - na? Non capisco... Italiano!”. Aż wreszcie ankieter dopada młodej sympatycznej pary i zwraca się do mężczyzny: „Co panu mówi nazwa Baltona?”. Gość na to: „Baltona? Coś słyszałem, ale nie pamiętam, ale może żona będzie wiedziała?”. Ankieter podtyka mikrofon stojącej z nim blondynce: „W takim razie co pani mówi nazwa Baltona?”. Młoda kobieta na to: „Ja nie wiem. Ja jestem jego siostrą”. Uśmiechnięty ankieter odwraca się do kamery: „Jak państwo widzą, popularność firmy Baltona w naszym kraju ciągle wzrasta!”.

Oczywiście ta ostatnia dwójka ankietowanych była podstawiona. Brata grał Leszek Rybarczyk, młody zdolny grafik i mój asystent z *Kingsajzu*, a jego siostrę grała jego żona. Ten film spodobał się nie tylko Mariuszowi Walterowi, bo na festiwalu filmów reklamowych w Katowicach dostał Grand Prix.

Leszek Rybarczyk sam dziś jest producentem i właścicielem firmy Odeon produkującej filmy reklamowe, ale nie tylko. Ostatnio wyprodukował film fabularny *Chrzest*. Dwadzieścia trzy lata temu to on był jednym z tych dwóch młodych zdolnych pistoletów, którzy nie dali sobie rady z zamówieniem Mariusza Waltera. Drugim był Iwo Zaniwski, dziś jeden z najbardziej oryginalnych i znanych twórców reklamowych w Polsce.

Jak to nic nigdy nie można sądzić po pierwszych kotach za płoty.

### Mój przyjaciel Vonnegut

Kobieta miała trzydzieści kilka lat, była wysoką, piękną blondynką - typową *highbrow uptown girl*, jak śpiewał Billy Joel. Ubrana z dyskretną elegancją, prosto od Neimana Marcusa albo Saksa z Piątej Alei. Inteligentna twarz, wysokie czoło, zielone oczy. Stała przy środkowym stoisku z beletrystycznymi nowościami. Coliseum Books na rogu Broadwayu i 57. Ulicy jest moją ulubioną księgarnią, mieszkam nieco dalej, w Hemisphere House. W Coliseum bywam przynajmniej raz dziennie i sprzedawcy dobrze mnie znają. Nagle zauważyłem, że ta zjawiskowa kobieta zajęta jest kartkowaniem *Blind date* - mojej najnowszej książki. Oczami wyobraźni widziałem już, jak podchodzi do kasy, kładzie książki na ladzie, a sprzedawca - dobry mój znajomy - z niedowierzaniem patrzy to na okładkę, to na mnie i wreszcie otwiera usta: »Wie pani, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności autor tej książki stoi kilka kroków za panią i jest gotów dać pani autograf?!«. *Uptown girl* powoli, jak w *slow motion*, obraca się w moją stronę i zagląda mi szmaragdowym wzrokiem głęboko w oczy. Ja, nonszalancko oparty o księgarską drabinkę, mam na twarzy seksowny wyraz gniewnego erudyty, wzrokiem dając do zrozumienia, że jestem otwarty na wszelkie możliwe spotkania autora z czytelnikiem, a jako wyrafinowany światowiec nie wykluczam nawet romansu. I widzę, że to zaczyna działać! Ona rozplywa się w uśmiechu i podchodzi do mnie, otwierając książkę jak metaforę otwarcia się na mnie. Ciągle nie spuszczam z niej wzroku, sięgam po moje wierne wieczne pióro marki Mont Blanc i nieco roztargniony pytam, komu mam się wpisać, ona podaje swoje imię, a ja wpisuję zamasyście: »Dla Jennifer, która zjawiła się w moim życiu jak błyskawica«. Potem od słowa do słowa przechodzimy do kafejki na rogu, a po dwóch dniach jesteśmy kochankami i wyruszamy w rejs na Karaiby. I rzeczywiście tak się zaczyna dziać! Moja Jennifer rzeczywiście kładzie moją książkę na wierzch tych, które wybrała wcześniej. Podchodzi do kasy, podaje książki, a sprzedawca, jakbym go telepatycznie zaprogramował, zachowuje się dokładnie tak, jak przewidziałem. Z niedowierzaniem patrzy to na okładkę mojej książki, to na mnie i mówi do niej: »Och... Wie pani, że przedziwnym zbiegiem okoliczności autor tej książki stoi tu obok i jest gotów złożyć autograf?«. Dziewczyna odwraca się, spogląda na mnie swoim szmaragdowym wzrokiem, ja zaś odpowiadam najbardziej seksownym spojrzeniem światowca, na jakie mnie stać. Mija kilka sekund, w ciągu których ona patrzy to na mnie, to na ostatnią stronę okładki, gdzie

widnieje moje zdjęcie autorstwa Annie Leibovitz. A muszę wam powiedzieć, że wielką wagę przywiązuję do swego wizerunku. Fotograficzna sesja była długa i Annie udało się uwypuklić moje męskie oblicze rzymskiego patrycjusza. Jennifer rzuca jeszcze raz okiem na moją przystojną fotografię na obwolucie i marszczy brwi. A potem uśmiecha się do mnie kącikami ust, jakby powstrzymywała się od uśmiechu szczęścia na widok od dawna poszukiwanej bratniej duszy. Ja odpowiadam jej podobnie filuternym błyskiem w oku. Wtedy Jennifer poważnie, pochyla nieco głowę w moją stronę i odzywa się jedwabnym altem: »Powinien pan to zdjęcie na twarzy nosić«, po czym odwraca się do sprzedawcy i mówi: »Płacę za te trzy, a z tej rezygnuję«, i odkłada *Randkę w ciemno* na bok! Wypadłem z Coliseum jak błyskawica, nie chcąc, by słyszała, jak pęka mi serce”.

Autor skończył swoją opowieść i sięgnął po kieliszek z winem. Słyszałem o tym, że Jerzy Kosiński jest gawędziarzem w stylu barona Münchhausena i nigdy nie wiadomo, co w jego opowieściach jest prawdziwe, a co nie. Jednak historyjka o pięknej Jennifer, nosząca w narracji szczyptę samoponiżenia, wydała mi się prawdziwa.

Był 15 czerwca 1990 roku, siedzieliśmy na werandzie domu Kasi i Grzegorza Rosińskich w Valençon Flanthey, w dolinie Rodanu w Szwajcarii. Grzegorz, grafik i twórca komiksowej postaci Thorgala, i Kasia, jego żona i agentka, wpadli na pomysł, żebym zasiadł w jury festiwalu komiksów w Sierre w Szwajcarii. Jedynym warunkiem była znajomość francuskiego. Ponieważ od zawsze uwielbiałem francuski język i francuską kulturę, zgodziłem się bez namysłu. Wtedy nie wiedziałem, że spotkam tam Czarnego Ptasióra, jak Joanna Siedlecka nazwała w swojej książce Jerzego Kosińskiego. Kosiński zawsze mnie fascynował tym swoim medialnym wizerunkiem i trochę denerwował jako pisarz. *Malowanym ptakiem* zniechęcił mnie do swojej dalszej twórczości, ale po przeczytaniu *Wystarczy być*, a zwłaszcza po obejrzeniu filmu z Peterem Sellersem w roli Chance’a O’Grodnicka, wszystko mu darowałem. Teraz rozmawiał po polsku ze swadą i bez cienia akcentu, jakby właśnie przyjechał z Łodzi. Razem z żoną, bawarską arystokratką Kiki von Fraunhofer mieszkali w alpejskim *châlet*, kilkanaście kilometrów dalej, w narciarskim kurorcie Crans - Montana. Kosiński był zapalonym narciarzem i uwielbiał alpejskie stoki.

- Jedyne, co mam w życiu na własność, to ten góralski domek. Resztę wynajmuję. Mieszkanie, samochód i wszystko inne można, a właściwie powinno się wynajmować. Na stałe mam jeszcze tylko maszynę do pisania, wieczne pióro i plomby w zębach. Dlaczego?

Żeby w każdej chwili móc obrócić się na pięcie i odejść, zostawiając wszystko. Pisarz nie może inaczej. Bo i tak nic nie jest na zawsze. Bo jeśli nawet coś jest, jak nam się wydaje, nasze, to i tak tylko do czasu. Dlatego lepiej wynajmować!

Zebrani goście ze szwajcarskiej Polonii osiedlonej tu od dawna, dumni z tego, do czego doszli po latach wyrzeczeń i oszczędzania, kiwali powątpiewająco głowami. Kosiński to zauważył i się roześmiał.

- Nie wierzycie mi? - spytał.

- Nie bardzo rozumiemy - powiedziała Ewa Bayard, żona wziętego szwajcarskiego ginekologa.

Autor *Gry* pokiwał głową ze zrozumieniem:

- A w dodatku wraz z chęcią posiadania pojawia się pewien syndrom. Pisarz amerykański pisze książkę i jeśli jest niezła - niekoniecznie superdobra, ale po prostu niezła - to po dwa jej egzemplarze weźmie każda z dwustu tysięcy bibliotek w USA. A to jest już olbrzymi nakład! I oczywiście szczęśliwy wydawca natychmiast podpisze kontrakt na następną książkę, dając w dodatku milion dolarów zaliczki. No, i teraz musisz coś z tym milionem dolarów zrobić. Szkoda, żeby tak leżał na koncie i się dewalutował. No i pisarz kupuje dom, żeby zainwestować i uciec od podatków. Ale potem jeszcze musi napisać książkę! A wydawca goni z terminami, bo chce odzyskać jak najszybciej ten milion i najczęściej taka książka jest słabsza od tej pierwszej, którą pisał tak długo, jak było trzeba, i bezinteresownie. Ale teraz, mając dom, pisarz zaczyna mieć większe potrzeby i co za tym idzie - większe wydatki, no i musi pisać dalej. A jeśli książka jest mniej udana, to następna zaliczka jest mniejsza, więc musi napisać następną książkę, która oczywiście jest jeszcze słabsza od poprzedniej. I wtedy rozpętuje się prawdziwe pandemonium upadku, bo tego rozkręconego koła zamachowego nie możesz już zatrzymać. Zauważyli państwo, że pisarze najczęściej są pamiętani ze swoich pierwszych lub drugich książek? Jak mój przyjaciel Kurt Vonnegut. Tymczasem prawdziwa literatura powstaje tylko bezinteresownie. Nigdy na zamówienie. Ergo: lepiej nic nie mieć na stałe. Tylko wynajmować.

- Ale ten góralski domek jednak pan kupił... - rzuciłem nieśmiało.

- Och, byłem wtedy młody i zrozpaczony po śmierci mojej pierwszej żony! Zresztą jego roczne utrzymanie kosztuje mnie tyle co dobra kolacja z przyjaciółmi w Nowym Jorku.

- Czyli? - dociekliwie nie odpuszczałem.

- Dwa tysiące dolarów.

Następnego dnia miałem w Sierre projekcję swojego najnowszego filmu *Deja vu*. Nie mogłem przegapić okazji i nie zaprosić na nią Jerzego Kosińskiego. Wiedziałem, że grał rewolucjonistę Zinowiewa w filmie Warrena Beatty *Czerwoni*, i miałem nadzieję, że potrafi docenić te odeskie klimaty z okresu NEP - u. Ale przedtem wszyscy: to znaczy Jerzy Kosiński z Kiką, Grzegorz i Kasia Rosińscy z synem Piotrem, Lech Majewski, grafik i profesor warszawskiej ASP, który z żoną i córką Edytą dojechał z Warszawy, Ewa Bayard z mężem ginekologiem i jeszcze kilku przyjaciół Szwajcarów, organizatorów festiwalu komiksów, pojechaliśmy na piknik. Najpierw do gorących źródeł w Laches les Bains, a potem po prostu w Alpy. Jerzy Kosiński przechodził najwyraźniej jakiś twórczy kryzys. Ostatnią książkę pod tytułem *Pustelnik z 69 ulicy* wydał dwa lata wcześniej, a pisał ją sześć lat. Cały czas przekonywał nas, że chce już przestać być pisarzem i wrócić do swojej pierwszej artystycznej pasji, jaką była fotografia. Z tego powodu nie rozstawał się z - najprawdopodobniej wynajętym - aparatem fotograficznym marki Nikon. Kiedy podano kiełbaski i piwo, usiedliśmy przy piknikowych stołach na pogawędkę i Kosiński nagle wpadł na pomysł, by zrobić komiks z *Wystarczy być*, i gorąco zaczął namawiać do tego Grzegorza Rosińskiego.

- Chłopie! Fabuła aż się prosi o komiks! Zrobisz mi tylko rysunki i szafa gra! Tylko nie sugeruj się filmem, ale książką!

Grzegorz, który niejedno w życiu rysował - w Polsce zasłynął głównie serią o kapitanie MO Żbiku - dyplomatycznie się wymawiał.

- Mam kontrakt na Thorgala na następne pięć lat. Poza tym nie mogę rozstawać się z moim partnerem Jeanem Van Hammem. To on wciągnął mnie do ilustrowania swoich historii o Thorgalu i Szninkelu. Rozumiesz więc, Jerzy, że mogę nie dać rady. Ale na tym festiwalu



jest ponad 200 komiksowych grafików. Tylko brać i przebierać. Może Cadelo, który właśnie dostał główną nagrodę na festiwalu, na przykład? Widziałeś jego komiksy? To genialny Włoch.

Jerzy Kosiński posmutniał nieco.

- No właśnie, a ja potrzebuję Polaka. Pomyśl tylko. Dwóch polskich emigrantów pracuje razem! To więc, która może zaprocentować...

Grzegorz pokiwał głową i nie odpowiedział. Na szczęście ktoś właśnie wyjął z bagażnika hula - hoop i wszyscy rzucili się próbować wygibasów. Jerzy Kosiński odszedł wolno na bok i przez teleobiektyw zaczął przyglądać się górom. Ponieważ też miałem ze sobą aparat, zrobiłem mu zdjęcie.

Tego samego dnia był na pokazie *Deja vu*.

- Podobało się? - spytałem po projekcji.

- Hm... fajne - odpowiedział po namyśle. - Ten film przypomina mi ogromny statek. Transatlantyk. Wspaniale wyposażony i tak dalej. Tyle że nigdy nie wypłynie z portu. A wiesz dlaczego? - niepostrzeżenie przeszedł ze mną na „ty”. Nie wiedziałem.

- Bo nikt nie zrozumie, dlaczego taki amerykański film został nakręcony po rosyjsku.

Jerzy dał mi delikatnie do zrozumienia, że aby coś osiągnąć w filmie, czy tak jak on w literaturze, musi to być po angielsku. Wiedziałem, że ma rację. Ale i tak było mi miło. Jerzy po filmie był w świetnym nastroju i zaprosił całe towarzystwo nazajutrz do siebie na kolację do Crans - Montana na Beaumaniere 46. Mieliśmy oglądać ćwierćfinał mistrzostw świata w piłce nożnej: RFN - Czechosłowacja. Z wizyty nic nie wyszło. Kiki w ostatniej chwili odwołała zaproszenie, a do tego Niemcy wygrali z Czechami 1:0. Jerzy obiecał, że spotkamy się w przyszłym roku - regulamin festiwalu w Sierre wymagał prac w jury dwa lata z rzędu, więc wiedziałem, że znowu tu będę. W 1991 roku przyjechałem do Sierre, wiedząc, że się nie spotkamy. Miesiąc wcześniej, na Manhattanie, Jerzy napisał do Kiki list: „Kładę się teraz do snu na trochę dłużej niż zwykle. Nazwijmy to wiecznością”.

Wiele się zmieniło przez ten rok. Najlepiej wyszli na tym syn Grzegorza Rosińskiego Piotr i córka Lecha Majewskiego Edyta, którzy pobrali się po tych wakacjach.

36.

### **Skośna łopatka przeznaczenia**

Właśnie dostałeś koniak! - usłyszałem za sobą głos Jacka. Był 22 listopada 1992 roku, ostatni dzień festiwalu filmowego w Gdyni. Jacek Moczydłowski, z którym od czterech lat prowadziłem Studio Filmowe „Zebra”, był uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Od kogo?

- Od jury.

- Od kiedy jury rozdaje koniaki?

Jacek spojrzał na mnie z ukosa, jakby czegoś nie rozumiał.

- Właśnie dostałeś konia! Nie koniak.

Tym razem ja nie rozumiałem.

- Jury robi mnie w konia? Ty mnie robisz w konia?

- Skąd! Naprawdę! Dostałeś nagrodę! Konia.

Staliśmy przy barze w foyer Teatru Muzycznego w Gdyni. To był dla mnie i dla Jacka bardzo ważny festiwal. Podczas zdjęć do filmu *Szwadron* mieliśmy nieszczęśliwy wypadek, którego skutkiem była potężna finansowa wpadka i jakby tego było mało, drugą finansową wpadkę - tym razem zupełnie niezrozumiałą - zaliczyliśmy przy dość łatwym produkcyjnie filmie *Psy*. Wiedziałem, że tylko główna nagroda na festiwalu mogła uratować moją skórę producent i Studio „Zebra” przed bankructwem. Jeśli odnieśliśmy sukces, to niepowodzenia producenckie poszłyby w niepamięć. Wiedziałem także, że nigdy nie wygrywa się festiwalu, jeśli od tego coś bardzo zależy.

- Dali mi nagrodę? Dziwne... Słyszałem, że film się jury nie spodobał?

- To nagroda prezydenta miasta. Kutzowi się nie spodobał, ale Michnik i Tischner wywalczyli ją dla ciebie. Na nich film zrobił wrażenie.

Rzeczywiście, kiedy dzień wcześniej spotkałem w hotelowej windzie jurorów Adama Michnika i księdza Józefa Tischnera, nie szczędzili filmowi pochwał. Ksiądz Tischner powiedział nawet, że *Szwadron* bardzo go wzruszył. To było podnoszące na duchu spotkanie, ale czułem, że nie przełoży się na nagrodę.

- Nic z tego. Nagrody pozaregulaminowej nikt nie traktuje serio.

Jacek, chcąc nie chcąc, przyznał mi rację, ale ponieważ dla niego szklanka zawsze była do połowy pełna, dodał natychmiast:

- Ale przynajmniej dostałeś konia!

- Ty naprawdę nie żartujesz z tym koniem? Żywego konia?

- Klacz chyba.

- A po co mi koń?

- Zrobiłeś film z końmi, to teraz masz konia!

Nie odpowiedziałem, tylko postawiłem mu najlepszy koniak, jaki bufet Teatru Muzycznego miał w swych zapasach. Wieczorna ceremonia potwierdziła moje najgorsze obawy. Prezydent Gdyni pani Franciszka Cegielska wręczyła mi dyplom i metalową tablicę z napisem: NAGAJNA. Podziękowałem serdecznie, pytając, co to znaczy.

- Nagajna? Tak się nazywa pańska klacz. To tabliczka z jej boksu. Miasto kupiło kilkanaście kłusaków, żeby policja miała na czym patrolować wydmy. Pomyślałam, że skoro w pana filmie było tyle koni, to się pan z konia ucieszy!

- Jeszcze jak! Oczywiście, że się cieszę! W życiu nie dostałem konia!

- Zatem udanych galopów życzę!

Zrozumiałem, że muszę dosiąść nagrody. Pani prezydent była na tyle miła, że zechciała mi towarzyszyć do policyjnych stajni, gdzie Nagajna już na mnie czekała. Dowiedziałem się, że gniada klacz ma cztery lata i jest kłusakiem orłowskim.

- Nie wiedziałem, że w Orłowie macie hodowlę kłusaków.

Pani Franciszka się roześmiała.

- Nazwa „orłowski” pochodzi od księcia Orłowa z XVIII-wiecznej Rosji. To najbardziej znany koń rosyjski!

- Ależ oczywiście! - przytaknąłem i z pomocą masztalerza wskoczyłem na kłusaka.

Wtedy przypomniałem sobie, kiedy ostatnio siedziałem w siodle. Chyba latem 1975 roku, w Oborach pod Warszawą. Byłem właśnie po drugim roku studiów na reżyserii w Łodzi, a dawny kolega z liceum Jasiak Trzeciakowski zaprosił mnie na konie. Mając 20 lat, chciałem spróbować w życiu wszystkich sportów, jeździectwa przede wszystkim. A Jasiak miał konia. To znaczy jego rodzice byli na tyle dobrze sytuowani - tak się to wtedy mówiło - że mieli konia. Rodzina Trzeciakowskich trzymała to czteronożne cudo w stadninie w Oborach. Niedaleko znajdował się dom pracy twórczej Związku Literatów Polskich, gdzie akurat przebywała mama Jaśka - pani Anna Przedpeńska - Trzeciakowska, znana tłumaczka literatury anglosaskiej.

Koń był rzeczywiście przepiękny.

- Jak ci się podoba? - spytał Jasiak, widząc mój zachwyty.

- Lubię czarne konie - odpowiedziałem, gładząc ogiera po szyi.

- Kare - poprawił mnie Jasiak - to *vollblut*, koń pełnej krwi angielskiej ze Służewca.

Jasiek zwrócił mi uwagę na charakterystyczną dla tej rasy skośnie położoną łopatkę.

- Dzięki temu *vollbluty* mają większą szybkość w galopie.

Pokiwałem głową z uznaniem. To był najpiękniejszy koń, jakiego w życiu widziałem.

- Wypożyczyli wam?

- Nie nadawał się do wyścigów i mama wyprosiła, żeby go odsprzedali.

- Z jakiego powodu się nie nadawał? - nie mogłem zrozumieć.

- Ma jakiś feler, który nie pozwala mu się ścigać - odpowiedział Jasiek enigmatycznie.

- Za to do rekreacji wymarzony. Chcesz się przejechać?

Nie mogłem odmówić. Jasiek wynajął sobie innego wierzchowca, a mnie gościnnie odstąpił *vollbluta*. Wyglądało, jakby koń był ze dwa numery na mnie za duży, ale wsiadłem na niego dzielnie i pokłusowałem za Jaśkiem. Po kilku minutach przekonałem się, jaki mój wierzchowiec miał feler. Kiedy jechaliśmy przez las, liście jakiegoś drzewa przy podmuchu wiatru odwróciły się na jaśniejszą stronę. W mojego *vollbluta* jakby piorun strzelił. Skoczył przerażony w bok - nie wiem, jak to się stało, że nie spadłem - a potem puścił się galopem przez las.

Nagle poczułem, że mam na tym siodle strasznie dużo miejsca. Rzuciło mną w górę i w dół jak na gigantycznej huśtawce. Koń wyczuł, że żaden ze mnie jeździec, i zachowywał się tak, jakby wyruszył w tę podróż sam, nie mając nikogo na grzbiecie. Wystarczyło mu najwyraźniej, że on mieści się pod wystającymi poprzecznie konarami drzew, a to, co siedziało na nim, zupełnie go nie obchodziło. Ściągnąłem z całych sił skrzyżowane na końskiej szyi wodze, bo tylko to przyszło mi do głowy. Ale mimo to mój wierzchowiec dalej zapieprzał z turbodoładowaniem. Jasiek na wypożyczonej szkapie został daleko w tyle. Dokonując cudów woltyżerki, uchylałem się pod kolejnymi gałęziami pojawiającymi się w poprzek naszego wesołego cwału. Czułem, że w każdej chwili mogę zostać zdekapitowany. *Vollblut* miał mnie wyraźnie w dupie! Przeleciały mi przez myśl wszystkie uszkodzenia ciała,

o jakich słyshałem w związku z konną jazdą: złamane karki, skręcone złamania rąk i kości udowych, zderzenie skóry twarzy o drzewo i tym podobne jeździeckie kontuzje, które pozostają do końca życia. Podczas tego cwału bez trzymanki obiecałem sobie solennie, że jeśli uda mi się zejść na ziemię w jednym kawałku, nigdy więcej nie znajdę się w siodle.

Dwadzieścia lat później aktor Christopher Reeve - który czynnie uprawiał żeglarstwo, nurkowanie, narciarstwo, szybownictwo, windsurfing, kolarstwo, lotniarstwo, wspinaczkę wysokogórską, baseball i tenis, a półzawodowo jeździectwo, czyli wszystkie te sporty, z którymi w swojej młodzięcej gorliwości zamierzałem się zapoznać - podczas zawodów hippicznych spadnie właśnie ze spłoszonego przez królika konia i do końca życia zostanie sparaliżowany od szyi w dół.

Jaki stąd płynie wniosek? Że z końmi nie ma żartów. Nawet Superman nie da im rady.

Tymczasem mój koń wspomagany skośną łopatką zapierniczał ile sił w nogach. Na szczęście desperacko ściągnięte wodze zaczęły go dławić i spowolnił spontaniczny bieg. Po kilku minutach tej Wielkiej Pardubickiej czarny kretyn z wielkim łbem, który mnie wiozł, zatrzymał się wreszcie zidiociały. Po chwili przygalopował Jasiak.

- Zapomniałem ci powiedzieć, że on bardzo łatwo się płoszy... - wymamrotał.

Zeskoczyłem z konia, uklęknąłem i ucałowałem leśną ścieżkę.

- A kiedy koń czuje, że jeździec nie daje sobie rady, to robi, co chce - dodał jeszcze.

- Taak?! Ale ty, w dupę kopany, wiedziałeś, na co mnie wsadzasz! To bydlę chciało mnie zabić! Zabieraj go sobie! - rzuciłem wodzami w Jaśka.

- Ale do Obór jeszcze ze dwa kilometry!

- Nie szkodzi. Się przejdę.

Wracając pieszo do Obór, powtarzałem sobie pytanie Gombrowicza z jego dzienników: „Dlaczego człowiek na koniu, a nie na przykład koza na krowie?”. Nie żebym

miał coś do jeździectwa, a zwłaszcza kawalerii. Jak każdy Polak byłem dumny z naszych szwoleżerów spod Somosierry, ale zrozumiałem, że konie są nie dla mnie. Przemówiło do mnie to, co miał na myśli Winston Churchill, gdy spytany o jego sposób na długowieczność odpowiedział: *No sports, gentlemen! No sports!*. Żadnych sportów!

Od 1975 roku na konia nie wsiadłem. Nawet przez 60 dni kręcenia *Szwadronu*, kiedy stale miałem do dyspozycji pół setki koni, odmawiałem codziennym namowom kaskaderów i masztalery: „Panie reżyserze, co panu zależy? Pokłusuje pan sobie!”. „Tak?” - opowiadałem. „I ciekawe, kto skończy film?”.

Opierałem się 17 lat i dopiero teraz złamałem przyrzeczenie, gramoląc się na tę Nagajnę. Nie potrafiłem jakoś zrobić przykrości fundatorce nagrody. W końcu to była nagroda z fantazją! Przeszedłem stępa kilka okrążeń na maneżu, ktoś nam zrobił zdjęcie i zeskoczyłem na ziemię.

- To najsympatyczniejsza nagroda, jaką w życiu dostałem. Tylko jest jeden szkopał. Za miesiąc wyjeżdżam do Nowego Jorku na roczne stypendium i nie będę mógł się zająć Nagajną. Z żalem muszę ją tu zostawić. Przepraszam.

- Trudno, cóż... - pani Franciszka pokiwała głową. - W takim razie damy panu równowagę nagrody w złotychkach.

Gdy wróciłem do hotelu Gdynia na bankiet, koledzy filmowcy patrzyli na mnie z zazdrością w oczach. Chodziło o konia. Wszyscy najwyraźniej uważali, że to mnie dostała się najcenniejsza nagroda.

- No i jak twój czworonożny przyjaciel koń? - zapytał mnie Janusz Zaorski, kolega reżyser, który akurat bawił się w prezesa Telewizji Polskiej.

- W pytkę! - odpowiedziałem.

- Tylko go nie bij! - zażartował prezes.

- To jest klacz - dodałem na wszelki wypadek.



A wtedy w Oborach, gdy wracałem do stajni, zastanawiałem się nad poziomem mojej optymistycznej nieodpowiedzialności. Co mi strzeliło do łba, żeby nie umiejąc jeździć konno, wsiadać na konia? A do tego bez butów do konnej jazdy ani nawet ochronnego kasku! Jaki był sens takiej wyprawy, która mogła się bardzo źle skończyć? Jasiak miał najwidoczniej jakieś wyrzuty sumienia, że naraził mnie na co najmniej kalectwo, bo przed powrotem do Warszawy zaciągnął mnie do gospody na kielicha. Mimo prostoty wnętrza było to miejsce dość elitarne. Odwiedzane głównie przez jeźdźców i literatów. Z trudem znaleźliśmy stolik, a gdy już zamówiliśmy piwo, z kąta gospody podniósł się szczupły staruszek i uśmiechnąwszy się na widok Jaśka, zmierzał do niego z wyciągniętą dłonią. Przywitał się z nim serdecznie i spytał, jak się miewa mama. Jasiak podziękował i dodał, że mama jest właśnie w Oborach. Starszy pan ucieszył się, że w takim razie spotkają się przy kolacji. Potem rzucił na nas jeszcze raz okiem - byliśmy obaj spoceni i dość przykurzeni po całym dniu przeżyć - i powiedział:

- Zazdroszczę wam, młodym! Wróćcie do domu i rzucicie się do łóżka spać!

- Ale przecież pan może zrobić to samo za chwilę, tu, w Oborach! - powiedział Jasiak.

- Nie - odpowiedział starszy pan. - Ja przedtem będę musiał się rozebrać i umyć.

I wtedy dotarł do mnie sens tej karkołomnej eskapady, przez którą tutaj, z narażeniem życia, się znalazłem. Inaczej nigdy nie poznałbym Antoniego Słonimskiego - mojego idola. Choćby dlatego warto było narażać życie na *vollblucie* ze skośną łopatką.



37.

### **Kiler amerykański**

Wylecieliśmy 23 marca 1998 z Chicago i cztery i pół godziny później zameldowaliśmy się z Ewą w hotelu Summit na Rodeo Drive w Beverly Hills. Czekają tam kilka filmowych spotkań oraz wynajęty Ford Mustang Cobra Convertible. W południowej Kalifornii nikt nie chodzi pieszo, ale na szczęście agencja Original Artists, gdzie miałem umówione spotkanie z moim agentem Jordanem Bayerem, mieściła się dwie przecznice dalej, przy bulwarze Wilshire. To właśnie Jordan doprowadził do tego, że studio Disneya zakupiło prawa do realizacji *Kilera* w wersji amerykańskiej, przyznając tym samym, że kilku facetów znad Wisły zrobiło wcale niezły film. Teraz ludzie Disneya mieli obiekcje, czy mam prawo do realizacji sequelu *Kilerów 2-óch*, skoro ich studio zakupiło prawa na wszystkie przyszłe adaptacje scenariusza.

Zadaniem Jordana Bayera było zbajerować Disneya, że film jest już na całego w zdjęciach, *in full swing in production*, co mu się zresztą udało. Kiedy Jordan wynegocjował pierwszy kontrakt remake'u z Europy Wschodniej, do tego stopnia uwierzył w moje filmowe umiejętności, że teraz chciał, abym zrobił film w Hollywood. Dlatego umawiał mnie z kolejnymi szefami najważniejszych studiów. Miałem zaaranżowane spotkanie z Dougiem Belgradem z Columbii, Johnem Davisem z 20th Century Fox i Davidem Voglem z Disneya. A w Warner Brothers miałem zaprezentować *treatment* swojego nowego scenariusza *How Much Does the Trojan Horse Weigh?* Markowi Cantonowi. To wszystko czekało na mnie w ciągu najbliższych dni w Los Angeles i napępniało pozytywnymi emocjami. Jediną dołującą stroną pobytu tutaj była świadomość, że na miejscu jest też ekipa krakowskiej telewizji, która czeka, by zrobić o tym reportaż...

Kiedy dwa miesiące wcześniej na pierwszej stronie branżowego pisma „Variety” ukazała się wiadomość o zakupie praw do *Kilera* przez studio Disneya, w naszych praśnych mediach zawrzało. Zaczęto spekulować: czy Pazurę zastąpi Jim Carrey, czy Will Smith? Czy Siarą będzie Danny DeVito, a Kasią Figurą - Melanie Griffith? Jedyne, co wiedzieli „na pewno”, to to, że film wyreżyseruje Barry Sonnenfeld, który właśnie odniósł sukces *Facetami w czerni*. Poważne gazety i szmatławce chciały ze mną robić wywiady, nieliczne jeszcze stacje telewizyjne zapraszały do talk - show, a Nina Terentiew była gotowa poświęcić edycję *Bezludnej wyspy* ludziom *Kilera*.

Po odbyciu konferencji prasowej w siedzibie Canal+ - koproducenta filmu - nabrałem wody w usta. Na wszystkie medialne propozycje odpowiadałem stanowczo „nie”, bo poza bezprecedensowym kontraktem handlowym nic więcej się nie wydarzyło. Nie doceniłem jednak wytrwałości ekipy z Małopolski. Dowodziła nią przedsiębiorcza i przebojowa pani redaktor Marta, która nie przyjmowała „nie” za odpowiedź i uparła się, żeby zrobić reportaż o moim tak zwanym hollywoodzkim sukcesie. Na nic zdały się tłumaczenia, jeszcze w Warszawie, że wprawdzie Disney kupił za 600 tysięcy dolarów prawa do filmu, ale jest to raczej negocjacyjny sukces Jordana Bayera, który 60-krotnie wywindował sumę 10 tysięcy dolarów, jakie początkowo proponowała wytwórnia 20th Century Fox.

O ewentualnym sukcesie będzie można mówić, gdy już powstanie amerykańska wersja *Kilera* i jeśli będzie lepsza od naszej. Za nic więc nie chciałem się zgodzić na film o „mojej drodze do Hollywood” i lojalnie uprzedziłem o tym panią redaktor z krakowskiej telewizji. Pani Marta z uporem godnym Krystyny Jandy w *Człowieku z marmuru* była impregnowana na moje obiekcje i wręczyła mi konspekt scenariusza, argumentując, że projekt został zatwierdzony, pieniądze na podróż i produkcję przygotowane, i czy chcę, czy nie, taki film powstanie. Rzut oka na sfatygowane kartki scriptu, który z tabloidowym wdziękiem próbował opowiedzieć o moim życiu i twórczości, utwierdził mnie w przekonaniu, że nie zgadzając się na projekt, dokonuję słusznego wyboru.

- W ostateczności, jeśli tak bardzo panią interesuje, jak doszło do kontraktu z Disneyem, możemy usiąść w Studiu „Zebra” w Warszawie i chwilę porozmawiać na tle plakatu z *Kilera* - starałem się rozładować napięcie. Pani redaktor odparła, że w Hollywood będzie fajniej, a skoro i tak lecą do Los Angeles robić telewizyjny film na temat Jana Kotta -

polskiego szekspirologa światowej sławy - przy okazji zrobią temat o mnie. Odpowiedziałem, że jak sobie chcą, ale ja nie mam zamiaru brać w tym udziału.

Jak się okazało, nie doceniłem pani Marty. Dwa dni później zadzwonił do mnie mój ojciec.

- Słuchaj, jakaś ekipa z Krakowa chce mnie zabrać ze sobą do Los Angeles.

- A ty chciałbyś tam polecieć?

- Czemu nie? Dawno nie byłem.

- To leć. Spotkamy się na miejscu. Pokażę ci kilka fajnych miejsc i pójdziemy na dobre sushi na Sycamore Avenue.

- Ale oni mówią, że muszę wziąć udział w jakimś filmie o nas.

- W jakim filmie o nas? A dlaczego w Los Angeles?

- Z powodu całej tej hecy z Disneyem.

- Ale to kompletnie nie ich sprawa!

- Ale namawiają mnie, żebym ciebie namówił. Że to będzie reklama dla *Kilera*.

Widownia *Kilera* przekroczyła właśnie 2 miliony widzów. Był to wtedy najlepszy wynik frekwencyjny od 1989 roku i było jasne, że film już nie potrzebuje reklamy.

- *Kiler* świetnie sobie daje radę beze mnie - odpowiedziałem.

- W takim razie powiedzieli, że to będzie reklama dla ciebie.

- Ja też świetnie sobie daję radę bez reklamy.

- Wiem, ale obiecałem, że cię będę namawiał.

- Na razie nie namówiłeś mnie, ale jak spotkamy się na miejscu, pomyślimy co dalej.

I Janek pojawił się w Mieście Aniołów jako zakładnik całego projektu i teraz z krakowską ekipą już tam na mnie czekał. Ale jak mówią Francuzi, „na dobrego kota - niezły szczur”, czyli trafiła kosa na kamień. Pani Marta nie mogła wiedzieć, że posiadam czarny pas w asertywności.

Początkowo wyglądało to groźnie. Zanim zdążyliśmy umyć ręce po podróży, do hotelowego pokoju wszedł mój ojciec, którego oczekiwałem, wraz z panią redaktor, której nie oczekiwałem. Lekko skonsternowany powiedziałem, że to naruszenie prywatności. Pani Marta chciała pogadać na temat filmu. Odparłem, że mam zamiar w rodzinnym gronie, z żoną i ojcem, oglądać telewizyjną transmisję z rozdania Oscarów. Po jej zakończeniu odwiozę tatę do hotelu i wtedy, być może, znajdę chwilę, żeby porozmawiać o tym reportażu. Gdy ambitna redaktor wyszła, spojrzeliśmy z Ewą na Janka i zamarliśmy z przerażenia. Miał twarz czerwoną jak pijany Indianin.

- Co oni ci zrobili?!

- Jak tu na ciebie czekaliśmy te dwa dni, jeździłem z nimi na zakupy.

- Zakupy? Czego? Lamp do opalania?

- Oni kupowali różne rzeczy, skórzane kurtki i takie tam, a ja chyba za dużo wystawałem na słońcu, gdy na nich czekałem przed sklepami.

- Nie nakręcili z tobą żadnej rozmowy w tym czasie?!

- Nie było czasu.

Niewiele myśląc, wsiedliśmy w czekającego na nas wynajętego mustanga i w Ralphsie na Canon Drive kupiliśmy balsam aloesowy, żeby ugasić pożar na twarzy ojca. Kabriolet wymyśliliśmy dlatego, że za dwa dni wybieraliśmy się razem do San Diego.

Oczami duszy widziałem już, jak stojąc w odkrytym aucie, Kwinto, przez 3 kilometry mostu Coronado przecinającego zatokę San Diego, będzie podziwiał leżącą poniżej wyspę, na której od 1888 roku stoi słynny hotel Del Coronado.

Wieczorem, po tym jak *Titanic* zebrał większość statuetek, wsiedliśmy z ojcem do mustanga cobry i przez Bulwar Zachodzącego Słońca pojechaliśmy w stronę oceanu, do Santa Monica, gdzie Janek mieszkał wraz z krakowską ekipą. Zadzwoiłem do pani Marty i poprosiłem o spotkanie razem z jej kierownikiem produkcji. Kiedy usiedliśmy, zacząłem od tego, że nie mam zamiaru brać udziału w żadnym reportażu na temat mojego pobytu w Hollywood i że tę opinię pani redaktor znała już w Polsce. Po wyrazie twarzy kierownika produkcji poznałem, że pani redaktor nie podzieliła się z nim tą wiadomością.

- Przyleciałem tu prywatnie, załatwiam swoje sprawy i nie ma takiej siły, która...

- Zwrócimy panu za przelot! - pani Marta zagrała *va banque*.

- Czyżby? - odparłem, nie wierząc obietnicy. - Ale biorąc pod uwagę wasz podstęp i ściągnięcie tu mojego ojca, zgodzę się na krótki wywiad. Ile czasu potrzebujecie?

- Cztery dni.

- Cztery dni? Mogę poświęcić godzinę, góra dwie.

- Dobrze - zgodzili się skwapliwie. - Zaczniemy jutro od wizyty na bulwarze Hollywood przed Chińskim Teatrem. Tam gdzie są odcisnięte dłonie i stopy gwiazd, wie pan gdzie?

- Jasne, że wiem. A dlaczego tam?

- Bo mam taki pomysł, że poprzymierzałby pan swoją dłoń do odcisku Spielberga albo Lucasa...

- A po co?

- No, bo tak się robi.

- Kto tak robi?

- Tysiące turystów!

- No właśnie. Pojutrze wybieramy się z moją żoną i ojcem do San Diego. Jeśli chcecie ze mną pogadać, to będę do państwa dyspozycji w hotelu Coronado, Orange Avenue 1500.

- Daleko to?

- Dwieście kilometrów na południe. Tuż przy meksykańskiej granicy.

- A jutro? Nie można by nakręcić czegoś jutro?

- Jutro mam spotkanie ze swoim agentem...

- O, to świetnie! Nakręcimy to spotkanie. Pana agent opowie, jak odbył się ten *deal*!

- I co nakręcicie? Że z tego telefonu Jordan rozmawiał z Barrym Sonnefeldem od Disneya, a z tamtego z Artem Linsonem z 20th Century Fox? Zresztą wątpię, żeby Jordan się zgodził. A ja na pewno go do tego nie będę namawiał. Poza tym widziałbym sens tego reportażu, gdyby remake *Kilera* był gotowy albo przynajmniej w produkcji. Na razie nic się nie stało, Polacy!

Nazajutrz odbyłem spotkanie z Jordanem i poszliśmy na przyjęcie do Kasi Figury w Venice, gdzie wówczas mieszkała. Tam poznałem aktora Petera Lucasa, czyli Piotra Andrzejewskiego, którego potem obsadziłem w *Kilerach 2-óch* jako Szakala - płatnego zabójcę polskiego pochodzenia.

A następnego ranka wyruszyliśmy do San Diego w podróż, która miała być dla naszej trójki niezapomnianą przygodą. I rzeczywiście była. Tylko że z zupełnie innych powodów. Zrozumiałem, że słowa piosenki, że deszcz nigdy nie pada w Kalifornii, są piarowskim nadużyciem. Tego dnia rozszalała się nad całą południową Kalifornią burza z piorunami.

Deszcz lał nieprzerwanie i w gęstych strugach brnęliśmy międzystanowym San Diego Freeway nr 405.

Widziałem, jak w wodospadach deszczówki obsuwają się ze zbocza gór domy. Nawet dla mnie przyzwyczajonego do polskiej pogody było to wyzwanie, dla Kalifornijczyków za kierownicą był to Armagedon. W pewnej chwili uniknęliśmy czołowego zderzenia z vanem, którego obróciło na szosie o 180 stopni, czego kierowca najwyraźniej nie zauważył, bo puł prosto na nas. Nie dało się jechać szybciej niż 20 mil na godzinę. Czasem wydawało mi się, że suniemy motorówką. Dobrze, że dach kabrioletu nie przeciekał. Po czterech godzinach znaleźliśmy się w San Diego i oczywiście przeoczyłem zjazd na most Coronado, a kiedy zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej tuż przy granicy z Meksykiem, okazało się, że obsługa mówi tylko po hiszpańsku. Wreszcie udało się odnaleźć drogę i kiedy wjechaliśmy na Orange Avenue, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przestało padać. Jakby właśnie skończył się biblijny potop. Parkingowy podskoczył, żeby odprowadzić auto do garażu, a dwaj hotelowi boye wyrwali nasze bagaże. Kiedy Janek wszedł do imponującego lobby z orzecha i palisandru, gwizdnął z zachwytu.

Hotel był największą drewnianą budowlą w Stanach Zjednoczonych, do tego miejscem legendarnym. Powiedziałem mu, że to tutaj Frank Baum napisał *Czarnoksiężnika z krainy Oz*, a król Wielkiej Brytanii Edward VIII poznał panią Simpson, przez którą musiał oddać koronę młodszemu bratu Jerzemu VI. Dla nas, filmowców, był to jednak przede wszystkim obiekt zdjęciowy, gdzie powstał film Billy'ego Wildera *Pół żartem, pół serio*. Mój ojciec kiwał głową oszołomiony.

- Jašku! Zobacz, gdzieś ty, prosty chłopak z Bałut, się znalazł! - wyszeptał do siebie.

- Jašku! Ty akurat jesteś na swoim miejscu - uspokoiłem go. - Spójrz raczej na tego skośnookiego gościa z Osaki z kamerą i z otwartą gębą. On słusznie zastanawia się, co tutaj robi.

Wynajęliśmy dwupokojowy apartament z widokiem na Pacyfik. Janek stał w oknie i z zachwytem obserwował wysokie palmy na plaży. Widziałem, że jest szczęśliwy. My z Ewą też. Byliśmy tu dwa lata temu w podróży poślubnej i zawsze chcieliśmy mu pokazać to miejsce. Poszliśmy obejrzeć hotel, robiąc pamiątkowe zakupy w jego butikowej części.



Pokazałem też ojcu galerię zdjęć z filmu *Pół żartem, pół serio*, w którym Del Coronado z powodów logistycznych udawał hotel na Florydzie. Wieczór zakończyliśmy w legendarnym ENO Wine Room.

Następnego dnia było gorzej, bo około południa zjawiała się ekipa z Krakowa. Postawiłem im drinka, a Janek, mając wyrzuty sumienia, że nie w pełni przekonał mnie do współpracy, starał się namówić ekipę na zwiedzenie izby pamiątek po Marilyn Monroe. Nikt nie wyraził zainteresowania. Zrobili kilka ujęć na balkonie naszego apartamentu, a potem w altance pośrodku hotelowego patio pani Marta przeprowadziła ze mną wywiad. Po 30 minutach powiedziała, że dziękuje.

- To wszystko? Taki wywiad to spokojnie mogliśmy przeprowadzić w Wilanowie. Zróbcie choć trochę ujęć hotelu. To magiczne miejsce.

Nie było zainteresowania.

- Resztę nakręcimy po powrocie do Los Angeles, w Parku Rozrywki Studia Universal.

- W Universalu? Obawiam się, że z profesjonalną kamerą was tam nie wpuszczą.

I tak też było. Krakowiacy zrozumieli chyba, że ta eskapada na drugi koniec świata była niewypałem. Potem ojciec opowiedział mi, że przez całą drogę z Los Angeles do Warszawy, przez 16 godzin, nikt z ekipy się do niego nie odezwał.

Z remake'u *Kilera* też nic nie wyszło. David Vogel, szef Hollywood Picture, który zakupił prawa, rok później zrezygnował ze swojej funkcji. Osierocony projekt czeka ciągle na lepsze czasy. Jedyne, co zostało po tej wyprawie, to scenariusz *How Much Does the Trojan Horse Weigh?*. Dziesięć lat później spolszczyłem go i zrealizowałem jako film *Ile waży koń trojański?*.

38.

### **Ze swastyką do Izraela**

Pewnego razu, a było to pod koniec 1998 roku, moja żona Ewa powiedziała:

- Dosyć mam tych wigilii robionych własnymi rękami od 20 lat! Wyjeżdżamy!

Ponieważ sam jestem dosyć arodzinny i niezbyt wigilijny, byłem zachwycony i ochoczo zawołałem:

- Bardzo chętnie! Masz pomysł dokąd?

- No, gdzie najlepiej spędza się Wigilię? - zaczęła się zastanawiać Ewa.

- W Betlejem - odpowiedziałem pół żartem, pół serio.

- Rzeczywiście! W takim razie jedziemy do Betlejem!

Zaraz zadzwoniłem do naszego podróznego agenta, pana Tomasza Rżysko z Euroreisen, żeby zabukował samolot, hotele, transfery itd. Do Betlejem samoloty nie latają, poprosiliśmy więc o rejs do najbliższej miejscowości, okazało się, że to Tel Awiw. Hotel natomiast zarezerwowaliśmy w Jerozolimie. Mieliśmy do wyboru lot polskimi liniami przez całą noc albo Lufthansą z przesiadką w Monachium, żeby być na miejscu na kolację. Ponieważ nie mogłem sobie wyobrazić, co można robić na lotnisku Ben Gurion o czwartej nad ranem, wybrałem bratnią Lufthansę.



Kilka dni przed planowanym wylotem zaczęły się zamieszki w którymś z ościennych krajów arabskich. Większość takich zamieszek kończy się ostrzelaniem Izraela rakietami, tak na wszelki wypadek, nawet wtedy kiedy Izrael nie jest bezpośrednio zaangażowany w awanturę. Piotrek Sobociński, który kręcił filmy na całym świecie, a wiedział o naszych planach podróży, zadzwonił, żeby nas ostrzec przed wyjazdem, że w Jerozolimie może być gorąco również w sensie metaforycznym. Zlekceważyliśmy jego obawy, myśląc: a co tam! Ahoj, przygodo! Najwyżej będzie jeszcze ciekawiej! I 19 grudnia całą czwórką, z Marysią i Olafem, wsiedliśmy do samolotu do Monachium. Na lotnisku Franza Josepha Straussa po odbiorze bagażu ruszyliśmy prosto do bramki, przed którą stała już długa kolejka pasażerów do Tel Awiwu. Nasz podróżny agent Tomasz poinformował nas, że odprawy pasażerskie przed odlotem do Izraela trwają dobrych kilka godzin, uzbroiliśmy się więc w cierpliwość.

Po dwóch godzinach pokornego oczekiwania, dzięki czemu mogliśmy zjeść kanapki, dotarliśmy do barierki, za którą czekali już oficerowie służb specjalnych Izraela przebrani za pracowników Lufthansy. Zaczęli nas przesłuchiwać. Pierwsze pytanie brzmiało, w jakim języku chcemy się porozumiewać. Do wyboru był hebrajski i niemiecki. Stało na angielskim.

- Dlaczego nie lecą państwo bezpośrednio z Warszawy, tylko przez Monachium? - zapytała młoda kobieta w mundurze, z włosami splecionymi w francuski warkocz.

- Lot z Warszawy jest w nocy. A my nie lubimy latać w nocy.

- Ale to szybciej i taniej.

- No tak, ale w nocy. Potem o czwartej rano musielibyśmy znaleźć taksówkę z Tel

Awiwu do Jerozolimy, do hotelu dotarlibyśmy po piątej. Poszlibyśmy spać, a kiedy byśmy się wreszcie obudzili, jeden dzień i tak byłby stracony.

- Taniej byłoby wynająć hotel w Tel Awiwie na lotnisku, niż przesiadać się w Monachium - utrzymywała nie bez racji dziewczyna. Nagle zrozumiałem, że coraz bardziej zaczynamy się tłumaczyć, jakbyśmy planowali jakieś przestępstwo.

- Tak. Ale jak już powiedziałem, nie lubimy latać w nocy. A w tym wypadku *money is not an issue* - starałem się cały czas bagatelizująco uśmiechać. - Pieniądze nie grają roli!

Po tym ostatnim stwierdzeniu spojrzenie młodej dziewczyny z warkoczem stwardniało. Zrozumiałem, że jesteśmy jeszcze bardziej podejrzani.

- Czy kontaktowaliście się z kimś tutaj, w Monachium?

- A skąd! Idziemy prosto z samolotu z Warszawy.

- A po co lecicie do Jerozolimy?

- No, jak to po co? Zawsze chcieliśmy poznać to miasto. To chyba oczywiste.

- A co konkretnie?

- Co konkretnie w mieście? No, starą Jerozolimę, Kopułę Skały, Ścianę Płaczu, Yad Vashem, dzielnicę Me'a Sze'arim, hotel King David, a potem jeszcze wyskoczyć za miasto, nad Morze Martwe i na Masadę...

- Dlaczego?

Przez chwilę nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Wydawało mi się, że wyjazd do Izraela nie wymaga uzasadnień.

- Jesteśmy rodziną z Europy Środkowo - Wschodniej i z powodów oczywistych Izrael szalenie nas interesuje.

- I dlatego lecicie przez Monachium?

- Nie. Lecimy przez Monachium, bo nie lubimy latać w nocy.

Wydało mi się nagle, że mimo płynnego i kulturalnego tłumaczenia się jesteśmy o włos od zatrzymania. Szóstym zmysłem czułem, że odpowiednie służby mają nas na oku, a może nawet właśnie nas fotografują. Sprawdzono nam bagaż podstawowy i podręczny. Dwóch funkcjonariuszy przekopywało się dziesięć minut przez przepastny plecak Olafa. Potem przyszła kolej na 14-letnią Marysię, ale widocznie miała tak wystraszoną minę, że policjantka, która już miała otworzyć jej plecak, machnęła ręką i kazała się pakować.

Po 40 minutach maglowania przepuszczono nas wreszcie przez kordon. Z ulgą zajęliśmy miejsca w samolocie El Alu wypełnionym głównie autochtonami wracającymi do domu. Kiedy samolot osiągnął wysokość przelotową, podano lunch i napoje, co od dłuższego czasu naprawdę nam się należało. Po przekąsce, jak tylko sprzątnięto plastikowe pojemniki, wszyscy zabraliśmy się do lektury. Ewa wyciągnęła *Jednoroczną wdowę* Johna Irvinga, Olaf przewodnik po Jerozolimie, a ja wyprosiłem od stewardesy angielskie wydanie izraelskiej gazety „Haaretz Daily”. Marysia natomiast... no, właśnie... Rzuciłem okiem na to, co czyta moja córka, i oblał mnie zimny pot.

Jako dość pilna uczennica Marysia nigdy nie opuściła żadnej lektury szkolnej, najchętniej czytając je niejako na zapas, na wakacjach. Teraz też wyciągnęła z plecaka książkę. Nie zauważyłem tytułu, ale natychmiast rzuciło mi się w oczy to, co było na okładce.

Na czerwonym tle, w białym kole widniała największa swastyka, jaką można było zmieścić na książce formatu A6. Zerknąłem dookoła, czy oprócz mnie ktoś to zauważył. Na szczęście wracający do kraju pasażerowie, zdjawszy obuwie, mościli się na siedzeniach, szykując do drzemki. Gdyby był wśród nich jakiś agent Mosadu, już pewnie skuci plastikowymi kajdankami leżelibyśmy całą czwórka w luku bagażowym. Na szczęście wino do obiadu zrobiło swoje. Wszyscy raczej spali... Z szybkością Jerzego Dudka zanurkowałem pod siedzenie, wyszarpując jednocześnie dziecku książkę, którą byli... *Niemcy* Leona Kruczkowskiego. Zasłoniłem ją własnym ciałem. Powinszować ilustratorowi inwencji! Myślał pewnie: jak tu oryginalnie wprowadzić element nazistowski na okładkę? Co by tu

pasowało? Hm... hm... pomyślmy. Może swastyka? I sam sobie odpowiedział: genialny pomysł! Swastyka! Na to jeszcze nikt nie wpadł! - i zabrał się do rysowania.

Klnąc w myślach na ilustratora debila, jedną ręką przyciskałem książkę do piersi, drugą zacząłem szperać w podręcznym bagażu. Zdenerwowana Marysia zajrzała pod fotel.

- Zwariowałeś?! Oddawaj książkę! Czemuś mi zabrał?

- Kiedyś ci wytłumaczę... - Udało mi się wymacać wreszcie *swiss army knife* - czerwony scyzoryk szwajcarskiej armii. Na szczęście w tamtych czasach można było wnosić scyzoryki na pokład samolotów. Po 11 września 2001 to, co zamierzałem zrobić, musiałbym wykonać za pomocą paznokci i zębów.

- Co ty tam robisz? Ja muszę to przeczytać na po świętach! Będę miała klasówkę!

Zębami otworzyłem maleńkie nożyczki i odwróciwszy stronę tytułową tak, żeby nie było jej widać, wbilem nożyczki w tekturę okładki i zacząłem wycinać przeklęte, szkarłatne godło. Marysia podniosła krzyk.

- Ojej! To książka z biblioteki! Jak ja ją teraz oddam?! - była zła. - Co się wygłupiasz?! Dostanę pałę ze sprawowania!

- Wygłupiam się?! Nie wiesz, co mówisz, biedne dziecko... Ratuję twoją i naszą skórę!

Wyciąłem bezlitośnie swastykę i nie wiedziałem, co dalej zrobić z tym kawałkiem papieru. Przez chwilę rozważałem zjedzenie go. Tak byłoby najbezpieczniej. Niestety, okładka była lakierowana, a nie chciałem zakończyć dnia na płukaniu żołądka. Pociąłem ją na drobne paski, jakbym był zawodową niszczarką. Już chciałem oddać Marysi sponiewieraną lekturę, ale coś mnie tknęło i przewertowałem kartki.

Książka miała dużo ilustracji. Chyba liczbę rekordową, jaką może mieć wydana w formie książki sztuka teatralna. Wszystkie rysunki były czarno - białe, ale świetnie oddawały ideę dramatu. Zmyślny rysownik w każdej ilustracji umieścił olbrzymią swastykę, żeby

czytelnik, broń Boże, nie zagubił się w meandrach sztuki i nie pomyślał, że może chodzić o Niemców nadwołzańskich. Poleciałem nożycami po tych czarno - białych bohomazach, aż zafurczało.

- No, to teraz już koniec! - zawyrokowała Marysia. - Pani bibliotekarka nie przyjmie mi książki w bibliotece i nie zdam do następnej klasy!

- Jeśli będziesz miała problem z panią z biblioteki, to obiecaj jej, że ma u mnie sto pozycji prosto z półek księgarskich. Masz, czytaj, ucz się...

W tym momencie dostrzegłem, że to jeszcze nie wszystko! Przy paginacji każdej ze stron widniała niewielka, zgrabniutka swastyczka jak malutki kalmar czy ośmiornica.

- Co za idiota! I to ma się nazywać wyobraźnia plastyczna? Nie wystarczy tytuł pisany szwabachą! - nie wytrzymałem.

- Czym pisany? - spytała już krańcowo załamana Marysia.

- Alfabetem gotyckim... niemieckim, no!

- Ja takiej książki nie chcę! - Marysia wyduła usta.

- Dlaczego nie?

- Mam czytać z dziurami?

- Dobrze. Ja ci będę czytał na głos. Co wieczór po kolacji. A na przyszłość nie wwoź nigdy do krajów Arabii książek z krzyżem, do Stanów Zjednoczonych z Fidelem Castro, a do Izraela ze swastyką - i to na okładce.

- Dlaczego?

- Bo mieszkańcy tych krajów bardzo nie lubią, żeby im przypominać o bolesnych sprawach. Mieliśmy cholerne szczęście, że nie wyluskali ci jej przy odprawie! Ta policjantka

już otwierała twój plecak!

- I co by się takiego stało? - Marysia naprawdę nie rozumiała.

- Zawróciliby nas do Warszawy! Za karę lepiłabyś uszka do barszczu!

- Było aż tak niebezpiecznie?

- Było! Wyobraź sobie niusa jutro w gazetach: „Antysemicka prowokacja. Polscy turyści, ludzie ze środowiska kultury, przyłapani w izraelskim samolocie na czytaniu propagandy nazistowskiej”. Mało ci było pogromów?!

- Przepraszam, ale nic nie rozumiem - odpowiedziała Marysia i zacięła się w sobie.

Potem do końca lotu było już tylko przyjemnie, a na lotnisku czekał transferowy bus, który miał zawieźć nas do hotelu American Colony na Nablus Road. Jadąc w Jerozolimie wzdłuż murów starego miasta, wzniesionych w XVI wieku przez Sulejmana Wspaniałego, zobaczyliśmy drogowskaz z napisem „Betlejem - 8 km”. To był magiczny moment i wszyscy uśmiechnęliśmy się szeroko na myśl, że za pięć dni spędzimy tam Wigilię. Tymczasem dotarliśmy do hotelu pałacyku, w którym mieszkali Lawrence z Arabii, Winston Churchill, Bob Dylan, John Le Carré i Tony Blair, żeby wymienić tylko niektórych ulubieńców.

Szczęśliwi, że wreszcie jesteśmy na miejscu, wkroczyliśmy do hotelu, pozdrawiając obsługę recepcji hebrajskim: *Shalom!*. Byłem bardzo dumny z naszej językowej biegłości, ale zauważyłem, że profesjonalny uśmiech ciemnowłosej recepcjonistki odkleja się lekko od twarzy. Nie mrugnawszy okiem odpowiedziała: *Good evening!*.

Trochę to dziwne... Aż taka rezerwa do turystów mówiących płynnie językiem kraju, w którym się znaleźli? - pomyślałem.

Dopiero przy kolacji Olaf, który przestudiował przewodnik po Ziemi Świętej, wytłumaczył, że pomimo że jesteśmy w amerykańskim hotelu, jesteśmy również we wschodniej Jerozolimie, którą głównie zamieszkuje ludność arabska. W związku z tym należało raczej powiedzieć po arabsku: *Saalam!*. Marysia spojrzała na mnie z wyrzutem.



- I o mały włos przez ciebie mogli nas deportować!

Lekcja politycznej poprawności na pokładzie samolotu nie poszła na marne.

A Wigilię spędziliśmy w Betlejem, które leży, jak się okazało, za granicą. W Palestynie.

### O księdzu, co ludzi nie lubił

W marcu 2000 roku nasza córeczka Marysia od kilku tygodni żyła podekscytowana zbliżającą się szkolną wycieczką. Wyposażona przez nas w nazwy ulic, które trzeba koniecznie odwiedzić - via Margutta, ostatni adres Gulierty Masiny i Federica Felliniego, via Veneto - ulica z *Dolce vita* oczywiście, Campo de' Fiori, gdzie spalili za przekonania Giordana Bruna i takie tam, niezbędne miejsca odwiedzin każdego intelektualisty.

Marysia miała 15 lat i duży talent plastyczny. Jak nam powiedziała, zwiedzenie Rzymu jest niezbędne dla jej dalszego rozwoju. Cieszyliśmy się z Ewą na ten jej wyjazd, choć w głębi ducha lekko żalowaliśmy, że Marysia nie zobaczy po raz pierwszy Wiecznego Miasta z nami. Miała tam pojechać z klasą renomowanego warszawskiego liceum, które ukończyli Krzysztof Kamil Baczyński i Andrzej Łapicki. Mimo że serce mi się krajało, kiedy widziałem, jak Marysia w humanistycznej klasie rozwiązuje setki zadań z chemii, powiedziałem, że to dobrze świadczy o jej szkole, skoro organizuje taki wyjazd.

- Uhm... - odpowiedziała. - Szkoda tylko, że ludzi z humanistycznej klasy traktują jak debili, którzy są za głupi, żeby uczyć się w matematyczno - fizycznej.

- A tak was traktują?



- Mówią na nas human - tuman. A jak powiedziałam, że chcę iść na ASP, to pani od chemii poradziła mi znaleźć sobie bogatego męża, który mnie będzie utrzymywał.

- Tak? Ale za to pani od francuskiego jest fajna! - próbowałem ratować prestiż szkoły.

- No i co z tego? Autobus wyrusza o siódmej wieczorem.

- Jak będziemy pod szkołą 15 minut do odjazdu, to wystarczy?

- Po pierwsze, nie pod szkołą, a po drugie, musimy tam być o szóstej.

- Dlaczego nie pod szkołą i dlaczego o szóstej?

- Msza.

Marysia jest mistrzem lapidarności.

- Msza? A od kiedy ty chodzisz na mszę?

- Od kiedy ksiądz za nieobecność obniża ocenę z religii.

- A od kiedy ty chodzisz na religię?

- Od kiedy przenieśli mi etykę na po lekcjach w piątek.

Zrozumiałem, że musimy być na Solcu o szóstej. Po mszy autobus do Rzymu miał czekać przed kościołem, żeby o siódmej wieczorem odjechać. Marysia weszła do kościoła, żeby zdać z religii do następnej klasy, a my zczekaliśmy w samochodzie, żeby się z nią pożegnać przed odjazdem. Msza się skończyła, a autobus jeszcze nie przyjechał. Zziębnięta Marysia przyszła do auta, żeby się ogrzać.

- Co się dzieje? Gdzie autobus? - spytała Ewa.

- Spóźnia się.

- To widzimy, ale dlaczego?

- Jedzie z Kielc czy coś.

- Dlaczego z Kielc?

- Ksiądz powiedział, że z powodów ekonomicznych, że biuro podróży z Kielc jest tańsze - odpowiedziała i wyszła do koleżanek. Autobus nie nadjeżdżał, za to zaczął padać deszcz. Marcowy wieczór nie był wyjątkowo ciepły, a nie wszyscy rodzice przyjechali samochodami. Większość była nawet bez parasoli. W pierwszym odruchu ruszyli do kościoła, żeby tam przeczekać siąpiący deszcz. I tu czekała ich niespodzianka. Drzwi były zamknięte.

Lekko zmoknięta Marysia wróciła do samochodu. Spytaliśmy, dlaczego nie można wejść do kościoła. Okazało się, że ksiądz po odprawieniu mszy zamknął się od środka. Na pukanie nie odpowiadał.

- Nie chciał, żeby ludzie nie zmokli?

- Pewnie nie chciał, żeby mu nabłócili czy coś...

- Ale kościół powinien być schronieniem dla wiernych. Tak zresztą było kiedyś! Widziałas film Andrej Rublow? Jak w świątyni ludzie chowali się przed Tatarami?

- To było bardzo dawno temu. Dziś tak nie ma.

- Ten ksiądz jedzie z wami?

- Oczywiście. Ksiądz, polonistka i łacinnik.

- Po co łacinnik?

- Żeby tłumaczyć łacińskie napisy w kościołach.

- Nie taniej wziąć słownik? Nie wiedziałem, że nauczycieli stać na takie wycieczki.

- Jadą za darmo.

Spojrzeliliśmy z Ewą po sobie i zrozumieliśmy ten *deal*.

- Nie za darmo, tylko za wasze pieniądze - powiedziałem. - Każdy z uczniów płaci trochę więcej i to pokrywa koszt ich wyjazdu.

- Mnie jest wszystko jedno.

Było już dobrze po ósmej, a autobus nadal nie nadjeżdżał. Za to deszcz przestał padać. Wyszedłem zasięgnąć języka. Zmoknięci rodzice byli wściekli i zapowiadali, że prześwietlą ten autobus od opon po dach. Część odgrażała się, że zabiorą dzieci z tak źle zorganizowanej wycieczki. Złorzeczyli też księdzu, którego nigdzie nie było widać. O dziewiątej było już ciemno, kiedy piętrowy autobus wreszcie się pojawił. Przywitał go groźny pomruk tłumu.

Uśmiechnięty od ucha do ucha - tak mu pewnie kazał właściciel firmy - kierowca w białej koszuli, pod krawatem, przeproszał, że musiał po drodze wstąpić po drugiego kierowcę, który odsypiał po długim kursie, ale teraz zmiennik już się wyspał i można jechać.

Nie wiadomo, skąd zjawił się patrol drogówki. Potem okazało się, że to jedna ze zdenerwowanych matek zadzwoniła po policję, podejrzewając, że coś z autobusem nie w porządku. Policjanci zrobili rutynową kontrolę, sprawdzili opony i światła i poprosili o zapis tachometru. Zdezorientowana Marysia spytała, co to jest tachometr, więc wytłumaczyłem, że to zapis na specjalnej karcie, jak długo autobus jest w drodze, z jaką prędkością jechał itd., itp. Kierowca tachometru nie miał, tłumacząc i ciągle się uśmiechając, że za granicą to niepotrzebne.

Na policjantach jego hollywoodzki uśmiech nie robił wrażenia.

- Na razie jest pan w Polsce - powiedział policjant i zabrał dokumenty. Kierowca zaczął płomienne pertraktacje. Rodzice krzyczeli, żeby odwołać wyjazd i zwrócić pieniądze. Lekko przestraszony i już nieuśmiechnięty kierowca perswadował, że w Piasecznie jest całodobowy zakład, który może taki tachometr załatwić. Była dziesiąta wieczór.

- To może odłożmy wyjazd do jutra? - zaproponowałem. - Wszyscy się wyśpią i jutro pojedą z nowymi siłami.

- Wykluczone - odpowiedziała polonistka. - Przepadną nam zapłacone noclegi na granicy! Dzieciaki powoli zaczęły ładować się do autobusu. Nagle zauważyłem przemykającą chyłkiem w tle jakąś postać w swetrze i z walizką na kółkach. Pociągnąłem Marysię za rękaw.

- A to kto?

- To jest właśnie ksiądz Marek.

Skulony ksiądz, prywatnie już, bez sutanny i koloratki, skradał się do autobusu. Musiał przejść obok nas. Powiedziałem specjalnie głośno:

- Ciekawe, czy ten ksiądz ciągle się chowa w kościele?

Ksiądz Marek nawet nie drgnął, a z tłumu dały się słyszeć głosy: - Właśnie! To zły człowiek! Kazał nam moknąć na deszczu! - krzyknęła jakaś matka. A męski głos dodał: - Nie wiem, czy dobrze robimy, posyłając dzieci z kimś takim!

Ksiądz wtulił tylko głowę w ramiona i zniknął we wnętrzu autobusu. Marysia pożegnała się z nami i poszła do koleżanek, które zajęły jej miejsce na pięttrze.

- Właśnie, czy my dobrze robimy? - spytałem Ewę, ale ona była zajęta wypatrywaniem kogoś w tłumie.

- Zobacz tego!

W stronę autobusu szedł, zataczając się, jakiś osobnik. Oczy miał zamknięte, usta otwarte, po chodniku ciągnął za sobą dużą walizkę bez kółek.

- Czy to ten drugi kierowca zmiennik?... - spytał zaniepokojony damski głos.

- Spokojnie - odpowiedział wychowawca Marysi, który odprowadzał klasę. - To tylko

pan od łaciny.

- On chyba jest pijany?! - wykrzyknął jakiś rodzic.

- Nie pijany, tylko zmę...czony! - skorygowała polonistka, z trudem wymawiając słowa.

- Oni wszyscy są pijani - powiedziałem do Ewy. - I nie mają tachometru.

- Zabieramy Marysię? - spytała Ewa.

Jak neon zapaliła mi się w głowie maksyma hetmana Zamojskiego: „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”.

- Proszę państwa! - zawołałem do rodzicielskiej chmary. - Zdaje się, że to my musimy podjąć decyzję. Ten autobus dziś nie odjedzie, a jeśli - to po północy. Nie wiem, czy jest sens, żeby dzieciaki siedziały w środku. Lepiej zabierzmy je do domu, jutro wrócimy, a jak dokumenty będą w porządku, to pojedą jutro.

- Ma pan rację! - poparł mnie rodzic, publicysta z telewizji. - Zabieram córkę!

- Tak, tak, zabieramy dzieci! - zawołali rodzice chórem.

- Ależ, proszę państwa, należy się zastanowić, może jeszcze nie wszystko przepa...dło... - polonistka najwyraźniej też była zmęczona. W tym momencie kierowca autobusu, z plamami potu na nieskazitelnej dotąd koszuli, wrócił po długich pertraktacjach z policjantami. Miał zadowoloną minę.

- Proszę państwa! Panowie policjanci są tak mili, że odeskortują nas do Piaseczna, a tam już czeka na nas powiadomiony człowiek z tachometrem! Wszystko będzie dobrze!

Popatrzyłem na zegarek. Była 23. Pomyślałem, że nie ma szans, żeby autobus wyruszył po załatwieniu formalności wcześniej niż o pierwszej w nocy. Wyobraziłem sobie też podróż Marysi w tym pedagogicznym gronie i pomyślałem, że „młodzieży chowanie” nie

tak powinno wyglądać.

- Zabieramy ją? - spojrzałem na Ewę. Bez namysłu skinęła głową, więc wszedłem do autobusu. Byłem zły, że muszę zepsuć zabawę Marysi, która rozsiadła się już wygodnie z koleżankami i teraz wszystkie zajęte były jakąś grą, nie zwracając uwagi na zadymę za szybą.

- Bardzo mi przykro, Marysiu, ale nie pojedziesz na tę wycieczkę. Wychodzimy.

Popatrzyła na mnie spode łba, ale w milczeniu zabrała swój plecak i wyszła ze mną. Musiałem jeszcze zanurkować do luku bagażowego, żeby wyłowić jej walizkę.

Kątem oka widziałem, że jakaś matka obok wyciąga z dolnego pokładu syna. Reszta rodziców nagle nabrała wody w usta i przytupując z zimna, czekała na odjazd autobusu.

- A pan co? Tak pan się odgrażał, a teraz zostawia pan córkę z taką opieką w podejrzanym autobusie? - spytałem publicystę z telewizji.

- No, wie pan, w końcu to córka decyduje, to jej wycieczka...

- Ale ona ma dopiero 15 lat!

- Tak czy owak. To jej wybór. A poza tym byliśmy z żoną umówieni na brydża. I już jesteśmy spóźnieni...

- Reszta państwa też zostawia dzieci? - spytałem rodziców, którzy już pogodzeni z losem machali na pożegnanie do swoich pociech.

- Będziemy się za nie modlić, żeby szczęśliwie dojechały...

Bez słowa wsiedliśmy z Ewą i Marysią do samochodu. Do domu jechaliśmy w milczeniu. Kiedy już weszliśmy do mieszkania, Marysia popatrzyła na mnie poważnie.

- Strasznie mnie upokorzyliście. Postarajcie się, żeby to się więcej nie powtórzyło.



Skinąłem głową i odpowiedziałem:

- Wiem. Przepraszam. I dziękuję, że zachowałeś się tak, jak się zachowałeś. Wyobraziłem sobie tylko, jak by wyglądała ta podróż, i pomyślałem, że chyba byś nie chciała jechać przez 20 godzin w oparach alkoholu, pod opieką wstawionych profesorów i księdza, który nie lubi ludzi?

- Ja wiem. Ja tych nauczycieli też nie lubię. Ale mimo wszystko zrobiliście mi wiochę.

- Zrekompensujemy ci ten wyjazd - powiedziałem, spuszczać oczy. - Pojedziemy do Rzymu razem.

Marysia bez słowa zamknęła się w swoim pokoju.

Mimo najgorszych przeczuć wycieczka zakończyła się szczęśliwie. Tylko jak doniosły koleżanki, podczas postoju pod Rawenną łacinnik ze zmęczenia wypadł z autobusu do przydrożnego rowu.

Do Rzymu pojechaliśmy z Marysią za miesiąc, na Wielkanoc. A zaraz po powrocie przenieśliśmy ją z renomowanego liceum państwowego do skromniejszego liceum społecznego, gdzie uczniów o zainteresowaniach humanistycznych nie traktowano jak odpady z klas matematyczno - fizycznych, nauczyciele byli mniej zmęczeni, a religia nie była przedmiotem obowiązkowym.

40.

### Odmrożone sutki generała

Raz, dwa, trzy, cztery... Raz, dwa, trzy, cztery... - powtarzałem sobie w duchu, drepcząc w drewnianych chodakach w lodowatym powietrzu. Mgła była tak gęsta, że widziałem tylko szerokie plecy idącego przede mną człowieka. Najbardziej obawiałem się, że gdybym upadł, to nikt by tego nie zauważył i zostałbym zdeptany na tym mrozie.

- Raz, dwa, trzy, cztery! - brnąłem naprzód, dbając o to, żeby niczego nie dotknąć. W tej temperaturze mógłbym przykleić się do drewnianej ściany albo do towarzysza niedoli i nikt by mnie nie odkleił.

- Raz, dwa, trzy, cztery...

Nagle czyjś gromki głos krzyknął: „Zmiana kierunku!”, i gromadka śmiazków zrobiła w tył zwrot. Zaczęliśmy teraz kroczyć w przeciwną niż dotąd stronę. Było nas ośmioro. Kręciliśmy się w kółko, stłoczeni w oparach mgły w temperaturze  $-140^{\circ}\text{C}$  na sześciu metrach kwadratowych wyłożonej drewnem celi. Dreptałem przerażony, bo powinienem być przemarznięty do szpiku kości, a nie byłem. Czekałem więc na atak mrozu, który musiał nastąpić. Na głowie miałem nauszniki, na twarzy maskę, na nogach długie wełniane gacie i skarpety za kolana. Zimna ciągle nie odczuwałem - chyba ze stresu. Zastanawiałem się, jak długo będziemy szli i czy wytrzymam. Czułem się jak postać z kołymskich plenerów powieści Szalamowa albo z *Archipelagu GULag*. W tym momencie mrok naszej polarnej męczarni rozjaśnił prostokąt światła i z otwartych drzwi wesoly damski głos zawołał:

- Trzy minuty! Wszyscy wychodzić! Szybko!

Wyskoczyłem przez wysoki próg, mało nie gubiąc chodaków.

Był 11 sierpnia 2003 roku, a na zewnątrz, na dworze, panowała temperatura o  $170^{\circ}\text{C}$  wyższa. Sierpień tego roku był bowiem wyjątkowo upalny. Szczególnie w Warszawie. Zawsze lubię zostawać w stolicy w czasie wakacji, bo jest pusto i dopiero wtedy dobrze

widać miasto. Wszyscy znajomi wyjeżdżają i wreszcie telefon nie dzwoni. A w dodatku wszędzie można zaparkować. Tego lata było tak gorąco, że kiedy odbierając ojca po drobnym zabiegu medycznym, natknąłem się w szpitalu na ogłoszenie o krioterapii, zadziałało ono na moją wyobraźnię do tego stopnia, że natychmiast zapisałem się na cykl dziesięciu sesji leczenia zimnem.

Nie żeby mi coś dolegało. Raczej chciałem odetchnąć od gorąca, a szpital na Wołoskiej miał podobno najlepszą kriokomorę z ciekłym azotem w mieście.

Po tym trzuminutowym marszu na mrozie kazano nam wskoczyć na bieżnię lub stacjonarne rowery, żeby trochę się rozgrzać. Na sąsiednim rowerku pedałowal mój barczysty towarzysz niedoli. Jego twarz wydała mi się dziwnie znajoma. Mężczyzna poznał mnie chyba, bo się uśmiechnął. Wtedy i ja, mimo że upłynęło 25 lat od czasu, kiedy pierwszy raz zobaczyłem go na zdjęciu, też go rozpoznałem.

Okazało się, że pedałuję ramię w ramię z pierwszym i jedynym dotąd polskim kosmonautą, generałem Mirosławem Hermaszewskim.

- Zapalenie stawów? - zagadnął generał.

Przecząco pokręciłem głową.

- Ściągien?

- Też nie.

- Zespół bolesny barku? Naderwany mięsień? Uszkodzona łąkotka?

- Melduję, że odnowa biologiczna, panie generale!

Generał się uśmiechnął:

- To tak jak ja. No i jak się panu podobało?

- Byłem trochę zestresowany. Nie wiedziałem, że tam nic nie będzie widać.

- Za późno przyszliśmy. Ci, co byli w komorze przed nami, zawilgotnili powietrze. Stąd ta mgła. Trzeba przychodzić wcześniej rano z pierwszą grupą. Ale powiem panu szczerze. Chodzę tu już tydzień i nie czuję żadnej poprawy. Moim zdaniem cała ta terapia nie działa.

- Naprawdę? To może nie warto?

- Dlaczego? Warto! Poznaje się ciekawych ludzi, no i to jednak frajda tak dreptać w tej zimnicy, nie?

- No, może i tak... trochę... A czy to nie jest niebezpieczne?

- Nie. Tylko trzeba uważać, żeby wytrzeć się do sucha przed wejściem. Raz zapomniałem i odmroziłem sobie sutki.

- Ojej! - próbowałem solidaryzować się z generałem, wyobrażając sobie ten ból.

Kiedy wróciłem do domu, Ewa, która cały czas wahała się, czy dołączyć do mojego eksperymentu z uzdrawiającym zimnem, spytała:

- No i jak było?

- Nie dla ciebie - odpowiedziałem krótko.

- Dlaczego?

- Klaustrofobicznie, bardzo zimno i trochę strasznie.

- A, to kompletnie nie dla mnie - Ewa odetchnęła z ulgą.

Następnego dnia przybyłem kwadrans przed otwarciem komory, czyli o 7.45. Nie byłem jednak pierwszy. Rozglądałem się za generałem, ale nigdzie go nie było. Było za to z

pół tuzina grubych kobiet. Chcąc nie chcąc, przysłuchiwałem się, o czym rozmawiają.

- Ja już nie lubię morza, proszę pani! Już od dziesięciu lat jeżdżę nad morze. A w przyszłym roku zrobię sobie zmianę na góry - mówiła osoba najbliższej mnie. - Jak jeżdżę w góry, to nie mogę się nałykać tych krajobrazów.

- O, góry! - odpowiedziała jej sąsiadka. - Jak byłam w górach w zeszłym roku, we wrześniu, to... Nie! Gdzie tam?! Ja w październiku byłam w górach! - kobieta poprawiła się, jakby to miało jakieś znaczenie. - A nad morzem to ja lubię chodzić po morzu. Ale w tym roku jak był sztorm, to nie można było, bo morze lało pani piasek w oczy! A jak mąż chciał zrobić zdjęcie fali, to fala go z głową załała, bo staliśmy na takim cyplu. I 5 kilometrów musiałam wracać z mokrym mężem.

- Oj, to nieprzyjemnie - przytaknęła pierwsza. - A ja robiłam w zeszłym roku zdjęcie sztormu i wróciłam do domu, i wywołałam, a tu cała klisza pusta! Nie wiem, co się stało. Chyba sztormu już nawet w kinie nie będę mogła oglądać!

Nie wiedziałem, co gorsze. Te baby czy odmrożone sutki?

W tym momencie w dźwiękowym tle zmieniła się melodia i Freddie Mercury zaśpiewał: *I want to break free!*.

- Och! - ożywiła się niewiasta obok mnie. - Och! To moja ulubiona piosenka!

- Po angielsku? - zdziwiła się jej sąsiadka albo siostra bliźniaczka. Wszystkie te panie wyglądały tak samo.

- Tak bym chciała - rozmarzyła się miłośniczka Freddiego M. - żeby jak umrę, zagrali mi to za trumną...

Na szczęście kierująca akcją siostra dała znak, że kriokomora już gotowa i można wejść do środka. Rzeczywiście, powietrze było bardziej przejrzyste niż wczoraj, a do tego panie były dosyć niskie, więc tym razem wszystko doskonale widziałem i trzy minuty zleciały bez stresu. Gdy już po wszystkich wychodziłem z oddziału, zauważyłem pierwszego

kosmonautę siedzącego w szpitalnym barku przy kubku z kawą. Pokiwał do mnie wesoło. Nie mogłem się oprzeć i się dosiadłem.

- Jak było? - spytał generał.

- Dziś o wiele lepiej! Mniejsza wilgotność.

Milczeliśmy przez chwilę i uznałem, że może to ja powinienem podtrzymać rozmowę.

- A wie pan, panie generale, że u nas w szkole filmowej pod koniec 1978 roku major ze szkolenia obronnego pytał studentów, co naszym zdaniem ważniejsze: pierwszy Polak w kosmosie czy pierwszy Polak w Watykanie?

- I co odpowiedzieliście? - zainteresował się generał.

- Nie pamiętam - odparłem dyplomatycznie. - W każdym razie major zachodził w głowę, jak to możliwe, że wybrali papieża Polaka bez konsultacji z partią i rządem. „Przecież kosmonautę to konsultowali z PZPR, tak?”. Nie mógł się z tym pogodzić.

Generał uśmiechnął się wyrozumiale. Spytałem go, jak tam było wtedy, 27 kwietnia 1978 roku, w rakiecie Sojuz, przez osiem dni, tylko z Piotrem Klimukiem na pokładzie.

- Dość dziwnie. Patrzyłem z góry na Ziemię z miliardami mieszkańców i nie wierzyłem, że jestem tu, gdzie jestem - generał uśmiechnął się do wspomnień.

- A nie baliście się, że zabłądzicie w kosmosie? - zażartowałem.

- Nie. Umieliśmy zorientować się w położeniu statku za pomocą obserwacji gwiazd. Na wypadek gdyby przyrządy nawigacyjne wysiadły i musielibyśmy sprowadzić statek na Ziemię na ślepo, ręcznie.

Generał chwilę milczał. - A wie pan, co jest najgorsze?

- Jak się zapomni, która gwiazda jest która?

- Nie. Mówię o tej krioterapii tutaj. Najgorsze są te gadki szmatki w poczekalni. Chyba porzucę te zajęcia z tego powodu - powiedział generał, dopijając kawę.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem.

Następnego dnia po zaparkowaniu swojego auta szedłem do odległego o 600 metrów budynku, kiedy obok mnie zatrzymał się samochód. Zza kierownicy uśmiechał się generał Hermaszewski.

- Niech pan wsiada. Podrzucę pana.

Zrozumiałem, że generał ma przepustkę na teren szpitala. Gdy podjechaliśmy na wewnętrzny parking służbowy, zobaczyłem, że jest wypełniony po brzegi.

- Nie ma miejsc, kurczę! Jak zwykle! - powiedziałem gorzko.

- Jest jedno - rzucił krótko generał i dodał gazu. Samochód pomknął na koniec parkingu i wpasował się w jedyne puste, niewidoczne dotąd miejsce z prawej strony. Zacząłem podejrzewać generała o jasnovidzenie. Generał rozbawiony moim spojrzeniem uprzedził pytanie.

- Jak zawiął wiatr, to tylko z tego miejsca wywiało liście i śmieci. Zawsze trzeba mieć uszy i oczy otwarte.

„To prawda! Zawsze trzeba być kosmonautą” - pomyślałem.

A potem razem siedzieliśmy w poczekalni, czekając na wejście do komory. Tego dnia kobiet było mniej. Przeważali pacjenci płci męskiej.

- Psy są bardzo zdradliwe dla dzieci - mówił jakiś baryton za nami. - Moja bratowa miała buldoga. Lekarz powiedział, że trzeba go usunąć, bo może mieć zły wpływ na dziecko. A ona, że lekarz to baran, że zwierzyny nie kocha, że to nie człowiek. I dziecku rzuciło się na oczy. Pies się szwendał po dworze, zarazków naprzynosił, chorób, właściwie. A teraz dziecko

ma kratkę na oczach.

- Kratkę? Kataraktę chyba? - dopytywał korygująco jego towarzysz.

- No, właśnie mówię. A oni z tym buldogiem ząbek w ząbek żyli, całowali się, to jak miało się dziecku nie rzucić? Teraz bratowa musi kochać zwierzyne, co?

Naraz odezwał się jakiś trzeci głos z boku.

- A u mnie na klatce sąsiadka ma 38 kotów. Wiem dokładnie, bo po mleko do mnie przychodzi. Jak te koty się marcuja, to oszaleć można! A smród jaki u niej! Ale ja jej te koty wyniszczę, zlikwiduję. Trochę cyjanku do mleka i fertig. Trzy koty jej już załatwiłem.

- Niech pan nie mówi? - odezwał się ten od buldoga.

- A jak! Dałem jej mleko i mówię: „Tylko niech pani nie pije, bo skwaśniała”, a ona: „Nie, nie, to dla kotków”. I trzy koty gotowe. Potem w nocy mnie budzi, żeby na pogotowie z tymi kotami jechać, bo ja taksówkarzem jestem. No i pojechaliśmy. Lekarz mówi: „Zatrucie pokarmowe”. A ona: „Jak zatrucie? One wcale na dwór nie wychodzą. W domu chowane. To skąd zatrucie?”. I trzeba było uspić te koty. Ja mówię: „Zawieźmy je na Bielany, jakiś wspólny grobik się wykopie, patyczkami się zaznaczy”. A ona pyta: „To ile będzie za taksówkę?”. A ja: „No co pani? W takiej sytuacji?”. A ona: „Pan to święty człowiek! I zwierzęta pan lubi!”. Ale jeszcze mi 35 kotów zostało. Nie można truć wszystkich naraz, bo się kociara zorientuje, panie!

„Za chwilę przyjdzie mi oddychać tym samym mroźnym powietrzem co trucieli kotów” - pomyślałem i spojrzałem na generała. Nie odezwał się, tylko szczeka mu chodziła. Wtedy jakaś wrażliwa pani krzyknęła:

- Ja to bym pana osobiście utruła!

- A co, pani też kociara? - zadrwił głos.

W tym momencie pielęgniarka zgłosiła gotowość kabiny do przyjęcia delikwentów.



Wstałem z krzesła równocześnie z generałem i bez słowa ruszyliśmy w przeciwną stronę. Do wyjścia.

## 41.

### Odwaga Jiřiego Menzla

Podobno pobił pan niemieckiego producenta filmowego? - padło z sali pytanie. Dał się słyszeć szmerek zainteresowania i po chwili zapadła cisza. Siedzący na proscenium kina sławny reżyser pogłaskał się dłonią po brodzie i odpowiedział pytaniem na pytanie:

- Czy pobilem? - zamyślił się na chwilę. - Odpowiem tak. Dawno, dawno temu, mniej więcej w połowie lat 60., pewien aktor miał żonę, też aktorkę, a pewien krytyk filmowy obraził ją w jakiejś recenzji. I ten aktor przyszedł do biura tego krytyka, do redakcji, powiedział: „Dzień dobry”, zdjął kapelusz, powiesił go na wieszaku, po czym wyjął z teczki pejcz i zaczął okładać tego krytyka pejczem. Jak skończył, włożył kapelusz, powiedział: „Do widzenia”, i wyszedł. Kiedy byłem jurorem na festiwalu w Karlowych Warach, natknąłem się nagle na nieuczciwego producenta Jiřiego Sirotkę, który na mój widok jak gdyby nigdy nic uśmiechnął się i powiedział: „Ahoj, Jiři!”. Wtedy zrozumiałem, że chciałbym postąpić tak jak ten aktor. Niestety, nie miałem akurat przy sobie pejcza, więc poprosiłem asystenta o coś w tym rodzaju i ten przyniósł mi różgę. Ten głupek producent był na tyle bezczelny, że dosiadł się do mnie na festiwalowej widowni. Wstałem więc, wyciągnąłem tę różgę i sprawiłem mu zasłużone manto.

Ktoś roześmiał się i na chwilę znowu na sali zapanowała cisza.

- I za co go pan tak zbił? - dopytywał się rozbawiony głos.

- Bo mnie oszukał i chciał wyślizgać z robienia filmu według książki *Obsługiwałem angielskiego króla*. Wcześniej załatwiłem z Hrabalem, że sprzeda producentowi prawa po przystępnej cenie, pod warunkiem że ja będę reżyserował film. Ale ten dupek, drobny cwaniaczek, odsprzedał te prawa - które kupił za 25 tysięcy marek - komercyjnej stacji telewizyjnej za 4 miliony, bez klauzuli, że ja będę reżyserem.

Był 19 października 2004 roku, a ja siedziałem na widowni kina Kultura, przysłuchując się spotkaniu z moim filmowym idolem Jiřim Menzlem.

W ogóle bardzo lubię naszych południowych braci Czechów i jednocześnie bardzo ich podziwiam i szanuję. Za to, że mają lepszych prezydentów, lepszych pisarzy, lepszych reżyserów filmowych, lepszych hokeistów, lepszych tenisistów, lepszych futbolistów, produkują lepsze samochody, mają większe poczucie humoru i więcej zdobytych Oscarów. Ale tym razem Jiřiemu Menzlowi zazdrościłem nie tyle talentu, ile właściwego użyciu zrobionego z różgi. Pół roku wcześniej chętnie bym postąpił tak samo z moimi koproducentami z pewnej prywatnej stacji telewizyjnej, którzy strasznie chcieli mi „pomagać” w realizowaniu filmu *Vinci* i rzeczywiście pomagali strasznie! Filmowi dyletanci postawieni na straży zainwestowanych w projekt pieniędzy swojej stacji uwierzyli, że dostali prawo wtrącania się do realizacji filmu, którego byłem reżyserem i głównym producentem. Niepytani, bez przerwy dawali mi rady, a często spowalniali produkcję, bo nie rozumieli, na czym ona polega. Udało mi się jakoś zneutralizować ich mimowolny sabotaż, ale energia, jaką na to zużyłem, mogła lepiej posłużyć filmowi. Wielokrotnie miałem ochotę zdjąć pasa i przyłać jednemu czy drugiej, żeby przestali mi przeszkadzać.

Nie miałem jednak odwagi Jiřiego Menzla.

- Dlaczego po zdobyciu Oscara za *Pociągi pod specjalnym nadzorem* nie wyjechał pan do USA i nie poszedł w ślady Miloša Formana czy Ivana Passera? - padło następne pytanie.

- Bo ja jestem inny - Menzel tym razem nie zastanawiał się długo. - Bliżej mi do Ivana niż do Miloša. Sam talent nie wystarczy. Ja umiem robić tylko czeskie filmy i tylko u siebie, w Czechach. Za granicą nie dałbym rady. Wiem, że Ivan wykłada w szkole filmowej w Los Angeles, a przy okazji kręci filmy w Hollywood. Ale te wszystkie jego amerykańskie filmy są gorsze niż te, które nakręcił w Czechosłowacji. Za to Miloš zawsze miał większą siłę charakteru, zawsze był bardziej ode mnie przebojowy, a przede wszystkim gotowy na emigrację. Dlatego tak świetnie dał sobie radę. Ja tego nie umiem i nie miałbym odwagi postawić wszystkiego na jedną kartę. Wolałem trzymać czechosłowackiego wróbla w garści, niż gapić się na hollywoodzkiego gołębia na dachu.

Siedząc cichutko w ostatnim rzędzie, ucieszyłem się, bo w pełni podzielałem punkt widzenia Jiřiego. I zachowując wszelkie proporcje w sprawie talentu - to był także mój problem. Kiedy po sukcesie *Seksmisji* w 1984 roku wyjeżdżałem na roczne stypendium do

Hollywood, wszyscy byli pewni, że nie wrócę. Gdybym dostał jakąś znośną propozycję na zrobienie tam filmu, pewnie bym go zrobił. Nic takiego się jednak nie wydarzyło. Po pokazach *Seksmisji* na amerykańskich festiwalach pojawiali się wprawdzie jacyś bardziej lub mniej wiarygodni producenci i czekali na moje pomysły. Ale jakoś nic nie przychodziło mi do głowy. A przede wszystkim brakowało determinacji, żeby tam zostać na stałe. Choć mój „opiekun” z FBI mówił mi, że mają specjalny program przygotowany dla tych stypendystów, którzy chcą poprosić o azyl. Widocznie jednak za mało chciałem być Amerykaninem. Za to jak tylko wróciłem do Polski, wpadłem na pomysł filmu *Kingsajz*. Wiedziałem, że czy chcę, czy nie, Polska to moje miejsce do robienia filmów. Ale widocznie nie wszyscy podzielają to zdanie, bo ostatnio w delikatesach w Sopocie kasjer, wystukując ceny produktów, nagle zapytał:

- A dlaczego nie chciał pan zrobić zagranicznej kariery?

- Jak to nie chciałem? - zachnąłem się. - Chciałem! Ale widocznie za mało się starałem albo mam za mało talentu, a poza tym to nie jest łatwe, wie pan?

- No, wiem, wiem... - odpowiedział z westchnieniem pan kasjer i wrócił do przerwane go wątku. - 235 złotych i 30 groszy...

Bez sensu byłoby tłumaczyć panu kasjerowi, że wszystkie filmy, które zrobiłem, nie zaistniałyby poza naszym krajem. Kogo obchodziłaby *Seksmisja* bez stanu wojennego i politycznych aluzji albo tym bardziej *Kingsajz*? Własnych *Vabanków* Amerykanie mieli na kopy. No może tylko *Kiler* naprawdę ich zaskoczył, bo kupili prawa do remake'u. Ale prawdę powiedziawszy, wszystkie filmy, jakie zrobiłem, są bardzo polskie.

- Kiedy było łatwiej kręcić filmy? Dziś czy dawniej? - padło następne pytanie do Menzla.

- Kiedyś - odpowiedział Jiří bez wahania. - Bo łatwiej jest przechytryć cenzurę niż bankowych inwestorów. Mój profesor w szkole filmowej w Pradze Otokar Vavra uczył nas, jak robić filmy, ale nie nauczył, jak dogadywać się z władzą. Pytaliśmy go: „Panie profesorze, nauczył pan nas zawodu, ale nie nauczył pan nas, jak rozmawiać z komunistami?”. Vavra na to: „Bo myślałem, że wam to już nie będzie potrzebne”. Dawniej z reguły było tak, że

proszono mnie, żebym zrobił film. Domagano się wręcz tego ode mnie. A ja jestem rzemieślnikiem, więc kiedy dostawałem zamówienie, to je wykonywałem. Ale nie zabiegałem o to wtedy, nie zabiegam i dziś. Teraz jednak reżyser filmowy musi sam o wszystko zadbać i sam wszystko zorganizować. A ja tego nie potrafię - Jiří Menzel uśmiechnął się przepraszająco.

Wreszcie padło pytanie dyżurne:

- Czy komedia to trudny gatunek do reżyserowania?

- To ciężkie i niewdzięczne zajęcie. Komedie albo umiesz zrobić, albo nie. I albo to jest śmieszne, albo nie. To widać, a raczej słyhać od razu. W innym gatunku filmowym, dramacie psychologicznym na przykład, jak coś ci nie wyjdzie, zawsze możesz powiedzieć, że taki był zamysł. I choć wielu uważa komedię za coś gorszego, ja się tym nie przejmuję. Nawet *Hamleta* wyreżyserowałem jako komedię, bo tak go odczytuję.

To prawda - przyznałem mu w myślach rację. Komedia, thrillery to najtrudniejsze gatunki filmowe, bo nie mają innego alibi w postaci dobrych intencji czy przesłania. I to, czy komedia jest udana, czy nie, wie się od razu na pierwszej projekcji z widzami. A jeśli chodzi o tak zwane poważne filmy, łatwiej wciskać ludziom kit. A przy okazji można niezłe pojeździć z nimi po festiwalach, a nawet zdobywać nagrody.

- A dlaczego pan zrobił *Kapryśne lato*? To film zupełnie nie w pana stylu - spytał jakiś dociekliwy kinoman.

- Po *Pociągach pod specjalnym nadzorem* przez jakiś czas nie chciałem nic robić. Potrzebowałem czasu, żeby znaleźć coś naprawdę oryginalnego. Słyszałem o scenariuszu, który przed wojną napisał według własnej powieści Vladislav Vančura, ale tego scenariusza nikt nie mógł odnaleźć. Aż pewnego dnia zgłosił się do mnie scenarzysta Vaclav Nyvlt. Jakimś cudem odkopał ten scenariusz w czeluściach studia Barrandov. Od razu przeczytałem tekst, ale mnie bardzo rozczarował, więc odmówiłem. Wychodząc ze studia, natknąłem się na operatora Jaromira Šofra, z którym zrobiłem *Pociągi*. Jaromir właśnie się ożenił, a nawet urodziło mu się dziecko. Spytał mnie: „Robisz jakiś film?”. Ja na to, że nie mogę znaleźć nic ciekawego i właśnie oddałem scenariusz według Vančury. Šofr zaczął na mnie krzyczeć:

„Czyś ty z byka spadł?! Ja nie mam z czego żyć! Śpimy z żoną na słomie! Dziecko nam umrze z głodu! Bierz natychmiast ten scenariusz!”. No więc zawróciłem po ten scenariusz, żeby kolega nie umarł z głodu, i poprawiliśmy go razem z Nyvlttem. I tak przypadkiem powstało *Kapryśne lato*, które w 1968 roku wygrało festiwal w Karlowych Warach.

I wtedy ja znowu, megalomańsko, pomyślałem o swoich przygodach z filmem *Girl Guide*. Pewnego dnia zadzwonił do mnie operator Witek Adamek. Wróciłem właśnie po rocznym zesłaniu do Ameryki i szukałem pomysłu na film. Książka Michała Szczepańskiego nie zachwycała mnie, ale byłem w finansowych tarapatach, więc napisałem scenariusz. Witek wynalazł Pawła Kukiza do głównej roli oraz wyprodukował i sfotografował ten film, który zrobiliśmy w 18 dni, a który wygrał festiwal w Gdyni w 1995 roku. Specjalnie nie szukałem analogii z biografią mojego idola, zwłaszcza jeśli chodzi o międzynarodowe uznanie i talent - ale podobieństwo filmowych wydarzeń jakoś tak samo zaczęło się układać.

Po spotkaniu podszedłem do Jiříego, który ze smutną miną stał na schodach kina z tłumaczką i wierną miłośniczką polskiego kina Mirą Haviarową. W takich sytuacjach nigdy nie wiem, czy mnie poznaje, czy nie. Zwłaszcza on, który ma pokerową twarz. Ale poznał, bo się uśmiechnął i powiedział: „Ahoj, Julku!”. Odpowiedziałem „Ahoj!”. A na pytanie, skąd tu się wziąłem, powiedziałem, że jak dowiedziałem się, że jest w Warszawie, nie mogłem nie przyjść. Musiałem go zobaczyć. I przypomniałem mu nasze pierwsze spotkanie latem 1982 roku w Szwajcarii. Wdowa po Charliem Chaplinie pani Oona O’Neill zorganizowała festiwal komedii w Vevey, na szwajcarskiej riwierze, gdzie Chaplin mieszkał i umarł. Na tym pierwszym festiwalu Jiří Menzel miał swój kolejny hrabalowski film, więc byłem pewien, że *Postrzyżyny* zdobędą nagrodę główną. Tymczasem film dostał „tylko” nagrodę publiczności, a mój debiutancki *Vabank* Grand Prix, czyli Złotą Laseczkę Chaplina. Jak wiadomo, nie ma sprawiedliwości w filmowych nagrodach. Pamiętam, jaki byłem przejęty, stojąc z nagrodą na scenie obok mojego mistrza, a teraz już niby filmowego kolegi. Przypomniałem mu, jak wtedy nachylił się do mnie i szepnął do ucha:

- I nie przejmuj się, gdyby się okazało, że to najlepszy film, jaki zrobiłeś. Najważniejsze, że to film, o którym wszyscy będą pamiętać. O mnie mówią: „Menzel wali dziś gównem za gównem, ale te *Pociągi* mu się udały...”.

O 22 lata starszy Jiří roześmiał się, bo tego nie pamiętał. Za to przypomniał mi, jak

Szwajcarzy po ogłoszeniu werdyktu pół żartem, pół serio mówili do nas: „Co za paradoks! Wy macie filmy, ale my mamy mięso!”, na co ja miałem odpowiedzieć: „Mięso nie jest najważniejsze”.

Za kilka tygodni miało odbyć się rozdanie nagród Europejskiej Akademii Filmowej w Barcelonie. Spytałem Jiříego, czy pojedzie do Hiszpanii.

- Nie pojedę, bo te nagrody nie są nic warte. Jakież kompletnie gówniane filmy wybierają co roku do selekcji! Kto to je wybiera? Jest dużo filmów lepszych niż te, co nam dają do oglądania. To jakaś ściema! Powiem ci szczerze: mam już dość kina i właściwie to wolę zajmować się teatrem. Tam mnie chcą z otwartymi ramionami - po czym popatrzył na mnie i się uśmiechnął.

- Dzięki, że przyszedłeś na to spotkanie.

- Nie mogłem nie przyjść - uścisnąłem go.

- To znaczy, że jesteś prawdziwym kolegą - powiedział.

- To dla mnie zaszczyt - odpowiedziałem.

Nigdy nie mów nigdy. Mimo niechęci do kina dwa lata później Jiří nakręcił film *Obsługiwałem angielskiego króla*. Czasami, żeby zrobić to, co się chce, trzeba filmowemu producentowi najpierw złoić dupę.

42.

### **Dlaczego lubię Hiszpanię**

Zobacz, kto tu jest! - szepnąłem do Ewy, kiedy szczupły, czarnoskóry dryblas w swetrze w pastelowe kolory pojawił się za stolikiem obok nas. - To Samuel!

- Kto? - Ewa była zdziwiona, że znam z imienia dżentelmena wyglądającego jak hotelowy boy.

Lubię odwiedzać Hiszpanię jeszcze dlatego, że można tam przy śniadaniu spotkać zawodników najlepszych klubów futbolowych świata. A ja wyjątkowo zgadzam się z bon motem Alberta Camusa, że z rzeczy nieważnych najważniejsza jest piłka nożna.

- Ten, co zabiera się właśnie za *pimientos relenos*, to najskuteczniejszy napastnik Barcy Samuel Eto'o.

- Aha - odpowiedziała Ewa, wracając do swojej sałatki owocowej. - Ma zdrowie chłopak, nadziewane papryki od rana?

- On jest z Kamerunu. Może dlatego.

Sympatyczny młody sportowiec był tylko bonusem w ciągu atrakcji, jakie spotkały nas przez ostatnie trzy dni. W niedzielę, 12 grudnia 2004 roku, przy 20 stopniach Celsjusza, siedzieliśmy na tarasie hotelu Arts w Barcelonie, zastanawiając się, co zrobić z tak dobrze zapowiadającym się dniem.

Miasto znaliśmy dość dobrze, bo byliśmy tu dwa razy. Teraz ściągnęła nas uroczystość rozdania dorocznych Nagród Europejskiej Akademii Filmowej, której oboje byliśmy członkami. Poprzedniego wieczoru mieliśmy okazję biesiadować z najlepszymi europejskimi filmowcami. Najbardziej ucieszyłem się ze spotkania Agnès Jaoui i Jeana-Pierre'a Bacri, mojej ulubionej francuskiej pary realizatorów filmu *Popatrz na mnie* nagrodzonej za najlepszy scenariusz. Ale to było łatwe, bo ich mogłem skomplementować po



francusku, w języku, który znałem od czasów liceum. Hiszpańskiego natomiast zacząłem uczyć się dopiero w wieku 43 lat i byłem naprawdę dumny, że mogłem zagadać do Javiera Bardema i Pedro Almodóvara w ich ojczystej mowie. Oczywiście to nie okazjonalny, bankietowy *small talk* był imperatywem do nauki hiszpańskiego. Przede wszystkim strasznie lubię jego brzmienie. Może dlatego, że jest bardziej chropawy niż francuski, a bardziej dziki niż włoski. I nie ma tej perfumowanej słodyczy języków romańskich. W językach obcych najważniejsza jest melodia.

(Pewnie dlatego naukę niemieckiego ciągle odkładam na później, choć właśnie robię film *AmbaSSada* (roboczy tytuł *Piusa 17*) w którym jedna trzecia dialogów odbywa się po niemiecku).

Sama melodia oczywiście też by nie wystarczyła. Dużo wcześniej zainteresowała mnie Hiszpania i jej historia. Jestem przekonany, że nie można się dobrze nauczyć obcego języka, nie lubiąc choć trochę kraju, z którego pochodzi.

W dniu 40. urodzin zrobiłem sobie spis dziesięciu rzeczy, które chciałbym jeszcze w życiu zrobić. Jeden z punktów brzmiał: nauczyć się jeszcze dwóch języków obcych. Hiszpański poszedł na pierwszy ogień, bo był wyborem oczywistym. Powodów było wiele: Buñuel, Berlanga, Almodóvar, Amenábar, Cervantes, Arrabal, Marías, Borges, Rulfo, Vargas Llosa, Vallejo. Gdybym nie poznał twórczości tych panów, miałbym wielką dziurę w głowie.

Wiedziałem, jaki język wybrać, brakowało mi tylko pretekstu, żeby zacząć.

Akurat pisaliśmy z Ryśkiem Zatorskim scenariusz do filmu *Kilerów 2-óch*, gdy przyszło mi do głowy, żeby dać Jurkowi Kilerowi sobowtóra - José Arcadio Moralesa. Z pochodzenia Argentyńczyka, z upodobania urodzonego mordercę. Jedna ze scen, jakie wymyśliliśmy, wymagała Pana Tłumacza, który pomaga Moralesowi w poruszaniu się w naszej rzeczywistości. Do tej roli potrzebowaliśmy Latynosa.

Zdarzyło się, że moja mama miała zdolnego słuchacza w swojej szkole aktorskiej i tak pojawił się w filmie Fernando Villagomez, Meksykanin z pochodzenia, a od kilkunastu lat Polak z obywatelstwa.

Po zdjęciach zapytałem Pana Tłumacza, czy nie zechciałby zostać moim nauczycielem hiszpańskiego. Fernando zgodził się z ochotą, bo robił to od lat zawodowo na Uniwersytecie Warszawskim. Dzięki temu już po kilku miesiącach mogłem nieśmiało posługiwać się kastylijską mową.

Może nie byłem gotów do rozmów o życiu i twórczości Ortegi y Gassetta czy Miguela de Unamuno, ale na wakacjach udawało mi się wprawić w zdumienie recepcjonistów, taksówkarzy i kelnerów przywykłych raczej do tego, że obcokrajowcy mówią w obcych językach, a zwłaszcza po niemiecku. Oczywiście uśmiechali się do mnie szerzej i bardziej szczerze, niż gdybym mówił na przykład po angielsku, i zawsze, gdy były do wyboru dwa pokoje w tej samej cenie, dostawaliśmy ten z lepszym widokiem.

Fernando podrzucił mi powieści kilku najciekawszych współczesnych hiszpańskojęzycznych pisarzy i powolutku zacząłem przebijać się przez prozę Javiera Mariasa, Fernando Vallejo czy Juana Rulfo w oryginale. Równolegle pogłębiałem znajomość historii Hiszpanii.

Jeden z ciekawszych okresów historii świata - XVI wiek - należał, jak wiemy, do Hiszpanii.

Wtedy w imperium Karola V i Filipa II słońce nie zachodziło nigdy. A niektóre przypadkowe związki przyczynowo - skutkowe w jej dziejach przemawiały szczególnie do mojej wyobraźni.

Jaki jest związek ostatniego króla Grenady Boabdila z odkryciem Ameryki?

Bardzo prosty. Gdyby w 1492 roku Boabdil bronił Grenady zawzięcie, zamiast poddać miasto bez walki, Krzysztof Kolumb nie odkryłby Ameryki w tym samym roku. A jeśli odkryłby trochę później, to raczej w imieniu króla Francji. I nie wiadomo, jak długo musielibyśmy na nowy kontynent poczekać. Dlaczego? Bo hiszpańska para królewska, Ferdynand i Izabela, odmówiła sponsorowania wyprawy Kolumba, gdyż miała fundusze przygotowane na rekonkwistę, czyli wypędzenie resztki Maurów z Półwyspu Iberyjskiego. Grenada była właśnie ich ostatnim bastionem.

„Już w gruzach leżą Maurów posady, naród ich dźwiga żelaza. Bronią się jeszcze twierdze Grenady, ale w Grenadzie zaraza...” - napisał poeta, a ja z niewiadomych powodów to zapamiętałem.

Ale na szczęście Boabdil się poddał - nie dziwię mu się, sam widziałem Alhambrę i też byłoby mi żal, gdyby miała zostać zburzona - i niespodziewanie kasa uzbierana na wojnę mogła zostać przeznaczona na cele wyższe. Wysłano więc umyślnego, aby zawrócił Kolumba z drogi do Francji, gdzie zamierzał prosić o sponsoring króla Franciszka I.

„Broni się jeszcze z wież Alpuhary Almanzor z garstką żołnierzy, Hiszpan pod miastem rozbił sztandary, jutro do szturmu uderzy...”.

Z tą zarazą i Almanzorem to akurat nieprawda, ale i tak nie można przecenić wpływu poezji wieszczów na wyobraźnię młodego człowieka.

A jaki związek ma powstanie nowej religii z ciotką cesarza Karola V? Król Henryk VIII nigdy nie wprowadziłby anglikańskiego Kościoła, gdyby papież Klemens VII zgodził się na rozwód z Katarzyną Aragońską. Ale Klemens przenigdy nie dałby mu rozwodu z panią Katarzyną z prostej przyczyny. Katarzyna Aragońska była ciotką cesarza i króla Hiszpanii Karola V. Klemens za dobrze pamiętał niedawne *sacco di Roma* - gdy protestancy knechci Karola złupili mu Watykan, a on sam ledwo uszedł z życiem. Król Francji czy Włoch dostałby rozwód w trzy dni, ale urazić krewną najpotężniejszego władcy na Ziemi? I dlatego Klemens powiedział królowi Anglii: „No, niestety się nie da!”, na co Henryk VIII z anglosaskim pragmatyzmem odrzekł: „No, to obejdę się bez ciebie, klecho!”, sam zrobił się głową Kościoła w Anglii i potem już jako religijna Zosia Samosia dał sobie rozwód.

Pewnie każdy kraj ma w swoich dziejach takie „co by było gdyby?”, ale dla mnie te hiszpańskie zakręty historii są wyjątkowo smaczne. Przekopałem się przez historię Hiszpanii od królów katolickich do Juana Carlosa I. Polecam.

Półkrwi Hiszpan Albert Camus powiedział kiedyś także, że rzeczą najbardziej niesprawiedliwą na świecie jest klimat. Musiał mieć na myśli Hiszpanię.

Marząc o wakacjach w Hiszpanii, nigdy nie myślę o zorganizowanej turystyce w

kurortach molochach wyglądających tak samo w Tajlandii i w Pernambuco.

Moje hasło na odpoczynek w Hiszpanii brzmi: bez turystów - wśród tubylców. Nawet kosztem oddalenia od piaskowych plaż.

Jeśli Teneryfa, to na północy koło Orotavy czy Santa Cruz albo wysoko w świerkowych lasach pod wulkanem Teide. Jeżeli Majorka, to w ustronnych, dziesięciopokojowych fincach na skalnym klifie albo w starych hacjendach w górach. Jeśli wybrzeże kontynentalne, to nad Atlantykiem, za Gibraltarem, blisko granicy z Portugalią, w jednopiętrowych pensjonatach.

„Naród hiszpański poważny, pański, majestatowy, w rozsądek zdrowy, z twarzy srogimi, w sercu mężnymi, słuszość trzymają, o żart nie dbają, prawa pilnują, króla miłują, nauk nie znają, wojny szukają...”.

Nigdy nie wiadomo, co zostanie ci w głowie po studiach filologicznych. Mnie po polonistyce zostało kilka przedziwnych fragmentów poezji. Nie wiedzieć czemu - właśnie te początkowe strofy wiersza Kazimierza Sarbiewskiego. Nasz nieco zapomniany poeta napisał te wersy na początku XVII wieku, więc dobrze wiedział, co pisze. Do dziś niewiele się zmieniło.

Nie sposób uciec od Hiszpanii.

A Hemingway? Co najbardziej lubię z prozy Hemingwaya? *Komu bije dzwon* i *Śmierć po południu* - czyli hiszpańska wojna domowa i korrida. Nie jestem zwolennikiem walki byków, ale doceniam, ile trzeba mieć charakteru, bezczelności i pogardy śmierci, by stanąć, uzbrojony w muletę i szpadę naprzeciwko rozpędzonej półtonowej bestii. *Hay que tener cojones!* Kto zna hiszpański, zrozumie, co mam na myśli.

Gdyby puścić wodzę fantazji i zdać się na strumień asocjacji, to co mi się pojawia przed oczami, gdy myślę o Hiszpanii? Szwoleżerowie spod Somosierry, *Pamiętnik znaleziony w Saragossie*, Don Kichot i Sancho Pansa, Cervantes w bitwie pod Lepanto, Trafalgar i odstrzelone ramię admirała Nelsona, Garcia Lorca, Barcelona Gaudiego, Sagrada Familia, katedra w Toledo, Picasso, Goya, Velázquez, Dalí, Banderas, Penélope Cruz i Maribel

Verdu, di Stéfano, Iniesta i Furia Roja, Rafael Nadal i Xavi. Seat Cordoba, *Carmen* i fabryka cygar w Seville, Gran Via, Puerta del Sol, Plaza de Santa Ana, Carrera de San Jerónimo w Madrycie, Calvo Sotelo i falangiści, torreador El Cordobes, Alfons XIII, grobowce Filipa Pięknego i Joanny Szalonej, Prado i Museo Thyssen-Bornemisza, Franco odmawiający Hitlerowi przejścia na Gibraltar, anarchista Durutti umierający w madryckim Ritzu, Lope de Vega, Tirso de Molina, Casillas i Real. Los Angeles. Flamenco. Znaczki pocztowe z Ifni i Fernando Po, *Venceremos! Viva la muerte! Nasza armia przeszła Ebro! Aj, Carmela!*

Naród hiszpański, dumny i pański, majestatowy. No i ta pogoda... Nie sposób nie kochać Hiszpanii.

43.

### **Kij w mrowisko**

A może nie damy Grand Prix w ogóle? - zapytał jakiś głos.

- To byłby policzek dla wszystkich biorących udział w konkursie - odpowiedział inny.

- Dlaczego?

- Oznaczałoby to, że żaden film na tym festiwalu nie jest dla naszego jury godny głównej nagrody.

- Nie, my po prostu dbamy o poziom tego festiwalu! O jego tradycyjny już prestiż! - bronił pomysłodawca swej propozycji. - Ten festiwal istnieje prawie 60 lat i wygrywały tu filmy, które wchodziły potem do historii kina! A w tym roku, szczerze mówiąc, nie widzę filmu godnego Kryształowego Globusa...

- Tym bardziej będzie to odebrane jako kompleks Boga. Jesteśmy tu tylko po to, żeby wybrać najlepszy z filmów biorących udział w konkursie.

Rozmowa odbywała się 7 lipca 2006 roku w sali konferencyjnej hotelu Embassy w Karłowych Warach. Byłem w tym miejscu już po raz siódmy, ale po raz pierwszy to nie mój film miał być oceniany, tylko ja miałem oceniać filmy innych. Słowa rozsądku Laurence'a Kardisha, dyrektora działu filmowego Museum of Modern Art w Nowym Jorku, były muzyką dla moich uszu. Podobna rozmowa musiała odbyć się w 1996 roku w Gdyni, kiedy nie przyznano głównej nagrody, co zmusiło mnie do publicznego wystąpienia przeciwko werdyktowi jury pod przewodnictwem Wojciecha Marczewskiego. Zresztą i wcześniej na tym festiwalu tak się stało, w roku 1991 - jury pod wodzą reżysera Ryszarda Bugajskiego też zdecydowało, że Grand Prix nie będzie. Rysiek, reżyser świetnego, ale jedyne udanego w swoim dorobku filmu *Przesłuchanie*, wrócił do Polski po długim pobycie w Kanadzie i mógł mieć swoje powody do kompleksów, ale Wojtek Marczewski? Reżyser filmów *Zmory*, *Dreszcze*, *Ucieczka z kina* „*Wolność*”?

Tak się niefortunnie dla tamtego jury złożyło, że to akurat ja prowadziłem wówczas galę festiwalu i jako prowadzący miałem ostatnie słowo po odczytaniu werdyktu. Powiedziałem wtedy, że jako środowisko strzelamy sobie samobója. Że skoro my, filmowcy, nie potrafimy nagrodzić samych siebie, nie oczekujemy, że zrobią to za nas inni. A że było to na żywo, w czasie transmisji telewizyjnej, po tym festiwalu o niczym innym nie mówiono. Połowa środowiska mnie znienawidziła, za to druga połowa pokochała.

A mnie było przykro, że moje exposé skrupiło się na Wojtku Marczewskim, który jako przewodniczący jury taki werdykt podpisał. Wojtka cenię jako reżysera i bardzo lubię jako człowieka, ale czułem, że nie można takiego *faux pas* puścić płazem. A rzeczywiście był to policzek dla realizatorów mających filmy w konkursie. Bo był to kompleks Boga! Bo to znaczyło, że my, członkowie jury, jesteśmy najlepsi, a skoro z oczywistych powodów nie możemy mieć w konkursie swoich filmów, nic nas nie zadowala.

Od czasu mojego wystąpienia Grand Prix w Gdyni są przyznawane regularnie, z jedną modyfikacją. Jury, które wcześniej w ogóle nie przyznałoby głównej nagrody, przyznaje ją teraz debiutanckiemu filmowi, bo chyba jest jasne, że znakomici reżyserzy zasiadający w jury są lepsi od nowicjusza. Ale ja i tak nie powiedziałem wówczas ze sceny tego, co miałem na końcu języka. Że w końcu to nie jest Festiwal DOBRYCH Filmów Polskich, tylko po prostu Festiwal Filmów Polskich! I że skoro jest główna nagroda do przyznania, to trzeba ją przyznać! A jeśli dla jury żaden film nie jest na poziomie, to powinno dać nagrodę temu, który jest mniej zły od pozostałych.

Dziesięć lat później miałem przyjemność znaleźć się wśród jurorów Międzynarodowego Festiwalu Filmowego z tak zwanej kategorii A w Karlowych Warach. Do tej kategorii zalicza się w Europie festiwale filmowe w Cannes, Wenecji i może Berlinie. Zawdzięczałem ten zaszczyt filmowi Krzysztofa Krauzego *Mój Nikifor*, który miałem szczęście produkować. Film Krzysztofa na poprzednim festiwalu w Karlowych Warach zakosił trzy czwarte nagród: za najlepszy film, najlepszą reżyserię i najlepszą rolę kobiecą. Po tym wydarzeniu zmieniono regulamin festiwalu, tak by jeden film nie mógł dostać więcej niż dwóch nagród. (Wtedy, w 1996 roku, w Gdyni film Krauzego *Gry uliczne* też mógł śmiało wygrać, gdyby jurorzy mieli więcej szacunku dla kolegów i przyznali Grand Prix).

Teraz, gdy usłyszałem głos rozsądku jurora z Ameryki, którego poparło większość jury, upewniłem się, że dobrze myślałem, gdy wsadzałem kij w mrowisko.

Z Wojtkiem Marczewskim, z którym zawsze mnie więcej łączy, niż dzieli, jestem dziś w doskonałych stosunkach, ale wtedy musiałem powiedzieć, co wydawało mi się konieczne, wiedząc, że przez jakiś czas nasze relacje na tym ucierpią.

W jury w czeskim Karlsbadzie było nas siedmioro: amerykańska scenarzystka filmów Stevena Soderbergha, aktorka z Iranu, aktor z Czech, kanadyjski krytyk i animator kultury filmowej oraz trzech reżyserzy: z Serbii, Norwegii i Polski. Zauważyłem, że bracia Czesi znowu wiedzą o życiu festiwalowym coś więcej niż my, Polacy. Być może wynika to stąd, że prowadzą ten międzynarodowy festiwal od 1948 roku i przez prawie 60 lat, dzięki pojawiającym się u nich zagranicznym gościom i filmom, są bardziej otwarci na świat.

Przede wszystkim zaproszono nas z rodzinami. Z Bentem Hamerem, reżyserem niezapomnianych *Historii kuchennych*, przyjechała z Norwegii żona i dwóch synów; do mnie Ewa z Marysią, Goran Paskaliević przybył z Belgradu z żoną Francuzką i teściową, amerykańska scenarzystka Coleman Hough przyleciała z L.A. z przyjaciółką, Leila Hatami z Teheranu - z mężem, mamą i teściową, tylko czeski aktor Karel Roden był sam. Być może dlatego, że w trakcie festiwalu kończył zdjęcia do kolejnego filmu i miał stosunkowo mało czasu. Karela trochę się bałem od czasu, jak w filmie *15 minut* jako zwyrodnialec morderca torturował i zabijał Roberta De Niro. Spytałem go, jak się znalazł w tym filmie - odpowiedział, że Amerykanie przyjechali do Pragi i zrobili casting. „I ja wypadłem najlepiej” - uśmiechnął się rozbrajająco. Leila Hatami wyglądała jak delikatniejsza Isabella Rossellini, więc gdy podała mi rękę przy powitaniu, odpowiedziałem słowami Erica Claptona: *You put me on my knees, Leila...* (Rzuciłaś mnie na kolana, Leila). Mąż Leili, irański aktor filmowy Ali Mostafa, stał z boku i z wyrozumiałym uśmiechem wyjaśnił, że nie jestem pierwszym, kto tak reaguje na imię jego żony. Nie wiedziałem wówczas, że następnym razem spotkam Leilę na oscarowej gali w Hollywood, a film, w którym ona zagra główną rolę, wygra z filmem, który ja wyprodukuję.

Bent Hamer był jednym z niewielu reżyserów na świecie, których chciałem poznać osobiście. Jego *Historie kuchenne* swego czasu zachwyciły mnie jak rzadko który film. Bent okazał się przemiłym kolegą i z humorem opowiadał, jak to kręcił *Factotum* w USA. Firma



kurierska FedEx dostarczająca negatyw z Los Angeles do laboratorium w Oslo gdzieś po drodze zgubiła 12 rolek filmu. Dwanaście rolek to nie w kij dmuchał! To tak jakby stracić trzy dni pracy. Bent musiał brakujące ujęcia przekopiować z cyfrowego podglądu i poddać je specjalnej obróbce, by podnieść ich wizualną jakość tak, by mogły być użyte w filmie. Dobrze zrobił, bo negatyw nie odnalazł się do dziś. Bent nie byłby sobą, gdyby nie zakończył tej opowieści wizją, co by było, gdyby te 12 rolek jednak się odnalazło, nadeszło. „W laboratorium by je wywołali i wtedy okazałoby się, że to był negatyw z zupełnie innego filmu! Z filmu, który FedEx zgubił jeszcze wcześniej! Niezły pomysł na film, co?”.

Goran Paskaljević jako przewodniczący rozumiał dobrze, że najważniejszą sprawą podczas obrad są posiłki. Dlatego też wieczory zamieniały się w długie biesiady, tym przyjemniejsze, że przy sąsiednim stole biesiadowało *shadow jury* - jury cieni, czyli nasze rodziny.

Środkiem Karlowych Warów płynie rzeka Tepla. Na jednym z przerzuconych przez nią mostków restauracja hotelu Embassy w lecie ustawia swoje stoliki. Na tym właśnie mostku zjadłem najlepsze na świecie risotto z borowikami. Większość werdyktów naszego jury zapadła właśnie na tym mostku. Ponieważ kuchnia była wyśmienita, działało to na pewno na korzyść filmów.

Historia lubi się powtarzać. Kiedy byłem tu po raz pierwszy, 24 lata wcześniej, w trakcie festiwalu odbywały się mistrzostwa świata w piłce nożnej. Teraz było tak samo. Moją największą obawą było, że oglądając wieczorne projekcje filmów konkursowych - czego wymagano od jury - stracimy ćwierć - i półfinał tego najciekawszego ze sportowych widowisk. Na szczęście przewodniczący jury sam był fanem futbolu i na wstępie uprzedził organizatorów, że w dniu meczów wieczorne filmy będziemy oglądać na porannych projekcjach dla prasy. Filmów do obejrzenia mieliśmy 14. Dla mnie najważniejszy był oczywiście *Parę osób, mały czas* Andrzeja Barańskiego. W Polsce okrzyknięty jako arcydzieło kameralnej wrażliwości. Ta rzeczywiście skromna opowieść o poecie Mironie Białoszewskim i jego przyjaciółce Jadwidze Stańczakowej była nawiązaniem *à rebours* do *Nikifora* Krzysztofa Krauzego. W filmie Krzyśka mniej zdolny malarz opiekował się zdolniejszym, ale bezradnym. W filmie Andrzeja zdolniejszy i pełnosprawny poeta przyjaźni się z niewidomą kobietą, która dzięki relacji z ekscentrycznym autorem sama zaczyna pisać poezję. Białoszewskiego zagrał Andrzej Hudziak, Stańczakową - Krystyna Janda. W

kuluarach w gronie polskiej filmowej delegacji rosła nadzieja na główną nagrodę dla Andrzeja Barańskiego. Sama Eva Zaoralova, dyrektorka festiwalu, która osobiście wybierała filmy, w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” sugerowała, że największe szanse ma właśnie film o Białoszewskim.

„Skoro w poprzednim roku zwyciężył tu *Mój Nikifor*, film bardzo źle przyjęty przez polską krytykę i właściwie przeoczony na gdyńskim festiwalu, to znaczy, że film, nad którym polscy recenzenci pieją z zachwytu, rzuci na kolana jury w Karlowych Warach” - myślałem. Jak się jednak okazało, film Barańskiego to nie Leila i nikogo na kolana nie rzucił. Jedyne dobre oceny, jakie zebrał wśród dziennikarzy filmowych, pochodziły od Barbary Hollender i Jerzego Płazewskiego - sześć gwiazdek. Reszta świata dawała po dwie, góra trzy.

Znowu zdałem sobie sprawę, że my, polscy filmowcy, jesteśmy endemicznymi twórcami.

Nie staramy się zainteresować świata uniwersalnym przekazem filmowym, tylko wymagamy, żeby świat interesował się nami, bo przecież my, Polacy, jako ważny i dumny naród w środku Europy, jesteśmy interesujący sami przez się.

Bardzo szybko zrozumiałem, że film Barańskiego nie ma szans na główną nagrodę. Nikomu się nie podobał, bo po prostu nikt go nie zrozumiał. Co gorsza, większość jurorów pozostała na niego obojętna. I to nawet nie dlatego, że poezja Białoszewskiego jest nieprzekładalna. Najwyraźniej filmowa poezja tego filmu taka nie była. Nie znając twórczości artysty, nikt nie dociekał, dlaczego Miron wielkim poetą był. Ja wiedziałem, że film robiony za przysłowiowe pięć złotych nie mógł być powalający i zjawiskowy jak *Frida*, *Piękny umysł* czy chociażby *Mój Nikifor* z genialną Krystyną Feldman w męskiej roli tytułowej. Najwyraźniej taryfa ulgowa dla twórczości Andrzeja Barańskiego kończyła się w Czeskim Cieszynie. Ale jako juror patriota nie mogłem popuścić.

Rzuciłem propozycję nagrody dla Krysi Jandy. No bo przecież... i tak dalej... Zresztą wszyscy wiemy, że Krystyna Janda jest aktorką, która zasługuje na wszystkie nagrody świata. Kiedy podałem tę kandydaturę, pozostali jurorzy spojrzeli na mnie tak jakoś błagalnie, jakby prosili, by nie stawiać ich znowu przed koniecznością mówienia mi, dlaczego nie. Jeden z nich, z którym już się trochę zakolegowałem, szepnął mi na ucho:

- Widziałeś *Zapach kobiety*?

Oczywiście, że widziałem, ale nie bardzo rozumiałem, jaki to ma związek.

- Widzisz, w tamtym filmie wierzyłem, że Al Pacino jest niewidomy.

Zrozumiałem, że szansa na nagrodę za główną rolę kobiecą wymyka mi się z rąk.

- No, to w takim razie Andrzej Hudziak! - nie dałem za wygraną i musiało to zabrzmieć dość desperacko, bo Goran Paskaljević mnie poparł, więc po chwili jury skinęło głowami z ulgą, że będą mieć ten dziwny polski film z głowy. I w ten sposób skromny krakowski aktor dostał zasłużoną nagrodę.

Wtedy też, broniąc endemicznego gatunku filmowego, nauczyłem się, że na każdym, nawet najlepszym festiwalu trzy czwarte filmów nie nadaje się do oglądania. Nie to, że są trochę słabsze czy dziwaczne. Po prostu: nie-da-się-ich-o-glą-dać!

To dlaczego znalazły się w konkursie? Z różnych powodów. Politycznych. Pragmatycznych. Dlatego że ważny organizator miał jakieś zobowiązania wobec reżysera albo producenta. Albo że w poprzednim roku reżyser nie dostał się do konkursu z lepszym filmem, to w tym roku dostanie się z tym, który akurat zrobił. I taka jest prawda od Cannes po Telluride. Tak było też w gościnnych i pięknych Karlowych Warach.

A zwycięzca, którym okazał się debiut Amerykanki Laurie Collyer, film *Sherrybaby* - najlepiej napisany, wyreżyserowany i zagrany film z całej konkursowej paczki - przepadł gdzieś w świecie. Laurie nie zrobiła filmu przez następnych sześć lat. Czyli Kryształowy Globus jakoś nie pomógł. Jedynie Maggie Gyllenhaal, aktorka, którą nagrodziliśmy, dostała później nominację do Złotego Globu. Ale Maggie dawała sobie radę i przedtem. Jak widać, festiwale filmowe niekoniecznie muszą być festiwalami dobrych filmów. Ale dobrze, że są. A skoro już są i skoro jest na nich przewidziana nagroda główna - należy ją przyznawać.



**44.**

### **Mr. Weir w Polsce**

W twoim filmie z 1998 bohater, uciekając ze sztucznego świata, uderza głową w coś, co jest namalowanym na gumowej ścianie horyzontem.

- Yhm... - odpowiedział, jakby nie wiedział, czy to pytanie, czy zdanie oznajmujące.

- Ja nakręciłem podobną scenę 14 lat wcześniej.

- Ach, tak?

- Tak. I cały czas zastanawiałem się w kinie, czy widziałeś mój film.

- Jak się nazywa film?

- *Seksmisja.*

- *Eksmisja?*

- *SEKSMISJA.*

- Nigdy o nim nie słyszałem. Ale chętnie obejrzę, zwłaszcza że jest w nim scena, o której mówisz - uśmiechnął się.

Ten toczony po angielsku dialog australijskiego reżysera światowej sławy z polskim reżyserem sławy lokalnej odbył się w ekskluzywnym klubie - restauracji Cavallo w Łazienkach Królewskich 6 kwietnia 2011 roku.

Peter Weir przyjechał do Warszawy na premierę swojego filmu *Niepokonani*, a ja byłem wyznaczony przez prezesa Stowarzyszenia Filmowców do zjedzenia z Peterem kolacji. Zgodziłem się z ochotą, bo Peter Weir jest jednym z moich ulubionych reżyserów filmowych. *Piknik pod Wiszącą Skalą*, *Rok niebezpiecznego życia*, *Świadek* czy *Truman Show* są filmami, których nie zapomnę.

Trzydzieści lat wcześniej prawie otarłem się o niego, gdy w Manili odbierałem nagrodę za *Vabank*, a jego *Gallipoli* dostał nagrodę główną jury. Wtedy Weir do stolicy Filipin nie przyjechał i Złotego Orła z rąk prezydenta Marcosa odebrał za niego producent, który jak właśnie zdołałem się dowiedzieć, do dziś jej Peterowi nie przekazał.

Scena z filmu *Truman Show*, kiedy Jim Carrey uderza głową w gumowy, sztuczny horyzont tak bardzo przypomina scenę z *Seksmisji*, w której Jurek Stuhr ma taki sam problem z wydostaniem się ze świata kobiet, że Krzysztof Krauze zadzwonił do mnie zaraz po wyjściu z kina. „Zerznęli z ciebie! Podaj ich do sądu!” - radził mi mój skądinąd rozsądny przyjaciel.

Podobna e - mailowa rada wylądowała w 2005 roku na moim biurku, gdy mieszkający w USA Polonus zaofiarował się wynająć amerykańskiego adwokata, bym podał do sądu wytwórnię filmową Warner Brothers za film *Wyspa* (*The Island*). Jego zdaniem film o uciekających z podziemnego świata klonach był ewidentnym plagiatem *Seksmisji*.

W takich sytuacjach myślę sobie spokojnie, że tak bywa z pomysłami. Unoszą się w powietrzu w różnych miejscach na Ziemi w różnym czasie i od nas - opowiadaczy historii, scenarzystów i reżyserów - zależy, czy je złapiemy. Mogło się oczywiście zdarzyć, że scenarzysta *Truman Show* Andrew Niccol widział gdzieś *Seksmisję*, ale nie posądzam go o złe intencje. Podobnie jak nie podejrzewam, gdy w filmie *Porozmawiaj z nią* mały Javier Camara chodzi po ogromnej, nagiej i tak samo pięknej jak Kasia Figura Elenie Anaya, by Pedro Almodóvar zwędził mi tę scenę z *Kingsajzu*.

Te unoszące się w eterze pomysły scenariuszowe dryfują także w moją stronę.

Jakże byłem z siebie dumny, kiedy pisząc scenariusz *Vinci*, wymyśliłem, żeby samochód z bezcennym obrazem zapadał się, dosłownie, pod ziemię. Poklepywałem się z uznaniem po ramieniu do czasu, gdy tuż przed zdjęciami zobaczyłem film *Włoska robota*. Rzadko się zdarza, że w kinie oblewa mnie zimny pot, a wtedy właśnie się to zdarzyło, bo chłopaki z Ameryki już „moją” scenę nakręcili. Wiedziałem, że żebym nie wiem na co przysięgał, nikt nie uwierzy, że nie ściągnąłem jej z tego filmu.

Na kolacji z Peterem byłem szczęśliwy, że mogłem go poznać. Gdy byliśmy przy sorbetowym deserze, wyciągnąłem zza pazuchy oprawny w cielęcą skórę, zamykany na mosiężny zamek sztambuch i powiedziałem:

- Peter, ten pamiętnik jest w mojej rodzinie od prawie stu lat. Byłby to dla mnie zaszczyt, gdybyś i ty się do niego wpisał.

Weir wziął delikatnie w ręce tę starą rzecz i z nabożeństwem zaczął przewracać kartki. Pierwszy wpis miał miejsce w styczniu 1917 roku.

- *My god!* - wyszeptał - to jeszcze przed rewolucją bolszewicką! Potem zamyślił się, licząc powoli w pamięci. - Ten pamiętnik jest starszy ode mnie o 27 lat! - wykrzyknął cicho.

- *That's correct!* - powiedziałem z dumą, a jednocześnie trochę z żalem, że żaden z tych autografów nic mu nie powie. Skąd Australijczyk miałby wiedzieć, kim był Józef Czapski, Irena Solska, Kornel Makuszyński, Stanisław Ossowiecki czy Magdalena Samozwaniec?

Peter odkręcił pióro Montblanc i wpisał się po australijsku na jednej z ostatnich kart:

„Mieliśmy się spotkać 30 lat temu w Manili, ale los miał inny plan! Juliuszowi, w Warszawie w kwietniu 2011”.

Po czym z delikatną czułością oddał mi sztambuch. Którego historia była zupełnie inna, niż mu powiedziałem. Sztambuch nie był w mojej rodzinie od stu lat. Był niecały

miesiąc.

Trzy miesiące wcześniej, wałęsając się po Galerii Mokotów, zajrzałem do antykwariatu w poszukiwaniu pierwszych wydań dzieł ulubionych pisarzy. Miałem szczęście. Trafiłem na *Heretyka na ambonie* Antoniego Słonimskiego z 1934 roku. Kiedy uradowany płaciłem za rarytas, antykwariusz zainteresował mnie innym, jeszcze bardziej nieoczekiwanym obiektem. Wyciągnął spod lady sztambuch Marii Wicherkiewiczowej. Pani Maria była, jak mi objaśnił, znaną przed wojną poznańską pisarką, wdową po okuliście. Prowadziła w Poznaniu dom otwarty, przede wszystkim dla literatów, ale nie tylko. Ta poznańska Virginia Woolf od 1917 roku prosiła wszystkich goszczących w jej progach o wpisywanie się do albumu w skórzanej okładce. Prowadziła go prawie do śmierci w 1962 roku. Przez jej poznański salon przewijali się artyści, politycy, arystokraci, dyplomaci, uczestnicy misji wojskowych stacjonujących w Poznaniu w czasie scalania państwa po I wojnie światowej.

Zebrała w sumie ponad 300 wpisów. Zapaliłem się do tego sztambucha, a ponieważ nie był tani, poprosiłem o rezerwację, bo najpierw chciałem pokazać go Ewie. Przy następnej wizycie w świątyni handlu żona obejrzała historyczne wpisy z zainteresowaniem. Ale kiedy odeszliśmy na bok, powiedziała:

- Po co ci taka starość? Zakurzone zeszyty zaczniesz teraz zbierać? Daj spokój!

Ponieważ Ewa jest mądrą kobietą i ma dużą siłę sugestii, po chwili zastanowienia przyznałem jej rację i zapomniałem o swoim zamiarze. A przez następne dwa miesiące skrzętnie unikałem antykwariatu, żeby nie dowiedzieć się, że pamiętnik kupił już ktoś inny.

I 10 marca, w dniu moich urodzin, kiedy Ewa podała mi zawinięty w ozdobny papier kształt, do ostatniego momentu nie spodziewałem się, że w środku będzie sztambuch pani Wicherkiewiczowej! Nie mogła zrobić mi lepszego prezentu.

- Wiesz, jeszcze dlaczego go kupiłam? Bo zostało w nim czystych kilkadziesiąt stron. Będziesz mógł reaktywować wpisy.

I tak się stało. Sztambuch żyje nadal. Zebrałem już 15 autografów, między innymi:

Andrzeja Wajdy i Krystyny Zachwatowicz, Jerzego Stuhra, Roberta Więckiewicza i Agnieszki Holland. Janusz Majewski napisał trafnie, że „zostało już niewiele kartek, szanujcie je i nie pozwalajcie się wpisywać byle komu”. Tak też staramy się robić. A Peter Weir był pierwszym zagranicznym artystą, który wpisał się po reaktywacji. Aby nie zanudzać go długą historią pod tytułem „Jak to naprawdę ze sztambuchem było”, powiedziałem, że to rodzinny relikw. Nie miało to znaczenia, a z długiej historii robiło krótką.

Peter opowiedział też, jak kilka godzin wcześniej siedział z ekipą, z którą przyjechał (producentka filmu, scenarzystka i asystentka) w knajpie U Kucharzy na Krakowskim Przedmieściu. Zaobserwował wtedy, że na 30 gości w restauracji żaden nie miał, jak to nazwał, świadomości autokreacji. Wszyscy zachowywali się naturalnie. Zupełnie inaczej niż mieszkańcy zachodniej hemisfery, którzy uwielbiają stylizować swoje zachowanie szczególnie w miejscach publicznych. Peter uznał, że jesteśmy jakieś 40 *years behind*. Że ominęła nas cała ta epoka reklamy z tak zwanym uśmiechem Kodaka. I że to bardzo dobrze. A ja mu przypomniałem, że pewnie dlatego przyjechał do Polski w poszukiwaniu „smutnych twarzy statystów” do filmu *Pan i władca: na krańcu świata*.

Mój przyjaciel Jarek Sokół zainspirowany właśnie tym wydarzeniem napisał scenariusz filmu *Statyści* dla Michała Kwiecińskiego. Peter Weir odpowiedział, że nie przyjeżdżał po „smutne”, tylko po „XIX-wieczne” twarze statystów mających udawać marynarzy. Przy okazji były one smutne, ale z czego mieli się cieszyć? Swoją drogą *chapeau bas* dla wierności historycznej. Znalezieni w zapadłych wsiach nasi bezrobotni rolnicy wyglądali wypisz wymaluj jak marynarze z floty admirała Nelsona.

Jak to zawsze jest przy okazji rozmów z australijskimi filmowcami, rozmowa zesłała w końcu na Jerzego Toeplitza, historyka filmu i pedagoga, założyciela szkoły filmowej w Sydney, który wykształcił całe pokolenie australijskich filmowców. Mówiło się, że szkoła w Sydney to przedłużenie łódzkiej PWSFTViT, w której Tusio, jak popularnie zwano Toeplitza, był rektorem do 1968 roku. Na wspomnienie tego nazwiska Peter Weir, nie wiedzieć czemu, nagle podniósł oczy do nieba i wykrzyknął:

- *Dżerzi! I am sorry, but I didn't like you!* (Jerzy, przepraszam, ale cię nie lubiłem!).

Wszyscy obecni przy stole udali, że bardzo zainteresował ich wybór *digestif* na



zakończeniu posiłku. Żeby nie psuć atmosfery, nie dociekałem, dlaczego Peter nie lubił Dżerzego, spytałem natomiast o rodzinne korzenie Petera. Okazało się, że prapradziad pochodził ze Szkocji i został zesłany do Australii za jakieś niepodległościowe awantury.

- To zupełnie jak u was w XIX wieku, gdy polskich patriotów zsyłano na Syberię! - Peter Weir chciał się popisać znajomością naszej historii.

„Wiesz co, Peter? Różnicę między Australią a Sybirem mógłbym ci zagrać na fortepianie” - pomyślałem, a głośno powiedziałem:

- No, tak, tyle tylko że klimat mieliście nieco lepszy...

- *Yes, but Australia cuts everything.* Wszystko, co było przedtem, się nie liczy. W XIX wieku to los gorszy niż dzisiaj zsyłka na Księżyc.

Pokiwałem głową, wiedząc, że do końca świata będziemy się na ten temat pięknie różnić.

Potem reżyser z antypodów opowiedział o tym, jak był w Japonii i miał dać wywiad do gazety. Jego tłumacz i japoński opiekun błagał go, żeby nie poruszał tematu ostatniej wojny, bo to w Japonii tabu. A Weir właśnie o wojnie chciał mówić. I zaczął wypominać Japończykom, jak to najechali Australię, jak straszliwie torturowali, publicznie ścinali australijskich jeńców wojennych itd., itp. Japoński reporter słuchał uważnie, grzecznie kiwając głową, i na koniec powiedział:

- Nic nie szkodzi. Myśmy wam już to wszystko wybaczyli.

Pomyślałem, że podobny dialog na temat II wojny mógłbym od biedy wyobrazić sobie z rosyjskim dziennikarzem.

Peter był bardzo dumny z tego, że zrobił film o polskich jeńcach wojennych z sowieckiego łagru, którzy przez 11 miesięcy uciekali z Syberii do Indii. Powiedział, że gdzie jak gdzie, ale w Polsce film na pewno będzie sukcesem.

Z taką nadzieją poszedłem następnego dnia do kina Kultura na przedpremierowy pokaz filmu *The Way Back*. Na samym początku pojawił się napis, że z syberyjskiego łagru uciekło sześćcioro więźniów, a 11 miesięcy później do Indii dotarło tylko trzech.

I wtedy gdzieś z boku usłyszałem charakterystyczny głośny szept Andrzeja Wajdy:

- No i wszystko już zostało powiedziane...

Trudno mi było potem oglądać ten film.



45.

### Obudź się, Polsko!

Agnieszka wzięła statuetkę z rąk Sandry Bullock, podeszła do mikrofonu i mocnym, choć nieco drżącym głosem zaczęła dziękować. Akademii, ekipie, aktorom... Miała na to 45 sekund. Wiedziałem od Michała Kwiecińskiego, który przeżył podobną galę z filmem *Katyń*, że w ostatnim rzędzie parteru stoi specjalny facet i kiedy nagrodzony na scenie zaczyna przedłużać przemówienie, on machając rękami w białych rękawiczkach przynagla delikwenta, żeby się streszczał. Zerknąłem na ostatni rząd parteru. Był tam. Na razie miał założone ręce. Białe rękawiczki fosforyzowały w ciemności.

Stałem obok Agnieszki i już od dobrych 30 sekund wciągałem brzuch, z całych sił starając się wyglądać godnie. W końcu patrzył na nas miliard widzów.

Wierzyłem, że kiedyś tu będę, choć liczyłem, że może jako reżyser swojego filmu. *Szwadron* był kiedyś polskim kandydatem do Oscara, ale się nie przebił. I to był dotychczas chyba jedyny mój film, który był jakąś oscarową propozycją. No bo kogo w Hollywood mogą obchodzić komedie?

Tymczasem zaprzętała mnie jedna myśl. Czy Agnieszka dopuści mnie na chwilę do głosu? Inaczej sterczałbym tu jak niemy palant, a w Warszawie powiedzieliby potem, że zabrakło mi konceptu albo znajomości języka.

Z wystudiowanym uśmiechem filmowca/światowca patrzyłem na twarze gwiazd w pierwszym rzędzie: Brada Pitta, George'a Clooneya, Jeana Dujardina. Po prawej stronie, patrząc od sceny, siedzieli Gary Oldman, Demian Bichir i państwo Spielbergowie. Steven jak zwykle w takich sytuacjach uśmiechał się z zafrasowaną dobrotliwością pomnika, u stóp którego bawią się dzieci. Zerknąłem na Agnieszkę, czy zamierza skończyć i dać mi słówko. Agnieszka zawahała się na chwilę i to wystarczyło, żebym wstrzelił się z wykutym na blachę speechem: *Thank you, Academy. This Oscar for Agnieszka was bound to happen.* Czyli że ten Oscar dla Agnieszki musiał wcześniej czy później się zdarzyć. Potem podziękowałem moim przyjaciom koproducentom Steffenowi Reuterowi, Marcowi - Danielowi Dichantowi z Niemiec, Ericowi Jordanowi i Paulowi Stephensowi z Kanady i wreszcie *last but not least* polskim producentom wykonawczym Wojtkowi Danowskiemu i Andrzejowi Besztakowi, bez których ten film by nie powstał.

Na koniec wykrzyknąłem: „Ewa, Marysia, Olaf, Arnaud - *I love you!*”, i klepiąc trzymanego przez Agnieszkę Oscara po głowie, dorzuciłem po polsku: „Obudź się, Polsko! Mamy debeściaka!”.

I wtedy sam się obudziłem w hotelu Petit Ermitage na Cynthia Street w Los Angeles.

Śniadanie przy basenie na dachu, z widokiem na West Hollywood, nie przywróciło mi nastroju ze snu. Potem zmuśnięte wbijanie się w smoking, ostatnie zdjęcia i chwilę później siedzieliśmy w długiej limuzynie sunącej przez Bulwar Zachodzącego Słońca w stronę Teatru Kodaka.

Kiedy już byliśmy blisko, przez szybę zauważyłem trzech posępnych dżentelmenów z Meksyku trzymających w rękach tanie wydanie Biblii. Jeden miał nad głową karton z napisem, który zapowiadał, że „Jezus się zbliża - Ty zbliż się do Jezusa, póki jeszcze nie jest za późno” oraz „Zawróć z tej drogi”.

Sznur samochodów posuwał się wolno, więc teoretycznie dawało to możliwość działalności merkantylnej. Śniadzi mężczyźni oferowali sprzedaż, zaglądając do okien pojazdów. Akurat pasażerowie limuzyn sunących główną arterią Hollywood najwyraźniej Biblię albo już mieli, albo jej nie potrzebowali, bo przyciemnione szyby pozostawiały

zamknięte. Wyraz twarzy latynoskich bukinistów zabarwiał się tym bardziej pogardliwie, im bliżej nam było do skrzyżowania Hollywood Boulevard z Highland Avenue, gdzie mieścił się nasz punkt docelowy.

Siedzieliśmy w środku limo w ósemkę: sprawczyni całego zamieszania Agnieszka Holland, Robert Więckiewicz, kanadyjski scenarzysta David Shamoon, dziewczynka w zielonym sweterku, czyli Krysia Chigier, teraz w szykownej kreacji i z mężem Marianem, ponadto Katarzyna Adamik z Olgą Chajdas oraz *moi*.

Już przy samym teatrze Katarzyna trąciła Olgę w bok, pokazując potężny transparent z napisem: „Nasi chłopcy giną w Iraku, żeby pedały mogły się żenić”. Użyto wyrazu niepoprawnie politycznego (*fag*), najwyraźniej, żeby podkreślić wagę problemu.

Oznaczało to chyba, że dotarliśmy do serca Tinseltown, miasta rozpusty i współczesnego Babilonu. Wtedy nasze limo zatrzymało się bezszelestnie.

Był 26 lutego 2012 i nasza filmowa delegacja postawiła stopy na słynnym czerwonym dywanie. Tłok był wielki, ale gwiazd ani na lekarstwo, nie licząc Nicka Nolte. Widocznie przyjechaliśmy za wcześnie. Pierwszą znaną twarzą ze świata filmu, na którą się natknąłem w holu, był nasz rodak Janusz Kamiński, operator Stevena Spielberga.

- Fajnie, że jesteś, kochanie - powiedział do mnie. - Chodź, napijemy się szampana.

I podeszliśmy do baru w głównym foyer. I mimo że kręciłem głową na 360 stopni, dalej ani śladu *movie stars*! Janusz wskazał grupkę siwowłosych mężczyzn w smokingach, którzy najwyraźniej podekscytowani rozmawiali o czymś szeptem.

- Zobacz. Wszyscy nominowani *DP* są zdenerwowani, bo Oscar za zdjęcia wręczony będzie jako pierwszy.

Rzeczywiście teraz dopiero rozpoznałem Jeffa Cronenwetha i Roberta Richardsona, operatorów filmów *Hugo* i *Dziewczyna z tatuażem*.

- A ty się nie denerwujesz? Też jesteś nominowany.

- Nie, kochanie - powiedział Janusz. - Ja tym razem nie dostanę.

Nagle zadzwoniła moja komórka - to Ewa, która z Marysią i jej mężem Arnaudem ślęczeli w nocy przed telewizorem w Paryżu.

- Gdzie ty jesteś?! - zapytała zdenerwowana.

- Jak to gdzie?! W Hollywood, na rozdaniu Oscarów!

- Widzimy Więcka i Agnieszkę na czerwonym dywanie. A ciebie tam nie ma! Marysia powiedziała, że pewnie jak zwykle poszedłeś do toalety!

- Na ten główny dywan wpuszczają tylko dwie osoby. Poszedłem bocznym, bo uważam, że Robert bardziej zasłużył, żeby iść środkiem. Niektórzy już go tutaj rozpoznają. Wczoraj wyściskała go Meryl Streep.

- No, dobra, masz rację. Choć szkoda - Ewa była niepokieszona.

Usadowiono nas jako ostatnią ekipę nominowanych do obcojęzycznego Oscara.

Przed nami siedzieli filmowcy z Izraela, przed nimi Belgowie, Kanadyjczycy, a najbliższej sceny faworyci bookmacherów, czyli perska ekipa filmu *Rozstanie* z reżyserem Asgharem Farhadim i aktorami Peymanem Maadi, Leilą Hatami i Sariną Farhadi. Dwanaście rzędów przed nami, najbliższej sceny, umieszczono George'a Clooneya, Jeana Dujardina oraz Stevena Spielberga z Kate Capshaw.

Zaskoczyło mnie, że teatr jest taki mały. W telewizji zawsze wyglądał na olbrzymi. Przez chwilę wydało mi się, że jestem w Teatrze Muzycznym w Gdyni podczas festiwalu - tylko na miejscach Andrzeja Chyry i Magdy Cieleckiej siedzą Brad Pitt i Angelina Jolie.

Zanim gala się zaczęła, wzdłuż naszych rzędów przeszła jedna z asystentek reżysera show, informując, że nagroda za najlepszy obcojęzyczny film zostanie wręczona w ciągu pierwszej godziny programu. Zrozumieliśmy, że na siku trzeba będzie poczekać.

Kiedy się już tam siedzi, to wierzy się w to, że Oscar nastąpi. Mieliśmy już opracowany plan działania. Na scenę miała wejść Agnieszka i ja, tylko że zgodnie z regulaminem Akademii przemawiać miała tylko Agnieszka. Przez 45 sekund. Miałem nadzieję, że jednak - jak we śnie - uda mi się dopchnąć do mikrofonu z moim speechem.

Kiedy po przerwie na reklamy prowadzący galę Billy Crystal stanął tuż koło nas i show wznowiono na wysokości miejsca, gdzie siedzieliśmy, nadzieja, że zwycięży *W ciemności*, zamieniła się prawie w pewność.

No i kiedy pojawiła się Sandra Bullock z kopertą, poprosiłem siedzącą obok mnie Krysę Chigier, żeby potrzyzymała moją komórkę i okulary słoneczne, żeby mi nie wypychały kieszeni smokingu, jak będę stał na scenie. Ubrana w białą - czarną kreację Sandra wymieniła nominowane filmy, kończąc słynną formułą: *And the Oscar goes to...* - po czym odkleiła zalakowaną kopertę i spokojnym głosem przeczytała:

*...Separation.*

Ja, który zbierałem się do wstania, zawahałem się, czy się nie pomyliła. Ale Asghar Farhadi już wchodził po schodach. Spojrzeliśmy na siebie z Agnieszką. I tym razem się nie udało. Polska musi jeszcze poczekać. Czesi i Rosjanie mają po trzy Oscary. Węgrom udało się raz. A kiedy my?

W sumie nagroda dla Iranu mnie nie zaskoczyła. To był faworyt wszystkich, ale w ostatnich latach często się zdarzało, że faworyt przegrywał z czarnym koniem. Liczyłem, że w tym roku ten koń to my. Szepnąłem Agnieszce, że powinniśmy pogratulować Persom. W kolejnej przerwie na reklamy poszliśmy wyściskać reżysera i trójkę aktorów. Leilę Hatami poznałem sześć lat wcześniej w jury festiwalu w Karlowych Warach i pogratulowałem jej z całego serca. Asghar Farhadi długo trzymał Agnieszkę za rękę i głęboko patrzył jej w oczy, jakby przeproszał, że tak się stało. Agnieszka powiedziała, że zrobił genialny film, więc wszyscy się z tego cieszymy.

A potem, już bez emocji, śledziliśmy przebieg ceremonii.

Im bliżej było do końca, tym bardziej było jasne, że zwycięży *Artysta*. Kiedy jednak jego reżyser Michel Hazanavicius dostał Oscara - jako pierwszy Francuz nagrodzony w kategorii zarezerwowanej dla Amerykanów - Agnieszka i jej córka Katarzyna Adamik jęknęły.

- Oj, nie! Tylko nie to! - szepnęła Agnieszka. Obie kibicowały *Drzewu życia* Malicka.

- Dlaczego? A ja chciałem, żeby *Artysta* wygrał!

- Jak będę chciała zobaczyć niemy film z lat 20., to puszcze sobie Bustera Keatona - powiedziała Agnieszka.

To nie był argument fair. Wszystko już było i tak można powiedzieć o każdym filmie. Równie dobrze, że chcąc zobaczyć film o Holokauście, można sobie puścić *Pianistę*.

- Chyba nie masz racji - odpowiedziałem. - W tej sprawie będziemy się pięknie różnić.

Bo rzeczywiście *The Artist* - hołd dla kina - uwiódł mnie całkowicie. Francuzi przyjechali do Stanów, za swoje pieniądze wynajęli studio Paramount, zatrudnili kilkunastu amerykańskich aktorów, scenografa i zrobili film, który znokautował Hollywood. To jest to! Nie żadna koprodukcja, która jest zawsze złem koniecznym i wynika z braku środków, czyli biedy. *Les Français* pokonali Hollywood na ich własnym boisku. No bo też pomyśl, żeby w czasach kina 3D zrobić film czarno - biały, a w dodatku niemy, był absolutnie nie z tej planety. Różne rzeczy można mówić o Amerykanach, ale na pewno potrafią docenić kogoś, kto ma talent i wizję. Ale że i Akademia będzie wołała Jeana Dujardina od Pitta i Clooneya? Do końca nie mogłem w to uwierzyć.

Kończąc swój dziękczynny speech, Francuz powiedział: „Gdyby bohater *Artysty* George Valantin mówił po francusku, powiedziałby: »Wow! Putain! Je suis la! Merci! Formidable!«,,. Co w wolnym tłumaczeniu znaczy: „O, k... Jestem tutaj! Dzięki! Wspaniale”. I całkiem naturalnie *The Artist* dostał piątego Oscara tego wieczoru jako najlepszy film roku, przynajmniej wśród dziewięciu nominowanych.

Potem był tzw. *Governer's Ball*. W Polsce tłumaczą to jako Bal Gubernatora, na



którym należałoby oczekiwać gubernatorów Kalifornii w rodzaju Jerry'ego Browna czy Arnolda Schwarzeneggera. Nic bardziej błędnego. Jest to po prostu Bal Dyrektorów Sekcji Akademii Filmowej. Przyjęcie odbywa się na ostatnim piętrze Kodak Theatre.

Wszyscy przychodzą na szampana i przystawki, zanim rozejdą się na swoje afterparty w innych zakątkach Hollywood. Szedłem przez chwilę obok człowieka, którego twarz wydała mi się znajoma. Nie był to nikt ze świata filmu, dlatego też nie skojarzyłem od razu. Nagle doszło do mnie, skąd go znam. Co on tu robi, pomyślałem, kiedy księżę Albert de Monaco lekko mnie potrącił łokciem i zaraz przeprosił. Widocznie lubi chodzić do kina.

Przed wejściem na bal dołączyli do nas Robert Więckiewicz i David Shamoan, którzy mieli miejsca na balkonie.

- Fajna gala, co? - spytałem Roberta.

- Nie wiem - odpowiedział. - Z miejsca, gdzie siedzieliśmy, widziałem tylko czubki głów. - Robert uśmiechnął się stoicko. - Chciałbym, do cholery, wreszcie zobaczyć jakąś gwiazdę!

To była prawda. Ja też nie zauważyłem wokół nas znanych twarzy, żadnych gwiazd, celebrytów. Aż tu nagle! Prawie na Niego wpadłem. Przed wszystkim myślałem, że jest wyższy. Stał skromnie z żoną, kończąc rozmowę z reżyserem *Godzin* Stephenem Daldrym, i właściwie zbierał się do wyjścia. Pociągnąłem Agnieszkę za rękaw. Ona mogła doń zagadać. I tak się stało. Agnieszka podeszła i powiedziała:

- *Mr. Spielberg let me introduce myself*. Jestem reżyserem filmu *W ciemności*, a to mój producent - wskazała na mnie. Steven Spielberg podał mi rękę. Była miękka i ciepła.

- Bardzo mi przyjemnie, chociaż nie widziałem jeszcze filmu - uśmiechnął się z udanym zakłopotaniem. I wtedy przemówił ja. Zawsze wierzyłem, że wcześniej czy później spotkam się z moim filmowym idolem. Miałem na tę okoliczność przygotowaną całą przemowę, jak to po raz pierwszy mieliśmy się spotkać w 1985 roku i nawet napisałem do niego list w tej sprawie, ale akurat urodził mu się syn Max i Steven nie miał czasu, a potem mieliśmy się spotkać w 1993, kiedy on kręcił w Polsce *Listę Schindlera*, ale tak się zdarzyło,

że ja wtedy akurat wykladałem w Nowym Jorku na Hunter College.

I tak mogłem jeszcze bardzo długo mówić, okraszając gadkę anegdotami. I gdy wreszcie okazała się zjawiała, powiedziałem:

- Tak się składa, że jestem także producentem filmu Janusza Kamińskiego *Hania*.

Wiedziałem, że Spielberg urządził dla Janusza specjalną projekcję u siebie w domu. Jego wzrok ożywił się za okularami.

- Tak, ten film widziałem! - odpowiedział i zaraz zamilkł. Rozmowa wyraźnie się skończyła. Życzyliśmy sobie wszystkiego najlepszego i nasze drogi się rozeszły. Polską ekipę oczekiwała stuosobowa grupa gości na afterparty na dachu hotelu Petit Hermitage. Powitali nas brawami, choć na wielu twarzach widziałem smutek i rozczarowanie.

I wtedy jak na komendę, nie namawiając się wcześniej z Agnieszką, zaśpiewaliśmy pieśń polskich kibiców:

„Nic się nie stało! Polacy, nic się nie stało!”.

46.

### Piusa 17

- Mam już dosyć tych wichrów na 13. piętrze - powiedziała pewnego dnia moja żona Ewa i zaczęła rozglądać się za nowym mieszkaniem. Rzeczywiście jesienią i zimą na tej wysokości coś wyło i jęczało w metalowych elementach elewacji apartamentowca zbudowanego na miejscu dawnej mleczarni. Może to były duchy niedojonych krów?

Mnie akurat aż tak to nie przeszkadzało, ale rozumiałem, że dla wrażliwszych istot nieprzypadających za filmami grozy może być to dyskomfort.

Przez 11 lat dobrze się nam mieszkało na Górnym Mokotowie z widokiem na trzy strony świata, z basenem i fitnesssem na dole. Dzięki bliskości nieba mieszkanie było jasne nawet przy pochmurnej pogodzie. A co najważniejsze, nasza nastoletnia córka Marysia zajmowała niezależne skrzydło z osobną linią telefoniczną i łazienką. Jej życie towarzyskie mogło kwitnąć w najlepsze, a my tego nie musieliśmy doświadczać. Przez kilka lat na dole była też wypożyczalnia DVD, a także najlepszy sklep wędliniarski w mieście, tak że do szczęścia niczego nie brakowało. Jedyne, co mi doskwierało, to konieczność dojazdów do centrów cywilizacyjnych - typu teatr, kino, kawiarnia, spacer, restauracja. Ponieważ kilka lat temu Marysia zaczęła dorosłe życie i opuściła dom rodzinny, pomyśleliśmy, że powinniśmy zrobić też coś dla siebie.

Codziennie spędzałem w samochodzie minimum 30 minut, co dawało miesięcznie 15 godzin, czyli jeden dzień roboczy. Oczywiście mieszkańcy domów za miastem, którzy tracą na dojazdy dwie godziny dziennie, na śmietnik nieistnienia wyrzucają miesiąc (!) rocznie. No, chyba że w trakcie dojazdów uczą się języków obcych (bardzo wątpię) lub prowadzą interesy (serdecznie współczuję).

Tak czy inaczej, uznaliśmy, że życie jest za krótkie, żeby je spędzać za kierownicą.

- Musimy mieszkać w Śródmieściu. - Ewa zaczęła surfować po ogłoszeniach nieruchomości w necie. - To ostatni moment, żeby się stąd wydostać!

Nie wiedziałem, dlaczego ostatni, ale Ewa zawsze wyprzedzała resztę świata w pomysłach na życie. Kiedy wszyscy rzucali się na tzw. domki jednorodzinne, my wyprowadziliśmy się właśnie z szeregowca do jednego z pierwszych w Warszawie apartamentowców. Gdy teraz ludność pokochała apartamentowce na obrzeżach miasta, był to sygnał, że powinniśmy wiać do starej kamienicy w centrum.

Jako 14-latek mieszkałem już w Śródmieściu, na Żurawiej przy Marszałkowskiej, i bardzo dobrze wspominałem tamten czas. Wszystko było blisko: Centralna Składnica Harcerska, lody u Włocha, Pałac Kultury z jego kinami i teatrami i najważniejsze wówczas dla mnie: kino Iluzjon, które mieściło się w sali Pod Kopułą na placu Trzech Krzyży 5.

Ewa, warszawianka od trzech pokoleń, spędziła dzieciństwo w alei Niepodległości, niedaleko domu, gdzie ukrywał się Pianista Władysław Szpilman, i zawsze tęskniła za tym rejonem. Ja jako warszawiak od 1966, a od 1982 zmotoryzowany, miałem tylko jeden warunek - garaż podziemny. Ten warunek wykluczał oczywiście stare budownictwo, o co mi trochę chodziło. Marzyłem o starejnowej kamienicy w centrum, choć wiedziałem, że to trochę marzenie ściętej głowy. Wreszcie zimą 2010 ruszyliśmy na północ, do centrum, w poszukiwaniu swojego miejsca w Warszawie.

Już pod pierwszym ze sprawdzanych adresów spotkaliśmy sąsiada z naszego apartamentowca na Mokotowie.

- Co tu robicie? - spytał Marek Zaliwski.

- Wiesz, chyba chcemy się przeprowadzić i szukamy czegoś nowego - odpowiedziała Ewa.

- Ja właśnie kupiłem mieszkanie.

- Tutaj?

- Na Grzybowskiej. Co i wam polecam. Z naszego apartamentowca na Mokotowie wszyscy się wyprowadzają. Osiemdziesiąt mieszkań jest na sprzedaż.

- Ty też sprzedałeś swoje?

- Nie. Będę wynajmował. Ale w moim wieku muszę być w centrum wydarzeń, a nie dojeżdżać. Lejb Fogelman też tak myśli.

Lejb też był naszym sąsiadem z apartamentowej Twierdzy Mokotowskiej i kto jak kto, ale on na pewno wyczuwał każde drgnienie trendów społeczno - towarzyskich.

Przestraszyłem się, że po raz pierwszy obudzimy się z ręką w nocniku.

- Mówiłam ci - szepnęła mi Ewa na stronie. - Za późno się do tego zabraliśmy!

Przez kilka następnych godzin rzeczywiście tak myślałem, bo w upatrzonym przez nas miejscu na Emilii Plater najciekawsze mieszkania były już wykupione. Na szczęście Ewa była dobrze przygotowana i ze zwinnością indiańskiego zwiadowcy oprowadzała mnie przez boczne ulice od Marszałkowskiej. Obejrzelśmy kilka odnowionych kamienic - niestety bez przestronnych garaży podziemnych. Ktoś tam wprawdzie mówił o specjalnych windach, które zwoziły auta do garażu. Widziałem coś podobnego w hotelu w Maladze. Te windy u nas też były hiszpańskie. Wyobraziłem sobie, jak się zachowają przy 20-stopniowym mrozie.

Dotarliśmy do pięknego budynku na ulicy Flory. Rzeczywiście był widok na Łazienki i miejsce w garażu dla nas by się znalazło. Ale coś mi nie pasowało. Ewa też kręciła nosem. Oprowadzający nas deweloper (właściciel nieruchomości?) podjechał jakimś wypasionym porsche czy maserati, cały czas miał przy uchu telefoniczny klips i półgłosem się z kimś naradzał. Robił wrażenie, jakby oczekiwał od nas, że powinniśmy go jakoś przekupić, żeby w ogóle dostać tak „cudną miejscówkę”. Nam się wydawało, że powinno być akurat na odwrót.

Kiedy zmęczeni przycumowaliśmy wreszcie na lunch w Jazz Bistro na Pięknej, niechcący spojrziałem na dom naprzeciwko. Na balkonach czegoś, co wydawało się odnowioną starą kamienicą, robotnicy czyścili metalowe barierki.

„Ktoś ma szczęście, że tu mieszka...” - pomyślałem, a głośno powiedziałem do Ewy:

- A może w tym domu zostały jeszcze jakieś mieszkania?

Ewa obrzuciła budynek okiem znawcy i uśmiechnęła się gorzko.

- Zapomnij. To był pierwszy adres, który sprawdzałam. Ceny są wyższe niż na Avenue Foch w Paryżu.

Spuściłem głowę zrezygnowany. Wtedy w oczach żony zauważyłem błysk.

- Chociaż... jest bessa... Co nam szkodzi sprawdzić?

Ewa szybko znalazła właściwy numer i już chwilę później wiedzieliśmy, że: tak, są jeszcze mieszkania, i że: tak, cena jest do negocjacji. Po 15 minutach oglądaliśmy mieszkanie na czwartym, ostatnim piętrze z balkonem. Wszystko było jak trzeba!

Tak musiały wyglądać przedwojenne mieszkania. Prostokątne pokoje, bez zbędnej przypadkowej przestrzeni, której nie ma potem jak zagospodarować. Do tego garaże podziemne, klimatyzacja i tak zwany inteligentny panel, który steruje całym domem. A kiedy dwa dni później wynegocjowaliśmy cenę, odbiegała daleko od pierwszych, chciwych marzeń dewelopera i była podobna do tego, co nam proponowano w innych miejscach. W ciągu trzech minut zdecydowaliśmy: kupujemy.

- Wiesz, niektórzy ludzie dłużej wahają się przy kupnie butów czy lodówki niż my przy mieszkaniu - powiedziała Ewa. - Zapominają, że najcenniejszy w życiu jest czas.

Wiedzieliśmy już, że nie jest to odnowiona kamienica, tylko zbudowana od fundamentów nowa propozycja spółki architektonicznej Bulanda i Mucha. Pani, która przygotowywała w imieniu dewelopera umowę przedwstępną, wydała się osobą odpowiednią do pozyskania informacji.

- A co tu było przedtem?

- Parking.

- Od kiedy?

- Od 1945.

Pani nie przypuszczała, że potrafię być dociekliwy jak porucznik Borewicz.

- Ale przed wojną co tu było? Nie mogło być parkingu w środku miasta!

- Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia - i z rozbijającą szczerością dodała: - Osobiście nigdy bym nie kupiła mieszkania w takim miejscu.

- Dlaczego?

- Bo to środek miasta. Huk. Hałas.

Akurat zrobiliśmy już test akustyczny z zamkniętymi oknami. Ulicy nie było słycać. Sprawiała to najwidoczniej nowa technologia.

- A gdzie pani mieszka? - zapytałem.

- Za miastem. W pięknym domu z ogródkiem.

„Rocznie miesiąc w plecy na dojazd” - pomyślałem i powiedziałem z wyrozumiałym uśmiechem:

- To nasz poprzedni etap. Myśmy już przez to przeszli.

Jako dociekliwy autor scenariuszy kryminalnych nie zadowolilem się informacją o parkingu. Kilka minut buszowania w necie i dowiedzialem się, że przed wojną stał w tym miejscu tak zwany pałacyk Klary Dillenius, siostry fabrykanta Wilhelma Raua, współwłaściciela zakładów Lilpop, Rau i Loewenstein. Ulica Piękna nazywała się przed wojną Piusa XI. Pałacyk powstał po 1881 roku, a architektem był Franciszek Brauman. Ten sam, który zaprojektował kamienicę Wedla na ulicy Szpitalnej. Przed wojną od 1920 roku mieścił się w niej konsulac Niemiec, od 1934 roku ambasada Niemiec, potem oczywiście III

Rzeszy. We wrześniu 1939 ambasada niemiecka została niefortunnie zbombardowana przez Luftwaffe. Niefortunnie! To był tak zwany *friendly fire*! Te kilka zdań zainspirowało mnie od razu...

„A co by było, gdyby młode małżeństwo wprowadziło się współcześnie do tej właśnie kamienicy i odkryło, że przedtem była tam ambasada, którą Niemcy sami zbombardowali? Ją w snach nachodzą duchy tych zbombardowanych urzędników, nagle te czasy zaczynają się mieszać... Kiedy raz wychodzą z windy na jednym piętrze, są u siebie, jest sierpień 2012, kiedy wychodzą innym razem, znajdują się w niemieckiej ambasadzie w sierpniu 1939. Właśnie wtedy, w drodze z Moskwy do Berlina, zatrzymuje się tam Joachim von Ribbentrop. Dopiero co podpisał niechlubny pakt z Mołotowem. Potem przyjeżdża jeszcze ktoś. Zaczynają się dziać dziwne rzeczy...”.

Już miałem pomysł na scenariusz.

Ale najpierw musieliśmy się przeprowadzić. A z tym nam się nie spieszyło, póki mieliśmy wygodne mieszkanie na Mokotowie. Aż tu nagle znalazł się na nie kupiec. Zgodził się na naszą cenę, pod warunkiem że wyprowadzimy się w dwa tygodnie. To nie było łatwe. Taki dzień jednak nadszedł. 27 września, jak kilkadziesiąt lat wcześniej chłopacy i dziewczyny z AK, przeszliśmy z Mokotowa do Śródmieścia. Tylko górą, a nie jak te biedaki kanałami. Kiedy zjeżdżałem z ostatnim transportem, w windzie dosiadł się syn sąsiadów, który w 1999 - kiedy się przeprowadzaliśmy - był pierwszym sąsiadem spotkanym w windzie. Teraz miał być ostatnim. Wtedy był kilkunastoletnim chłopcem, dziś wyższym ode mnie mężczyzną. Pomógł mi załadować ostatnie bambetle i klatkę z kotem.

- Wyprowadzają się państwo? Dlaczego? - spytał z lekkim smutkiem.

Przez chwilę nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. Wreszcie przyszła mi do głowy odpowiedź.

- No, przecież nie można całe życie mieszkać w jednym miejscu.

Mój młody sąsiad zamyślił się i odpowiedział:



- Fakt.

I tak się rozstaliśmy.

Trzeba się czasem przeprowadzać, bo wtedy tak zwana twórczość na tym korzysta.

W lipcu zacząłem zdjęcia do filmu *Piusa 17* (taki był przedwojenny adres ambasady), według pomysłu, który mi spadł z nieba. Nie przypuszczałem, że zrzuci mi go Luftwaffe.